

MAM NA IMIĘ KEMRI.
TRZY RAZY UMARŁEM I TRZY RAZY SIĘ ODDRODZIŁEM.
OTO HISTORIA MOICH TRZECH ŚMIERCI I ŻYCIA MIĘDZY NIMI...



ZAGUBIENI KSIĄŻĘTA



GARTH
NIX

ZAGUBIENI
KSIĄŻĘTA

GARTH
NIX

PRZEŁOŻYŁA
NATALIA WIŚNIEWSKA



Tytuł oryginału:
A Confusion of Princes

Copyright © Garth Nix, 2012
© Copyright for the Polish translation by Wydawnictwo Literackie, 2015
Jacket art © 2012 by Sammy Yuen
Image of figure © 2012 by Larry Rostant
Jacket design by Torborg Davern

Wydanie pierwsze

Opieka redakcyjna
Anita Kasperek

Redakcja
Weronika Kosińska

Korekta
Kamil Bogusiewicz, Magdalena Bielska, Małgorzata Wójcik

Opracowanie okładki na podstawie oryginału
Piotr Kołodziej

Wydawnictwo Literackie Sp. z o.o., 2015
ul. Długa 1, 31-147 Kraków
bezpłatna linia informacyjna: 800 42 10 40
księgarnia internetowa: www.wydawnictwoliterackie.pl
e-mail: ksiegarnia@wydawnictwoliterackie.pl
fax: (+48-12) 430 00 96
tel.: (+48-12) 619 27 70
Skład i łamanie: Scriptorium „TEXTURA”

ISBN 978-83-08-06070-4

Skład wersji elektronicznej
Tomasz Szymański

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Epilog

Przypisy

*Dla Anny, Thomasa i Edwarda,
a także dla wszystkich moich przyjaciół i członków
rodziny*

*oraz dla Phila Wallacha, projektanta gier
komputerowych i programisty, i Lesa Petersena,
ilustratora i grafika, którzy razem ze mną pracowali
przy tworzeniu gry online Imperial Galaxy, opartej
na fabule tej książki, zanim jeszcze skończyłem ją
pisać, oraz dla Roberta A. Heinleina i Andre Norton.*

Rozdział 1

Trzy razy umarłem i trzy razy się odrodziłem, chociaż nie skończyłem nawet dwudziestu lat, odmierzanych według czasu ziemskiego zgodnie z nadal obowiązującym zwyczajem.

Oto historia moich trzech śmierci i życia między nimi.

Mam na imię Kemri, chociaż nie tak nazwali mnie rodzice. Nie wiem, kim oni są, i nigdy się tego nie dowiem, ponieważ zostałem im odebrany wkrótce po narodzinach.

To jedna z pilnie strzeżonych tajemnic Imperium. Żaden Książę ani żadna Księżniczka nie może poznać prawdy o swoich rodzicach ani o świecie, z którego pochodzi. Nie wolno im nawet próbować zdobyć takich informacji, ponieważ to zabronione, co w pewnej mierze oddaje paradoks książęcego istnienia. Mamy na pozór nieograniczoną władzę – ale tylko w ściśle określonych granicach.

To jednak i tak milion razy lepsze od życia zwykłego obywatela Imperium. Po prostu rzeczywistość nie spełniła wszystkich oczekiwań, które miałem w dzieciństwie, kiedy jako kandydat na Księcia dorastałem w położonej na uboczu świątyni, pozbawiony wielu istotnych informacji.

Jestem więc jednym z dziesięciu milionów Książąt, którzy władają Imperium – największą jednostką polityczną znaną w historii. Imperium tworzy szeroki pierścień w galaktyce, obejmując ponad siedemnaście milionów systemów, dziesiątki milionów zamieszkałych światów i biliony czujących istot, w większości ludzi wywodzących się ze starej Ziemi.

Polityka Imperium zakłada, że wszyscy ci prowincjusze, przeważnie niewyściubiający nosa poza swoją planetę, powinni wiedzieć jak najmniej

o pozornie nieśmiertelnych, boskich istotach, które nimi rządzą. Nawet nasi wrogowie – obcy Smutnoocy, enigmatyczni Umarlacy i zbuntowani Naknukowie – znają nas lepiej niż własni poddani.

Prości ludzie sądzą, że żyjemy wiecznie. Co nie powinno nikogo dziwić, skoro raczej nie umyka im to, że przystojny, młody Książę, którego widują, powiedzmy, na corocznym święcie zbiorów, jak wręcza nagrody dla rolnika miesiąca, wygląda dokładnie tak samo jak te pamiątkowe stereorzeźby zdobiące ich kominki od dziada pradziada.

Niewykluczone, że to istotnie ten sam Książę, bo chociaż nie jesteśmy nieśmiertelni, nawet jeśli zginiemy, możemy odrodzić się w niezmienionej postaci. Ale to właściwie szczegół techniczny.

Poza tym nie zawsze wracamy do świata żywych, o czym wiedzą nasi wrogowie. Dla Księcia Imperium umrzeć trzy razy, tak jak ja, to nic wielkiego. Niektórzy dokonali tego wyczynu dziewięć, dwanaście, a nawet dwadzieścia razy i nadal prężnie działają w naszych szeregach. Istnieją nawet stowarzyszenia, takie jak Skazani na Dziewiąte Życie, do których można dołączyć, jeśli wyzionęło się ducha odpowiednią liczbą razy. Moim zdaniem ich członkowie to banda idiotów. Najpierw osiem razy popełniają samobójstwo, a potem podejmują wzmożone środki ostrożności, żeby tylko nie zginąć. Kto w ogóle ma na to ochotę?

Zwłaszcza że nigdy nie wiadomo, czy rzeczywiście się odrodzisz. Decyzja należy do Imperatora. W efekcie od czasu do czasu imię zmarłego Księcia po prostu bez wyjaśnienia znika ze spisów. Jeśli jesteś na tyle głupi, żeby drążyć ten temat, napotkasz jedynie puste spojrzenia kapłanów, którzy nic nie wiedzą, a także zastanawiający brak danych o zmarłym, jeśli zwrócisz się bezpośrednio do Imperialnego Umysłu.

Zanim opowiem o całym swoim życiu, przedstawię suche fakty z dzieciństwa. Zakładam, że nie mam do czynienia z Księciem Imperium. Lepiej, żebyś nim nie był, bo jeśli jesteś, tylko zmarnowałem czas, ślęcząc

nad misternym systemem, który miał zniszczyć ten zapis w niedorzecznie potężnej eksplozji antimaterii, gdy tylko wyczuje obecność jakichkolwiek usprawnień potęgujących książęce zmysły.

Przypuszczam, że bezpieczniej byłoby w ogóle nie tworzyć takiego zapisu. Ale mam swoje powody, by postąpić inaczej.

A zatem zabrano mnie od rodziców niedługo przed pierwszymi urodzinami. Chociaż nie pamiętam nic z okresu, który z nimi spędziłem, istnieje duże prawdopodobieństwo, że przyszedłem na świat w typowym imperialnym świecie, gdzieś na obrzeżach, na planecie pierwotnie nieistotnej dla gatunku ludzkiego, którą z czasem do jego potrzeb dostosowała trójca imperialnej technologii. Mam tutaj na myśli: maszyny mechtechu, czynniki biologiczne i formy życia biotechu oraz szeroki wachlarz potężnych sił mentalnych psychotechu.

Właśnie te trzy techy nadały Imperium jego obecny kształt. To prawda, że Smutnoocy mają lepszy psychotech, ale my dajemy popalić tym małym pasożytom dzięki naszemu mechtechowi i biotechowi. Naknukowie posunęli się w pracach nad biotechem dalej niż my, więc pokonujemy ich za pomocą psychotechu i mechtechu. Ciężko stwierdzić, w którym techu specjalizują się Umarlacy, w razie porażki zawsze bowiem wysadzają się w powietrze, ale bez wątplenia nasza trójca radzi sobie także z nimi.

Każdy imperialny tech jest zarządzany i kontrolowany przez kapłanów, podzielonych na zakony, które czczą różne wymiary Imperatora. Służą Książętom wsparciem technicznym, ale warto zapamiętać, że otrzymują rozkazy także bezpośrednio od Imperialnego Umysłu. Książęta czasem o tym zapominają i zwykle przychodzi im za to słono zapłacić.

Ale na czym to ja stanąłem? Ach tak, na chwili, gdy odebrano mnie rodzicom. Kontynuujmy zatem.

Tego dnia, który niczym nie różnił się od pozostałych, ani moja matka, ani mój ojciec nie mieli pojęcia, że do zachodu słońca stracą swojego

synka.

Pierwszym tego sygnałem był gęstniejący mrok, gdy na niebie pojawił się cień o zbyt wyrazistych kształtach, by można go pomylić z chmurą. Jeśli moi rodzice unieśli głowy, ujrzeni sunący w górze okręt wojenny Imperium, ogromną, wyszczerbioną górę, usianą konstrukcjami wzniesionymi według widzimisię dowodzącego Księcia.

Pod statkiem rozbłysły nagle jasne punkty, tysiące świateł, które chwilę później skapały ziemię niczym lśniący deszcz.

Przypuszczam, że do tej pory moi rodzice z dawien dawna zdążyli się zorientować w sytuacji. W końcu okręty wojenne Imperium nie zrzucają na wsie tysiące kawalerzystów mechbio bez powodu.

Czasami się zastanawiam, jak zareagowali w obliczu tej potężnej armii, kiedy wirujące statki osy podchodziły do lądowania, żeby otoczyć teren i nie dać żadnej szansy tym, którzy mogliby chcieć ocalić swoje dzieci przed mackami Imperium.

Prawdopodobnie nic nie zrobili, ponieważ nic nie dało się zrobić. Nie mogę mieć jednak pewności. Widywałem bowiem rodziców z dziećmi. Miałem okazję ich obserwować, kiedy nie czuli się onieśmieleni ani przerażeni obecnością Księcia. Dlatego w przeciwieństwie do większości Książąt – którym nie wolno zakładać rodzin – wiem, jak silna więź łączy matkę i ojca ze swoim potomstwem i dopuszczam ewentualność, że moi rodzice mimo wszystko podjęli desperacką próbę, aby uciec albo się ukryć.

Ale gdy tylko utworzono blokadę, a oddziały rewizyjne ze swoim zaawansowanym techem skanującym zajęły pozycje, nie było dla nich ratunku. Ostatecznie musieli dołączyć do ludzi czekających w kolejkach, aż kawalerzyści sprawdzą wszystkich na podstawie spisu ludności, a kapłani Wymiaru Ważnego Decydenta wnikną do umysłów zebranych w poszukiwaniu wszelkich anomalii. W tłumie mógł ukrywać się przecież pasożytujący w czyimś ciele dywersant Smutnookich albo szpiegujący

Naknuk, czy nawet lokalny terrorysta albo drobny przestępca. Rzadko jednak dochodziło do tak ekscytujących odkryć, więc najczęściej cała procedura przebiegała rutynowo.

I kiedy wreszcie moi rodzice dotarli na początek kolejki, spotkali przedstawicieli Wymiaru Ważnego Decydenta, kapłanów o świecących oczach. Niebieski płyn krążył pod przeźroczystymi płytkami w ich ogolonych czaszkach, kiedy całą uwagę koncentrowali na parze z dzieckiem.

Wystarczyło kilka minut na przeprowadzenie testów genetycznych przy wykorzystaniu biotechnowych prób wirusowych i psychotechnowego skanera ultraskopowego, po czym zapadł potworny wyrok, ogłoszony tak, jakby stanowił powód do świętowania. Skoro nadarzyła się okazja, by służyć Imperium, należało wszak tryskać szczęściem.

– Wasze dziecko spełnia wymogi, by zostać kandydatem na Księcia.

Czasami się zastanawiam, co czuli moi rodzice, kiedy usłyszeli te słowa. Ciekawi mnie także, co postanowili, kiedy wielce miłosierne Imperium dało im wybór.

Oczywiście nie mogli mnie zatrzymać. Imperium potrzebuje Książąt, więc musi zabierać kandydatów. Przewiduje jednak niewielką łaskę dla rodziców. Może sprawić, że zapomną o dziecku. Wystarczy, że Kapłani Wymiaru Kochającego Serca Imperatora odpowiednio zamieszają w ich wspomnieniach. Ci, którzy się na to decydują, zostają następnie przetransportowani do innego świata, gdzie zaczynają od nowa.

Można też wybrać śmierć. Wymiar Sprawiedliwości Imperium przewiduje wykonanie egzekucji na miejscu. Wszystko dzieje się szybko, szybciej, niż dokonujący wyboru ludzie mogliby się spodziewać. W chwili gdy ogłaszają decyzję, stają za nimi kawalerzyści mechbio. Pracujące niezwykle szybko mięśnie i monofilamentowe ostrza reagują na

telepatyczny rozkaz dowodzącego Księcia i w okamgnieniu jest po wszystkim.

Nie myślę o rodzicach zbyt często, ponieważ to bez sensu. Żywię jednak nadzieję, że pozwolili wymazać sobie wspomnienia, zaczęli nowe życie gdzieś wśród odległych gwiazd, nadal cieszą się dobrym zdrowiem i mają nowe dzieci, których nie odebrało im Imperium.

W ten oto sposób zostałem kandydatem na Księcia. Począwszy od tej chwili, byłem transportowany z jednej świątyni do drugiej na kolejnych etapach transformacji, która przebiegała pomyślnie.

Nikt nie rodzi się Księciem. Każdego z osobna trzeba stworzyć. Testy genetyczne mają jedynie wykazać, które z dzieci nadaje się do całego tego gmerania w organizmie i ma spore szanse to przeżyć.

Tak naprawdę nie pamiętam pierwszej dekady swojej kandydatury. Wiem tylko tyle, ile opowiedziano mi o niej później. Kilka lat spędziłem zanurzony w biotechnowej brei, pogrążony w nieprzerwanym głębokim śnie. W tym czasie stymulowano mój umysł za pomocą programowania edukacyjnego i rozwojowego, a wirusy przetwarzały moje DNA, by zmienić oraz udoskonalić każdą część mojej powłoki cielesnej.

Nawet po tym okresie często byłem wprowadzany w stan uśpienia, żeby wspomóc proces rekonwalescencji po operacjach, które miały za zadanie spoić mechtechowe wzmocnienia z kośćmi i ciałem.

Kiedy mój organizm spełniał już wymogi, zacząłem spędzać większość czasu w przestrzeni mentalnej, momentami przypominającej miejsce z najgorszych koszmarów. Właśnie tam nabyłem psychotechowych umiejętności, które są zarezerwowane wyłącznie dla Książąt, poznałem sztukę dominacji i dowodzenia, a także mało skomplikowane techniki komunikacji telepatycznej czy osłaniania się.

Teraz kiedy o tym myślę, mam wątpliwości, czy tamten okres w ogóle można nazwać dzieciństwem.

Od dziesiątego do szesnastego roku życia nie byłem już pozbawiany przytomności. W tym czasie kapłani uczyli mnie przyziemnych rzeczy. Poza tym bawiłem się z holograficznymi przyjaciółmi i zaprogramowanymi dziećmi służących, zawsze w to, na co ja miałem ochotę. Od bardzo młodego wieku wiedziałem, że jestem Księciem, kimś wyjątkowym, i miałem absolutną pewność, że wzniosę się jeszcze wyżej i pewnego dnia zostanę Imperatorem. Wszystko potęgowało to przekonanie. Przez pewien czas sądziłem nawet, że jestem jedynym Księciem w całej galaktyce. Chociaż błędna, ta myśl była na tyle uporczywa, że czasem odżywała w mojej głowie nawet po tym, jak poinformowano mnie, że Imperium zamieszkują miliony podobnych do mnie.

Pewnie działo się tak, bo chociaż zapewniono mnie o istnieniu innych Książąt, nigdy żadnego nie poznałem. Nie wiedziałem także, kiedy będę miał ku temu okazję, aż pewnego dnia zbudził mnie znajomy głos mojego opiekuna, wuja Koleporta, rozbrzmiewający łagodnie w zakamarkach mojego umysłu. (Nazwałem go wujem, ponieważ tak zwracamy się do wszystkich kapłanów płci męskiej. Z kolei kobiety to ciotki, choć oczywiście nie ma mowy o jakimkolwiek pokrewieństwie).

„Książę Kemri, szesnaście lat temu wybrano cię na kandydata. Nadszedł dzień twojej inwestytury. Twój mistrz skrytobójców czeka na audiencję”.

Otworzyłem oczy z uśmiechem na twarzy. Pierwszy raz w życiu nie zostałem nazwany kandydatem na Księcia, tylko Księciem. Moja transformacja i szkolenie dobiegły końca. Zamierzałem zarekwirować niszczycielski okręt wojenny o smukłej linii, najlepiej jakąś korwetę Verrent albo coś w tym stylu, i zacząć rozbijać się nim po Imperium, żeby bezzwłocznie zaznaczyć swoją obecność.

Jeszcze wtedy święcie wierzyłem, że to możliwe.

Kiedy ubierał mnie służący, zniewolony wskutek programowania umysłu, analizowałem dane dotyczące inwestytury Księcia. Zgromadziłem

ich zaskakująco niewiele. Pierwszy etap polegał na przydzieleniu osobistej świty, której najważniejszym członkiem był mistrz skrytobójców. Desygnowany przez sam Imperialny Umysł, zasługiwał na całkowite zaufanie i to on miał mi pomóc wybrać pozostałą część personelu, a także zweryfikować jej przydatność, co było niezwykle istotne. Książę, który nie mógł polegać na swojej świcie, nie miał szans cieszyć się długim żywotem.

Mistrz skrytobójców czekał na mnie w jednej z sal recepcyjnych świątyni. Grzmiące tutaj wodospady oddawały hołd dawnemu Imperatorowi, który miłował żywioł wody. Właśnie w tym miejscu nowicjusze najczęściej odbywali kary. Nierzadko mieli za zadanie uciszać szum kaskad. Stali wtedy po pas zanurzeni w wodzie, a ich pulsujące na niebiesko skronie świadczyły o wytężonym psychotechnowym wysiłku. Pewnego razu, kiedy tam byłem, ryk wodospadu nagle ustał, a ja ujrzałem dryfującego nieprzytomnego nowicjusza, który po chwili zniknął pod powierzchnią w miejscu, gdzie rwąca rzeka spotykała się z grodzia. Kapłani także odbywali ciężkie szkolenie, które czasem kończyło się dla nich tragicznie.

„Mam na imię Haddad «identyfikator». Zostałem przysłany przez «pieczęć Imperialnego Umysłu», żeby ci służyć, Książę Kemri”.

Haddad był również kapłanem. Wszyscy skrytobójcy są kapłanami Imperatora, należącymi do Wymiaru Zacienionego Ostrza. W przeciwieństwie do członków innych wymiarów skrytobójcy nie specjalizują się w żadnym z trzech imperialnych techów. Mają wiedzę ogólną, której używają w służbie Książętom.

„Witaj, wuju Haddadzie. Akceptuję cię i przyjmuję na służbę”.

– To dobrze, Wasza Wysokość – przemówił Haddad. – Proszę wypowiadać myśli na głos. Jaką broń nosi przy sobie Wasza Wysokość?

– Żadnej – odparłem zaskoczony. – Jesteśmy w świątyni...

– Przebywamy w sali recepcyjnej świątyni, Wasza Wysokość – uściślił Haddad – gdzie nie obowiązują zasady rozejmu. Czy kapłani nauczyli Waszą Wysokość władać biotechową bronią?

– Nie.

– A jakąkolwiek inną?

– Podstawową, do pojedynków: mieczem, sztyletem, ręcznym miotaczem i biczem paraliżującym – wyjaśniłem.

Haddad zaczął mnie okrążyć i rozglądał się wokół, ściskając w dłoni jakiś jajowaty przedmiot. Chociaż go nie rozpoznałem, uznałem, że służy do obrony.

Pierwszy raz w życiu zacząłem się denerwować, a euforia wynikająca z tego, że zostałem Księciem, powoli ustępowała miejsca emocji, której nigdy wcześniej nie poznałem.

Ogarniał mnie strach.

– Proszę wycofać się wolno w kierunku centralnych drzwi, Wasza Wysokość – polecił Haddad. Przystanął i całą uwagę skupił na jednym z wodospadów, gdzie tkwił nowicjusz rzekomo chroniący nas przed szumem wody.

Zawahałem się. Skoro już zostałem Księciem, czułem opór przed wykonywaniem poleceń kapłana. Zaniepokoił mnie jednak ton głosu Haddada. Poza tym był moim mistrzem skrytobójców. Dlatego ostatecznie zacząłem się wycofywać we wskazanym kierunku.

Nowicjusz przy wodospadzie się poruszył. Wyciągnął rękę spod przemoczonej szaty i wykonał zamach, gotowy cisnąć we mnie małym, srebrnym pudełkiem. Ale zanim wypuścił przedmiot, Haddad wypalił ze swojej broni. Oślepiająca błyskawica energetyczna przemknęła przez salę i przepołowiła nowicjusza.

– Do tyłu! – wrzasnął Haddad, kiedy stałem kilka metrów od drzwi, z niedowierzaniem obserwując całą scenę. Jego słowa przedarły się nawet

przez nagły ryk wodospadu. – Do tyłu!

Srebrne pudełko wystrzeliło z wody zabarwionej krwią, zawisło w powietrzu i otworzyło się niczym kwiat, ujawniając ukryty w środku pulsujący czerwony pręcik, wycelowany prosto we mnie. Haddad strzelił ponownie, ale pudełko umknęło przed wiązką energii, która ostatecznie minęła je o włos.

Odwróciłem się i rzuciłem do drzwi. One jednak eksplodowały rażone ładunkiem, który śmignął wcześniej tuż nad moją głową. Przeturlałem się jak najdalej od dymiących, stopionych szczątków, po czym wykonałem obrót, sądząc, że ujrzę srebrne pudełko szykujące się do kolejnego ataku.

Zamiast tego zobaczyłem, jak dosięga je trzeci strzał Haddada. Rozbłysk nanofuzyjnej implozji, będącej efektem przeciążenia źródła mocy pudełka, nie oślepił mnie tylko dlatego, że moje dodatkowe powieki i filtr optyczny automatycznie dostosowały się do sytuacji.

Haddad podniósł mnie z ziemi, po czym razem podbiegliśmy do jednych z ocalałych drzwi i wkroczyliśmy do świątyni. Nadchodzący z naprzeciwka kapłan Wymiaru Uzdrawiającej Ręki skłonił się przede mną, zanim puścił przodem swoją grupę akolitów, którzy mieli naprawić szkody wyrządzone przez niedoszłego skrytobójcę.

– Jak... kto... – zacząłem, ale nie mogłem znaleźć odpowiednich słów pomimo wyęźzonej pracy wewnętrznych systemów autonomicznych, które próbowały wyrównać bicie serca i przywrócić mi spokój.

– Porozmawiamy w kwaterach Waszej Wysokości – odparł Haddad. – Tam jest bezpiecznie, przynajmniej na razie.

Moje komnaty w świątyni były jedną z tych rzeczy, z którymi chętnie bym się rozstał. Wszak planowałem przeprowadzkę do znacznie przestronniejszego i bardziej luksusowego apartamentu. Wiedziałem, że jako Książę, mogę zwyczajnie go zarekwirować, pod warunkiem że nie

należy do innego Księcia, czy też samego Imperatora, ani nie podlega administracji żadnego z nich.

Ale tamtego dnia z radością przekroczyłem próg skromnego salonu. Usiadłem na jedynym krześle, podczas gdy Haddad stanął przede mną. Patrzyłem prosto na niego, ale miał spuszczonego wzrok, jako że nie wypadło inaczej.

Nigdy wcześniej nie spotkałem żadnego skrytobójcy, a nawet jeśli tak było, nie miałem o tym pojęcia. Haddad niczym się nie wyróżniał. Kapłani rzadko nosili ceremonialne szaty charakterystyczne dla konkretnych wymiarów. Zwykle decydowali się na proste jasnobrązowe tuniki albo jednoczęściowe kombinezony, takie jak ten, który miał na sobie Haddad.

Mój mistrz był wysoki, szczupły i wyglądał na mniej więcej czterdzieści albo pięćdziesiąt lat. Miał cerę jaśniejszą niż ja, raczej żółtą niż brązową. Na jego ogolonej na łyso głowie dostrzegłem przezroczyste płytki biegnące od skroni za uszy – atrybuty pełnoprawnego kapłana. Wyraźnie widziałem także lśniący niebieski płyn chłodzący, który krążył po jego mózgu, sygnalizując trwanie jakiejś psychotechnowej czynności. Miał jedno prawdziwe oko z piwną tęczówką i jeden biotechnowy zamiennik, całkowicie zielony, bez źrenicy, którego przeznaczenie pozostawało dla mnie zagadką.

Zastanawiałem się, co o mnie sądzi i czy sprostałem jego oczekiwaniom. Na pewno służył już innym Książętom, gdyż Imperator co dziesięć lat każdemu z nas przydzielał innego mistrza skrytobójców. Równie dobrze Haddad mógłby dołączyć do świty innego świeżo upieczonego Księcia.

Chociaż wzrostem, szybkością i siłą przewyższałem kapłanów, nowicjuszy oraz zaprogramowanych służących, wśród których dorastałem, przy Haddadzie zaczęły dręczyć mnie wątpliwości. Być może nie byłem takim wspaniałym Księciem, jak mi się wydawało. Może nie okażę się równie szybki, silny ani wysoki jak pozostali. Albo nawet zostanę uznany

za brzydkiego. W końcu musiałem żyć z twarzą, z którą się urodziłem, skoro Książętom nie było wolno modyfikować wyglądu. Nigdy wcześniej nie miałem podobnych dylematów, ponieważ nie obracałem się w towarzystwie istot o takim samym statusie społecznym jak mój, które mogły wygłaszać obiektywne opinie pod moim adresem.

„Czym było to srebrne pudełko?”

Zacząłem komunikować się z Haddadem w myślach, ale kapłan mi przerwał.

„Odradzam kontakt telepatyczny”.

– W świątyni i na jej obrzeżach przebywa zbyt wiele osób mogących podsłuchiwać naszą telepatyczną rozmowę – wyjaśnił Haddad. – Blokują receptory dźwiękowe i inne urządzenia w tym pomieszczeniu, więc najlepiej rozmawiać na głos.

– Dobrze – powiedziałem, próbując zachowywać się tak, jakbym to ja dowodził, a Haddad stosował się jedynie do moich instrukcji. Wiedziałem jednak, że marnie sobie radzę.

– Wasza Wysokość doskonale się spisał, unikając wiązki kwiatowej pułapki – oświadczył kapłan. – Jednakże Wasza Wysokość musi potraktować to jako ostrzeżenie. Niejeden Książę ma świadomość, że Wasza Wysokość zajął należne mu miejsce, i spróbuje usunąć Waszą Wysokość, zanim Wasza Wysokość stanie się potencjalnym zagrożeniem.

– Co takiego? Tak szybko? – zdziwiłem się. Chociaż wiedziałem o współzawodnictwie między Książętami, sądziłem, że odbywało się ono na bardziej rycerskich zasadach. – Jeszcze nic nie zrobiłem! Nie skontaktowałem się nawet z Imperialnym Umysłem!

– I właśnie o to chodzi, że Wasza Wysokość nie skontaktował się z Imperialnym Umysłem – kontynuował Haddad. – Gdyby teraz Wasza Wysokość został skutecznie unicestwiony, przepadłby na zawsze, bez

szansy na odrodzenie. Jeden Książę mniej, a Imperator abdykuje już za dwa lata.

– Więc zachowują się tym bardziej nierozsądnie – skwitowałem. – Kiedy zostanę Imperatorem, z pewnością nie zapomnę ani nie wybaczę żadnej próby zamachu na moje życie!

Haddadowi nawet nie drgnęła powieka, gdy wypowiedziałem te jakże naiwne słowa.

– Przypuszczam, że na tym etapie nie zdają sobie sprawy z prawdziwego potencjału Waszej Wysokości – odparł. – Po prostu tak działa powszechna i ogólnie akceptowalna strategia polegająca na usuwaniu świeżo upieczonych Książąt.

– Żałosne – mruknąłem. – Ja bym tak nie postąpił. Jaki to honor uśmiercić nowego Księcia?

Haddad milczał. Bez wątpienia miał mnie za głupiego mięczaka albo uważał, że wkrótce zmienię zdanie.

Tymczasem dusiłem w sobie nagłą złość. Była wymierzona w kapłanów, którzy nie uświadomili mi, że mogę zostać od razu zabity, ani nie kwapili się poinformować mnie, że abdykacja Imperatora zbliżała się wielkimi krokami. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, że Imperator zmieniał się co dwadzieścia lat i każdy z dziesięciu milionów Książąt mógł wstąpić na tron. Nie miałem tylko pojęcia, jak do tego dochodziło, chociaż przypuszczałem, że panujący władca po prostu wybierał swojego następcę. Musiałem więc działać szybko, jeśli chciałem zasłynąć chwalebnyymi czynami i zyskać przychylność Imperatora. Pomyślałem z irytacją, że nie tak to sobie planowałem. Chciałem najpierw pozwiedzać Imperium na pokładzie własnego statku. Ostatecznie uznałem jednak, że tak czy inaczej mogę przeżyć jakąś przygodę.

– Kapłani powinni byli mnie uprzedzić – odezwałem się po chwili milczenia.

– To część zamierzonej edukacji... czy też może jej zamierzonego braku, Wasza Wysokość – powiedział Haddad. – Selekcjonowanie dotyczy każdego Księcia od pierwszych chwil inwestytury. Mniej więcej trzydzieści dwa procent wszystkich świeżo upieczonych Książąt nie przeżywa pierwszej godziny poza murami świątyni swojego dzieciństwa.

Według mojego wewnętrznego chronometru byłem Księciem od trzydziestu dwóch minut. Nasuwał się więc wniosek, że jeśli przetrwam kolejne dwadzieścia osiem, moje notowania wzrosną.

– Przede wszystkim musimy dołożyć wszelkich starań, żeby Wasza Wysokość skontaktował się z Imperialnym Umysłem. W ten sposób osiągniemy trzy korzyści. Po pierwsze, zniwelujemy możliwość permanentnej śmierci, co w konsekwencji znacznie zredukuje zyski wynikające z zamordowania Waszej Wysokości, prawdopodobnie do tego stopnia, że wszelkie opracowane już plany zostaną odroczone. Po drugie, zapewnimy Waszej Wysokości dostęp do zasobów i informacji niezbędnych do ochrony oraz opracowania dalszej strategii. I po trzecie, Wasza Wysokość będzie mógł wzywać Umysł na świadka, co zmniejszy ryzyko rażących naruszeń prawa w stosunku do Waszej Wysokości.

– Słucham?! – wybuchłem. Sprawy przybierały coraz gorszy obrót. – Ryzyko rażących naruszeń? Chcesz mi powiedzieć, że Książęta mogą działać wbrew prawu Imperium?

– Wszystko zależy od tego, co można w ten sposób zyskać i jaka grozi za to kara – odparł Haddad. – Poza tym istnieją sposoby na zaćmienie widoków Umysłu i przechwycenie informacji, tak żeby nie było całkiem jasne, czy istotnie doszło do naruszenia...

– Zamierzam udać się do wuja Koleporta i zadać mu kilka istotnych pytań – przerwałem. – Ale najpierw wezmę nóż.

– Nie ma na to czasu, Wasza Wysokość – podjął Haddad, jak zawsze niewzruszony. – Czy Wasza Wysokość posiada dobra, które trzeba

spakować?

– Co takiego?

Nie mogłem przestać myśleć o tym, co właśnie usłyszałem. Uczono mnie, że Imperialny Umysł nad wszystkim czuwa i wszystko wie, a imperialne prawo zawsze jest przestrzegane. Oczywiście, żadne przepisy nie dotyczyły zwykłych obywateli; oni musieli wykonywać rozkazy panującego Księcia. Imperialne prawo, które stworzono wyłącznie z myślą o Książętach, określało między innymi, jak powinni dzielić się oni władzą i jaka jest hierarchia książęcych rozkazów.

– Dobra – powtórzyłem wolno. Chociaż mój umysł był podobno równie szybki jak moje ciało, nie potrafiłem zebrać myśli.

Rozejrzałem się po salonie, a potem zerknąłem do łazienki przez otwarte drzwi. Czyste, nowe ubrania przynoszono mi każdego dnia rano. Informacje przekazywano bezpośrednio do mojego umysłu, a czasami za pośrednictwem bezpiecznych kapsuł, które także dostarczano do moich komnat. Broń ćwiczebna pochodziła ze zbrojowni, dokąd wracała po zakończeniu każdej sesji.

– Nie. Nie mam niczego. Hm... dokąd się wybieramy... i dlaczego? Z pewnością lepiej zostać tutaj i... opracować plan.

Zamilkłem. Chociaż od dawna wyobrażałem sobie dzień, w którym zostanę pełnoprawnym Księciem, nigdy nawet nie przeszło mi przez myśl, że znajdę się o włos od śmierci i będę musiał uciekać. Większość moich marzeń skupiała się wokół specyfikacji wyjątkowo szybkich i śmiertelnych statków kosmicznych.

– Nie możemy tutaj zostać – wyjaśnił Haddad. – Ta świątynia nie zapewni Waszej Wysokości schronienia dłużej niż przez pierwszą godzinę. Musimy więc znaleźć stosunkowo bezpieczne miejsce, skąd Wasza Wysokość zyska dostęp do Imperialnego Umysłu. Czy Wasza Wysokość zastanawiał się już, do jakich służb dołączyć?

Książęta zajmowali oficerskie stanowiska we wszystkich kluczowych służbach Imperium: Marynarce Wojennej, Piechocie Morskiej, Korpusie Dyplomatycznym, Biurze Geodezji, Rządzie Imperialnym i Rządzie Kolonialnym. I chociaż przypuszczałem, że prędzej czy później związę z nimi swój los, chwilowo nie miałem ochoty na kolejne szkolenie. Nie dość, że musiałbym ciężko pracować, to jeszcze znalazłbym się na najniższym szczeblu drabiny hierarchii. Zdecydowanie bardziej wolałem się rozerwać, pozwiedzać ciekawe zakątki wszechświata i do woli korzystać z książęcych przywilejów, najlepiej w jakimś miejscu, gdzie nie będę miał konkurencji. Wtedy mógłbym robić wszystko, co by mi się żywnie podobało.

– Ech, nie chcę się decydować na żadną służbę ani całe to bzdurne szkolenie – oświadczyłem. – Najpierw zamierzam się zabawić. Zdobędę statek, może korwetę albo coś odrobinę mniejszego, oczywiście wysoce zautomatyzowanego, i ruszę w kierunku jakiejś odległej gwiazdy, zobaczę coś więcej poza starą, zatęchłą świątynią, puszcę z dymem kilka statków Naknuków... – Spojrzałem na swojego mistrza skrytobójców. – Zły plan?

– Zdecydowanie go odradzam – odparł rzeczowo Haddad. – Najbliższa stocznia, w której moglibyśmy znaleźć okręty nieprzeznaczone jeszcze dla żadnego Księcia, znajduje się na Dżaran Sześć. Musielibyśmy skorzystać z usług przewoźników, podróżować kilkoma liniami... Ryzyko byłoby niezwykle wysokie. Poza tym to opóźniłoby połączenie Waszej Wysokości z Umysłem.

– Nie mogę połączyć się stąd, zanim wyruszymy? – zapytałem. Znałem procedurę. Chociaż później miałem mieć możliwość komunikowania się z Imperialnym Umysłem zawsze, gdy umożliwią mi to kapłani, pierwszy kontakt musiał zostać zainicjowany w sanktuarium świątyni.

– Jeśli Imperator nie rozkaże inaczej, Książętom nie wolno przekroczyć progu żadnego sanktuarium niezwiązanego z jednostką, w której służą.

– Ale do tutejszego sanktuarium chodzę dość często... ach... chodziłem, kiedy byłem kandydatem...

– Właśnie tak, Wasza Wysokość. Optymalnym dla nas celem jest aktualnie Świątynia Wymiaru Szlachetnego Wojownika na Kwanantil Dziewięć, która działa pod egidą Imperialnej Akademii Marynarki Wojennej Królestwa Kwanantil.

– Ale sam powiedziałaś, że Księżę nie może wejść do sanktuarium świątyni podlegającej służbom, z którymi nie jest związany, jeśli nie otrzymał rozkazów nakazujących inne działanie – przypomniałem. Mimo że mogłem korzystać z dobrodziejstw rzekomo ulepszonego mózgu, dość wolno kojarzyłem fakty.

– Tak, Wasza Wysokość – zgodził się Haddad.

– Chodzi ci o to, że muszę wstąpić do Marynarki Wojennej?

– Tak, Wasza Wysokość.

– Cholera.

Moje marzenie o smukłym statku kosmicznym, który przydzielono by mi wraz z odpowiednio atrakcyjnym zaprogramowanym personelem, bledło wobec wciąż żywego wspomnienia wiązki kwietnej pułapki przecinającej powietrze tuż nad moją głową. W końcu następnym razem mogłem mieć do czynienia z kilkoma takimi wiązkami i więcej niż jednym skrytobójcą.

– Oprócz możliwości łączenia się z Imperialnym Umysłem Marynarka Wojenna zapewni Waszej Wysokości wysoki poziom bezpieczeństwa. Poza okresem urlopowym kadeci Akademii Marynarki Wojennej i oficerowie na służbie nie bywają mordowani. Oczywiście nie legalnie, ale wypadki się zdarzają. Nigdy nie wolno tracić czujności.

– Brzmi coraz lepiej.

Haddad skinął głową. Nie byłem pewien, czy przyznał mi w ten sposób rację, czy może był to tylko jakiś tik.

– Jakie są inne możliwości i prawdopodobieństwo sukcesu? – zapytałem tak lakonicznie, jak tylko potrafiłem. Cytat ten pochodził z jednej z moich ulubionych biografii, zatytułowanej *Triumfy Księcia Garikma*. Wielokrotnie odtwarzałem ten psychotechnowy zapis, podzielony na czterdzieści odcinków, przeżywając kolejne przygody. Garikm często wykrzykiwał przytoczone przeze mnie zdanie w tej czy innej formie, często skróconej do dwóch słów: „Możliwości! Prawdopodobieństwo!”.

– Bez pomocy kapłana, który dokonałby dokładnych obliczeń, nie jestem w stanie tego stwierdzić, Wasza Wysokość.

No tak. Zapomniałem, że Garikm mógł liczyć na mniej więcej pięćdziesięciu oddanych kapłanów gotowych wykonać rachunek prawdopodobieństwa. Ja miałem za to jednego mistrza skrytobójców i mnóstwo problemów. Ponadto właśnie zaczęło do mnie docierać, że „oparty na faktach” psychotechnowy zapis był prawdopodobnie stekiem bzdur. Nie było w nim mowy o polujących na siebie Książętach ani o zorganizowanych morderstwach. Uwzględniał natomiast oficjalne pojedynki i sprytne manewry, które z przeciwników mojego bohatera czyniły głupców. Ale żaden z nich nie kończył bez głowy i z wypaloną raną w miejscu szyi.

– Chociaż nie dysponuję dokładną analizą, wierzę, że szybki tranzyt do Akademii Marynarki Wojennej Królestwa Kwanantil i wstąpienie do Marynarki Wojennej to optymalny sposób, żeby zachować Waszą Wysokość przy życiu.

– Jasne – burknąłem. Na moment przyjąłem pozę „zadumanego Księcia Garikma”, którą doskonaliłem podczas psychotechnowych symulacji, ale poczułem się głupio. Opieranie brody na zaciśniętych pięściach musiało wyglądać nienaturalnie. Zamiast tego zacząłem więc krążyć po pokoju, nerwowo strzelając palcami, z czego nawet nie zdawałem sobie sprawy. W pewnej chwili uderzyłem się w nogę i wykrzywiłem twarz w grymasie.

Co ja, do cholery, miałem począć? Haddad znacznie lepiej ode mnie orientował się w sytuacji. Czy miałem zatem zdać się w pełni na niego? Może istniały inne rozwiązania. Ale jak miałem się tego dowiedzieć w ciągu mniej więcej dwudziestu minut, które nam zostały, zanim zostaniemy wyrzuceni ze świątyni? Chociaż nigdy nie nazwałbym tego miejsca domem, nie znałem świata poza nim.

– Wkrótce musimy ruszać, Wasza Wysokość – ponaglił Haddad, kiedy ja wciąż krążyłem po pokoju.

Przystanąwszy, spojrzałem na niego. Ocalił mnie już raz, a może nawet dwa razy.

– Niech to szlag, w porządku – odparłem. – Wstąpię do marynarki. Lećmy więc na Kwanantil Dziewięć. – Zamilkłem, po czym dodałem: – A jak się tam dostaniemy?

– Mam pewien pomysł, Wasza Wysokość – zapewnił Haddad. – Ale obawiam się, że to nie będzie komfortowa podróż.

Szybko przedstawił swój plan, który oczywiście zatwierdziłem, bo nie miałem innych pomysłów. Potem wręczył mi dwie ze swoich licznych broni: trzystrzałową różdżkę dezintegracyjną, którą wsunął w dwie pętelki znajdujące się wewnątrz mojego lewego rękawa, od zawsze budzące moją ciekawość, oraz jajowaty emiter fagocytów. Ten ostatni musiałem polizać, żeby ukryte w środku biotechnowe czynniki nie zaczęły działać na moją szkodę. Ostatecznie emiter spoczął w kieszeni buta, którą zawsze uważałem za nieistotną ozdóbkę. Moje ubrania miały wiele takich zakamarków, ale jak dotąd nie zastanawiałem się nad ich przeznaczeniem.

– Jestem gotowy – oświadczyłem.

Ale nie byłem, w najmniejszym stopniu.

Rozdział 2

Podróżowaliśmy na Kwanantil Dziewięć na pokładzie wysoce zautomatyzowanego okrętu muzealnego Za Zasłoną Czasu, na którym znajdowała się diorama przedstawiająca scenę z zamierzchłej historii Ziemi – rozgrywkę sportową między dwoma pięściarzami otoczonymi przez tłum. Poza mną i Haddadem wszyscy pasażerowie byli aktorami, zaprogramowanymi pacholkami, którzy przez kolejne godziny odgrywali swoje role, nawet wtedy, gdy brakowało publiczności. Każde następne powtórzenie niczym nie różniło się od poprzedniego, jeśli nie liczyć tych chwil, kiedy jeden z pięściarzy bądź obaj doznawali poważnych urazów i trzeba było ich zastąpić nowymi, przynoszonymi prosto z chłodni.

Dioramę otaczała kryształowa półkula o średnicy kilkuset metrów. Poza areną, na której walczyli pięściarze, znajdowała się tam także tawerna, gdzie ukrywaliśmy się z Haddadem przebrani za pijanych klientów. Kiedy ktoś wchodził do dioramy, musieliśmy jedynie osuwać się na swoich miejscach.

Kapłan mi zaimponował, kiedy całkiem niepostrzeżenie wprowadził nas na pokład. Godzina, podczas której czmychnęliśmy ze świątyni, omijając różne monitory i unikając strażników, a potem dostaliśmy się na okręt przez rzekomo jednokierunkowy odpływ ścieków, wiele mnie nauczyła. Choć doceniłem jej walory edukacyjne dopiero po tym, jak się umyłem.

Dowiedziałem się, żeby nie brać za pewnik niczego, co widzę i słyszę, a także żeby wykraczać poza oficjalnie dostępne opisy czy informacje w poszukiwaniu czegoś, co mógłbym wykorzystać. I chyba to była dla mnie najważniejsza lekcja.

Trochę się obawiałem ewentualnej konfrontacji ze zwiedzającymi. W końcu skoro pokaz trwał w nieskończoność, można było odnieść wrażenie, że prędzej czy później ktoś zechce go obejrzeć.

Ale Haddad doskonale ocenił sytuację także pod tym względem. Na pokładzie nie było żadnego Księcia, a załogę tworzyła garstka kapłanów, którzy nie wyściubiali nosów ze swoich kapliczek na mostku kapitańskim czy też w maszynowni. Wystawa była w drodze do swojego właściciela, najstarszego z Książąt, gubernatora Achmira XII, który już jedenaście razy pożegnał się z życiem. To on sprawował pieczę nad systemem Kwanantil, który jak się dowiedziałem, był lennem składającym się z czternastu kształtowanych za pomocą techów światów i dużych księżyców.

Dlatego też statek zmierzał właśnie tam, gdzie przy okazji mieściła się Akademia Marynarki Wojennej, a zatem cel mojej podróży i kres od dawna snutych planów o beztróskim swawoleniu po galaktyce.

Niestety, diorama kierowała się do głównego świata systemu, Kwanantil Cztery, podczas gdy Akademia Marynarki Wojennej znajdowała się na planecie na dziewiątej orbicie. Według Haddada nie mogliśmy ryzykować tranzytu przez Kwanantil Cztery, musieliśmy więc wydostać się ze statku wcześniej.

Oczywiście mój mistrz skrytobójców uwzględnił także tę ewentualność. Wszystko dla mnie przygotował, podobnie jak to czynił mistrz Księcia Garikma na początku każdego odcinka *Triumfów*.

Tunel czasoprzestrzenny wiodący do systemu Kwanantil miał wyjście aż za jedenastą orbitą. Kiedy okręt muzealny się z niego wynurzał, zwolnił, żeby umożliwić wejście na pokład nowym pasażerom i przeprowadzenie inspekcji, która była wyłącznie kwestią formalną, skoro obiekt należał do Księcia Achmira. Po zakończeniu procedury administracyjnej Za Zasłoną Czasu miał ponownie przyspieszyć i skierować się w głąb systemu po spiralnym torze, przybliżając nas do Kwanantil Dziewięć.

Mieliśmy opuścić okręt w chwili, gdy znajdzie się najbliżej naszego celu.

Zatwierdziłem plan w ogólnym zarysie. I dopiero potem dowiedziałem się, że ostatniego etapu podróży nie pokonamy w kapsule ratunkowej ani w mniejszym statku, ponieważ gdybyśmy to zrobili, nie uzyskawszy uprzednio autoryzacji, patrole Akademii Marynarki Wojennej natychmiast otworzyłyby do nas ogień. A ja nie dość, że nie mogłem prosić o autoryzację, skoro nie połączyłem się jeszcze z Imperialnym Umysłem, to nawet nie miałem do pomocy kapłanów, którzy mogliby przekazywać transmisję.

Dlatego też planowaliśmy zaopatrzyć się w skafandry ochronne i jednoosobowe manty wykrywalne przez radary jedynie z bardzo bliskiej odległości. Były to biotechowe organizmy przeznaczone do transportu. Haddad wyhodował je z szablonów molekularnych w piwnicy tawerny, karmiąc je materiałem biologicznym pozyskiwanym z ciał martwych pięściarzy i piaskiem z areny. W ostatecznej fazie rozwoju stworzenia przypominały ziemskie płaszczki, miały mniej więcej pięć metrów długości i cztery metry szerokości. W gruczołach kierunkowych przechowywały sprężone gazy służące do manewrowania w przestrzeni kosmicznej, a ich podbrzusza były wykonane z odpornego na wysokie temperatury tworzywa ablacyjnego umożliwiającego wejście w atmosferę lotem ślizgowym.

Jeśli jednak chcieliśmy przeżyć, nie mogliśmy wylądować na mantach. Chociaż dziewiąta planeta została częściowo ukształtowana tak, żeby podtrzymywać życie, nadal nie mogła się pochwalić przyzwoitą atmosferą. Poza tym lot ślizgowy odbywał się z prędkością czterystu, a może nawet pięciuset kilometrów na godzinę.

Na szczęście Haddad wyposażył nas także w uprząże antygravitacyjne, dzięki którym mogliśmy pokonać ostatni odcinek drogi bez pomocy mant. Nie był to jednak sprzęt najwyższej jakości używany przez Książęta, tylko

wojskowy, przeznaczony głównie dla kawalerzystów mechbio. I nawet oni mogli korzystać z dodatkowych wewnętrznych źródeł zasilania, które były dla nas niedostępne. Bez nich nasze uprząże mogły działać jedynie przez trzy minuty.

W służbie powietrznej Haddad zapewnił mnie, że to mnóstwo czasu i że wszystko się uda. Kolejny raz zirytował mnie jego brak precyzji, chociaż zdawałem sobie sprawę, że do uzyskania konkretnych danych potrzebowaliśmy wsparcia kapłana z Wymiaru Chłodnej Kalkulacji, specjalizującego się w rachunku prawdopodobieństwa. Ponieważ mój bohater, Książę Garikm, zawsze miał do dyspozycji co najmniej tuzin takich kapłanów, zakładałem, że każdy Książę może liczyć na ich pomoc. Oczywiście myliłem się zarówno w tej kwestii, jak i w wielu innych.

– Korzystałeś już wcześniej z mant? – zapytałem. Dużo rozmawialiśmy o Książętach, którym Haddad służył w przeszłości. Wiedziałem więc, że wszyscy nadal żyli, a ostatni nie umarł ani razu, co było niezwykłym osiągnięciem. I chociaż Haddad mi tego nie powiedział, zaczynałem pojmować, że przydzielono mi bardzo doświadczonego i wysokiego rangą mistrza skrytobójców, nawet jeśli jako świeżo upieczony Książę nie potrafiłem w pełni docenić jego kompetencji. Nieco później dowiedziałem się, że młodym Książętom z reguły wyznaczano nowicjuszy, którzy otrzymywali tytuł mistrza z chwilą rozpoczęcia służby; nic więc dziwnego, że tak niewielu miało szansę na przetrwanie. Zapewne większość z nich, podobnie jak ja, rozpoczynała swoją krótką karierę głęboko przekonana, że współzawodnictwo między Książętami przypomina grę według ściśle określonych zasad, a nie brutalną walkę, w której wszystkie chwytaki są dozwolone.

– Raz na szkoleniu i trzy razy podczas akcji – odparł Haddad. – Manty doskonale sprawdzają się jako środek transportu, a środowisko Kwanantil Dziewięć spełnia ich wymogi. Zdecydowanie wolałbym inne skafandry, bo

te nie najlepiej filtrują powietrze, więc nie możemy pozwolić sobie na większą zwłokę. Ale mogło być gorzej. Proszę robić to co ja, Wasza Wysokość, a wkrótce połączy się Wasza Wysokość z Imperialnym Umysłem i ugruntuje swoją pozycję jako kadet Akademii Marynarki Wojennej.

Sztywno skinąłem głową, po czym wsunąłem ręce w otwory nerwowe znajdujące się tuż za głową mojej manty. Tylko w ten sposób mogłem nawiązać z nią kontakt, nie miała bowiem żadnych psychotechnicznych systemów kontroli. Poczułem, jak jej ciało marszczy się pod moimi palcami. Chociaż była gotowa do startu, powstrzymałem ją, uciskając palcami te miejsca, które wcześniej w trakcie telepatycznego przekazu wskazał mi Haddad.

Żeby usprawnić nasz wylot, kapłan obszedł urządzenia bezpieczeństwa. Dzięki temu mogliśmy skorzystać z systemu awaryjnego dużej służby powietrznej, który polegał na wysadzeniu drzwi zewnętrznych i wyrzuceniu ładunku w przestrzeń kosmiczną.

„Proszę się przygotować”.

„Jestem gotowy”, odpowiedziałem.

Zaraz po eksplozji zostaliśmy wyssani na zewnątrz w chmurze pary wodnej. Pole gwiazdne zawirowało wokół mnie, więc na moment straciłem orientację. Potem jednak ujrzałem Haddada. Jego manta rozpostarła ciało, tworząc wokół niego ciemny otok. Kolejny raz straciłem go z oczu, kiedy sam zacząłem szykować się do lotu. Minutę później uruchomił się mój wewnętrzny system sterujący, a ja ucisnąłem odpowiednie nerwy stworzenia i położyłem się na jego plecach. Czułem delikatne pulsowanie gruczołów, kiedy manta dostosowywała kurs i prędkość, podążając za mistrzem skrytobójców.

Zerknąwszy przez ramię, zauważyłem, że okręt Za Zasłoną Czasu oddala się, obierając kurs styczny i przyspieszając dzięki nieprzerwanej pracy

silników sterujących. Nadal dało się w nim rozpoznać szaroburą asteroidę z niklu i żelaza, w której wydrążono poszczególne elementy okrętu. Wkrótce miał jednak przypominać jedną z wielu gwiazd niknących w spowijającym mnie całunie z mroku i światła.

Dalsza podróż na Kwanantil Dziewięć trwała dwadzieścia osiem godzin. Okazało się, że to bardzo dużo czasu dla kogoś, kto upchnięty w skafander próżniowy, leci na grzbiecie manty, całkowicie odcięty od świata. Haddad nalegał, żebyśmy nie korzystali z telepatii ani mechtechowego systemu komunikacji pulsacyjnej, jeśli nie zaistnieje absolutna konieczność.

Nigdy wcześniej nie zostawiono mnie samego na tak długo, wyłącznie w towarzystwie własnych myśli. Moja książęca kariera trwała zaledwie chwilę i brakowało mi doświadczenia, żebym miał roztrząsać cokolwiek innego poza obawami, a także w tym zakresie brakowało mi wiedzy, żeby właściwie ocenić sytuację i perspektywy. Być może wyszło mi to na dobre.

Ostatecznie oddałem się marzeniom. Wyobrażałem sobie swoją przyszłość, a konkretnie swoje niewątpliwie wspaniałe wyczyny w galaktyce, o której nadal miałem mgliste pojęcie. Kolejny rok, który siłą rzeczy miałem spędzić jako kadet Marynarki Wojennej, zajmował jedynie kilka minut moich fantazji, ponieważ nic nie wiedziałem o takim życiu. Przez większość czasu tworzyłem w głowie coś w rodzaju pierwszego odcinka *Triumfów Księcia Garikma*, w którym odgrywałem rolę heroicznego pilota jednozałogowego statku i interweniowałem w samą porę, żeby wygrać gigantyczną bitwę z Naknukami. Oczami wyobraźni widziałem, jak pławię się w zaszczytach i uwielbieniu innych Książąt, podobnie jak Garikm, który w czterdziestym odcinku swoich przygód został najmłodszym wielkim admirałem w historii Floty Imperium. Naturalnie wszystkie te wyczyny miały zawieść mnie prosto na tron. Zamierzałem zostać Imperatorem, władcą największego międzygwiazdowego Imperium wszech czasów.

Wznosiłem swoje fantazje między innymi na fundamentach ignorancji. Upłynęło trochę czasu, zanim się przekonałem, że tytuły i honory, tak bardzo pożądane przez Książęta, nie budziły podziwu, a jedynie zazdrość, niezadowolenie i wrogość.

Otulony kokonem z marzeń i urojeń, mierzyłem się z wolnym upływem czasu. Niekiedy musiałem skorygować kurs albo wyrównać prędkość, uwalniając odpowiednią ilość gazu z gruczołów i otworów manty, żeby utrzymać swoją pozycję za Haddadem.

W pewnej chwili zaczęliśmy wchodzić w rozrzedzoną, ponurą atmosferę planety, a ja odniosłem wrażenie, że minione dwadzieścia osiem godzin upłynęło w okamgnieniu. Manty natychmiast przeszły w odpowiedni tryb automatyczny. Zgodnie z instrukcją przyciągnąłem do siebie ręce i nogi i skuliłem się w miejscu najlepiej chronionym przed ciepłem, czyli na samym środku grzbietu stworzenia.

Lot w dół okazał się szybszy i znacznie trudniejszy, niż myślałem. Manta wirowała niespokojnie, a kilka razy omal mnie nie zrzuciła. Na szczęście jej ablacyjne silikonowe podbrzusze do samego końca chroniło mnie przed podmuchami rozgrzanego powietrza.

Ostatecznie moja manta okazała się skuteczna, Haddad dobrze ją wyhodował. Poza tym mogłem się pochwalić ponadprzeciętnym zmysłem równowagi i siłą. Dlatego sprostałem wyzwaniu i niczym spadająca gwiazda przeciąłem niebo. Dopiero na wysokości dziesięciu tysięcy metrów nad ziemią rozstałem się ze swoim wierzchowcem. I kiedy zacząłem swobodnie opadać, manta poszybowała dalej do miejsca, w którym miała dokonać żywota w mało widowiskowej eksplozji gdzieś na horyzoncie.

Nieco dalej Haddad także rozstał się ze swoim stworzeniem. Chociaż nigdy nie ćwiczyłem skoków z dużej wysokości, doskonale wiedziałem, jak się zachować, dzięki jednemu z podstawowych programów sprawnościowych, które zapisano w moim umyśle oraz pamięci

mięśniowej. Co prawda, znałem ogólne założenia, ale brakowało mi stylu i talentu. Niemniej rozpostarłem ciało niczym rozgwiadza, żeby zapanować nad wirowaniem, i przygotowałem uprząż antygravitacyjną. Wtedy dołączył do mnie Haddad, dostosowując się do mojego lotu z wielką wprawą.

„Proszę aktywować uprząż”, polecił.

Nagle poczułem, jak pasy wbijają się w moje ciało, kiedy rozgrzały się cewki antygravitacyjne. Mimo to nadal spadałem, a rozrzedzone powietrze ledwie mnie spowalniało. Ciemna ziemia w dole przybliżała się znacznie szybciej, niż według mnie powinna. Już miałem zacząć krzyczeć, zarówno na głos, jak i w myślach, kiedy w mojej głowie rozległ się spokojny głos Haddada:

„Na mój znak proszę wykonać pełen zwrot awaryjny”.

Chwilę później dodał:

„Teraz”.

Uprząż zatrzeszczała, wrzynając mi się jeszcze bardziej w skórę, a ja przestałem spadać. Wewnętrzne systemy odnotowały, że nadal obniżałem lot, ale już znacznie wolniej. Znajdowałem się tak blisko ziemi, że mogłem rozpoznać niektóre kształty, oczywiście wyłącznie dzięki pomocy ulepszonych oczu. Planeta Kwanantil Dziewięć znajdowała się w dużej odległości od swojej gwiazdy, a żaden z jej dwóch księżyców nie zdążył się przeobrazić w dodatkowe słońce, więc spowijała ją poświata przypominająca tę, która pojawia się podczas pochmurnej pełni na świecie ukształtowanym na podobieństwo starej Ziemi.

„Jesteśmy namierzani”.

Zaraz po tym, jak poinformował mnie o tym telepatycznie, Haddad rozszerzył zasięg przekazu.

„Księżę Kemri «identyfikator» i mistrz skrytobójców Haddad «identyfikator» wylądowali na mantach. Nie wprowadzać kodu Głowa

Gorgony Pięć Sześć «kod», trwa łączenie z Imperialnym Umysłem”.

Wiadomość kierował bezpośrednio do obiektu, który widziałem w dole. Była to typowo imperialna naziemna konstrukcja przypominająca sześcian o boku o długości około dwustu metrów. Wykonano ją z ziemi połączonej z biotechowymi środkami i wzmocniono mechtechowym pancerzem oraz psychotechowym polem siłowym. Pełniła funkcję wejścia do budynku, Akademia Marynarki Wojennej bowiem znajdowała się kilkaset metrów pod powierzchnią ziemi. Kiedy zawodziły imperialne techy, jako bariera ochronna sprawdzała się gruba warstwa gleby i skały.

Górna część bryły była najeżona bronią automatyczną i wyrzutniami. Wiele z nich mierzyło do mnie. Bładopomarańczowe błyski przesuwwały się w kącikach moich oczu, ostrzegając o zagrożeniu, do czasu aż je wyłączyłem. Znajdowaliśmy się tak blisko celu, że komunikat o niebezpieczeństwie otrzymałbym ledwie mikrosekundę przed tym, jak zostałbym unicestwiony.

Na szczęście telepatyczny komunikat Haddada odniósł pożądany skutek, mimo że fragment o łączności z Imperialnym Umysłem nie był prawdziwy – jeśli oczywiście nie wyręczyli nas kapłani służący w akademii. Prawdopodobnie mistrz skrytobójców użył tego wybiegu, żeby zbić z tropu każdego Księcia, który miał mnie za łatwy cel. W efekcie potencjalni wrogowie mogli uznać, że gdzieś w pobliżu krąży mój niewidzialny statek pełen kapłanów transmitujących całe zdarzenie.

Wylądowaliśmy kilometr od sześcianu. Moja uprząż antygravitacyjna straciła moc na wysokości pięciu metrów nad ziemią, więc nie opadłem tak idealnie, jak zamierzałem. Zamiast tego wyłożyłem się jak długi na ciemnoniebieskiej ziemi. Ledwie zdążyłem wstać, a już otoczyli nas kawalerzyści mechbio w ciemnych mechtechowych zbrojach. Te biotechowe hybrydy, będące skrzyżowaniem człowieka z owadem, tworzyły piechotę Imperium. Wyczuwałem ich wewnętrzne systemy

i aktywną broń. Poza tym docierały do mnie niewyraźne komunikaty telepatyczne, przypominające odległy szept, które kawalerzyści przesyłali między sobą. Ich kanał dowodzenia pozostawał poza moim zasięgiem, ponieważ był przeznaczony wyłącznie dla członków Marynarki Wojennej, a w szczególności dla ich bezpośredniego przełożonego.

Jak się okazało, przewodziła im starsza kadetka, wyraźnie niezadowolona z mojego niespodziewanego przybycia w trakcie jej warty. Wylądowała przede mną z taką gracją, jakby zeszła z pojedynczego stopnia. Wiedziałem, że nie była to zasługa wyłącznie najlepszego oprzyrządowania umożliwiającego sprawne funkcjonowanie przy zerowej grawitacji. Zauważyłem, że jej mistrzyni skrytobójców została w powietrzu, a moje mechtechowe i psychotechowe skanery wykryły obecność jeszcze kilku osobników, prawdopodobnie uczniów kapłanki, ustawionych w standardowej formacji wokół kawalerzystów mechbio.

– Księżę Kemri – stwierdziła zniesmaczona. Nawet nie zadała sobie trudu, żeby zgodnie z obowiązującą etykietą unieść złotą lustrzaną osłonę. – Podaj cel swojej wizyty.

– Zamierzam wstąpić do Marynarki Wojennej – odparłem. Ja także nie odsłoniłem twarzy. – Kim jesteś?

Oczywiście znałem jej tożsamość, ale zamierzałem zachowywać się równie nieuprzejmie jak ona. Wszyscy Księżęta przekazywali swoje dane sprzymierzeńcom Imperium za pośrednictwem psychotechnu, licznych szeroko- i wąskopasmowych połączeń mechtechowych, a w odpowiednich warunkach także przez zakodowane feromony.

Wiedziałem więc, że mam do czynienia z Księżniczką Atalin. Była ode mnie starsza o trzy lata i miała wyższy stopień. Nie tylko uczyła się w Akademii Marynarki Wojennej i była starszym chorążym, ale także zdobyła Szpadę Honorową na pierwszym roku oraz liczne nagrody za najlepsze wyniki w różnych dziedzinach. Wszystko to czyniło z niej

najwspanialszą kadetkę, jaką miała zaszczyt gościć ta szkoła od zarania dziejów Imperium.

Ponadto należała do Domu Dzerrazisa, stowarzyszenia założonego przez kontradmirała Księcia Dzerrazisa V. Mogłem uzyskać informacje także na jego temat. Nie zrobiłem tego jednak od razu, co oczywiście było błędem.

– Wiesz, kim jestem – odparła, unosząc osłonę. Nie zrobiła tego z grzeczności, lecz tylko po to, żebym widział, jak marszczy nos w pogardzie dla tak nędznej kreatury jak ja.

Nie wziąłem z niej przykładu. Uznałem, że lepiej ukrywać twarz, niż wykrzywiać ją w grymasie, żeby ubliżyć Księżniczce.

Chociaż widziałem jedynie niewielki fragment jej oblicza – od połowy nosa do brązowych oczu o świdrującym spojrzeniu – wydała mi się znajoma. Mimo to byłem przekonany, że nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy.

Dlaczego więc nie wyglądała całkiem obco?

– Zostaniesz zalogowany jako gość – poinformowała. – Jeśli zboczysz z autoryzowanej trasy do świątyni, złamiesz przepisy Marynarki Wojennej i w efekcie będziesz mógł zostać zatrzymany.

Jeszcze zanim wymówiła ostatnie słowo, skontaktowała się z kimś telepatycznie. Nie zdołałem odebrać tego komunikatu, ale założyłem, że jego adresatem był Imperialny Umysł. Wiedziałem, że gdy sam zdołam się z nim połączyć, znacznie poprawię swoją sytuację.

– Eee, a którądy przebiega autoryzowana trasa? – zapytałem.

Atalin nie zaszczyciła mnie odpowiedzią. Prychnęła tylko, mierząc mnie wzrokiem, po czym odprawiła kawalerzystów mechbio i poszybowała w górę, kierując się ku sześcianowi. Jej mistrzyni skrytobójców zwlekała jeszcze około minuty. Kiedy przyglądała się Haddadowi, kolejny raz wychwyciłem szum komunikacji telepatycznej. Wydało mi się dziwne, że skrytobójcy działają przeciwko sobie, chociaż wszyscy są kapłanami

jednego wymiaru. Ale z drugiej strony w niczym nie różniło się to od współzawodnictwa między Książętami. W końcu rywalizacja leżała u podstaw Imperium.

– Znam drogę. Musimy dostać się do środka, zanim zabraknie nam powietrza – odezwał się Haddad, kiedy zostaliśmy sami. – Tutejsza atmosfera nie zapewni przetrwania nawet udoskonalonej formie życia.

Nie zauważyłem dotąd, że mój skafander wskazywał, iż nie może dłużej filtrować powietrza i został mi jedynie niewielki zapas tlenu.

– Jak oni mają czelność nas tutaj zostawiać! – wypaliłem, marnując cenny gaz. – Protestuję!

– Nie radzę, Wasza Wysokość – odparł krótko Haddad, pociągając mnie za łokieć, żebym ruszył z miejsca.

– Ale ja jestem Księciem Imperium!

Musiałem przyznać, że ten krzyk zabrzmiał jak żalosne biadolenie. Haddad go nie skomentował, więc przestałem jęczeć i przyspieszyłem.

Weszliśmy do śluzy powietrznej przeznaczonej dla pieszych. Mimo że dostosowałem swój metabolizm do pracy przy bardzo niskim ciśnieniu, od wyczerpania zapasu tlenu dzieliły mnie ledwie dwie minuty. Przyjemnie było znów oddychać pełną piersią, ale tak jak przypuszczałem, Haddad nie pozwolił mi się tym nacieszyć. Popędzał mnie, kiedy mijaliśmy pełniących wartę kawalerzystów mechbio, którzy ku mojej satysfakcji mi salutowali. Przystanął dopiero przed szybem głębinowym, żeby sprawdzić, czy wszystko sprawnie działa, czy nie uszkodzono systemów bezpieczeństwa i czy zdołamy sprawnie pokonać jakieś dwadzieścia pięter w dół do Świątyni Wymiaru Szlachetnego Wojownika Imperatora.

Kiedy znaleźliśmy się w głównym holu, trochę mi ulżyło, ale nie straciłem czujności. Dobrze odrobiłem tę lekcję. Tutaj zamiast z ryczącymi wodospadami grupy akolitów zmagaly się z dziesiątkami kryształowych żyrandoli. Utrzymywali je w górze wyłącznie za pomocą psychotechnowej

energii; ot, kolejny test dla przyszłych kapłanów. Ustawieni w grupach pod tymi ogromnymi konstrukcjami ostro zakończonych punktów świetlnych, nowicjusze mieli istotną motywację do współpracy.

Bez przeszkód dotarliśmy do kolejnego pomieszczenia. Była to przestronna sala zavalona śmieciami wszędzie poza biegnącym przez środek przejściem. Obecni tam akolici pracowali przy skomplikowanych mechtechowych urządzeniach, których przeznaczenie nie było dla mnie jasne.

Kiedy stanęliśmy przed następnymi drzwiami, zacząłem oddychać swobodniej, ponieważ uznałem, że lada moment przekroczymy próg głównej części świątyni, gdzie nikt nie będzie próbował mnie zabić.

Ale za drzwiami nie ujrzałem sali recepcyjnej, lecz jedno z pomieszczeń gospodarczych, będące fragmentem biotechnowych systemów wspomagających. Miałem więc przed sobą bulgoczące bagno pełne gnijącej materii organicznej i powstałej w wyniku rozkładu galarety, czyli recykling organiczny imitujący ekosystem jakiejś żywej planety. Można było przejść nad zbiornikiem po bardzo wąskim, przezroczystym moście o długości kilkuset metrów.

Haddad przystanął.

„Maksymalny stan gotowości, Wasza Wysokość. Czekają nas konfrontacja ze skrytobójcami”.

Rozejrzałem się dookoła, zwracając uwagę na otaczających mnie zakapturzonych akolitów w odrażających biotechnowych strojach. Wszyscy oni rozgrzebywali paskudny szlam kijami do sortowania genów. Długie laski przypominały skrzyżowanie gałęzi z krokodylami ogonami.

Niektórzy z nich z całą pewnością nie należeli do Wymiaru Szlachetnego Wojownika. Mogli być terminującymi skrytobójcami, czy nawet mistrzami skrytobójców. Potrafiłbym ocenić ich rangę na podstawie wielkości

przeźroczystych płytek przy skroniach. Ukrywali je pod kapturami, więc nie wiedziałem, z kim mam do czynienia.

Chwyciłem w dłoń różdkę dezintegracyjną, a z buta wyciągnąłem emiter fagocytów. Haddad pierwszy wkroczył na most, a ja ruszyłem za nim.

Rozdział 3

Atak rozpoczął się w chwili, gdy pokonaliśmy mniej więcej połowę mostu, chociaż żaden z akolitów, których bacznie obserwowałem, nie ruszył się z miejsca. Moje zmysły zaczęły pracować na najwyższych obrotach, osiągając maksymalny poziom wydajności, którego nie byłem w stanie zbyt długo utrzymać. Zyskałem jednak dzięki temu dosłownie ułamek sekundy, żeby zanurkować w bagno, zanim gwałtowny wybuch biotechnowego penetratora roztrzaskał most na kawałki. Był to pięciometrowy, twardy jak diament kolec, zwykle używany na statkach jako broń umocowana na czubku mechtechowego pocisku.

Dostrzegłem penetrator przez metrową warstwę biotechnowej brei. Wymachiwałem rękami, próbując wydostać się na powierzchnię. Substancja okazała się kleista i gęstsza od wody. Nadal miałem na sobie skafander, ale wcześniej uniosłem osłonę, więc błony ochronne natychmiast zsunęły się na moje oczy i uszy. Czułem, jak szlam na mnie napiera. Nawet jeśli był to zwykły żel ekologiczny, został opracowany z myślą o rozkładaniu materiału organicznego. Poza tym istniało spore prawdopodobieństwo, że ktoś zmodyfikował jego strukturę, tak by zabijał. Zacząłem więc mocniej uderzać nogami w breję i zdołałem się wydostać.

Sytuacja wyglądała inaczej niż ostatnio w mojej świątyni szkoleniowej. Tym razem byłem bowiem uzbrojony i gotowy. Rozglądałem się w poszukiwaniu kolejnych napastników. Dostrzegłem Haddada sunącego po tafli brei. Najwyraźniej jego uprzęż antygravitacyjna zachowała trochę mocy albo mój mistrz skrytobójców zdążył ją doładować za pośrednictwem sieci energetycznej, o czym sam powinienem był pomyśleć. Zbliżył się do

stojącego nieopodal nowicjusza. I chociaż kapłan zdążył unieść swój kij do sortowania, z którego wysunęła się lufa broni energetycznej, jego głowa eksplodowała zaraz potem w szkarłatnej chmurze.

Drugi nowicjusz znajdował się zaledwie kilka metrów ode mnie. Patrzył prosto na mnie nieobecnym wzrokiem spod kaptura swojego ochronnego ubioru. Wyglądał na mojego rówieśnika i pomyślałem, że chłopaka podobnie jak mnie odebrano rodzinie, by trwale połączyć jego los z Imperium.

Nie wykonał żadnego ruchu, a ja nie widziałem w nim zagrożenia.

Zlikwidowałem go jednak, bo nie mogłem ryzykować. Wiązka z różdżki dezintegracyjnej trafiła go w pierś, tuż poniżej szyi. Bezgłowe ciało stało prosto przez moment, zanim runęło w bagno. Kilka sekund później na powierzchni brei pojawiły się krwawe kręgi.

Wpatrywałem się we wzór, który stworzyłem, podczas gdy moje wewnętrzne systemy biotechnowe działały na najwyższych obrotach, próbując wyciszyć zachodzące we mnie ludzkie reakcje. Jednocześnie ogarniały mnie mdłości, triumfowałem i czułem nadmierną ekscytację. Chociaż przeczytałem i obejrzałem wiele materiałów o Książkach niszczących swoich wrogów podczas walki, rzeczywistość prezentowała się zgoła inaczej. Różniła się nawet od psychotechnowych symulacji, stanowiących element szkolenia bojowego, które ponoć były bardzo rzeczywiste.

Nie były. Nic nie było. Ani tak potworne, ani tak fascynujące jak patrzenie na te krwawe kręgi ze świadomością, że zgładziło się istotę ludzką. Chociaż zgodnie z tym, czego mnie uczono, postąpiłem właściwie – Książę Imperium nie tylko mógł, ale nawet musiał zabijać – nie czułem się z tym dobrze.

Haddad wyrwał mnie z zadumy.

„Wasza Wysokość! Do północnych drzwi, szybko!”

Do pasa zanurzony w szlamie, wyrwałem do przodu, próbując przyspieszyć. Szczęśliwie dotarłem do celu, podczas gdy Haddad nieustannie krążył za moimi plecami. Przesłałem psychotechnowe polecenie otwarcia drzwi, a kiedy się rozsunęły, przeskoczyłem przez próg, trzymając broń w pogotowiu.

Ale korytarz był pusty. Zamknąwszy za sobą drzwi, Haddad przysunął się do mnie, a jego upiorne biotechnowe oko błysnęło, analizując paskudztwo, którego mój hełm bezskutecznie próbował się pozbyć.

– Zwykły żel trawienny – zawyrokował. – Chwilowo może go Wasza Wysokość po prostu zetrzeć.

Skorzystałem z jego rady, ale maź była kleista. Gdy przejrzałem się w jednym z metalowych paneli na ścianie, zobaczyłem na swojej twarzy intensywnie zieloną plamę, która wyglądała niepokojąco, nawet jeśli Haddad twierdził, że to nieszkodliwa substancja.

– Więc jestem bezpieczny? – zapytałem. – Znajdujemy się w głównej części świątyni, prawda?

– To jest dokładnie to miejsce. Ale nigdy nie należy zakładać, że jest się całkowicie bezpiecznym, Wasza Wysokość – odparł. Rozglądał się bacznie, a niebieski płyn pulsujący w jego skroniach sygnalizował aktywność psychotechnu. – Rzeczywiście ryzyko wrogich działań znacznie zmalało, a stanie się jeszcze mniejsze, kiedy Wasza Wysokość nawiąże połączenie z Imperialnym Jądrem. Sanktuarium znajduje się tam.

Wskazał na lewo. Ciągący się tam korytarz był zwykłym tunelem wydrążonym w skale. Nie został w żaden sposób oznaczony, a ja nie miałem mapy. Wiedziałem, że kiedy oficjalnie zaciągnę się do Marynarki Wojennej, otrzymam zarówno mechtechową wirtualną reprodukcję bazy, jak i jej psychotechnowy empiryczny schemat. Tymczasem miałem wrażenie, że znajduję się w zagmatwanym labiryncie, i kolejny raz dotarło do mnie, że bez Haddada od razu bym się zgubił.

– Więc kto próbował mnie zabić? – zapytałem, kiedy podjęliśmy marsz.

– Na tym etapie nie da się tego ustalić – odparł mój przewodnik. – Skoro Wasza Wysokość nie jest jeszcze połączony z Imperialnym Umysłem ani nie wstąpił do Marynarki Wojennej, stanowi łatwy cel dla każdego wystarczająco bezwzględnego i zdeterminowanego Księcia. Co więcej, nie mam wątpliwości, że stoi za tym Książę, który może zarządzać nie tylko pomieszczeniami gospodarczymi oddzielającymi akademię od świątyni, ale także uzbrojeniem okrętowym.

– Ta droga, którą mnie prowadzisz... – odezwałem się kilka metrów dalej. – Wskazówki przekazała ci mistrzyni skrytobójców Księżniczki Atalin?

– Tak – przyznał Haddad. – Jednak to nie kadetka zaplanowała ten atak. Biotechowy penetrator musiał zostać umieszczony w tamtym miejscu już dawno temu. Zwykła kadetka, nawet w stopniu starszego chorążego, nie byłaby w stanie go zdobyć ani nie ma takiej władzy, żeby zastąpić swoimi skrytobójcami tych kapłanów, którzy na co dzień pracują w pomieszczeniu ze szlamem. Mistrzyni skrytobójców Atalin została wykorzystana jako przekaźnik, żeby zawieść nas prosto w pułapkę.

– Dlaczego więc skorzystaliśmy z jej pomocy? – zapytałem.

– Ponieważ wiedziałem, że jeśli to zrobimy, dojdzie do próby unicestwienia Waszej Wysokości – wyjaśnił Haddad. – I gdy tylko weszliśmy do recyklingowego bagna, wiedziałem, że wydarzy się to właśnie tam. To lepsze od absolutnej niewiadomej.

Zachmurzyłem się, niezadowolony z odpowiedzi.

– Nie mogliśmy po prostu wybrać innej drogi?

– Mogliśmy, Wasza Wysokość – powiedział Haddad. – Ale dzięki temu, że udaliśmy się do miejsca zasadzki, zlikwidowaliśmy dwóch skrytobójców Księcia, który spiskuje przeciwko Waszej Wysokości. Mamy więc pewność, że już nam nie zaszkodzą.

– Jasne – burknąłem. – Strategia. No dobrze. Tylko następnym razem, hm, poinformuj mnie wcześniej, dobrze?

– Dołożę wszelkich starań, żeby tak się stało, Wasza Wysokość – odparł Haddad.

Ale ja już wtedy wiedziałem, że wcale nie zamierzał dotrzymać słowa. Zanim jednak przywołałem go do porządku, dotarliśmy do drzwi znacznie bardziej zdobionych od poprzednich. Osadzone w złotej framudze, wyglądały tak, jakby były wykonane z jakiegoś starego, cennego drewna.

– Jesteśmy na miejscu.

Za tymi drzwiami nie spodziewałem się nowicjuszy, jako że dotarliśmy do sanktuarium świątyni. Sanktuaria różniły się od siebie w zależności od tradycji i wyborów dokonywanych przez ważnych kapłanów z danego wymiaru. Tutejsze przypominało rozległą leśną polanę z dawnej Ziemi. W górze rozpościerało się błękitne niebo. Sztuczne słońce opromieniało kępy wysokich bambusów i migotało w przejrzystym rwącym strumieniu, który wypływał z grodzi ukrytej za iluzorycznym wzgórzem po naszej lewej stronie.

– Proszę iść dalej – polecił Haddad. – Zaczekam tutaj na Waszą Wysokość.

– Ee, tu jest tak samo jak w sanktuarium w mojej świątyni szkoleniowej? – zapytałem. – To znaczy wygląda inaczej, ale jeśli dobrze rozumiem, gdzieś tam czeka na mnie starszy kapłan. Mam rację?

Haddad skinął głową, wskazując początek wyboistej ścieżki wiodącej wzdłuż strumienia przez bambusowy las.

– Imperialny Umysł – mruknąłem. – Czas się połączyć. No to idę...

Ruszyłem wytyczonym szlakiem, a gdy po kilkunastu metrach rzeczka zakreśliła w prawo i stała się szersza, ujrzałem polanę.

Nieduży kamienny most łączył brzegi rozdzielone przez wodę. Stała na nim arcykapłanka z wędką. Wiedziałem, z kim mam do czynienia,

ponieważ zamiast zwykłych płytek przy skroniach kobieta miała przejrzystą kryształową obręcz wokół głowy. Niebieski płyn, który w niej bulgotał i pulsował, od czasu do czasu odsłaniał niewielkie fragmenty mózgu.

Nie spodziewałem się kapłanki tej rangi. O ile było mi wiadomo, arcykapłani przebywali zwykle w Imperialnym Jądrze, a nie w małych świątyniach podrzędnych akademii wojskowych na peryferiach Imperium. Szybko jednak uznałem jej obecność za oczywistą. Nie byłem pierwszym lepszym Księciem, więc naturalnie należało mi się specjalne traktowanie.

Hardo ruszyłem w jej stronę, tupiąc głośno na drewnianych deskach wyznaczających drogę.

Zatrzymałem się przy mostku. Arcykapłanka siedziała bez ruchu, nie odrywając wzroku od wody. Przypominała posąg. Tylko niebieski płyn nie przestawał krążyć i błyskać w jej głowie.

– Ee, praciotko – zwróciłem się do niej, unosząc głowę i próbując nadać swojemu głosowi stanowczy ton. W końcu teoretycznie nawet arcykapłani znajdowali się w hierarchii niżej od Księżąt Imperium. – Jestem Księżę Kemri. Pragnę... życzę sobie nawiązać połączenie z Imperialnym Umysłem.

Arcykapłanka odwróciła głowę. Z wyglądu przypominała rówieśniczkę Haddada – nie dałbym jej więcej niż pięćdziesiąt ziemskich lat, ale bez wątplenia była znacznie starsza. Zamiast oczu miała biotechowe zamienniki wypełnione złotym żelem, każdy z trzema źrenicami podobnymi do rodzynek, wyznaczającymi wierzchołki trójkąta.

„Proszę się rozebrać i wejść do strumienia, Księżę Kemri”.

Po przesłaniu komunikatu ponownie skupiła uwagę na żyłce unoszącej się na tafli wody.

Odwróciłem się do niej plecami. Nie czułem się skrępowany, ale chciałem sprawdzić, czy dojrzę Haddada na końcu drogi za bambusowym lasem. Potrzebowałem jego potwierdzenia. Nie było go jednak nigdzie

w zasięgu wzroku. Co więcej, odniosłem wrażenie, że granice polany znacznie się rozciągnęły. Ze wszystkich stron otaczały ją nie tylko bambusy, ale także wyższe od nich drzewa, które nie były projekcją, tylko istniały naprawdę, o czym poinformował mnie mój tech obserwacyjny. Albo komnata stawała się coraz większa – czego nie mogłem wykluczyć – albo zawodziły moje systemy i umysł.

– Jeśli Wasza Wysokość życzy sobie nawiązać połączenie z Imperialnym Umysłem, proszę wejść do strumienia – poinstruowała arcykapłanka, tym razem na głos.

Chociaż mówiła cicho, jej słowa brzmiały władczo. Nie wyrażała jednak żadnych emocji ani zniecierpliwienia. Mimo to poczułem nagle, że powinienem się pospieszyć. Wydałem psychotechowy rozkaz, a wtedy mój skafander opadł na ziemię. Potem szybko pozbyłem się bielizny i bez ociągania popędziłem do strumienia.

Prawie natychmiast zdałem sobie sprawę, że nie obmywa mnie woda, tylko jakiś rodzaj przezroczystego biotechowego płynu. Chwilę później ogarnął mnie strach, ponieważ straciłem kontrolę nad kończynami. Nie otrzymałem jednak żadnego ostrzeżenia; nie aktywowały się żadne mechanizmy obronne, które wyhodowano w moim ciele bądź też zaimplementowano mi lub wszczepiono. Całkowicie sparaliżowany, runąłem jak długi do strumienia.

Kiedy moja głowa znalazła się pod powierzchnią, straciłem fizyczny kontakt z otaczającym mnie światem. Poczułem się tak, jakbym wylądował w próżni. Niczym wystrzelony pocisk przecinałem pustą przestrzeń, wyginając ciało, żeby uniknąć kolizji z różnokolorowymi wiązkami energii nadlatującymi w moją stronę. Wszystko działo się niewiarygodnie szybko, a ja nie przestawałem przyspieszać. Ponadto nacierało na mnie coraz więcej jaskrawych promieni, teraz już ze wszystkich stron. I chociaż nadal nie miałem władzy nad ciałem, mimowolnie wyginałem się, koziółkowałem

i obracałem, wymijając je wszystkie w drodze do tajemniczego celu tej podróży.

I wtedy to ujrzałem, albo może wyczułem. Nie byłem do końca pewien, w jaki sposób doświadczałem tego, co się ze mną działo. Tak czy inaczej, zmierzałem z prędkością fazową w kierunku ogromnej kuli z niebieskobiałego jaśniejącego gazu, będącej nie tylko źródłem, ale także celem wiązek energii.

W kolejnej sekundzie zderzyłem się z tym obiektem i wszystko spowięła ciemność, chociaż tylko na moment. Przy okazji poczułem ból tak wielki jak nigdy przedtem. Ekspłodował w samym środku mojego mózgu.

„Witaj w Imperialnym Umyśle, Księżę Kemri”.

Głos był łagodny, ale przenikliwy. Nie zagłuszała go nawet kakofonia dźwięków, w której rozpoznałem własne jęki i skomlenie. Im dłużej rozlegał się w mojej głowie, tym mniejszy stawał się ból.

„Nawiązano połączenie z Księciem Kemrim «identyfikator». Przebiega bez zakłóceń. Potwierdzam. Potwierdzam. Proszę powrócić do swojego ciała”.

Nagle znów znalazłem się w tym dziwnym strumieniu. Dławiłem się, a nos i usta miałem pełne płynu. Wymachiwałem rękami i nogami, próbując wydostać się na powierzchnię. Coś dotknęło mojej piersi; chwyciłem to i pociągnąłem.

Trzymałem wędkę arcykapłanki. Ścisnąłem ją kurczowo, gdy kobieta bez wysiłku wyciągała mnie na brzeg. Imperialny Umysł nadal był obecny w mojej głowie. Miałem wrażenie, jakbym siedział bardzo blisko drugiej osoby, wyczuwając jej sporadyczne ruchy i wsłuchując się w jej spokojny, miarowy oddech. Wiedziałem, że jeśli tylko kapłani z mojej świty czy jacykolwiek inni utrzymają to połączenie, będę mógł wzywać Imperialny Umysł na świadka, kiedy zechcę, by patrzył moimi oczami, słuchał moimi uszami i czuł to samo co ja. Mogłem się z nim komunikować, a za jego

pośrednictwem także z każdym innym Księciem przebywającym w dowolnym miejscu w galaktyce, pod warunkiem że po drodze znajdowało się wystarczająco dużo przekaźników.

Informacje napływały do mnie, przepływały przeze mnie i wypływały ze mnie. Byłem węzłem w sieci informacyjnej o niezrównanej wydajności i zaawansowaniu. Mogłem zwrócić się do Imperialnego Umysłu z pytaniem w każdej sprawie i uzyskać dane na każdy znany mu temat, jeśli oczywiście nie zamierzał ich przede mną zataić.

Zostałem prawdziwym Księciem Imperium.

– To prawda – odezwała się arcykapłanka. – Rzeczywiście Wasza Wysokość nim jest.

Spojrzałem na nią podejrzliwie.

– Chyba nie powinnaś monitorować moich myśli, praciotko – powiedziałem sztywno. – Poza tym sądziłem, że nie masz takiej możliwości.

– Wiele spraw nie przedstawia się tak, jak się Waszej Wysokości początkowo wydawało – odparła arcykapłanka. – Mamy niewiele czasu, zanim Wasza Wysokość będzie musiał zameldować się u komendanta akademii, więc go nie marnujmy. Przede wszystkim...

– Jestem przekonany, że mogę się zameldować, kiedy zechcę – przerwałem jej. Po nawiązaniu połączenia z Umysłem przepełniała mnie pewność siebie i chciałem pokazać swoją wyższość.

– Powiedziałam, że nie możemy marnować czasu – powtórzyła arcykapłanka. Niebieski płyn rozbłysnął w jej głowie, a ja upadłem na brzeg strumienia nieopodal swoich rzeczy, ciężko dysząc.

– Ale... jestem Księciem – zaprotestowałem. – Nie możesz...

– Mogę – oznajmiła kobieta. – Odpowiadam za Waszą Wysokość przed Imperialnym Umysłem i dzierzę klucze do wszystkich usprawnień Waszej Wysokości, we wszystkich techach. Ręczę za Waszą Wysokość przed

Imperatorem i pilnuję, żeby Wasza Wysokość nie zapomniał o swojej lojalności wobec niego.

– Nikt mi tego nie powiedział – burknąłem. Chciałem zabrzmieć mniej żałośnie, ale trudno zachować godność, kiedy leży się nago na ziemi. – Kim ty w ogóle jesteś?

– Mam na imię Morojal i jestem arcykapłanką Wymiaru Wprawnej Ręki Imperatora. Proszę posłuchać mnie uważnie, Wasza Wysokość.

– Słucham – mruknąłem. Jednocześnie zastanawiałem się, jaki jest zakres obowiązków Wymiaru Wprawnej Ręki Imperatora. Nigdy wcześniej o nim nie słyszałem, a sądziłem, że znam wszystkie. Później dowiedziałem się, że zgodnie z wiedzą powszechną wymiar ten podejmował decyzje dotyczące wyłącznie odrodzenia każdego z Książąt. W rzeczywistości należący do niego kapłani wykonywali także inne zdania, o których niewiele było wiadomo.

– Przede wszystkim Wasza Wysokość nikomu nie wyjawi, że połączenie Waszej Wysokości z Imperialnym Umysłem zainicjowała arcykapłanka. Jedynie mistrz skrytobójców Waszej Wysokości może poznać prawdę. Imperator zezwolił, żeby w tej konkretnej sprawie Wasza Wysokość postąpił wbrew rozkazom przełożonych z Marynarki Wojennej.

– Łatwo ci mówić... – zdążyłem wypalić, zanim ponownie zostałem obezwładniony.

I tym razem, gdy sparaliżowany leżałem na ziemi, usłyszałem telepatyczny komunikat od Imperialnego Umysłu.

„Usłuchaj arcykapłanki Morojal «identyfikator», która działa na bezpośrednie polecenie Imperium «pieczęć Imperialnego Umysłu»”.

– Czy Wasza Wysokość rozumie? – zapytała Morojal.

– Nie – odparłem.

– Ale Wasza Wysokość się dostosuje – dodała Morojal.

Nie odpowiedziałem. Nie potrzebowałem pomocy kapłana Wymiaru Chłodnej Kalkulacji, żeby właściwie ocenić sytuację. W rzeczywistości nie zostawiono mi wyboru. Poza tym uznałem, że chwilowo mogę przystać na jej polecenia, a później zastanowić się, co dalej. Przede wszystkim zamierzałem zadać Haddadowi kilka pytań, zwłaszcza o to, dlaczego jako jedyny mógł poznać prawdę o arcykapłance.

– Tak – powiedziałem. – Nie było cię tutaj, nigdy o tobie nie słyszałem i nie będę o tobie rozmawiał z nikim z Marynarki Wojennej.

– Komendant, Książę Huzand, spodziewa się, że połączenie Waszej Wysokości przebiegło tak gładko i sprawnie jak zwykle. Oczekuje też, że Wasza Wysokość bezzwłocznie po tym się u niego zamelduje. Wasza Wysokość nie jest sprzymierzony z żadnym starszym Księciem, a komendant prowadzi wzmożoną rekrutację, więc istnieje dziewięćdziesięcioośmioprocentowe prawdopodobieństwo, że zaproponuje Waszej Wysokości przyłączenie się do swojego Domu, któremu przewodzi wiceadmirał, Książę Dzerrazis V. Jeśli tak się stanie, Wasza Wysokość uprzejmie odmówi i poinformuje, że nie zamierza się spieszyć z podjęciem tej decyzji.

– Dlaczego mam odrzucić taką propozycję? – zapytałem. Chociaż bardzo niewiele wiedziałem o realnej polityce Imperium, zdawałem sobie sprawę, że młodzi Książęta, przynajmniej na początku kariery, od zawsze łączyli siły z tymi starszymi, i że z czasem takie paktory współpracy dały początek oficjalnym organizacjom, znanym jako Domy. Skoro musiałem wstąpić do Marynarki Wojennej, równie dobrze mogłem zostać członkiem Domu prowadzonego przez jednego z jej wysokich rangą oficerów.

– Ponieważ Imperator ma inne plany wobec Waszej Wysokości – odparła Morojal. – Wymagają one, żeby Wasza Wysokość nie był związany z żadnym z Domów.

– Jakie plany? – zapytałem. Nie zaskoczyło mnie, że Imperator miał wobec mnie szczególne zamiary, ale skoro do abdykacji zostały tylko dwa lata, trzeba było bezzwłocznie rozpocząć przygotowania, abym mógł wstąpić na tron. Z tej perspektywy spędzenie całego roku w Akademii Marynarki Wojennej wydawało mi się marnotrawstwem czasu. – Dacie mi statek i odeślcie mnie stąd?

Potrójne źrenice w oczach arcykapłanki zawirowały niczym naboje w bębnie trzystrzałowego pistoletu.

– Nie – odparła lodowatym głosem. – Zostanie Wasza Wysokość poinformowany o dalszych planach, kiedy zaistnieje taka potrzeba. Na razie wstąpi Wasza Wysokość do Marynarki Wojennej i da z siebie wszystko, dopóki nie nadejdą kolejne instrukcje.

Niemal jednocześnie w mojej głowie poniosły się echem słowa niezostawiające żadnych wątpliwości co do poprawnej interpretacji przekazu arcykapłanki.

„Wstąp do Marynarki Wojennej. Ucz się pilnie. Czekaj na instrukcje «pieczęć Imperialnego Umysłu»”.

– Ale sądziłem, że jako Księżę, mogę podejmować samodzielne decyzje! – wypaliłem. Zamiast pozwalać kapłanom mnie ograniczać, dodałem w duchu.

– Wasza Wysokość się mylił – odparła krótko Morojał. – A kapłani nie ograniczają życia Waszej Wysokości. Wasza Wysokość służy Imperium. A teraz proszę już iść!

Kiedy odzyskałem władzę w kończynach, zacisnąłem palce u rąk i nóg. Wolno sięgnąłem po swoją dość nieświeżą bieliznę i pokryty biotechowym śluzem skafander próżniowy. Nie wyglądały zachęcająco, ale lepsze to niż nic. Kiedy z oporami chwyciłem slipy w dwa palce, u mojego boku pojawił się Haddad z czystą odzieżą. Od razu zauważyłem, że trzymał między innymi moją pierwszą imperialną bluzę mundurową w kolorze bardzo

ciemnego granatu, z fioletową lamówką odpowiednią dla kadeta Marynarki Wojennej Imperium.

Puściwszy bieliznę, rozejrzałem się dookoła. Po arcykapłance Morojal nie było śladu, jakby nigdy nie istniała. Na mostku stał teraz znacznie bardziej wiekowy kapłan ze spuszczonym wzrokiem, który w przeciwieństwie do swojej poprzedniczki nie trzymał wędki.

– Komendant, Księżę Huzand, oczekuje Waszej Wysokości – poinformował mnie Haddad. Nie musiał pytać o nawiązanie połączenia z Imperialnym Umysłem; wyczuwałem jego mentalną obecność. Stanowił element sieci, który zapewniał mi połączenie z Umysłem. Poza nim wszystkie przekładniki pozostawały dla mnie niedostępne. Domyśliłem się, że chwilowo pomagają mu kapłani z akademii, których z czasem mieli zastąpić ci należący do mojej świty.

– W takim razie lepiej pójdę się z nim spotkać – odparłem, gdy już się ubrałem, przełożyłem broń do nowego munduru i dobrze ją umocowałem. – Hm, a co potem?

– Zwykle przed rozpoczęciem szkolenia w akademii kadet otrzymuje mniej więcej tydzień wolnego, żeby zająć się swoimi sprawami.

– Zwykle? Czy ty coś wiesz, Haddadzie?

– Nie mam żadnych potwierdzonych informacji, Wasza Wysokość – odparł mistrz skrytobójców. – Ale przekonałem się, że ta akademia nie jest prowadzona całkowicie zgodnie z zasadami. Oczywiście każdy dowodzący Księżę zostawia sobie znaczną swobodę przy stosowaniu wytycznych obowiązujących w Marynarce Wojennej. Ale wygląda na to, że Księżę Huzand pozwala sobie na więcej od innych, prawdopodobnie dlatego, że ma silne wsparcie na wyższych szczeblach, zajmowanych przez innych członków Domu Dzerrazisa.

– Ale chyba nie może mnie zamordować? – zapytałem, ze wszystkich sił próbując ukryć niepokój. Odkąd zostałem pełnoprawnym Księciem, moja

pewność siebie, która dawniej tylko rosła w siłę, zaczęła szybko słabnąć, a w ostatnim czasie została wyjątkowo mocno nadwątlona. – Ani zabić w pojedynku czy czymś takim?

Haddad nie odpowiedział natychmiast, co mnie nie uspokoiło.

– Książę nie może wyzwąć na pojedynek żadnego młodszego ani starszego oficera z żadnej jednostki w trakcie pełnienia przez niego służby. Poza tym prawo zabrania starszym Książętom zamordować Waszą Wysokość. Mogą jednak wywierać różne formy nacisku na swoich podwładnych. Najlepiej uznać, że ta akademia nie jest tak bezpieczna, jak zakładałem. W związku z tym proszę, żeby Wasza Wysokość przez cały czas utrzymywał połączenie z Imperialnym Umysłem.

– Przecież właśnie to robię – odparłem. – A przynajmniej tak mi się wydaje... Czuję, że komunikacja odbywa się za pośrednictwem ciebie i kapłanów służących w tej świątyni. Co zrobimy, jeśli oni przerwą transmisję?

– Za połączenie odpowiadają już wyłącznie kapłani ze świty Waszej Wysokości – wyjaśnił Haddad. – Dołączyli do nas kilka minut temu, ale nie pojawią się jako odrębne jednostki w łańcuchu przekazu, dopóki Wasza Wysokość nie pozna ich osobiście. Kiedy już do tego dojdzie, Wasza Wysokość będzie mógł nadawać za pośrednictwem każdego z nich bez mojej pomocy.

– Naprawdę mam już swoich kapłanów? To dobrze. A ilu konkretnie?

– Otrzymał ich Wasza Wysokość więcej niż zazwyczaj, bo aż dwunastu – wyjaśnił Haddad. – Z założenia wielkość tego przydziału powinna być przypadkowa, różna w zależności od liczby nowych Książąt na danym obszarze, dostępności kapłanów i tym podobnych. Jednakże większość nowych Książąt ma szczęście, jeśli w pierwszym roku urzędowania dostanie więcej niż jednego kapłana do pomocy.

– A ja mam tuzin?

Chociaż twarz Haddada nie wyrażała zaskoczenia, moim zdaniem zostałem potraktowany wyjątkowo. Przydzielono mi dwunastokrotnie więcej kapłanów niż innym początkującym Książętom. Może byłem jeszcze bardziej niezwykły, niż mi się wydawało. Moja pewność siebie i wrodzone poczucie wyższości, pielęgnowane przez tyle czasu w świątyni szkoleniowej, zaczęły wracać z pełną mocą.

Niestety, brak pokory nie sprzyjał przetrwaniu.

– To także... dość niezwykle... że wszyscy kapłani Waszej Wysokości należą do jednego wymiaru, mianowicie do Wymiaru Wewnętrznego Wędrowca.

– Nie służą w Wymiarze Szlachetnego Wojownika? Przecież to jego świątynia.

Nie dodałem, że arcykapłanka, którą spotkałem wcześniej, przewodziła Wymiarowi Wprawnej Ręki Imperatora. Uznałem, że później będzie na to mnóstwo czasu. Poza tym zależało mi, aby odbyć tę rozmowę w cztery oczy. Bardzo mnie intrygowało, dlaczego arcykapłanka pozwoliła mi wyjawić prawdę Haddadowi, i chciałem poznać jego opinię na ten temat. Czułem, że tylko jemu mogę zaufać, zważywszy, jak wiele już zrobił, żeby zachować mnie przy życiu.

Poza tym to Imperialny Umysł decydował o przydziale każdego mistrza skrytobójców, a więc sam Imperator wybrał dla mnie Haddada. I także z tego względu sądziłem, że kapłan mnie nie zdradzi. Chociaż po tym, jak nawiązałem połączenie z Imperialnym Umysłem, zaczęły mnie dręczyć wątpliwości. Czy głos, który rozlegał się w mojej głowie, istotnie był głosem Imperatora? Nie brzmiał tak, jakby należał do konkretnej osoby. Właściwie kiedy nawiązywałem z nim połączenie, miałem wrażenie, że słyszę własne myśli.

– We wszystkich świątyniach zawsze przebywają także kapłani z innych wymiarów – wyjaśnił Haddad. – Co nie zmienia faktu, że każda z nich jest

poświęcona konkretnemu wymiarowi i zarządzana przez należących do niego kapłanów.

– Więc mam tuzin kapłanów z Wymiaru Wewnętrznego Wędrowca. Jeśli się nie mylę, specjalizują się w psychotechnu, w systemach łączności i kontroli Marynarki Wojennej. Mam rację? To nawet ma sens.

– W efekcie świta Waszej Wysokości jest bardzo słaba w biotechnu i mechtechnu – zauważył Haddad. – Ale być może tę słabość równoważy silne i wysoce redundantne połączenie z Imperialnym Umysłem. Tak czy inaczej, Wasza Wysokość pozna wszystkich kapłanów, gdy tylko otrzyma zakwaterowanie. Mam nadzieję, że z czasem dołączą do nas kolejni, z innych wymiarów, a mnie uda się zrekrutować kilku uczniów z pobliskiej Świątyni Wymiaru Zacienionego Ostrza.

– Świetnie – mruknąłem. – A jak mogę zdobyć kolejnych kapłanów? I ilu wolno mi mieć... znaczy się w sumie?

– Jak już wspomniałem, podstawowy przydział jest dość przypadkowy – odparł Haddad. – Kolejny może zostać przyznany Waszej Wysokości przez przełożonych z Marynarki Wojennej za wykonanie konkretnych zadań albo przez Imperialny Umysł w nagrodę. Ponadto niektóre imperialne wyróżnienia przychodzą wraz z kontyngentem kapłanów albo innych członków świty. Warto pamiętać, że kapłani mogą zostać odebrani na podobnych zasadach. Z kolei liczba uczniów, których może dobrać sobie mistrz skrytobójców, zależy od jego rangi.

– A ilu może terminować u ciebie? – zapytałem.

– Zasadniczo mistrzowie mogą przyjmować na naukę od czterech do czterdziestu ośmiu nowicjuszy, po czterech naraz, Wasza Wysokość – odparł Haddad.

– Więc ilu? – powtórzyłem.

Haddad się zawahał, co mnie zaintrygowało. Sądziłem, że mistrz skrytobójców musi natychmiast odpowiadać swojemu Księciu. A także

bezzwłocznie wykonywać jego polecenia.

– Trzydziestu sześciu, Wasza Wysokość – wyznał bardzo cicho, żeby nie usłyszał go kapłan stojący na mostku. – Ale będzie najlepiej, jeśli Wasza Wysokość zachowa tę wiedzę dla siebie.

Więc Haddad istotnie był bardzo doświadczonym mistrzem skrytobójców. Dlaczego przydzielono go właśnie mnie? I dlaczego moje połączenie z Imperialnym Umysłem zainicjowała arcykapłanka, stojąca na czele wymiaru, z którego istnienia nie zdawałem sobie sprawy?

Wszystko wydawało mi się bardzo zagadkowe i choć działało się to niezwykle wolno, w końcu zaczęło do mnie docierać, że muszę dowiedzieć się więcej o tym, co znaczy być Księciem Imperium. Właściwie potrzebowałem jak najwięcej informacji o samym Imperium.

Moja młodzięcza naiwność i impertynencja nabyta w procesie, który uczynił ze mnie Księcia, połączyły się w imponujący mur ignorancji. Ale ten mur właśnie zaczął pękać. Rozumiałem już, że wcale nie muszę być najwspanialszą istotą w galaktyce, a także zdałem sobie sprawę, że jestem równie niedoinformowany co byle karaluch. Mimo wszystko zamierzałem dowieść, że nie można unicestwić mnie równie łatwo jak te nieciekawe insekty o czarnych pancerzach, które wszędzie towarzyszyły ludzkości.

Jeśli miałem prosperować, czy choćby tylko przetrwać, musiałem stać się znacznie mądrzejszy.

Niestety, zdobywanie mądrości wymaga czasu, a mnie bez wątpienia przydałoby się znacznie więcej oleju w głowie już przed kolejnym spotkaniem z siłami, które miały ukształtować moje życie. Na tym etapie uosabiał je Książę Huzand, kapitan Marynarki Wojennej Imperium i komendant Akademii Marynarki Wojennej Królestwa Kwanantil.

Rozdział 4

Szybko pokonaliśmy kolejny wydrążony w kamieniu tunel prowadzący ze świątyni do Akademii Marynarki Wojennej i dotarliśmy do masywnych drzwi. Kiedy się zbliżyłem, dwóch kawalerzystów mechbio stanęło na baczność, a potężna metalowa płyta wzmocniona biotechnowymi zbrojeniami przesunęła się na bok. Idealnie prostokątny korytarz po drugiej stronie tonął w rzęsimym świetle. Tutaj nagie skalne ściany wyłożono gładkimi biotechnowymi panelami, między którymi gdzieniegdzie widniały metalowe płyty skrywające różne przejścia czy też magazyny ze sprzętem na sytuacje awaryjne.

Czterech kawalerzystów mechbio stanęło na baczność, podczas gdy wyraźnie znudzony Książę w mundurze ze srebrnymi epoletami wstał zza biotechnowego biurka, które zdawało się wyrastać prosto z ziemi. Wykonał jakiś bliżej nieokreślony gest w powietrzu, prawdopodobnie salutując. Dzięki transmisji telepatycznej dowiedziałem się, że to Książę Janok, służący w stopniu starszego chorążego.

– Spóźniłeś się sześć i pół minuty, kadecie Kemri – powiedział cierpko. Przyjrzał mi się uważniej, zanim dodał: – Co ty masz na twarzy?

Breja, którą stałem już wcześniej, zostawiła po sobie paskudny jasnozielony ślad znaczący połowę mojej buzi. By go usunąć, potrzebowałem nanooczyszczalników.

– Biotechnowy żel trawienny – odparłem. – Ktoś próbował mnie zamordować w świątyni. Doprowadzę się do porządku, zanim...

– Nie ma na to czasu – przerwał mi Książę Janok. – Komendant rozkazał, żebyś natychmiast się zameldował. I mówisz, że próbowali cię

zabić? Dla mnie to wygląda tak, jakbyś zwyczajnie wpadł do recyklingowego bagna.

– Nie, most, po którym szedłem, został zniszczony...

– Zachowaj to do swojej biografii – skwitował Janok. – I rusz się.

Jednocześnie przesłał mi podświetlaną nakładkę wskazującą drogę do celu. Mogłem przywołać ją w dowolnym momencie, a wtedy pojawiała się przed moimi oczami.

– Dziękuję – powiedziałem.

Nie uraczył mnie odpowiedzią. Wrócił tylko za swoje biurko z wystudiowaną obojętnością.

Kiedy biegłem białym korytarzem, wspominałem swoje dwa pierwsze spotkania z Książętami. Oba okazały się zaskakujące. Nie spodziewałem się bowiem ujrzeć żadnego z nich przy wykonywaniu tak niewdzięcznych zadań jak dowodzenie patrolem kawalerzystów mechbio czy, co gorsza, ślęczenie za biurkiem w niechlubnej roli portiera.

Wszystkie materiały dotyczące życia Książąt Imperium, które miałem dotąd okazję przeczytać albo obejrzeć, prezentowały ich na mostkach kapitańskich potężnych okrętów wojennych albo w okazałych centralach ogromnych przedsiębiorstw, którymi kierowali w otoczeniu usłużnych kapłanów. Nie przyszło mi nawet do głowy, że przed wzniesieniem się na te wyżyny każdy z nich musiał pokonać liczne szczeble drabiny władzy.

Można chyba uznać, że doznałem olśnienia. Zajęty analizowaniem nowych danych, skręciłem za róg, pokonałem kolejny biały korytarz, zszedłem z platformy (sprawdziwszy ją uprzednio, zanim zdążył to zrobić Haddad) i minąłem następną parę kawalerzystów mechbio. Na koniec przeszedłem przez jeszcze jedne masywne, zbrojone drzwi i dotarłem do sekretariatu biura komendanta.

Także trzecie spotkanie z przedstawicielką książęcej kasty nie natchnęło mnie optymizmem. Była to trzecioroczna kadetka w mundurze ze

srebrnymi epoletami. Siedziała za antycznym biurkiem z lśniącego mahoniu ustawionym w głębi sekretariatu. Oczywiście mebel mógł być równie dobrze udaną biotechową reprodukcją. Na ścianie po lewej stronie biurka wisiała bardzo długa tablica pamiątkowa, najprawdopodobniej wykonana z prawdziwego drewna. Na samej górze widniał napis „WYBITNI KADECI TRZECIEGO ROKU”, a pod nim ciągnęły się imiona zapisywane tam od mniej więcej stu lat. Jakiś kapłan starannie kaligrafował właśnie złote litery tworzące imię ostatniej prymuski.

Brzmiało: „Atalin”.

Prychnąłem, obiecując sobie w duchu, że nigdy nie będę takim lizusem. W końcu kto by chciał, żeby jego imię widniało na zabytkowym kawałku drewna?

W pomieszczeniu pracowało także co najmniej dwudziestu innych kapłanów. Rozłokowani pod ścianą, zajmowali się psychotechowymi wizualizacjami i mechtechowymi projekcjami, zapewne odpowiedzialnymi za działanie różnych systemów wewnątrz akademii i na jej obrzeżach.

Kiedy zbliżyłem się do biurka, odebrałem transmisję Księżniczki. Miała na imię Lucisk. Podobnie jak Atalin służyła w stopniu starszego chorążego i wróciła niedawno z rocznej służby operacyjnej w Marynarce Wojennej, żeby rozpocząć zaawansowane szkolenie w akademii.

– Księżę Kemri – zwróciła się do mnie, wstając. – Komendant zaraz cię przyjmie. Mistrzu Haddadzie, napijesz się czegoś?

– Nie, dziękuję, Wasza Wysokość – odparł kapłan. Usunął się na bok, a kiedy uniosłem pytająco brew, delikatnie skinął głową. Najwyraźniej świeżo upieczony Księżę i kadet nie zabierał swojego mistrza skrytobójców na spotkanie z komendantem akademii. Kiedy się nad tym zastanowiłem, stwierdziłem, że nie widziałem przy Księżciu Janoku żadnych mistrzów, ani nawet nowicjuszy. Także tutejsi kapłani nie wyglądali mi na skrytobójców. Wzdrygnąłem się, zaniepokojony. Zdążyłem się uzależnić od Haddada,

a jeśli nie mogłem korzystać z jego usług na terenie akademii, to nie wróżyło nic dobrego.

Sprawdziłem jakość połączenia z Imperialnym Umysłem. Ciche brzęczenie tuż za moimi gałkami ocznymi i u podstawy czaszki było znakiem, że przebiegało ono bez zakłóceń. Bez względu na to, co mnie czeka, zostanie zarejestrowane w Imperialnym Jądrze i w razie konieczności będzie mogło zostać odtworzone. Gdyby przytrafiło mi się coś potwornego, sprawiedliwości stałoby się zadość.

Poza tym nawet gdybym zginął, zapewne bym się odrodził. Także w tym temacie nie znałem szczegółów. Wiedziałem natomiast, że jeśli zdołam zachować połączenie, zostanę później wskrzeszony, oczywiście pod warunkiem że kapłani Wymiaru Wprawnej Ręki uznają moje istnienie za użyteczne. A skoro nie zdążyłem jeszcze nic przeszkrobać, byłem pewien, że otrzymałbym kolejną szansę.

No, może prawie pewien.

Bardziej niepokoiło mnie to, że nie wiedziałem, co by się stało, gdybym przeżył, ale został poważnie ranny. Chociaż w wyniku modyfikacji systemu nerwowego mogłem pochwalić się bardzo wysoką tolerancją na ból, nie byłem na niego całkiem uodporniony. Stanowił on ważny element systemu ostrzegawczego, więc nie można było go po prostu wyeliminować.

Pogrążony w tych jakże pokrępiających myślach, omal nie wpadłem na sklonowanego biotechową techniką ogara, który leżał przy drzwiach. Okazała, sześcioroga bestia o szczękach wielkości mojego torsu warknęła wściekle i zaczęła się podnosić, kiedy omijałem ją chwiejnym krokiem.

– Trubadur, leżeć! – polecił komendant. Czekał na mnie w głębi wielkiego, spartańskiego pomieszczenia, prawie całkiem ogołoczonego z mebli i ozdób. Podłogi, sufit i ściany były wyłożone boazerią. Niektóre z desek zostały podświetlone, więc w biurze panowało łagodne,

rozproszone światło. W jednym z kątów zauważyłem samotny mechtechowy fotel dowodzenia. Po bokach stali dwaj kapłani.

Komendant na środku pomieszczenia robił imponujące wrażenie i wydawał się znacznie wyższy od wszystkich Książąt, których miałem okazję poznać. Dopiero po chwili zorientowałem się, że mój przyszły przełożony zawdzięczał ten efekt podwyższeniu, opadającemu łagodnie do miejsca, w którym stałem. Podest dodawał mu co najmniej dziesięć centymetrów, których mógłbym go z łatwością pozbawić, gdybym tylko się do niego zbliżył. Nie zamierzałem jednak tego robić, ponieważ kątem lewego oka dostrzegłem wizualny schemat przesłany przez jednego z kapłanów. Ukazywał linię biegnącą wzdłuż sali kilka kroków przede mną i migający napis: „KADETOM NIE WOLNO PRZEKRACZAĆ TEJ LINII”.

– Jestem Książę Kemri – odezwałem się niepotrzebnie. Podobnie jak ja odebrał telepatyczną transmisję danych. Wiedział, z kim ma do czynienia, tak jak ja miałem świadomość, że patrzę na Księcia Huzanda, kapitana Marynarki Wojennej Imperium, Bohatera Imperium Trzeciej Klasy, Nowicjusza w Sztuce Wojennej (w jednostce artyleryjskiej), członka Domu Dzerrazisa, uhonorowanego Cynobrową Odznaką za Rany i tak dalej.

– Chciałeś powiedzieć: „Kadet Kemri melduje się na rozkaz, sir” – poprawił mnie Huzand. – Spóźniłeś się. I czemu masz brudną twarz?

– To biotechowy żel trawienny, sir – wyjaśniłem. – Ktoś próbował mnie w nim utopić, kiedy zmierzałem do świątyni.

Huzand posłał mi gniewne spojrzenie. Martwiłem się wcześniej, że mogę nie należeć do najprzystojniejszych Książąt, ale w porównaniu z nim wypadałem naprawdę nieźle. Jego głowa odrobinę przypominała mi głąb karruskańskiej kapusty, którą tak bardzo lubił wuj Koleport, mój ostatni nauczyciel w czasach, kiedy byłem dopiero kandydatem na Księcia. Ale poza tym prezentował się bardzo elegancko w pełnym mundurze galowym,

ozdobionym podświetlonymi medalami. U boku miał rażąco białą kaburę, w której nosił przestarzały o tysiące lat rewolwer na proch strzelniczy. Na jego uchwycie z kości słoniowej w widocznym miejscu widniał napis, który mogłem odczytać dzięki nakładce wizualnej: „DAR OD IMPERATORA DLA UTALENTOWANEGO ZWADŹCY, KSIĘCIA HUZANDA, WRĘCZONY Z OKAZJI JEGO PIĘTNASTEGO ZWYCIĘSTWA W POJEDYNKU”.

– Imperialny Umysł nie zarejestrował takiej próby morderstwa – powiedział. – Zresztą...

– Doszło do tego, zanim nawiązałem połączenie z Umysłem... – zacząłem.

– Cisza! – wrzasnął Huzand, którego głowa przypominała obecnie czerwony głąb karruskańskiej kapusty. Nie było dla mnie jasne, dlaczego pozwalał, żeby tak zmieniała mu się twarz. Może lubił tak wyglądać. Bez trudu mógł powstrzymać reakcję naczyń włosowatych. – Nadal nie zameldowałeś się jak należy. Otrzymujesz więc jeden punkt karny, a kolejny za niestosowny wygląd.

Wychwyciłem transmisję danych między Huzandem a jednym ze stojących nieopodal kapłanów, który następnie przekazał wszystko Imperialnemu Umysłowi. Sprawdziłem, czego dotyczył komunikat. Okazało się, że nie było to nic dobrego. Przy okazji dowiedziałem się, że oficjalnie zaciągnąłem się do Marynarki Wojennej w chwili, gdy przekroczyłem próg biura Huzanda. Chociaż wydarzyło się to stosunkowo niedawno, już miałem kłopoty. Moje akta prezentowały się bowiem następująco:

Odnutowane zwerbowanie młodszego kadeta Księcia Kemriego „identyfikator” w szeregach Marynarki Wojennej Imperium.

Założenie akt w Marynarce Wojennej o godzinie 10:47:05 lokalnego czasu Imperium.

Zgłoszenie punktu karnego do akt w Marynarce Wojennej przez przełożonego Huzanda „identyfikator” o godzinie 10:47:50 czasu lokalnego Imperium.

Zgłoszenie punktu karnego do akt w Marynarce Wojennej przez przełożonego Huzanda „identyfikator” o godzinie 10:48:05 czasu lokalnego Imperium.

Przesłałem zapytanie do Umysłu, żeby sprawdzić, co konkretnie oznaczają punkty karne, i dowiedziałem się, że decydują o moim ewentualnym sukcesie w akademii, a także o końcowym wyniku przekładającym się na nagrody i awanse. Mnie jednak najbardziej zainteresowała wzmianka o tym, że każdy taki punkt jest równoznaczny z tygodniowym zakazem opuszczania koszar.

No bo po co w ogóle być Księciem Imperium, jednym z panów całej przeklętej galaktyki, skoro można zostać uziemionym przez taką bzdurę?

– I tak nigdy nie chciałem wstąpić do Marynarki Wojennej – oświadczyłem. – Którędy się stąd wychodzi?

Chociaż powiedziałem to głośno, przesłałem także komunikat do Imperialnego Umysłu. Odpowiedź, naturalnie, mi się nie spodobała.

„Służba zasadnicza musi zostać ukończona z rozkazu Imperatora”.

– Wierzę, że nie chciałeś wstępować do Marynarki Wojennej, kadecie Kemri – odparł Huzand. – I jestem pewien, że Marynarka nie chce ciebie w swoich szeregach. Przypuszczam, że znacznie lepiej poradziłbyś sobie w jakimś Rządzie Kolonialnym. Dokonałeś jednak takiego wyboru, a Imperator go zaakceptował. Musimy więc spróbować zrobić z ciebie oficera. Zacziesz od należytego zameldowania się.

Milczałem przez kilka sekund. Nadal gotowałem się ze złości. Częściowo byłem wściekły na siebie. Miałem spędzić cały rok w tym miejscu i odpowiadać przed Huzandem oraz każdym, kto mu podlegał!

Ale w tak krótkim czasie Księżę może naprawdę bardzo wiele przemyśleć. Przy okazji mój gniew osłabł, a ostatecznie przerodził się w coś na kształt akceptacji. Wiedziałem, że jeśli postawię się Huzandowi, tylko pogorszę sytuację. Otrzymałem już dwa punkty karne, a po pobieżnym zapoznaniu się z informacjami o akademii wiedziałem, że mogę spodziewać się rzeczy gorszych od zakazu opuszczania koszar.

– Kadet Kemri melduje się na rozkaz, sir! – zagrzemiałem.

– Tak lepiej – stwierdził Huzand. – Widzę, że masz niezwykle kompetentnego mistrza skrytobójców... Czy zaproponowano ci już protektorat Domu?

Dzięki szczątkowej edukacji, którą mi zapewniono, wiedziałem, że Książęta często tworzyli stowarzyszenia współpracy nazywane Domami. Była to jedyna forma rodziny, na jaką mogliśmy sobie pozwolić. Nie wiedziałem jednak, jak funkcjonowały, na jakich zasadach się do nich wstępowało ani ile ich było. Właściwie nie miałem żadnych przydatnych informacji na ten temat. Oczywiście mogłem bezzwłocznie skonsultować się z Imperialnym Umysłem, ale przekopywanie się przez mnóstwo danych podczas prowadzenia rozmowy nie jest łatwe, a ja nie opanowałem jeszcze tej sztuki.

Później przesłałem zapytanie w tej sprawie i dowiedziałem się, że istnieje ponad tysiąc Domów. Niektóre powstały w wyniku porozumienia zawartego między ledwie kilkunastoma Książętami, ale te najważniejsze zrzeszały dziesiątki tysięcy członków i często miały dość surowo określone hierarchie, zwyczaje oraz obowiązki. Dom Dzerrazisa plasował się mniej więcej pośrodku listy, z piętnastoma tysiącami członków i czteropoziomową strukturą członkowską. Huzand faktycznie był prawą ręką Księcia Dzerrazisa, kontradmirała i dowódcy Floty Kwadrantu Nazhiz.

– Nie, sir.

– Interesujące – stwierdził Huzand. – Naprawdę nie masz żadnego protektora w Imperialnym Jądrze? Żaden starszy Książę nie wziął cię pod swoje skrzydła? Widzę, że od twojej inwestytury minęło kilka dni, a mimo to dopiero teraz skontaktowałeś się z Umysłem.

– Właśnie tak, sir.

– Bardzo dobrze. Jestem gotowy puścić w niepamięć twoje niechlujstwo i początkowy brak rozwagi i wspierać rozwój twojej kariery. Proponuję ci więc dołączenie do Domu Dzerrazisa, oczywiście na okres próbny. Wystarczy, że wyrazisz zgodę, a Imperialny Umysł wszystko zarejestruje.

– Odmawiam, sir – odparłem zdecydowanie za szybko. Gdybym miał trochę więcej sprytu, nie spieszyłbym się z odpowiedzią.

– Odmawiasz? – zdumiał się Huzand. Kapuściana głowa ponownie zaczęła nabierać czerwonego odcienia. – Jesteś pewien?

– To znaczy nie chcę już teraz o tym decydować – wyjaśniłem, podejmując nieco opóźnione działanie ratunkowe. – Potrzebuję czasu do namysłu, sir.

– Prawie wszyscy kadeci Akademii Marynarki Wojennej Królestwa Kwanantil są dumnymi członkami Domu Dzerrazisa – wyjaśnił Huzand. – Podobnie jak wielu oficerów należących do personelu szkoleniowego.

Cudownie. Odrzucenie zaproszenia skazywało mnie na życie na marginesie. Tak czy inaczej, arcykapłanka przerażała mnie znacznie bardziej od komendanta Huzanda, a w końcu to ona kazała mi odmówić.

– Mimo wszystko muszę to przemyśleć, sir.

– Jak sobie życzysz. Zaproszenie prawie na pewno nie zostanie ponowione.

Na moment odwrócił głowę, a ja wychwyciłem strzęp komunikatu telepatycznego. Najwyraźniej zasięgnął informacji na mój temat, ponieważ kiedy znów na mnie spojrzął, powiedział:

– Wiem, że dotarłeś do Kwanantil na pokładzie statku należącego do gubernatora tego systemu. Zgadza się?

– Tak jest, sir – odparłem. Rzeczywiście razem z Haddadem podróżowaliśmy okrętem Księcia Achmira. Wątpiłem jednak, czy on zdawał sobie z tego sprawę.

Skoro nadarzyła się okazja, wykorzystałem mikrosekundę na przesłanie zapytania do Imperialnego Umysłu. Chciałem się dowiedzieć, z jakim Domem sympatyzuje gubernator.

„Książę Achmir «identyfikator», członek zwyczajny Domu Vetetezka «identyfikator»”.

Wyglądało na to, że Achmir nie żywił ciepłych uczuć do Huzanda i Domu Dzerrazisa. Zaintrygowany, poprosiłem o dalsze informacje. Dom Vetetezka zrzeszał więcej członków od Domu Dzerrazisa, miał dłuższą historię, a przewodził mu Książę Vetetezk XXII, gubernator całej Rubieży, liczący sobie ponad czterysta lat. Po pobieżnym przeanalizowaniu danych odkryłem, że prawie wszyscy jego członkowie pełnili funkcję gubernatorów Imperium, więc mało prawdopodobne, żeby byli wrogami Domu, który zrzeszał Książęta z Marynarki Wojennej. Nie miałem jednak wystarczającej wiedzy, żeby zyskać pewność. Przypuszczalnie było to znacznie bardziej skomplikowane.

– Przetransportowany przez Achmira i wspierany przez legendarnego mistrza Haddada – mruknął Huzand.

Zachowałem kamienną twarz. Legendarny mistrz Haddad? Wiedziałem, że był doświadczonym skrytobójcą, w dodatku bardzo dobrym w swoim fachu. Ale skoro Huzand nazwał go legendarnym, to musiało coś znaczyć.

Komendant zrobił taką minę, jakby chciał mnie przeszyć wzrokiem. Pewnie sądził, że złamię się pod wpływem jego gniewnego spojrzenia i wyznam, że w tajemnicy byłem wspierany przez Księcia Achmira i Dom

Vetetezka, którzy spiknęli mnie z Haddadem, i właśnie z tego powodu nie zamierzałem dołączyć do Domu Dzerrazisa, czy też coś w tym stylu.

Zrobił dwa kroki w moją stronę – nie więcej, gdyż nie zamierzał zejść ze swojego podwyższenia i stanąć na równi ze mną – po czym jeszcze uważniej przyjrzał się mojej poplamionej szlamem twarzy.

– Kogoś mi przypominasz – powiedział. – Chociaż dokładnie nie wiem...

Wyczułem, że zwrócił się do Imperialnego Umysłu z prośbą, by ten umożliwił mu porównanie wizualne. Z całej transmisji odebrałem jedynie swój identyfikator, co było dla mnie interesujące, bo po raz pierwszy miałem okazję się przekonać, że telepatyczne rozmowy można podsłuchiwać.

Chwilę później Huzand zmarszczył czoło. Nie miałem pojęcia, czy był zirytowany, ponieważ nie zdołał zaspokoić ciekawości, czy może wręcz przeciwnie: właśnie dowiedział się czegoś, co mu się nie spodobało.

– Zdajesz sobie sprawę, że Książętom nie wolno rzeźbić ciała?

– Tak jest, sir – odparłem. Poza tym, że było to zakazane, wiedziałem tylko tyle, że zwykle, w zależności od efektu, jaki chciało się osiągnąć, cały proces trwał co najmniej kilka tygodni. – Z tym że ja dopiero co opuściłem swoją świątynię szkoleniową.

– Tak, nie miałeś wystarczająco dużo czasu ani możliwości, jeśli rzeczywiście wsiadłeś na statek zmierzający tutaj prosto z Torongir Trzeciego. Ale tak się zastanawiam...

– Nad czym się pan zastanawia, sir? – zapytałem, chcąc wyjść na uprzejmego. Mina Huzanda sugerowała, że nie docenił mojego wysiłku.

– Nie twoja sprawa, kadecie! Bezzwłocznie dołączysz do klasy 2645 sekcji siódmej. Moja adiutantka poda ci wszystkie szczegóły. Odmaszerować.

Machnął na mnie ręką. Ponieważ nie byłem jeszcze zaznajomiony z musztrą, odmachalem mu. Okazało się jednak, że on nie salutował, tylko wykonał gest oznaczający: „zejdź mi z oczu”, więc ostatecznie nie docenił mojego zaangażowania.

– Idź! – huknął Huzand, wskazując drzwi.

Nie musiał mi tego mówić dwa razy. Wyszedłem natychmiast. Podążył za mną biotechowy ogar, więc odwróciłem się w jego stronę i przesłałem psychotechową komendę, która zmusiła stworzenie do wykonania gwałtownego siadu. Dzięki temu zyskałem pewność, że moja edukacja nie była całkowitą stratą czasu. Może i byłem ignorantem w wielu sprawach, ale przynajmniej potrafiłem powstrzymać genetycznie zmodyfikowaną psią bestię.

Księżniczka Lucisk czekała na mnie w sekretariacie. Gdy tylko ją ujrzałem, przesłała mi mnóstwo informacji o klasie 2645 sekcji siódmej, do której miałem dołączyć. Przy okazji dowiedziałem się, że mam niezwłocznie zameldować się w koszarach Tanruz, co nie wprawiło mnie w dobry nastrój, ponieważ oznaczało, że nie będę miał czasu rozgościć się w swojej prywatnej kwaterze.

Lucisk przekazała mi także początkowy plan zajęć. Wynikało z niego, że miałem godzinę na urządzenie się w koszarach, a potem czekała mnie pierwsza lekcja musztry i etykiety Marynarki Wojennej. Pierwszy miesiąc miał być poświęcony głównie rytuałom, ceremoniom i musztrze, chociaż mogłem liczyć także na udział w kilku ciekawszych zajęciach, dotyczących między innymi podstawowych zasad pilotowania statków jednozałogowych czy wstępnych taktyk wewnętrzssystemowych. Niestety, znaczna część szkolenia z zakresu musztry i innych nudnych rzeczy nie opierała się na szybkim pobieraniu oprogramowania, tylko na ćwiczeniach praktycznych. Przekląłem, kiedy to do mnie dotarło, chociaż wiedziałem, że żaden program nie może się równać z doświadczeniem.

– Masz swój grafik, kadecie. Witaj w akademii – powiedziała Lucisk. – Mistrzu Haddadzie, będziesz musiał się spotkać z wujem Gerekuzem w związku z przydziałem prywatnego zakwaterowania dla Księcia Kemriego.

– Dziękuję, Wasza Wysokość, ale skontaktowałem się już z Gerekuzem i otrzymałem odpowiednie zakwaterowanie – odparł Haddad. – Chociaż sędzę, że skoro mój Książę otrzymał dwa punkty karne, nie będzie miał szansy z niego skorzystać przez kilka najbliższych tygodni.

– Istotnie – przyznała Lucisk głosem wyzutym z emocji. – Lepiej już idź, kadecie Kemri, jeśli nie chcesz popełnić kolejnych przewinień.

– No tak, chyba powinienem – odparłem. – Dzięki.

Już na korytarzu Haddad przysunął się do mnie.

– Wasza Wysokość musi poznać swoich kapłanów – oświadczył. – Radzę nadłożyć drogi i wstąpić na moment do prywatnego apartamentu Waszej Wysokości. Będzie miał Wasza Wysokość co prawda mniej czasu na rozgoszczenie się w koszarach, ale moim zdaniem znacznie ważniejsze jest utworzenie kolejnych połączeń z Imperialnym Umysłem.

– Pewnie – odparłem, kolejny raz przyjmując niefrasobliwy ton mojego ulubionego bohatera, który być może istniał wyłącznie w świecie fantazji, Księcia Garikma XXXII. – Poza tym co oni mogą mi zrobić?

Wkrótce się okazało, że całkiem sporo.

Rozdział 5

Koszary Tanruz bardzo różniły się od wystawnego apartamentu, w którym mogłem spędzać czas poza służbą. Właściwie przypominały wyrytą w skale jaskinię. Stojące w rzędzie skromne łóżka oddzielały od siebie jedynie biotechowe schowki. W jednym rogu z sufitu kapała woda, a całe pomieszczenie tonęło w ostrym świetle mechtechowych jarzeniówek, zawieszonych nad każdym łóżkiem.

Kiedy dotarłem na miejsce, jakaś kadetka w mundurze ozdobionym brązowymi epoletami, a nie srebrnymi jak u Lucisk czy Janoka, prowadziła kazanie ośmiu kadetom, którzy przez kolejny rok mieli uczyć się ze mną w jednej klasie. Kadeci stali przy swoich łóżkach w różnych pozach, wyrażających brak zainteresowania, irytację albo złość. Prawdopodobnie tak jak ja przeżyli rozczarowanie, kiedy odkryli, że bycie kadetem w Marynarce Wojennej w zasadzie odbiera wszystkie książęce przywileje, przynajmniej w czasie pełnienia służby.

Od razu sprawdziłem ich dane. Miałem już czystą twarz dzięki wujowi Krugalowi, jednemu z nowych kapłanów z mojej świty, doświadczonemu w usuwaniu niebezpiecznego materiału, chociaż tak jak sądził Haddad, powinien był się tym zająć specjalista od biotechu, którego nam brakowało. Skoro jednak psychotechowe nanoskrobanie odniosło pożądany skutek, wiedziałem, że to nie zielona plama wywołała grymas na twarzy Księżniczki Jesmur służącej w stopniu podchorążego.

– Kadecie Kemri! Pięć minut spóźnienia. Zajmij miejsce przy swoim łóżku.

– Tylko pięć minut! – wykrzyknąłem. – To lepiej niż ostatnio. Ee, a które to moje łóżko?

Zapytałem, ponieważ nie miałem nakładki, która wskazywałaby właściwe miejsce, chociaż oczywiście tylko jedno łóżko czekało jeszcze na swojego właściciela. Można to nazwać jedną z pierwszych lekcji, która nauczyła mnie, że zbytnie poleganie na techowych nakładkach może być niebezpieczne i zdecydowanie lepiej jest włączyć myślenie.

„Zgłoszenie punktu karnego do akt w Marynarce Wojennej przez przełożoną Jesmur «identyfikator»”.

– Za co? – zaprotestowałem, podchodząc niespiesznie do łóżka.

– Za bezczelność wobec oficera wyższego rangą – wyjaśniła Jesmur. – Zachowuj się tak dalej, a cała klasa poniesie konsekwencje.

Pięć Księżniczek i troje Książąt spojrzało na mnie bez cienia sympatii. Wszyscy się różniliśmy od siebie nawzajem. Mieliśmy różny kolor skóry, włosów i oczu, począwszy od ciemnowłosej Księżniczki Aliad o niezwykle czarnej cerze i tęczęwkach barwy hebanu, a skończywszy na żółtookiej Księżniczce Fyrmis o pomarańczowej karnacji i całkiem łysej czaszce, która na niektórych planetach nie była niczym niezwykłym. Ze swoją brązową skórą i piwnymi oczami plasowałem się gdzieś pośrodku grupy. W tamtym czasie nosiłem jeszcze długie włosy, które wiązałem w kucyk. Dopiero później, kiedy zaznajomiłem się z trendami panującymi w Imperium, zasadniczo powielającymi te z czasów dawnej Ziemi, ogoliłem prawie całą głowę, zostawiając jedynie wąski pasek pośrodku. Według mojego stylisty fryzurę tę nazywano irokezem, chociaż nie było wiadomo, co to konkretnie znaczy, ponieważ etymologia słowa przepadła w odmętach historii.

Szybko się zorientowałem, że różniliśmy się nie tylko wyglądem, ale także umiejętnościami, i że nawet w procesie tworzenia Książąt nie było mowy o równości. Chociaż wszyscy zostaliśmy ulepszeni w ten sam

sposób, systemy wzmacniające nasze ciała rozwijały się inaczej, w zależności od materiału genetycznego każdego z nas. I tak niektórzy Książęta z mojej klasy byli ode mnie szybsi, silniejsi i zapewne także mądrzejsi. Troje z nich było wyższych, dwoje niższych, a pod względem urody wyprzedzało mnie czworo, jeśli przyjąć klasyczne kanony piękna, takie jak symetria rysów.

O starszeństwie w naszej grupie decydowała data mianowania na Księcia lub Księżniczkę. Ku niezadowoleniu większości moich koleżanek i kolegów, którzy dotarli ze swoich świątyn szkoleniowych do akademii przede mną, to właśnie ja zajmowałem drugą pozycję w hierarchii, zaraz po Charozie o świńskiej twarzy, który został Księciem ledwie kilka godzin przede mną.

W oczach Charoza igrały złośliwe chochliki, a ja byłem przekonany, że znienawidził mnie do cna już na samym początku, prawdopodobnie dlatego, że nieumyślnie prychnąłem, kiedy mi się przedstawił. Ponadto, jak już wspomniałem, trochę przypominał prosię.

Poza nim nikt zbyt nie wyróżniał się z grupy. Z wyjątkiem Księżniczki Tyrto wszyscy dołączyli do Domu Dzerrazisa. Sądząc po datach przyjęcia do stowarzyszenia, uznałem, że komendant Huzand musiał złożyć im taką samą propozycję jak mnie, a oni ją przyjęli.

Z kolei Tyrto należała do Domu Tivanda. Domyślałem się, że zyskała taką możliwość podczas podróży do akademii, kiedy jeszcze nie wiedziała, że będzie to działać na jej niekorzyść. Później się okazało, że częściowo miałem rację. Księżniczka istotnie dołączyła do Tivanda po opuszczeniu świątyni szkoleniowej. Już wtedy jednak zdawała sobie sprawę, że akademia jest zdominowana przez dzerrazistów. Dokonała takiego wyboru, ponieważ Dom Tivanda zajmował wyższą pozycję w strukturach Marynarki Wojennej. Należała do tych osób, które zawsze planują kilka kroków naprzód, i rozpoczęła swoją książęcą karierę znacznie lepiej

poinformowana ode mnie, zwyczajnie dlatego, że była dociekliwa. Zadawała mnóstwo pytań także w trakcie nauki w akademii, bez względu na to, jak bardzo były niewygodne dla innych.

Tyrto jako jedyna nie wzięła udziału w zdarzeniu, które wkrótce miało miejsce.

– Macie jakieś dwadzieścia minut – zakomunikowała Jesmur. – Sprawdźcie, jakie są wymagania co do pełnego umundurowania galowego, i zameldujcie się już ubrani na musztrę w dwunastym holu o jedenastej czterdzieści pięć. Muszę się zająć innymi sprawami, więc spotkamy się na miejscu.

Wychodząc, obrzuciła mnie gniewnym spojrzeniem, po czym wymownie uniosła brwi w kierunku pozostałych. Nie potrzebowałem szybkiego mózgu Księcia, żeby w lot pojąć jej intencje. Chciała, żeby koledzy i koleżanki nauczyli mnie, jak ważne jest dopasowanie się do grupy.

Gdy tylko zniknęła za drzwiami, cała banda oprócz Tyrto ruszyła w moją stronę. Nie ulegało wątpliwości, że mieli wrogie zamiary. Ale już po pierwszym kroku powstrzymał ich Książę Marmro o szerokich barkach i niskim czole.

– Jest połączony, zdaje relację – poinformował.

– Zablokujcie go razem z Jipru! – rozkazał Charoz, wykrzykując kolejne słowa niczym dowódca floty. Najwyraźniej bardzo poważnie traktował kwestię starszeństwa.

Poczułem słaby ból głowy i na ułamek sekundy straciłem połączenie z Imperialnym Umysłem, które zapewniał mi wuj Frekwo. Poczułem, że jego funkcję przejął wuj Aleak, ale jego także niemal natychmiast zablokowano. Potem jednak z pomocą przyszły mi dwie ciotki, więc odzyskałem łączność. Tymczasem napastnicy zdołali zrobić ledwie jeden krok w moją stronę. Znałem ich zamiary, ponieważ jeszcze w swoich świątyniach szkoleniowych wszyscy odbyliśmy podstawowe szkolenie

w zakresie walki wręcz. Zorientowałem się, że tworzą formację zwaną Żurawie Osaczające Rybę, doskonałą dla grupy sprzymierzeńców nacierających na osamotnionego wroga.

– N a d a l zdaje relację! – huknął Marmro.

– Co takiego? – zdumiał się Charoz. Zawahał się, gdy jego genialny umysł dowódcy nie potrafił do końca sprostać niespodziewanej sytuacji. – Hm, Aliad i Fyrmis, wy też go zablokujcie.

Na szczęście zdążyłem poinformować Haddada o całym zajściu, więc on także zaczął podtrzymywać połączenie z Imperialnym Umysłem. Cofnąłem się do drzwi, podczas gdy siedmioro Księżąt nadal zmierzało w moją stronę. Tyrto obserwowała nas, siedząc na łóżku.

– Wciąż nadaje! – ostrzegł Marmro.

– Wszyscy mają go blokować! – warknął Charoz.

Cała grupa zrobiła kolejny krok w moją stronę, po czym się zatrzymała.

– Nie stracił łączności – zdumiał się Marmro. Odwróciwszy się, spiorunował wzrokiem Tyrto, co nie dodało mu uroku. – Lepiej mu nie pomagaj.

– Nie wygląda, jakby potrzebował pomocy – odparła Tyrto, przeciągając sylaby. – A tak w ogóle, Marmro, sądzę, że w Żurawicach Osaczających Rybę powinienes przesunąć się bardziej w lewo.

– Zamknij się! – rozkazał Charoz w chwili, gdy poleciłem Haddadowi zablokować pozostałych i zawiesić moje połączenie z Imperialnym Umysłem. Jednocześnie wyciągnąłem emiter fagocytów z buta.

– Przestał nadawać! – zapał triumfująco Marmro.

– Maksymalne rozproszenie – powiedziałem do emitera, uśmiechając się do nowych wrogów. – Kto by pomyślał, że tak miłym ludziom może się przytrafić taki paskudny biotechowy wypadek?

Wyczułem, że wszyscy przestali mnie blokować i w panice próbowali nawiązać połączenie z Imperialnym Umysłem. Ale każde z nich miało

niedoświadczonego mistrza skrytobójców i tylko jednego kapłana. Haddad wraz z moimi dwunastoma kapłanami z łatwością udaremnili ich rozpaczliwe wysiłki. Cieszyłem się jednak, że Tyrto nie dołączyła do napastników, ponieważ przypuszczałem, że może mieć więcej niż jednego kapłana do pomocy.

Rozległy się stłumione krzyki wyrażające konsternację i przerażenie. Księżęca para, która wcześniej roztropnie trzymała się z tyłu, teraz ostentacyjnie oddzieliła się od stada. Odnotowałem ich imiona. Aliad i Calzik. Jak się później przekonałem, błyskawiczne zmienianie frontów było dla nich typowe. W każdej sytuacji bardzo szybko potrafili ocenić, kto znajduje się na przegranej pozycji, a kto na wygranej.

– Zmarnowaliśmy sporo cennego czasu – zauważyłem. – Sugeruję, żebyśmy zrobili to, co nam kazano: ubrali się i poszli na lekcję. Pamiętajcie jednak, że będę połączony z Umysłem przez cały czas, a jeśli uznam, że musimy spędzić trochę czasu w samotności, z łatwością zablokuję każde z was. Oczywiście nie mam wrogich zamiarów i wolałbym mieć o was dobre zdanie. Weźcie to sobie do serca.

– Jak sobie życzysz – odparł Charoz. – Ale na pewno nie zdołasz utrzymać połączenia przez cały czas.

– Naprawdę? – zapytałem. – Skąd wiesz?

Charoz spiorunował mnie wzrokiem, ale nie odpowiedział. Brakowało mu doświadczenia, żeby właściwie ocenić sytuację. Nie był do końca pewien, na czym polegało komunikowanie się z Umysłem, ani nie wiedział, ilu kapłanów faktycznie mi pomaga, czy to zgodnie z prawem, czy też nielegalnie.

– Lepiej, żebyśmy nie dostali przez ciebie żadnych punktów karnych – odezwał się w końcu, zanim podszedł do swojego łóżka. Pozostali niespiesznie wzięli z niego przykład. Zaczekałem, aż wyciągną swoje

mundury galowe z szafek, po czym schowałem emiter fagocytów i udałem się na swój własny skrawek ziemi.

„Haddadzie, przestańcie blokować. Przywróćcie połączenie z Imperialnym Umysłem. Śledźcie wydarzenia. I nie przestawajcie, dopóki nie odwołam rozkazu. Chcę zdawać relację przez cały czas, w dzień i w nocy”.

„Potwierdzam, Wasza Wysokość. Dobra robota”.

Haddad był dla mnie łaskawy. Przecież nie rozwiązałem problemu, tylko opóźniłem jego eskalację. Wiedziałem, że zarówno komendant, jak i inni dowódcy z akademii będą udawali, że nie orientują się w sytuacji, a moi koledzy z klasy, podobnie jak inni członkowie Domu Dzerrazisa, zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby uprzykrzyć mi życie.

Kiedy założyłem nedorzecznie wysoką bermycę z biotechowego futra, stanowiącą element munduru galowego, skontaktowałem się z Imperialnym Umysłem. Arcykapłanka zabroniła mi dołączyć do Domu Dzerrazisa, ponieważ podobno Imperator wiązał ze mną inne plany, a ja w swojej naiwności złotodzioba sądziłem, że w związku z tym lada moment, podobnie jak Księżę Garikm, wyruszę na specjalną misję do jakiejś zagrożonej galaktyki, gdzie zajmę się czymś istotnym. Oczywiście bardzo mi się do tego spieszyło.

Ale nic takiego nie nastąpiło. W odpowiedzi otrzymałem wyłącznie okrojona wersję tego, co usłyszałem wcześniej.

„Ucz się pilnie. Czekaj na instrukcje «pieczęć Imperialnego Umysłu»”.

Kolejne trzy miesiące nie należały do najprzyjemniejszych w moim życiu. Okazało się, że nawet jeśli to kapłani wykonują większość pracy, nieustanne utrzymywanie połączenia z Imperialnym Umysłem jest bardzo męczące. I bez tego byłem u kresu sił, ponieważ zajęcia w akademii zostały opracowane tak, żeby testować granice wytrzymałości zmodyfikowanych

organizmów kadetów. W efekcie byłem permanentnie wykończony i niemal zawsze funkcjonowałem na granicy jawy i snu.

Koledzy z klasy nie atakowali mnie więcej, a przynajmniej nie wszyscy naraz. Charoz napadł mnie w nocy kilka dni po pierwszym incydencie. Na szczęście wuj Krimhiz nasłuchiwał przez moje uszy i zbudził mnie w porę, żeby także Imperialny Umysł mógł zobaczyć, jak Charoz uderza mnie butem w głowę. W efekcie on zarobił cztery punkty karne, a ja paskudnego siniaka.

Potem mój zaprzysięgły wróg zmienił taktykę. Właściwie zasugerowała mu to Jipru. Musiało tak być, ponieważ Jipru była bardzo mądra, a Charoz nie grzeszył inteligencją, więc najprawdopodobniej to nie nasz dzielny przywódca sekcji wpadł na ten pomysł.

Zamiast dręczyć mnie fizycznie, on i jego sprzymierzeńcy skupili się na drobnych, lecz uciążliwych dla mnie złośliwościach. Pewnego razu zablokowali moją szafkę za pomocą biotechnowej taśmy przemysłowej tuż przed cotygodniową Paradą Komendanta. Udział w tym wydarzeniu był obowiązkowy, a zatem co siedem dni marnowaliśmy czas, maszerując w mundurach galowych przed Huzandem, który oczywiście stał na jednej ze swoich platform i spoglądał na nas z góry. Opuszczenie parady albo pojawienie się na niej w nieodpowiednim albo niekompletnym stroju mogło skutkować co najmniej dwoma punktami karnymi. Rozciąłem więc drzwi, używając do tego różdżki dezintegracyjnej, i chociaż w porę dotarłem na miejsce, otrzymałem jeden punkt karny za zniszczenie sprzętu, o czym Charoz doniósł przełożonym, zanim zdążyłem dokonać niezbędnych napraw.

Podcięli także nogi mojego łóżka, więc runęło na ziemię, kiedy się na nim położyłem. I namalowali graffiti na podłodze obok mojej szafki, za które dowództwo miało obwinić mnie. Na każdym kroku próbowali napytać mi biedy.

Chociaż nie wiedziałem, kto konkretnie brał udział w tych wybrykach, postanowiłem karać za wszystko Charoza. W końcu to on dowodził. Dlatego też kiedy zablokowano moją szafkę, odwodziłem się mu tym samym. Kiedy podpiłowano nogi mojego łóżka, oberwałem obcasy każdej pary jego butów.

Było to dość skomplikowane, ponieważ oczywiście nikt nie chciał zostać złapany na gorącym uczynku. W efekcie często zrywaliśmy połączenie z Imperialnym Umysłem. Moi przeciwnicy mieli przewagę liczebną, ale często tylko Jipru i Marmro wykonywali polecenia Charoza, a Tyrto, która oficjalnie nie mieszała się w konflikt, w rzeczywistości często pomagała mnie.

Znalazłem także nową strategię atakowania Charoza, kiedy odkryłem, że po otrzymaniu dwudziestu czterech punktów karnych nie mogę dostać kolejnych, przynajmniej dopóki nie wygasną stare. Mogłem więc odrobinę spóźnić się na zajęcia i poświęcać tych kilka dodatkowych minut na dewastowanie szafek, mundurów albo sprzętu Charoza. Pozostali, którzy bali się zarobić punkty karne, zawsze opuszczali koszary o czasie, by mieć pewność, że punktualnie dotrą na kolejną lekcję, paradę czy cokolwiek innego.

Ponieważ zastanawiało mnie, dlaczego po zgromadzeniu dwudziestu czterech punktów karnych nie otrzymywałem kolejnych, przeprowadziłem dochodzenie i dokonałem kilku ciekawych odkryć. W tym celu musiałem się przekopać przez mnóstwo danych dotyczących przepisów Marynarki Wojennej, gdyż Imperialny Umysł często zamiast udzielać konkretnych odpowiedzi, odsyłał pytającego do źródeł, gdzie można było je znaleźć, albo zasypywał ogromnymi ilościami nieuporządkowanych informacji, z którymi trzeba było się zapoznać. W każdym razie odkryłem, że jeśli kadet otrzyma ponad dwadzieścia cztery punkty karne w ciągu trzech miesięcy, przeprowadzone zostanie śledztwo na wyższych szczeblach

dowództwa. Moją sprawą zajęłaby się admirał sekcji, Księżniczka Elroki, która należała do Domu Tivanda, co prawdopodobnie nie było na rękę komendantowi Huzandowi.

Ale poza systemem punktów istniały także inne kary, które szybko mi zaprezentowano. Najczęściej musiałem uczestniczyć w dodatkowych musztrach albo lekcjach w czasie, kiedy kadeci teoretycznie powinni mieć wolne. Poza tym był jeszcze cały wachlarz nie całkiem oficjalnych i upokarzających środków represyjnych. Musiałem więc szorować podłogi albo pełnić straż razem z kawalerzystami mechbio, robiąc dokładnie wszystko to co oni, czyli przeważnie stać przy drzwiach przez całą noc i sporadycznie stawać na baczność, kiedy mijał nas jakiś Książę.

Dodatkowe musztry i lekcje nie stanowiły dla mnie większego problemu, ponieważ odkryłem, że chociaż niespecjalnie miałem na nie ochotę, nie tylko poprawiały moje wyniki, ale także zapewniały mi zdobycie wiedzy niedostępnej innym Książętom.

Z kolei spędzanie czasu z kawalerzystami mechbio okazało się bardzo pouczające. Mimo to nienawidziłem salutować podstępnyim kolegom i koleżankom z klasy. Zwłaszcza Charoz i Jipru godzinami potrafili przechadzać się w tę i z powrotem, żeby sto razy zmuszać mnie do stawania na baczność i salutowania.

Ostatecznie dowiedziałem się znacznie więcej o towarzyszach mojej niedoli podczas tego niekończącego się stróżowania niż z przesyłanych kadetom lekcji zatytułowanych na przykład: „Wprowadzenie do dowodzenia i rozlokowania standardowej piechoty mechbio”. Z uzyskanych w ten sposób danych oraz z ćwiczeń odbywających się w wirtualnym świecie Książęta mogli dowiedzieć się tyle, że kawalerzyści mechbio to zwykłe maszyny bojowe przekazujące informacje dotyczące wyłącznie działań wojennych, a przy tym całkowicie pozbawione osobowości. Ale dzięki godzinom spędzonym z nimi na służbie, maszerowaniu w ich

towarzystwie czy nawet odpoczywaniu razem z nimi w pomieszczeniach zaopatrzeniowych (w ramach dodatkowej kary) wiedziałem, że nie tylko mieli cechy indywidualne, ale także komunikowali się między sobą. Właściwie nieustannie prowadzili proste rozmowy za pośrednictwem psychotechnu. Z tym że dla większości Książąt brzmiały one jak irytujący szum, który uważali za jedną z niedogodności związanych z dowodzeniem kawalerzystami.

Natomiast każdy, kto potrafił ich zrozumieć, wiedział, że na ten szum składały się komentarze o nich samych i o wykonywanych przez kawalerzystów zadaniach, a także nieustające spekulacje o tym, ilu pokonają wrogów, zanim sami polegą. Ci, którzy zdążyli unicestwić nieprzyjaciół, byli powszechnie znani, a ich numery seryjne wzbudzały szacunek.

Co ciekawe, kawalerzyści mechbio zakładali, że prędzej czy później zginą. To nie była jedna z możliwości, tylko ich przeznaczenie. O ile zdołałem się zorientować, nigdy nie brali pod uwagę innych rozwiązań. Pełnili swoje obowiązki, wykonywali rozkazy, zabijali albo ginęli. Ale pragnęli dobrej śmierci, co oznaczało, że najpierw musieli zniszczyć wrogów. Im więcej, tym lepiej.

Niestety, ci spośród podoficerów, którzy w szczególności się na mnie uwzięli, szybko zdali sobie sprawę, że nie przeszkadza mi towarzystwo kawalerzystów, więc zaczęli urozmaicać moje kary. Dokładali mi obowiązków tym bardziej, że – ku ich irytacji – z uśmiechem przyjmowałem wszystko, czym we mnie ciskali.

Wciąż uparcie wierzyłem, że Imperator wyśle mnie w końcu na specjalną misję. Ale z każdym kolejnym tygodniem czułem się coraz bardziej zmęczony, moi dręczyciele poczynali sobie coraz śmieiej, a Imperialny Umysł milczał. Zacząłem myśleć, że może kolejny raz zgubiła mnie zbyt pewność siebie. W końcu arcykapłanka nie obiecała mi

żadnego wyjątkowego zadania, tylko odradziła przystąpienie do Domu Dzerrazisa.

I jakby tego było mało, zebrałem tyle punktów karnych, że w ogóle nie opuszczałem murów akademii. Nie mogłem relaksować się w swoim wygodnym prywatnym apartamencie raz w tygodniu, kiedy pozostali kadeci cieszyli się wolnością. Musiałem zostawać w koszarach i wykonywać dodatkowe obowiązki, zapoznawać się z dodatkowym oprogramowaniem, uczestniczyć w dodatkowych lekcjach albo musztrach i oczywiście dotrzymywać towarzystwa kawalerzystom mechbio podczas ciągnących się w nieskończoność wart.

Kiedy nic się nie zmieniało, a tygodnie przeciągały się w miesiące, niechętnie doszedłem do wniosku, że popełniłem ogromny błąd. Powinienem był przyjąć propozycję Huzanda, dołączyć do Domu Dzerrazisa i nauczyć się współpracować z pozostałymi Książętami.

Właściwie byłem o krok od poproszenia o spotkanie z komendantem. Byłem gotów się przed nim płaścić, byle tylko poprawić swój los. Wtedy jednak wszystko się zmieniło.

Rozdział 6

Ta wielka zmiana nadeszła w piątym miesiącu mojego pobytu w akademii. Stałem na straży z kawalerzystami, wsłuchując się w ich buczenie: „2378FDE98X98 zabił sześciu rebeliantów”, „9854AAD871F spalił czterech piratów” i jak już wspomniałem, postanowiłem stanąć przed Huzandem i upewnić się, czy służalczość sprawdzi się lepiej niż bunt.

Nic nie interesowało mnie bardziej od zakończenia własnej niedoli, ponieważ był to siódmy dzień tygodnia i prawie wszyscy poza mną przebywali poza bazą, wylegiwali się w swoich pokojach, cieszyli towarzystwem zaprogramowanych służących i jedli to, na co mieli ochotę. A ja ślezczałem razem z czterema kawalerzystami mechbio pilnującymi drzwi, przy których nie było nawet biotechowego biurka ani chorążego.

Nie dokuczał mi wyłącznie brak odpoczynku i zabawy. Uwięziony w koszarach, miałem znacznie ograniczony dostęp do Haddada i pozostałych kapłanów. Oczywiście mogłem komunikować się telepatycznie ze swoim mistrzem skrytobójców, ale często byłem na to zbyt zmęczony. Poza tym pamiętałem jego wcześniejsze ostrzeżenie o ewentualnym podsłuchu. Dlatego też wciąż nie omówiłem z nim spotkania z arcykapłanką ani tego, czego się od niej dowiedziałem. Nasze telepatyczne rozmowy zawsze trwały krótko i zwykle dotyczyły głupich wybryków Charoza, ustawiania grafiku moich kapłanów, a przy rzadkich okazjach także planowania, jak mógłbym zawiesić połączenie z Imperialnym Umysłem, żeby porządnie się wyspać.

I właśnie to zaprzętało moje myśli, oprócz rozważań, jak wydostać się z tego bagna, w które sam wdepnąłem, kiedy usłyszałem znajomy głos

Haddada.

„Wasza Wysokość, proszę zabrać psychotechnowy skafander ochronny, mechtechowy pierścień komunikacyjny i strzelbę dyslokacyjną ze schowka «identyfikator mapujący». Ogłoszono alarm z powodu wtargnięcia Smutnookich”.

Zanim odpowiedziałem, ruszyłem we wskazanym kierunku. Trudno było mi ukryć zdumienie.

„Jakie wtargnięcie? Nie było żadnego alarmu!”

„Ale będzie. Proszę się pospieszyć!”

Tajny skład broni i sprzętu na wypadek sytuacji awaryjnych znajdował się za jednym z większych metalowych talerzy w biotechnowej ścianie. Żeby do niego dotrzeć, wystarczyło przejść około dziesięciu metrów korytarzem. Naturalnie znajdował się pod stałym nadzorem i był strzeżony na kilka różnych sposobów. Ponadto moja nakładka sensoryczna zawierała ostrzeżenie, że każdy kadet, który niepotrzebnie otworzy skład, zostanie niezwykle surowo ukarany, nie tylko przez władze akademii, ale także przez dowództwo Marynarki Wojennej.

Tym razem nawet nie próbowałem się domyślić, co mogliby mi zrobić. Zdążyłem się już przekonać, że niektóre środki represyjne wykraczały poza granice mojej wyobraźni.

Bąłem się ewentualnych sankcji, ale ufałem Haddadowi.

Wysławszy psychotechnowe polecenie, przyłożyłem dłoń do płytki skanującej, która najpierw pobrała ode mnie odciski palców, a potem próbkę krwi. Techowe testy potwierdziły moją tożsamość. I gdy tylko drzwi się rozsunęły, uruchomiły się wszystkie alarmy. Jednocześnie coś dziwnego wydarzyło się w mojej głowie i w efekcie straciłem łączność z Imperialnym Umysłem, Haddadem i całą resztą.

Zawiodło każde psychotechnowe połączenie. Zamarłem z szeroko rozdziawionymi ustami, kiedy w końcu dotarło do mnie to, przed czym

ostrzegwał Haddad.

Do bazy wtargnęli Smutnoocy.

Podobnie jak w wielu innych ważnych kwestiach, także i w tej brakowało mi istotnych danych. Miałem jedynie podstawowe informacje, uzyskane kilka miesięcy wcześniej podczas lekcji zatytułowanej: „Wrogowie Imperium. Wprowadzenie”. Smutnoocy byli obcą rasą, która zdołała opracować własną wersję psychotechnu. Z wyglądu przypominali pasożytnicze robale z ryjem w kształcie wiertła i bardzo krótkimi nóżkami. Działali w ten sposób, że wwiercali się w głowę wybranego gospodarza, a gdy już ułożyli się wygodnie, przejmowali kontrolę nad umysłami nawet sześćdziesięciu istot. Najchętniej zagnieźdzali się w stworzeniach człekopodobnych, ale za pomocą swojego psychotechnu mogli kontrolować w zasadzie każdy żywy organizm posiadający mózg.

Świdrogłowe potworki zawdzięczały swoją nazwę temu, że jedyną częścią ludzkiego ciała, nad którą nie potrafiły zapanować, były kanaliki łzowe. W efekcie kontrolowane przez nich istoty nieustannie płakały albo wyglądały tak, jakby z trudem powstrzymywały się od łez. Było to wyjątkowo uciążliwie dla wszystkich tych, którzy cierpieli na alergie albo płakali na kosmodromach czy też w innych sytuacjach.

Smutnoocy budzili popłoch wśród Książąt, dlatego wielu z nich potrafiło – tak na wszelki wypadek – wydać rozkaz unicestwienia każdej istoty z mokrymi oczami. Inna powszechnie stosowana technika obronna polegała na wyłączeniu całego psychotechnu, żeby uniemożliwić robalom przejęcie nad nim kontroli i wwiercenie się do mózgu, a następnie na użyciu mechtechnu bądź biotechnu do unicestwienia wroga.

Natychmiast po tym, jak zakończyłem analizę danych, na korytarzu zaczęły wycić alarmy, a drzwi schowka, który właśnie nielegalnie otworzyłem, drgnęły gwałtownie, gdy automatyczne mechanizmy wznowiły proces. Trochę dalej odblokowane zostało wejście do jakiegoś

innego pomieszczenia. Nie usłyszałem jednak tupotu stóp zwiastującego przybycie gotowych do walki kadetów. I nic dziwnego – wszyscy przebywali poza bazą.

– Alarm! Alarm! Najwyższy stopień zagrożenia! Przygotować się do odparcia nacierających sił Smutnookich. Wszyscy chorążowie zameldują się na wskazanych stanowiskach bitewnych. Pozostali kadeci mają się udać do swoich koszar. To nie są ćwiczenia!

Wbiegłem do zbrojowni przy akompaniamencie powtarzanego raz za razem komunikatu, po czym lotem koszącym pokonałem odległość dzielącą mnie od przebieralni. Ale kiedy nic się nie wydarzyło, dotarło do mnie, że nie działają żadne psychotechowe komunikatory.

– Psychotechowy skafander ochronny, mechtechowy sprzęt komunikacyjny, migiem! – wrzasnąłem, unosząc ręce.

Furty stały otworem, a biotechowe facylitatory wycelowały we mnie swoje kądziółki przedne. Kiedy te przypominające larwy stworzenia tkwały mój psychotechowy skafander, mechaniczne ręce założyły mi słuchawki na uszy, po czym umieściły laryngofon tuż poniżej mojego jabłka Adama. Kilka sekund później pędraki uprzedły kaptur, ścisnęły go mocno, tak że tylko moje usta, nos i oczy pozostały nieosłonięte, po czym wycofały się tam, skąd przyszły.

Wygramoliłem się z przebieralni, w pośpiechu założyłem ciężki mechtechowy hełm ochronny, chwyciłem strzelbę dyslokacyjną ze stojaka i sprawdziłem, czy działa, jak należy. Nagle poczułem wielką wdzięczność za to, że znaczną część moich karnych lekcji poświęcono na rozkładanie i składanie wszelkiego rodzaju standardowej broni palnej używanej w Imperium. Oficjalny program nauczania jak dotąd nie zapewnił kadetom tej umiejętności.

Trzy minuty po pierwszym ostrzeżeniu Haddada, ubrany w skafander i uzbrojony, wycofywałem się korytarzem. Kawalerzyści mechbio, którzy

teraz naprawdę strzegli drzwi, zdążyli usunąć biotechowe panele, za którymi znajdowały się wykonane w skale wnęki gwarantujące pewną ochronę i dobre pole ostrzału z miotaczy energii.

Wydobywające się z mechtechowego komunikatora głosy przypominały skrzeczenie. Zacząłem się w nie wsłuchiwać ponieważ. Wiele Książąt mówiło jednocześnie, więc trudno było wyłowić poszczególne wypowiedzi. Sprawiało mi to tym większy kłopot, bo przywykłem do wyraźnych komunikatów telepatycznych nadawanych przez pojedynczych rozmówców.

– Przybyli na zaopatrzeniowcu, pewnie go przejęli...

– Nie rozpoznaję tego statku, ale jest bardzo dobrze uzbrojony...

– Ma wiertło fazowe, przebijają się dzięki niemu coraz głębiej, straciliśmy już piąty i czwarty posterunek w Huzgar i prawie dotarli do trzeciego...

– Jak ominęli patrol systemowy? Achmir musiał ich puścić, niech go szlag, będę protestował...

Rozpoznałem ostatni głos. Należał do komendanta, który jak zwykle narzekał i zawodził. Co prawda, nie znałem jego przedmówców, ale ich komunikaty były dla mnie znacznie istotniejsze. Ja sam znajdowałem się w kwadrancie Huzgar. I chociaż chwilowo nie miałem dostępu do schematów psychotechowych, dzięki licznym karnym musztróm dokładnie znałem plan bazy.

Wiedziałem więc, że trzeci posterunek znajduje się tuż nade mną.

Nagle do dyskusji dołączył kolejny głos, kobiecy i bardzo władczy. Powstrzymał słowotok pozostałych uczestników.

– Mówi kapitan Glemri, dowódczyni garnizonu Piechoty Morskiej. Przejmuję dowodzenie. Proszę natychmiast oczyścić eter.

Nie znałem Księżniczki Glemri, chociaż zdarzało mi się widywać specjalistów z Piechoty Morskiej na terenie akademii. Dowodzili

kawalerzystami mechbio. O ile było mi wiadomo, większość członków Marynarki Wojennej, a w konsekwencji także kadetów, traktowała ich z pobłażliwością. W końcu Książęta z marynarki walczyli w kosmosie, pilotując okręty, zamiast użerać się z tymi hybrydami, które, moim zdaniem niesłusznie, uważano za formy życia niższe nawet od zwykłych ludzi.

Jak można się było spodziewać, tylko Huzand nie zamilkł. Nadal pomstował na Achmira i węszył zdradę.

– Niech pan się zamknie, komendancie! – warknęła Glemri. – Proszę wszystkich chorążych przebywających w Huzgar o zameldowanie się.

Nastała ogłuszająca cisza. Po kilku sekundach odezwałem się niepewnie.

– Ee, ja przebywam w Huzgar, pani kapitan, na poziomie czwartym, na posterunku drugim. Kadet Kemri z czterema kawalerzystami mechbio.

– Kadet Kemri? Nie ma tam żadnego podchorążego?

– Nie, pani kapitan. Pełniłem... dodatkową służbę z kawalerzystami.

– W porządku. Posłuchaj, kadecie. Nie mamy wiele czasu, a musimy uporać się ze statkiem pełnym Smutnookich. Udaj się do tajnej zbrojowni i weź stamtąd psychotechowy skafander ochronny i...

– Mam już skafander i strzelbę dyslokacyjną – zameldowałem.

– Naprawdę? – zdumiała się Glemri. – Hm, to dobrze. Za mniej więcej piętnaście sekund zawali się sufit na twoim posterunku. Wycofaj swoich kawalerzystów do grodzi Huzgar-Jeresk i powstrzymaj wszystko, co będzie próbowało się przedostać na drugą stronę. Zrozumiałeś?

– Grodz Huzgar-Jeresk! Zrozumiałem...

Nie zdążyłem dodać „pani kapitan”, ponieważ w moich słuchawkach rozległ się elektroniczny pisk będący wynikiem sprawnego zagłuszenia sygnału. Uznałem więc, że Smutnoocy zrobili marionetki z tych, którzy mieli co najmniej podstawową wiedzę o mechtechu.

Podbiegłem do stojącego najbliżej kawalerzysty mechbio z zamiarem wystukania instrukcji na jego napierśniku, gdyż podobnie jak jego koledzy

nie był zestrojony z moim mechtechowym komunikatorem. Jednak kiedy znalazłem się blisko niego, usłyszałem cichy szum toczących się nieustająco między nimi rozmów.

A skoro odbierałem ich komunikaty telepatyczne, mogłem spróbować nadać własne w ich uproszczonym języku.

„Za mną. Ku chwale. Zabijać. Ginać”.

Teoretycznie to nie powinno było się udać, ponieważ nic nie identyfikowało mnie jako ich dowódcę. Mimo to kawalerzyści jak jeden mąż wyrwali ze swoich wnęk w skale i podbiegli do mnie. Odwróciłem się więc i popędziłem korytarzem, ale po dwudziestu metrach coś potężnego przebiło się przez sufit daleko za nami i fala uderzeniowa zwała mnie z nóg.

Przeturlałem się i usiadłem, by chwilę później zderzyć się ze ścianą pyłu. Kawalerzyści mechbio, którzy nie stracili równowagi dzięki ostrogom przytwierdzonym do stóp, zajęli pozycje po mojej prawej i lewej stronie, po czym otworzyli ogień ze swoich miotaczy energii. Niezwykle jaskrawe niebieskie promienie z cichym sykiem cięły chmurę pyłu.

Coś wielkości mojej głowy przeleciało nade mną z prędkością naddźwiękową, po czym oddaliło się z piskiem. Czym prędzej rzuciłem się na ziemię, a strzelba dyslokacyjna znalazła się nagle na moim ramieniu. Funkcje rozpoznawania terenu i namierzania celu były aktywne, więc na małym ekranie widziałem mnóstwo żywych organizmów wyłaniających się z tego, co zleciało z góry, i zmierzających w moją stronę.

Wycelowałem w najbliższego wroga i nacisnąłem spust. Rozległ się charakterystyczny krótki, lecz upiorny jęk. I chociaż nie widziałem wyraźnie w całym tym pyłe i świetle emanującym z miotaczy energii, teleskop optyczny pomógł mi potwierdzić, że trafiłem bez pudła, wybebeszając niezidentyfikowane stworzenie. Broń dyslokacyjna znacznie lepiej od innych nadawała się do walki ze Smutnookimi, ponieważ jeśli

któryś z nich ukrywał się w mózgu likwidowanej istoty, po takim strzale wylatywał stamtąd z hukiem, zamiast czaić się w zwłokach i nadal dyrygować swoimi marionetkami.

Chociaż kawalerzyści mechbio nie przestawali strzelać, zaczęli się wycofywać, prawdopodobnie ze względu na przewagę liczebną nieprzyjaciela. Kolejny duży pocisk wystrzelił w moją stronę, na krótką chwilę rozgarniając ciężką zasłonę z wirującego w powietrzu pyłu. Zanim więc eksplodował mi tuż nad głową, ujrzałem dziesiątki uzbrojonych, groźnych form życia, w większości niebędących ludźmi, które niczym rzeka wylewały się przez szeroki włącz jakiegoś wiertniczego okrętu szturmowego.

Szum rozmów kawalerzystów mechbio zamienił się w dyskusję taktyczną.

„Do tyłu, do tyłu. Zachować minimalną odległość energetyczną”.

„Potwierdzam. Do tyłu, do tyłu. Zbyt wielu. Kto stawia im czoło?”

„Ja jestem najstarszy. Jestem 8734DDD871F. Naprzód”.

Trzech kawalerzystów mechbio zostało na swoich pozycjach. Strzelali, podczas gdy czwarty rzucił się do przodu z ostrzami z włókien energetycznych w obu dłoniach. Wirując niczym bąk, wbił się w nadciągającą falę napastników. Jego ostrza skrzyły i błyskały za każdym razem, gdy napotykały zbroję albo kość.

Odczołgałem się kawałek, obróciłem i nisko pochylony, zacząłem biec. Kawalerzyści mechbio podążyli za mną. Wycofywali się tyłem, nie przerywając ognia. Ten, który zamykał pochód, został trafiony, zanim skręciłem za róg. Jeden z dużych pocisków zmiotł całą górną połowę jego ciała. Pozbawione torsu nogi pokonały jeszcze kilka metrów, a kiedy podtrzymujące je ostrogi się złożyły, upadły na ziemię. Z uszkodzonych przewodów pociekły biotechnowe soki.

Sekundę później doszło do eksplozji w miejscu, z którego się wycofaliśmy. Płomienie i odłamki przeleciały obok mnie, a kilka z nich odbiło się rykoszetem za róg. Fala uderzeniowa posłała mnie na ziemię. Przy okazji ugryzłem się w język. Zawsze wysuwałem go odrobinę, kiedy się koncentrowałem, chociaż kapłani w mojej świątyni szkoleniowej dołożyli wszelkich starań, żeby mnie tego oduczyć, stosując na przykład programowanie nerwowe.

„Samoistne przeciążenie akumulatora zasilanego antymateria 8734DDD871F. Chwalebna śmierć”, zameldowało jednocześnie dwóch ocalałych kawalerzystów mechbio.

Nie zatrzymali się. Minęli mnie biegiem, zerwali biotechowe panele i stanęli w ukrytych za nimi wnękach.

Spróbowałem zrobić to samo, lecz albo nie miałem wprawy, albo wybrałem niewłaściwe miejsce. Tak czy inaczej, skończyłem z garścią kruchego tworzywa w dłoni, gapiąc się na gołą skałę, której fragment udało mi się odsłonić.

Prócz wnęk, zajętych przez kawalerzystów, na korytarzu nie było żadnej kryjówki. Na samym końcu widniały potężne drzwi, których nie wolno mi było otworzyć ani przepuścić przez nie wroga.

– Przygotować się do obrony – powiedziałem głośno do kawalerzystów. – Napastnicy nie mogą przedrzeć się dalej.

Następnie położyłem się na ziemi i przyszykowałem strzelbę, kiedy kolejna fala marionetek o zwichrowanych umysłach wyłoniła się z za rogu, zmiatając wszystko na swej drodze.

Nie mogę powiedzieć, że dokładnie pamiętam, co wydarzyło się później. Odtworzyłem jednak obrazy i dźwięki, które udało mi się zarejestrować. Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Wrogowie nie zastosowali żadnej taktyki. Nie podjęli przemyślanych działań, takich jak wystrzelenie z za rogu sterowanych pocisków czy zaatakowanie nas granatami. Po prostu

nacierali, fala za falą. Większość z nich nie miała nawet broni dalekiego zasięgu – duże pociski ewidentnie wystrzelivano z wieżyczki albo ramy zamontowanej na maszynie wiertniczej. Wymachiwali elektrycznymi siekierami, elektrorapierami i inną bronią, która bardziej nadawała się na pokaz walki gladiatorów.

Kto wie, może dla Smutnookiego, który ich kontrolował, to był właśnie taki pokaz.

Niecałe trzy minuty po tym, jak skręciliśmy za róg, na polu bitwy poza mną został już tylko stary dobry 95E6711AD19. Kawalerzysta mechbio skakał na jednej nodze i osłaniał się tylko jednym ostrzem, ponieważ stracił drugą rękę, w której trzymał miotacz energii.

Sam nie radziłem sobie dużo lepiej. Straciłem strzelbę dyslokacyjną, kiedy ryczące stworzenie przypominające niedźwiedzia odcięło jej przednią część czymś, co mogę opisać jedynie jako plazmowy tasak do mięsa. Zerwałem się z ziemi i odskoczyłem w tył, mierząc ze swojego emitera fagocytów do niedźwiedziowatej kreatury i jej towarzyszy. Nie byłem jednak wystarczająco szybki. Chociaż futro i ciało stworzenia się rozpuściły, plazmowy tasak poleciał w moją stronę. Uniosłem rękę, żeby go zablokować, a zaraz potem wszystkie moje systemy wewnętrzne zaczęły przysyłać ostrzeżenia, kiedy ujrzałem, jak w powietrzu szybuje moje odcięte przedramię.

Po chwili znalazłem się trzy metry dalej, ściskając różdżkę dezintegracyjną w prawej ręce i przyciskając do boku kikut lewej. Moja rana została skauteryzowana plazmowo, a wewnętrzne systemy odcięły dopływ krwi do tego miejsca. I chociaż nie czułem bólu, powoli ogarniał mnie strach.

Nie dość, że mogłem oddać jeszcze tylko trzy strzały z różdżki, a mój towarzysz mechbio właśnie stracił głowę i ostatnie kończyny, to zza rogu

wyłaniała się właśnie kolejna fala przeciwników, którzy wymachiwali błyskającą i pulsującą bronią ręczną o wielkiej sile rażenia.

Niewątpliwie znajdowałem się krok od śmierci. Co gorsza, nagle dotarło do mnie, że bez połączenia z Imperialnym Umysłem to rzeczywiście mogą być moje ostatnie chwile.

Kapłani Wymiaru Wprawnej Ręki nie osądzą mojej służby, a ja się nie odrodzę.

Najwyraźniej nie byłem wcale taki wyjątkowy.

I wtedy dotarło do mnie, jak bardzo nie chcę umierać. Oczywiście mogłem sobie do woli dywagować na temat śmierci, kiedy czułem się bezpiecznie ze świadomością, że w razie mało prawdopodobnego fatalnego zajścia prawie na pewno zostanę przywrócony do życia. Ale dopiero ostateczność tej chwili otworzyła mi oczy.

Niemniej w całym tym nagłym przerażeniu, tak typowym dla śmiertelnika, uchwyciłem się wątej nadziei. Być może dowodzący Smutnooki został odcięty przez kapłanów ze świątyni. Może mimo wszystko mogłem połączyć się z Imperialnym Umysłem. Musiałem tylko zdjąć kaptur mojego psychotechnowego skafandra ochronnego w ciągu tych kilku sekund, które mi zostały, zanim natrze na mnie wroga horda.

Ponieważ brakowało mi lewej dłoni, nie było to takie proste. Przytrzymując różdżkę trzema palcami prawej ręki, sięgnąłem w górę i kciukiem szarpnąłem kaptur. Miałem nadzieję, że poczuję nagłą obecność Umysłu.

Ale zamiast niego w mój mózg zaczęły się wsuwać czyjeś lodowate palce. Natychmiast zrozumiałem, że to smutnooki władca marionetek. Co więcej, wychwyciłem psychotechnowy trop wiodący bezpośrednio do grupy napastników i nagle poznałem pozycję ich dowódcy. Ukrywał się w głowie człekokształtnego stworzenia, które poruszało się wolno z tyłu pochodu,

chowając się za potężną kreaturą z trąbą i szarą, pomarszczoną skórą, którego przodkowie mogli być słoniami przesiedlonymi ze starej Ziemi.

Po pierwszym strzale, oddanym z różdżki dezintegracyjnej, słonowata istota poległa. Potem nie było tak łatwo, ponieważ niewidzialne palce w moim mózgu zaczęły dźgać każdy jego centymetr, powodując intensywny ból i dezorientację. Mimo wszystko udało mi się wycelować kolejny raz i rozwalić głowę człekokształtnego gospodarza kosmicznego pasożyta.

Trzecim i ostatnim strzałem dosięgłem samego Smutnookiego, który poszybował w powietrze. Prawdopodobnie liczył na to, że spudłuje, a on będzie mógł podreptać na swoich paskudnych nóżkach w poszukiwaniu nowej kryjówki w głowie jednej z dziesiątek swoich marionetek, które przetrwały.

Ale nie ruszył się z miejsca.

W chwili jego śmierci zniknął potworny ból w mojej głowie. I chociaż marionetki odzyskały władzę nad swoimi ciałami, dla mnie było za późno. Dosięgły mnie, kiedy strzelałem po raz ostatni. Wtedy posypał się na mnie grad elektryczny ciosów. Próbując osłonić głowę, chyba straciłem drugą rękę, ale nie mam co do tego pewności. Lecz bez wątpienia odniosłem liczne rany torsu i nóg.

Na szczęście kiedy umierałem przy drzwiach grodzi, którą obroniłem kosztem własnego życia, w odległych zakamarkach mojej czaszki rozległo się nagle kojące brzęczenie.

„Połączenie z Księciem Kemrim «identyfikator» zostało przywrócone i przebiega bez zakłóceń. Potwierdzam. Potwierdzam. Zachować nagranie do oceny”.

Rozdział 7

Tak oto umarłem po raz pierwszy.

Kiedy odzyskałem świadomość, leżałem na szerokim i bardzo wygodnym łóżku. Nadal otulony miękkim kokonem snu, próbowałem zrozumieć, gdzie jestem.

I wtedy wszystko sobie przypominałem. Straciłem życie, przynajmniej na jakiś czas, kiedy marionetki Smutnookiego rozczłonkowały moje ciało.

Sprawdziłem swoje systemy wewnętrzne. Wszystko działało. Czułem każdą z kończyn. Mogłem korzystać ze wszystkich usprawnień.

„Witaj ponownie, Książę Kemri II «identyfikator». Nasi kapłani Wymiaru Wprawnej Ręki zważyli na szali twój los i uznali, że jesteś wart odrodzenia «pieczęć Imperialnego Umysłu»”.

Wewnętrzny głos Imperialnego Umysłu przebrzmiał, ale ciche brzęczenie świadczyło, że połączenie trwało nadal. Nie zerwałem go. Odrobineę uniosłem głowę i ujrzałem, że znajduję się w swoich prywatnych komnatach, w których – z powodu nagromadzonych punktów karnych – nie powinienem był przebywać jeszcze przez co najmniej kolejny miesiąc. Haddad stał przy wezłowiu, otoczony przez moich kapłanów. Odniosłem wrażenie, że jest ich więcej niż dwunastu.

Usiadłem, ziewnąłem i z radością starłem z oczu sen zamiast łez. Ten drobny gest był rozkoszny, zwłaszcza dlatego, że potwierdzał to, co podpowiadały moje naturalne i wspomagane zmysły: miałem obie ręce i żyłem!

– Witamy z powrotem, Wasza Wysokość – powiedział Haddad.

– Dziękuję ci, Haddadzie – odparłem. Rozejrzałem się po wszystkich ogolonych głowach naznaczonych niebieskimi paskami. Było ich teraz osiemnaście. – Kim są nowi kapłani?

– W ramach nagrody za odwagę przyznano Waszej Wysokości kolejnych sześciu kapłanów – wyjaśnił Haddad i wskazał sufit. Zerknąwszy w górę, w każdym rogu ujrzałem skrytobójcę nowicjusza z szeroko rozłożonymi rękami i nogami. Wiedziałem, że przed upadkiem nie chronią ich żadne urządzenia antygravitacyjne, tylko siła i sprawność. – A z Jadeka Siódmego przybyło właśnie czterech moich uczniów.

– Hm, to dobrze – skwitowałem. – Co to takiego ta nagroda za odwagę?

– Ponieważ Wasza Wysokość dzielnie bronił dostępu do interfejsu świątyni tutejszej bazy, uznano Waszą Wysokość za Bohatera Imperium Drugiej Klasy – wytłumaczył Haddad. – Co zwykle wiąże się z przyznaniem dodatkowych kapłanów albo innych zasobów, takich jak statek.

– Otrzymałem statek? – zapytałem podekscytowany.

– Nie, Wasza Wysokość – zaprzeczył Haddad. – Posłużyłem się tylko przykładem. Ale jeśli Wasza Wysokość pozwoli, chciałbym przedstawić wuja Hormida i wuja Gorraka z Wymiaru Życzliwego Ogrodnika. Hormid jest chirurgiem wojskowym, a Gorrak specjalizuje się w biotechnologii nanoskopowej, fagocytach i tym podobnych. Wuj Rerrunk i ciotka Viviax należą do Wymiaru Wnikliwego Inżyniera, mają znaczną wiedzę o małych mechatycznych systemach i broni. Ciotka Waldrun z Wymiaru Pouczającego Ojca jest specjalistką w zakresie mechatycznego i psychotechnicznego systemu informacyjnego oraz interferencji, a wuj Naljalk z Wymiaru Chłodnej Kalkulacji określa prawdopodobieństwo. Moi uczniowie chwilowo są znani jako B-1, B-2, B-3 i B-4. Bezużyteczni... chociaż mam nadzieję, że już niedługo się to zmieni.

– Witam wszystkich – odezwałem się. – Witam was u mnie na służbie.

Uniosłem rękę, żeby pomachać, ale zamarłem w trakcie tego gestu. Przyjrzałem się jej uważnie. Wyglądała dokładnie tak samo jak dawniej. Ponadto moje wewnętrzne systemy potwierdziły, że nic się nie zmieniło. Nadal miałem pod skórą kości znacznie mocniejsze od tych u zwykłego człowieka, zmodyfikowane genetycznie za pomocą biotechnu i wzmocnione mechtechowymi osłonami oraz nakładkami.

Kiedy byłem dzieckiem, potrzebowali wielu lat, żeby doprowadzić mnie do takiego stanu.

– Haddadzie? Kiedy... kiedy zostałem zabity? – zapytałem.

– Od bohaterskiego wyczynu Waszej Wysokości minęło dwanaście dni – odparł Haddad, machając ręką. Na jego znak wszyscy kapłani odwrócili się i opuścili pokój. Skrytobójcy nowicjusze lekko zeskoczyli na podłogę i ruszyli za innymi.

– Dwanaście dni? Tylko tyle? Ale jak... jak to możliwe, że mam dawne ciało? Chodzi mi o to, że ulepszenia... że to wszystko wymaga wielu lat.

– To tajemnica Imperium – wyjaśnił Haddad. – Czasami odrodzenie przebiega szybko, tak jak w przypadku Waszej Wysokości, a czasami trwa kilka lat. Może Wasza Wysokość zapytać kapłana z Wymiaru Wprawnej Ręki Imperatora, ale nie sądzę, że on cokolwiek wyjaśni.

Ostatecznie uznałem, że zajmę się tą sprawą później. Niemniej ogromnie intrygowało mnie to całe odrodzenie. Stanowiło istotę książęcej egzystencji, a mimo to nigdy wcześniej nie poświęciłem mu wiele uwagi. Teraz przyszło mi do głowy, że być może gdzieś pod lodem trzymano innych Kemrich, liczne klony o ulepszonych ciałach gotowe przyjąć moją osobowość. Jeśli to prawda, to każdy uśpiony Kemri, czekający na swoją szansę, by zaistnieć, musiał ustąpić miejsca mnie.

Nie chciałem dłużej tego roztrząsać. Chwilowo miałem ochotę po prostu rozkoszować się życiem i tym, że zostałem nagrodzony. Nadal nie mogłem uwierzyć, że uznano mnie za bohatera.

– Więc jak to się stało, że chcą mi wręczyć medal? – zapytałem Haddada, wstając. Naprężyłem muskuły, żeby sprawdzić, czy wszystko działa jak należy. – Nie sądziłem, że Umysł był świadkiem wydarzeń z moim udziałem.

– Bo nie był – odparł Haddad. – Na szczęście mechtechowy system wszystko dokładnie zarejestrował, podobnie jak wizualna kora trzech kawalerzystów, którym udało się przywrócić sprawność.

– Mimo wszystko jestem zaskoczony, że Huzand zgłosił mnie do odznaczenia – stwierdziłem, opatulając się biotechową szatą, która leżała na brzegu łóżka. Zamruczała cicho, po czym dopasowała się do mnie, przy okazji odrobinę podnosząc swoją temperaturę, żeby mnie przyjemnie ogrzać. Haddad podał mi mój emiter fagocytów i różdżkę dezintegracyjną. Sprawdziłem jedno i drugie, zanim wsunąłem je do odpowiednich przegródek w ubraniu. Przy okazji pomyślałem, że przydałoby mi się jeszcze kilka sprzętów. Jakaś broń z większą ilością amunicji. Najlepiej z całym mnóstwem.

– Komendant tego nie zrobił, Wasza Wysokość – odparł Haddad. – Rekomendacja pochodziła od kapitan Glemri i została przekazana kanałami Piechoty Morskiej.

– Co oznacza, że gdyby to zależało od Huzanda, dostałbym figę z makiem – stwierdziłem gorzko. – Pewnie powinienem więc wracać na służbę i odpracować swoje punkty karne.

– Zatwierdzenie odznaczenia Waszej Wysokości przez Imperialny Umysł oznacza likwidację wszystkich punktów karnych – wyjaśnił Haddad. – Poza tym ma Wasza Wysokość do wykorzystania trzydniową przepustkę przysługującą poległym.

Ta wiadomość dodała mi skrzydeł. Trzydniowy urlop! Od dawna nie miałem tyle spokojnego, niczym nieograniczonego czasu. W końcu mogłem zakosztować wszystkich przyjemności, które planowałem.

– Haddadzie – dodałem dziarsko. – Jakich zaprogramowanych służących mam tutaj do dyspozycji?

– Dwóch kucharzy, dwie kelnerki, dwóch odźwiernych, pokojowego, dwie kochanki i dwóch kochanków, a także masażystę. Ten ostatni nie jest człowiekiem, lecz Vivarkiem, i nie został zaprogramowany, tylko uwarunkowany lojalnościowo.

– Doskonale! – Klasnąłem w dłonie, wyobrażając sobie czekające mnie uciechy. – Po pierwsze, niech kucharze przygotują ucztę. Chcę spróbować po trochu wszystkiego, czego brakowało mi przez ostatnie pięć miesięcy. Niech to będą małe porcje, tak na ząb. A do tego życzę sobie stosowny wybór win i innych substancji stymulujących. Kochankowie też mogą przyjść, żebym mógł ich sobie obejrzeć. Wybiorę kogoś na później. Ale przede wszystkim poproszę tego masażystę. W tym czasie niech pokojowy przygotuje jakieś ubranie, cokolwiek, byle nie mundur kadeta!

Niebieski płyn w głowie Haddada się wzburzył, a ja wyczułem, że nawiązał połączenie.

– Wasza Wysokość ma gościa – oświadczył.

– Odpraw go! – warknąłem. – Jestem na urlopie!

– To komendant, Księżę Huzand – dodał Haddad. Zmrużył oczy na ułamek sekundy. – To dość niezwykle. Najlalk właśnie dokonuje obliczeń. Najbardziej prawdopodobny scenariusz zakłada, że skoro został Wasza Wysokość dostrzeżony przez wyższe władze, komendant pragnie ponownie zaprosić Waszą Wysokość do Domu Dzerrazisa. Właściwie to mógłby okazać się dla Waszej Wysokości rozsądny wybór.

– Hm, nigdy nie wytłumaczyłem ci, dlaczego odrzuciłem jego zaproszenie – powiedziałem. – Czekałem na odpowiedni moment, żeby o tym porozmawiać, ale... hm... Czy jesteśmy tutaj absolutnie bezpieczni?

– Tak bardzo, jak to możliwe – odparł Haddad.

– Zachowaj to dla siebie, ale prawda jest taka, że arcykapłanka z Wymiaru Wprawnej Ręki zabroniła mi wstępować do jakiegokolwiek Domu. Poza tym nie pozwoliła mi o tym rozmawiać z nikim... co ciekawe... prócz ciebie.

Myślałem, że zaskoczę Haddada, ale się myliłem. Jak zwykle zachował kamienną twarz.

– Czy arcykapłanka zdradziła Waszej Wysokości swoje imię? – zapytał.

– Tak. Morojał.

– Gdzie Wasza Wysokość ją spotkał?

– Podczas nawiązywania połączenia z Imperialnym Umysłem. Nie asystował mi ten zwykły kapłan, którego potem spotkałeś.

– To wszystko zmienia – skwitował Haddad. – Ponieważ Wasza Wysokość m u s i odrzucić każde zaproszenie do Domu Dzerrazisa. Wiemy jednak, że kolejna odmowa rozsierdzi Huzanda. Moim zdaniem jego stan umysłowy już teraz jest dość niestabilny. Prawdopodobieństwo, że zachowa się... nierozważnie, wynosi... Naljalk?

„Prawdopodobieństwo działania niezgodnego z prawem wynosi czternaście i pół procent”, odpowiedział wuj Naljalk.

– Czyli jest znacznie wyższe, niżbym sobie tego życzył – kontynuował Haddad. – Ale nie możemy odmówić mu bezpośrednio. Sugeruję, żeby spotkał się Wasza Wysokość z komendantem w sali recepcyjnej. Moi uczniowie i ja będziemy w pobliżu, a Wasza Wysokość powinien utrzymywać połączenie z Umysłem. Jeśli rzeczywiście chodzi o zaproszenie do Domu Dzerrazisa, niech Wasza Wysokość poprosi o czas do namysłu. Nawet kilka dni może mieć znaczenie.

– Co mi grozi z jego strony? – zapytałem nerwowo. – No bo sam przecież mówiłeś, że nie może mnie zamordować ani wyzwać na pojedynek.

– Prawo imperialne mu tego zabrania, a jeśli je złamie, poniesie straszne konsekwencje – wyjaśnił Haddad. – Jednak postępowanie Księcia Huzanda cechuje pewna doza irracjonalności, która od pewnego czasu przybiera na sile. B-2, który obserwuje go w przedpokoju, właśnie poinformował o niezwykłym kolorze twarzy komendanta. Najprawdopodobniej jest to efekt uboczny działania narkotyku.

– Narkotyku!

Sądziłem, że Huzand po prostu lubi się czerwienić. Co więcej, Książętom nie wolno było zażywać na służbie biotechnowych substancji zmieniających nastrój czy też świadomość, nawet jeśli w czasie wolnym mogliśmy sięgać po wszelkie narkotyki, skoro nasze wewnętrzne systemy potrafiły zniwelować ich wpływ w ciągu kilku minut. Każdy Książę, który kontrolował własną biochemię i odpowiednio ją regulował, właściwie nie mógł się uzależnić.

– Uważa się, że komendant ogromnie lubi raziskibę – wyznał Haddad. – To podrzędny narkotyk, który potęguję wiarę w siebie i dobre samopoczucie, ale w ekstremalnych dawkach zwiększa także ryzyko niekontrolowanych wybuchów złości.

– Świetnie – skwitowałem. – I bez tego nie zachowuje się wzorowo. Czy to oficjalna wizyta?

Chociaż nie zadałem pytania Umysłowi, on i tak mi odpowiedział.

„Huzand «identyfikator» poza służbą «pieczęć Imperialnego Umysłu»”.

– Może przyszedł pogratulować mi medalu – stwierdziłem, kiedy weszliśmy do sali recepcyjnej. – Powiniennem się przebrać?

– Zważywszy na waszą przeszłość, istnieje niewielkie prawdopodobieństwo, że zamierza pogratulować Waszej Wysokości prywatnie. Najlalk obliczył, że wynosi dwa procent. Oficjalne wręczenie medalu jest zaplanowane po powrocie Waszej Wysokości z urlopu, za cztery dni – dodał Haddad, jednocześnie telepatycznie przesyłając mi

szczegóły uroczystości. – Jak Wasza Wysokość widzi, nagroda nie zostanie wręczona przez komendanta, tylko przez dowodzącą całym sektorem wiceadmirał Elroki, która zatrzyma się tutaj w drodze z Lastamen. Wątpię, żeby ta wizyta była dla komendanta powodem do radości.

Sala recepcyjna wyglądała dokładnie tak samo jak w czasach mojego poprzednika, ponieważ nie zdążyłem zlecić wprowadzenia zmian. Książę, który mieszkał tutaj przede mną, zapełnił całe pomieszczenie dużymi nadmuchiwanymi poduchami, ułożonymi jedne na drugich, od najciemniejszych do najjaśniejszych. W efekcie powstał gęsty las tęczowych kolumn, które moim zdaniem tylko zagrażały salę. Co więcej, trzeba było chodzić między nimi zygzakiem.

Jeden z uczniów Haddada podsunął mi wizjer, żebym mógł zerknąć do przedpokoju. Huzand czekał w pobliżu drzwi prowadzących do moich komnat. Był sam jak palec; nie towarzyszyli mu chorążowie, kapłani ani skrytobójcy.

Twarz komendanta wydawała się jeszcze bardziej czerwona niż zwykle, a on sam sprawiał wrażenie niższego, gdyż nie stał na jednym ze swoich podestów. Był ubrany w prosty mundur polowy, z kamuflażem w niebieskoszarym kolorze, ale jego pierś zdobiły podświetlane miniaturki medali i licznych odznaczeń. Ponadto przy pasie nosił broń otrzymaną w darze od Imperatora.

– Nie podoba mi się to. Może Wasza Wysokość powinien go poinformować, że nie jest w stanie przyjmować gości – zasugerował Haddad. – Dezorientacja jest normalna po odrodzeniu.

Szybko rozważyłem wszystkie za i przeciw, ale ostatecznie ponownie doszła do głosu moja zbytnia pewność siebie. W końcu przetrwałem zmasowany atak marionetek Smutnookiego i zostałem uznany za Bohatera Imperium Drugiej Klasy.

– Wpuść go – rozkazałem.

Huzand wszedł do pokoju jak do siebie. Przestał głośno tupać dopiero na mój widok. Stałem naprzeciwko niego, odziany jedynie w bardzo niestosowny, mruczący biotechowy szlafrok.

– Kadecie Kemri – przywitał się, wykrzywiając dziwnie usta, kiedy wymawiał moje imię. Od razu zrozumiałem, że nie zamierza złożyć mi ponownego zaproszenia do Domu Dzerrazisa.

– Słucham, komendancie – odparłem nieufnie.

– Od początku wiedziałem, że z ciebie nic dobrego – oświadczył Huzand. – Za bardzo przypominasz Atalin. Na początku nie rozumiałem, co to znaczy, ale wszystko jest już dla mnie jasne. I nie pozwolę na to.

– Na co, sir? – zapytałem.

– Żebyś zajął jej miejsce! – huknął Huzand. – Miejsce dobrego kadeta Dzerrazisa!

Zerknąłem kątem oka na Haddada, który natychmiast skomunikował się ze mną telepatycznie.

„Atalin to kadetka, którą spotkaliśmy zaraz po wylądowaniu na tej planecie. Istotnie jesteście do siebie podobni. Nie wiem jednak, do czego zmierza komendant”.

– Naprawdę nie wiem, o czym pan mówi, sir – powiedziałem kojącym głosem. Ośmielony tym, że Imperialny Umysł obserwował tę scenę, wskazałem tacę ze srebrnymi kielichami. – Mogę zaproponować coś do picia?

Huzanda nie dało się uspokoić. Kiedy zmniejszył dzielącą nas odległość, dostrzegłem bąbelki piany w kącikach jego ust.

– Nie strugaj głupka, chłopcze – syknął. – Wiem, że to sprawka Vetetezka i pewnie jeszcze Tivanda albo Joungre. Nie pozwolę, żebyś uznał ich wyższość nade mną czy moim Domem.

Nie przejmowałem się całym tym przedstawieniem, dopóki nie straciłem łączności z Imperialnym Umysłem, a Huzand nie sięgnął po swój rewolwer

z rączką z kości słoniowej.

Chciałbym móc powiedzieć, że zareagowałem bezzwłocznie, ale to nieprawda. Działalem wolno. Z niedowierzania szeroko rozdziawiłem buzię, szarpiąc różdżkę, która zaplątała się w mój głupi mrużący szlafrok. Tymczasem Huzand wyciągnął rewolwer i wycelował we mnie. Popędziłem za jedną z tych absurdalnych nadmuchanych kolumn, a wtedy on odbezpieczył broń i wystrzelił. Spudłował, ponieważ odbiłem się od kolumny. Wyciągnąłem różdżkę i wystrzeliłem, a on oddał drugi strzał. I tak oto on skończył bez głowy, a ja z otarciem na ramieniu.

Spojrzałem na niekompletne zwłoki komendanta akademii, wzdrygając się, i poczułem ponowne nawiązanie połączenia z Imperialnym Umysłem. Stało się jasne, że blokował mnie Huzand, który miał do pomocy znacznie więcej kapłanów od przeciętnego kadeta. Kiedy umarł, jego podwładni przestali mnie blokować.

Zacząłem się zastanawiać, ile punktów karnych może otrzymać kadet za zabicie swojego komendanta. Poza tym nie mogłem zrozumieć, dlaczego za pierwszym razem spudłował. W osłupieniu patrzyłem, jak Haddad pochyła się nad trupem i wyjmuje małą strzałkę z jego szyi.

– Substancja paraliżująca – wyjaśnił, odpowiadając na moje niewypowiedziane pytanie. Być może bezwiednie zadałem je w myślach. – Niestety, użyliśmy jej zbyt późno, za co przepraszam, Wasza Wysokość. Na szczęście narkotyk zaburzył jego celność.

– Co dalej? – wychrypiałem. Wuj Hormid ściągał już ze mnie szlafrok, żeby opatrzyć ranę. Ledwie mi dokuczała. Szok spowodowany tym, że u moich stóp leżał mój martwy przełożony, zagłuszał wszystko inne. Wuj Rerrunk na widok mojej miny przykrył zwłoki komendanta prześcieradłem.

– Przeprowadzone zostanie dochodzenie – wyjaśnił Haddad. – Ale sytuacja jest dość jasna. To Książę Huzand przyszedł do prywatnych kwater Waszej Wysokości i to jego kapłani zablokowali połączenie z Umysłem. Po

co miałyby to robić, jeśli nie po to, aby uniknąć niedogodności wynikających z popełnienia morderstwa? Miał nadzieję, że bez twardych dowodów ujdzie mu to na sucho.

– Będzie wściekły, kiedy się odrodzi...

Zamilkłem, kiedy dostrzegłem nieznaczną zmianę na twarzy Haddada. Był to jedynie błysk w jego ludzkim oku, który prawdopodobnie umknąłby mojej uwadze, gdybym nie obserwował mistrza tak uważnie.

– J e ś l i się odrodzi – powiedziałem wolno. – Sądziś, że nie zostanie uznany przez Wprawną Rękę za wartościowego?

– Nie chciałbym spekulować, Wasza Wysokość – odparł Haddad. – W każdym razie wiemy już, że wiceadmirał Elroki zmierza tutaj i to ona zajmie się dochodzeniem. Wasza Wysokość zachowa się rozsądnie, jeśli do czasu jej przybycia pozostanie w swoich kwaterach i nie będzie przyjmował żadnych gości. Ponadto proszę nie mówić nikomu, co się stało. Może się okazać, że Huzand po prostu zniknie.

– Ale jego kapłani, jego mistrz skrytobójców, oni na pewno znają prawdę – zauważyłem.

– Nie wspomną o nieoficjalnej próbie morderstwa ani o niezgodnym z prawem rozkazie zablokowania połączenia z Imperialnym Umysłem – wyjaśnił Haddad. – Poza tym już zostali przydzieleni komuś innemu...

– Jak to? – zdumiałem się. – Czyli ty już w i e s z, że on się nie odrodzi?

Zapytałem Umysł o status Huzanda.

„Książę Huzand «identyfikator» zaginiony w akcji przy okazji wtargnięcia Smutnookiego. Niewystarczające połączenie do odrodzenia. Honorowa śmierć”.

– Ale to nieprawda! – zaprotestowałem. – Wszyscy wiedzą, że przeżył atak Smutnookiego!

– Niektórzy istotnie mogą zdawać sobie z tego sprawę – odparł Haddad. – Ale zachowają tę wiedzę dla siebie, ponieważ nie będą chcieli poznać prawdy o tym, że Huzand przyszedł tutaj w tajemnicy, żeby zabić kadeta. Nawet najbardziej podejrzliwi członkowie jego Domu będą siedzieli cicho, żeby pozwolić mu odejść z honorami.

– Nie wiedziałem, że Imperialny Umysł może nas okłamywać – powiedziałem ponuro.

– Prawda może mieć różne oblicza, Wasza Wysokość – uściślił Haddad. – W pewnym sensie Huzand zginął w wyniku ataku Smutnookiego. Wątpię, żeby stracił nad sobą panowanie, gdyby Wasza Wysokość nie wyróżnił się i nie został dostrzeżony przez wyższe władze.

– Atak Smutnookiego przypomina mi, że... Jak zdołałeś ostrzec mnie co najmniej minutę przed tym, jak w bazie rozległ się alarm?

– Mam licznych informatorów zarówno tutaj, jak i poza murami akademii, Wasza Wysokość. Jak na dobrego mistrza skrytobójców przystało.

– I jak ten statek w ogóle się tutaj dostał? Jak udało mu się pokonać tunel czasoprzestrzenny i minąć patrol?

– Właśnie toczy się śledztwo w tej sprawie, Wasza Wysokość – odparł pośpiesznie Haddad.

Wiedziałem, że nie mówi mi wszystkiego, ale nie było sensu ciągnąć go za język, ponieważ i tak nie zdradziłby więcej.

– Co miał na myśli Huzand, kiedy wspomniał, że mam zająć miejsce Księżniczki Atalin?

Haddad znieruchomiał.

– Czy zwrócił się Wasza Wysokość do Imperialnego Umysłu z prośbą o wizualizację Księżniczki Atalin?

Potrząsnąwszy głową, przywołałem jej obraz.

Księżniczka Atalin była trzy lata starsza ode mnie, czego oczywiście nie dowiedziałem się ze zdjęcia. Miała brązową skórę jak ja, odrobinę haczykowany nos jak ja i prawie czarne włosy jak ja, oczy w kształcie migdałów o ciemnobrązowych, niemal czarnych tęczówkach jak ja...

– Jesteśmy do siebie bardzo podobni – stwierdziłem wolno. – Mogłaby być moją siostrą, gdyby to było możliwe...

Książęta nie mieli rodzeństwa ani rodziców, a przynajmniej takich, o których wiedzieli. Dlatego czułem się bardzo dziwnie, patrząc na kogoś, kogo wygląd mógł zdradzać to samo dziedzictwo genetyczne.

Czułem się zdecydowanie dziwnie. Czy to możliwe, że Atalin była moją siostrą? Co to oznaczało? I jak miałem się zachować, jeśli znów ją spotkam?

– Istnieje taka możliwość, Wasza Wysokość – powiedział Haddad. – Mogło się tak zdarzyć, jeśli biologiczni rodzice Atalin po tym, jak odebrano im córkę, wybrali wykasowanie danych, zostali przesiedleni, a potem doczekali się Waszej Wysokości.

– Ale jakie są na to szanse? – zapytałem. – Bo na pewno przeniesiono ich gdzieś, gdzie przez dekady nie miało być prowadzone poszukiwanie kandydatów.

– Mogli przenieść się ponownie, z wyboru albo zmuszeni przez okoliczności – stwierdził Haddad. – Chociaż to mało prawdopodobne.

– Ale i tak nie rozumiem Huzanda – kontynuowałem. – Jasne, że wyglądam jak Atalin. Może nawet jest moją siostrą, chociaż to i tak nic nie znaczy. Ale nie mógłbym jej zastąpić! Nie wiedziałbym nawet, od czego zacząć swoją drogę śladami najwybitniejszej kadetki w dziejach. I przede wszystkim Imperialny Umysł miałby jakieś informacje na ten temat.

– Rzeczywiście, Wasza Wysokość – przyznał Haddad. – Obawiam się, że Książę Huzand cierpiał na urojenia i uznał fizyczne podobieństwo Waszej Wysokości do najlepszej kadetki za niefortunny znak.

– Najbardziej niefortunny na świecie – warknąłem. – Pewnie stanę się łakomym kąskiem dla dzerrazistów. Huzand zwerbował dziewięćdziesiąt procent członków akademii.

– Jeśli poznają prawdę – przypomniał mi Haddad.

„Kapłani z Wymiaru Wprawnej Ręki «identyfikator» gotowi do zabrania martwego Księcia”.

Jeden z nowicjuszy uniósł fluoryzujący ekran rentgenowski. Czekaający za drzwiami czterech kapłani mieli na sobie zwykłe stroje robocze, więc nie można było stwierdzić, do jakiego wymiaru należą. Mogli się okazać nawet skrytobójcami. Być może mistrz Huzanda pozostał mu wierny nawet po śmierci... Jak zwykle niczego nie byłem pewien.

– Proszę wrócić do swoich komnat, Wasza Wysokość – polecił Haddad. – Załatwię sprawy z Wprawną Ręką.

– Jesteś pewien, że są tymi, za których się podają? – zapytałem.

– Tak – odparł Haddad. – Nikt nie ośmieliłby się użyć ich identyfikatora w przekazie telepatycznym, kiedy Wasza Wysokość jest świadkiem w imieniu Umysłu. Mimo to będzie najlepiej, jeśli chwilowo Wasza Wysokość uda się do siebie.

– Dlaczego? – zapytałem. – Co zrobią z ciałem?

Na ekranie ujrzałem, że jeden z kapłanów wyjmuje coś przypominającego małą piłę energetyczną, a drugi rozkłada biotechową torbę używaną do gromadzenia i przechowywania substancji organicznych.

– Zaczekam u siebie – powiedziałem bez przekonania.

– Czy nadal życzy sobie Wasza Wysokość zamówić ucztę? – zapytał Haddad.

– Nie... to znaczy tak – odparłem, zanim zniknąłem za drzwiami.

W końcu kolejna okazja, żeby się trochę rozerwać, mogła się szybko nie powtórzyć. Pomimo zapewnień Haddada nie mogłem uwierzyć, że zabicie komendanta akademii ujdzie mi płazem. Byłem pewien, że nawet jeśli to

Huzand targnął się na moje życie, ktoś wysoko postawiony spróbuje wymierzyć sprawiedliwość, czy to w formie oficjalnej kary, czy też prywatnego odwetu.

Rozdział 8

Ostatecznie postanowiłem nie przejmować się sprawami, na które nie miałem wpływu, dlatego kolejne dni mogłem zaliczyć do najprzyjemniejszych w życiu. W końcu zakosztowałem wszystkich rozkoszy zapewnianych przez prywatny apartament i świętę i pierwszy raz rzeczywiście poczułem się jak Księżę Imperium. Zwłaszcza że zastosowałem się do starej zasady: „Baw się tak, jakby miało nie być jutra” i pobłażałem sobie na wszystkie możliwe sposoby. Nie stroniłem od żadnych doświadczeń erotycznych ani powszechnie dostępnych i dopuszczalnych substancji stymulujących, zwiotczających, odurzających i halucynogennych, po których można było dojść do siebie po upływie pewnego czasu bez większych interwencji kapłanów.

Ten krótki, ale bardzo sympatyczny urlop dobiegł końca w chwili, gdy zostałem wezwany do biura komendanta, żeby zameldować się przed wiceadmirałem Elroki. Właśnie wtedy poczułem, że kolejny dzień może nie nadejść. Chociaż kapłani usunęli toksyny z mojego organizmu, byłem wycieńczony i czułem się nieswojo we własnej skórze. Przypuszczam jednak, że był to raczej efekt zdenerwowania niż klasycznego kaca, który zdaniem wuja Hormida nie miał prawa mi dokuczać po tym, jak poddałem się biotechowemu nanooczyszczaniu.

Spodziewałem się kłopotów, ale kiedy zameldowałem się ubrany w kompletny mundur galowy, uzupełniony o głupią futrzaną bermycę wysoką na półtora metra, przeżyłem miłe zaskoczenie. Wiceadmirał Elroki V ani trochę nie przypominała Huzanda. Powitała mnie jak równego sobie, ani przez chwilę się nie wywyższała i pogratulowała mi obrony przed

atakiem Smutnookiego. Potem sama zawiesiła mi na szyi Order Bohatera Imperium i przypięła Szkarłatną Odznakę za Rany na mojej piersi. Ponieważ jeszcze przed śmiercią straciłem rękę, kwalifikowałem się do najniższego odznaczenia dla poszkodowanych na polu bitwy. I skoro poznałem już to dziwne i okropne, choć niezbyt bolesne uczucie, nie chciałem zasłużyć na kolejny medal. Nie marzyła mi się więc Sobola Odznaka, którą przyznawano za odniesienie co najmniej pięćdziesięciu ran podczas walki.

Kiedy już skończyłem się cofać, salutować i robić wszystkie te rzeczy, których nauczono mnie na szkoleniu, wydukałem coś na temat dochodzenia, bo poza kapłanami krążącymi po biurze nie towarzyszył nam nikt inny.

– Dochodzenie? – zdziwiła się Elroki. – W jakiej sprawie?

– No, wydarzeń po wtargnięciu wroga – uściśliłem. – Dotyczących byłego kom...

– Ach, to dochodzenie! Sprawa jest już zamknięta, wszystkie dokumenty zostały podpisane – wyjaśniła Elroki. – Nie ma sensu kolejny raz się tym zajmować. Nie uważasz?

– Skoro pani tak twierdzi – odparłem.

– Właśnie tak twierdzą. A teraz, skoro czekamy na nową komendant, kapitan Kotrez, która finalizuje właśnie kilka administracyjnych... ach... reform, może napijemy się herbaty? Chciałabym, żebyś ją poznał, zanim wrócisz na służbę.

Poprosiłem o szczegóły dotyczące nowej komendant, podczas gdy Księżniczka Elroki nalewała herbatę przyniesioną przez zaprogramowanego służącego. Szerokie plecy tego nieludzkiego stworzenia służyły za tacę, a jego wielostawowe ręce rozkładały kolejne elementy serwisu. Zwróciłem uwagę, że porcelana była półprzejrzysta i zdobiona błękitnymi kwiatkami, wiekowa i naprawdę piękna. Prawdopodobnie pochodziła ze starej Ziemi

albo była biotechową reprodukcją najwyższej jakości. Kiedy niezdarnie chwyciłem filizankę, dostrzegłem, jak Elroki ściąga brwi, i zdałem sobie sprawę, że w oczach pani wiceadmirał upuszczenie jednego z tych cacek byłoby wielkim grzechem, nawet jeśli zabicie byłego komendanta nie wzbudziło w niej emocji.

Bardzo ostrożnie trzymałem więc naczynie podczas przeglądania informacji uzyskanych od Imperialnego Umysłu na temat Księżniczki Kotrez XXII. Podobnie jak Huzand zajmowała stanowisko kapitana w Marynarce Wojennej Imperium, ale bez wątpienia widziała znacznie więcej walk niż on, o czym świadczyły liczne odznaczenia: Imperialna Gwiazda za Odwagę, Bohater Imperium Pierwszej, Drugiej i Trzeciej Klasy oraz Medal za Niezwykłe Męstwo. Poza tym była Starszą Adeptką w Sztuce Wojennej (w jednostce specjalizującej się w czujnikach) i pełniła całe mnóstwo innych funkcji. Ale o ile się orientowałem, najważniejsza była jej przynależność do Domu.

Kotrez trzymała z Tivandem, a nie z Dzerrazisem, więc miałem nadzieję, że dobrze mi to wróży.

Kiedy się pojawiła, natychmiast zrobiła na mnie wrażenie. Wydawała się znacznie bardziej bezpośrednia od większości znanych mi oficerów i nie była to wyłącznie zasługa tak naturalnej dla wszystkich Księżąt arogancji. Jej ogoloną na łyso głowę znaczyły tatuaże upamiętniające odkrycie przez nią każdego nowego tunelu czasoprzestrzennego w trakcie służby w Biurze Geodezji – osiągnięcia, którymi nie mogło się pochwalić wiele Księżąt. Poza tym wyglądała niepozornie i w przeciwieństwie do Huzanda (który nie miał na koncie tylu sukcesów) nie nosiła podświetlanych medali, tylko wstążki w najmniejszym dostępnym rozmiarze przypięte do zwykłego kombinezonu roboczego, ozdobionego złotymi epoletami stosownymi dla jej pozycji. Zamiast pretensjonalnego antyku otrzymanego w nagrodę za

sprawne pojedynkowanie się nosiła podwójne energetyczne lancety przymocowane pod nadgarstkami – doskonałą nowoczesną broń osobistą.

Uznałem, że skoro sam mam już medale, wezmę przykład z Kotrez i będę nosił je tak, żeby jak najmniej rzucały się w oczy. Poza tym postanowiłem zdobyć podobne lancety i nauczyć się nimi posługiwać.

Kotrez nie była tak przyjazna jak wiceadmirał, ale na pewno znacznie bardziej od Huzanda. Zachowywała się bardzo rzeczowo. Pogratulowała mi odznaczenia, zadała kilka szczegółowych pytań o atak Smutnookiego, zerknęła na moją filiżankę, żeby sprawdzić, czy zdążyłem ją opróżnić, po czym bezzwłocznie mnie odprawiła.

– Proszę wrócić do swoich obowiązków, kadecie Kemri. Dobrze się spisałeś, ale nie pozwól, żeby ekscytacja cię rozpraszała. Ucz się pilnie i przygotuj do służby Imperium. Odmaszerować.

Bardzo ostrożnie odstawiłem filiżankę, cofnąłem się, żeby zaszalutować, obróciłem na pięcie i wyszedłem. Miałem wrócić do koszar, z których dopiero co udało mi się wyrwać, do tego piekła – czy gdziekolwiek trafiali Książęta przed odrodzeniem.

Nie spodziewałem się niczego dobrego po kolegach i koleżankach z klasy, dlatego ostrożnie wszedłem do sali, wyglądając pułapek i podstępów. Ani na moment nie zerwałem połączenia z Imperialnym Umysłem, który nieustannie śledził moje poczynania.

Kilka kroków za progiem przystanąłem, ale nie dlatego, że wpadłem w zastawione przez nich sidła albo zostałem zaatakowany. Po prostu poza Tyrto, Aliad i Calzikiem nie rozpoznałem nikogo. Przyszło mi nawet do głowy, że omyłkowo trafiłem do innej klasy, którą właśnie odwiedzali ci troje. Nie było jednak takiej możliwości. Znajdowałem się we właściwym pomieszczeniu. Rozpoznałem nawet swoje łóżko i szafkę.

– Hip, hip, hurra dla zwycięskiego bohatera – powiedziała Tyrto, machając radośnie. – Witaj wśród żywych.

Pozostali zasalutowali. Chcieli mnie w ten sposób powitać albo doceniali to, że zostałem odznaczony.

– Dzięki – odparłem. – Ee, co się stało z Charozem i jego potężnymi legionami?

– Otrzymali nowy przydział – wyjaśniła Tyrto. – Wszystkie grupy klasowe zostały podzielone i wymieszane. Pozwól, że dokonam prezentacji.

Kiedy nowi do mnie podeszli, sprawdziłem ich za pośrednictwem Imperialnego Umysłu. Żaden z nich nie należał do Domu Dzerrazisa.

Zmieniono nam nawet opiekuna. Zamiast opryskliwej Jesmur otrzymaliśmy bardzo wysokiego i opanowanego chorążego, Księcia Hokokzema. Kiedy nas odwiedził, najpierw uroczyście pogratulował mi obrony honoru klasy 2645, a następnie poinformował wszystkich zgromadzonych, że mamy siedemnaście minut na założenie kombinezonów odpowiednich do pilotowania statku. Jak się okazało, czekały nas zajęcia w zabytkowych jednozałogowych statkach akademii, przerobionych na symulatory, z dodatkowymi fotelami dla drugich pilotów.

Później, kiedy czekaliśmy, aż przydzielą nam osobistą załogę i drugich pilotów będących jednocześnie instruktorami, zapytałem Tyrto, co się wydarzyło podczas mojej nieobecności.

– Niewiele – odparła. – Nie było lekcji. Głównie sprzątaaliśmy, żeby doprowadzić do ładu cały ten bałagan po Smutnookich. Robiliśmy wszystko, co się dało. Pewnie chcieli nas czymś zająć w czasie, kiedy leciały głowy.

– Leciały głowy? – zapytałem jak gdyby nigdy nic. – Co masz na myśli?

– Daj spokój! Akademia została zaatakowana właśnie wtedy, kiedy prawie wszyscy chorążowie przebywali na przepustce, nikt nie monitorował czujników dalekiego zasięgu, nie było żadnych patroli, a cała broń automatyczna została oddana do konserwacji. Nic dziwnego, że Huzand odebrał sobie życie bez opcji odrodzenia.

– Jak to?

Tyrto przyjrzała mi się uważnie. Niektórzy stojący w pobliżu kadeci przysłuchiwali się naszej rozmowie, dlatego albo się nade mną zlitowała i poszła mi na rękę, albo naprawdę uznała, że nic nie wiem.

– Zwyczajnie. Huzand władował się w sam środek ataku i stracił połączenie z Umysłem. To żadna strata dla Marynarki Wojennej. Nie radził sobie z niczym innym oprócz pojedynków. Nie mam pojęcia, jak załatwił sobie fuchę komendanta. Pewnie Dzerrazis dba o swoich ludzi.

Kilku kadetów posłało jej mordercze spojrzenia, jednak było ich znacznie mniej niż przed tygodniem. Zastanowiło mnie, ilu kadetów przestało trzymać z Dzerrazisem, gdy tylko nastąpiły nowe porządki. Można było zmienić Dom co najmniej raz w ciągu kariery, chociaż oczywiście zyskiwało się w ten sposób wielu wrogów.

– Kemri! – zawołał kapitan, Księżę Logrezk, który już wcześniej uczył mnie pilotażu. To pod jego czujnym okiem wykonałem pierwszy start. Podobnie jak pozostali instruktorzy został odkomenderowany do akademii z flotyli systemu obronnego. I chociaż w przeszłości nie był dla mnie miły, kiedy tym razem wmaszerowałem na pokład i zasalutowałem, kapitan bardzo elegancko wykonał ten sam gest.

– Dobrze znów cię widzieć, kadecie Kemri. Przekonajmy się, czy poradzisz sobie podczas tych ćwiczeń równie dobrze jak ostatnio na ziemi ze Smutnookimi.

Bardzo dobrze wspominam kolejne sześć miesięcy, które spędziłem w akademii. Chociaż zatwardziali dzerraziści od czasu do czasu uprzykrzali mi życie i wybuchła jedna wielka awantura z udziałem Charoza, która nas obu kosztowała z pół tuzina punktów karnych, nie dało się tego porównać z moimi wcześniejszymi doświadczeniami. Całkiem nieźle dogadywałem się z nowymi kolegami i koleżankami z klasy, a z Tyrto zaprzyjaźniłem się

na tyle, na ile było to możliwe między Książętami nienależącymi do tego samego Domu.

Także moje stosunki z dowództwem uległy znacznej poprawie, chociaż od czasu do czasu nadal wysyłano mnie na dodatkowe musztry i lekcje. A wszystko dlatego, że po prostu nie potrafiłem się oduczyć spóźniania, mówienia bez ogródek, co sądzę, i wymądrzania się. Przez kilka pierwszych tygodni po powrocie mogłem liczyć na ulgowe traktowanie, ale to się musiało kiedyś skończyć. Nowa pani komendant dotkliwie uświadomiła mi, że czas pożegnać się z przywilejami. Mimo wszystko nigdy nie zgromadziłem choćby kilkunastu punktów karnych, więc zwykle wracałem do swoich prywatnych komnat co najmniej raz na dwa albo trzy tygodnie.

I nagle, ku zaskoczeniu wszystkich zainteresowanych, okazało się, że do końca nauki w akademii został już tylko miesiąc i trzeba zdecydować, co dalej. Po roku spędzonym w jej murach kadet mógł zaciągnąć się na okręt, żeby zdobyć kwalifikacje podczas pracy i odbyć dalsze szkolenie, albo zostać na kolejne dwa lata zaawansowanych kursów, które były niezbędne do uzyskania wyższej rangi. Mógł także odejść, jeśli zadowalał go stopień rezerwowego (który zasadniczo nic nie znaczył, jeśli Imperium nie prowadziło żadnej dużej wojny i nie mobilizowało rezerwistów Marynarki Wojennej), i zająć się czymś zupełnie innym.

Oczywiście ja nadal czekałem na dzień, w którym dowiem się, jakie zadanie specjalne wyznaczyło dla mnie Imperium. Ale skoro nie miałem żadnych wieści od arcykapłanki Morojal, musiałem zacząć rozważać różne scenariusze.

O dziwo, nie wykluczałem nawet pozostania w akademii. Lubiłem niektóre zajęcia. Prawdziwą przyjemność sprawiało mi pilotowanie statków jednozałogowych – wewnątrzsystemowych myśliwców dostarczanych nam przez różne znacznie większe statki kosmiczne. Nawet liczące sobie sto

dwadzieścia lat jednostki klasy Jerragor, na których się uczyliśmy, nadal radziły sobie całkiem nieźle, mimo że ich mechtech pozostawiał wiele do życzenia w porównaniu z nowocześniejszą flotą Imperium, mogącą pochwalić się lepszym wyważeniem między trzema techami.

Bardzo interesowało mnie także Biuro Geodezji Imperium i jego statki rozpoznawcze. Służący w nim Książęta stawali za sterami wielofunkcyjnych pojazdów i przemierzali nimi nowo odkryte tunele czasoprzestrzenne, a jeśli przetrwali to, co czekało na nich po drugiej stronie, szukali drogi powrotnej. Bo na tym właśnie polegał problem z tunelami – wszystkie były jednokierunkowe, więc podróż do domu potrafiła trwać naprawdę długo. Niemniej jeśli istniało przejście prowadzące w jedną stronę, było także co najmniej jedno wyznaczające trasę w przeciwnym kierunku, co uwiarygodniało teorię, że tunele czasoprzestrzenne zostały stworzone przez jakąś dawno zaginioną galaktyczną cywilizację.

To właśnie dzięki tunelom strategia międzygwiazdna, czyli kolejny temat, który mnie interesował, zyskiwała na atrakcyjności. Systemy z licznymi wyjściami i wejściami do tuneli miały ogromne znaczenie dla galaktycznych działań wojennych. Były co najmniej równie ważne jak szybki transfer informacji – jeden z największych atutów Imperium. Imperialny Umysł wraz z psychotechową siecią łączności oznaczał, że jak długo w zasięgu znajdowali się kapłani, tak długo siły Imperium mogły komunikować się ze sobą nawzajem i z centralami dowodzenia.

Jedynie Smutnoocy mogli się pochwalić podobnym systemem komunikacji międzygwiazdnej, ale na szczęście nie korzystali z niego w usystematyzowany sposób. Właściwie rzadko organizowali się w grupy większe niż trzystu Smutnookich, dowodzących maksymalnie szesnastoma tysiącami marionetek. Do modus operandi tych stworzeń zaliczały się naloty i niespodziewane ataki, mające niewiele wspólnego z działaniami

wojennymi floty zakrojonymi na szeroką skalę w przypadku starć z samobójczymi Umarlakami czy na nieco mniejszą podczas konfrontacji z naknukowymi buntownikami i ich biotechowymi hordami.

Nie sądziłem jednak, że zostanę w akademii. Nadal chciałem się usamodzielnić, zostać dowódcą statku i wyruszyć na peryferie Imperium w poszukiwaniu przeznaczenia.

Niemniej wcale się z tym nie obnosiłem, zwłaszcza w obecności starszych Książąt, którzy rozmawiali ze mną w ciągu ostatnich dni przed zakończeniem roku, kiedy to wszyscy kadeci snuli plany na przyszłość.

Miałem więcej gości, niż się spodziewałem. Wśród nich znalazła się dowódczyni garnizonu Piechoty Morskiej, Księżniczka Glemri. Zaczepiła mnie, kiedy za karę za spóźnienie, prawdopodobnie już ostatnie, pilnowałem drzwi przy stacji siódmej wraz z kawalerzystami mechbio.

– Kadecie Kemri, dobrze, że się spotykamy – powiedziała. – Chcę zamienić z tobą słowo.

– Tak jest, pani kapitan – odparłem sztywno, stając na baczność w szeregu z nieruchomymi kawalerzystami.

– Spocznij – poleciła. – To zwykła pogawędka. Zastanawiałam się, czy rozważałeś wstąpienie do Piechoty Morskiej. Jakie masz plany?

W ciągu minionego roku nabrałem trochę rozumu, więc nie splunąłem na ziemię i nie oświadczyłem, że nigdy nie zostanę żołnierzem Piechoty Morskiej, ani nie zrobiłem nic równie głupiego. Zamiast tego ściągnąłem brwi, jakbym się zastanawiał.

– Jeszcze nie podjąłem decyzji, pani kapitan. Rozważam wszystkie możliwości.

– Dobrze się spisałeś w starciu ze Smutnookimi. I wiem, że rozumiesz mowę kawalerzystów.

– Hm, to prawda, pani kapitan – przyznałem.

– To wcale nie zdarza się tak często, może u jednego Księcia na dziesięciu – wyjaśniła Glemri. – Poza tym tej umiejętności wymagamy od wszystkich żołnierzy Piechoty Morskiej. Biorąc pod uwagę, że ją masz i wcześniej zdobyłeś pierwsze doświadczenia w walce, założę się, że w ciągu dziesięciu lat mógłbyś zostać pułkownikiem. Dowodziłbyś własną jednostką.

– Na pewno to rozważę, pani kapitan – obiecałem.

Istotnie zamierzałem to zrobić. Wątpiłem jednak, że przyjmę jej propozycję. Lubiłem kawalerzystów mechbio, ponieważ byli prostolinijni i działali na mnie uspokajająco. Ale zarówno Glemri, jak i kilku innych oficerów Piechoty Morskiej, których poznałem, byli dla mnie zbyt poważni. Zdawali się należeć do książęcego grona, w którym nie liczyło się nic poza pracą. Oczywiście nie zamierzałem skończyć jako całkowicie bezużyteczny próżniak. Nie byłem jednak gotowy na takie oddanie Piechocie Morskiej.

Poza tym wcale nie byłem wielkim fanem walki lądowej. Nadal zdarzało mi się obudzić w środku nocy pod wpływem nagłego bólu fantomowego w łokciu, z głową pełną obrazów z tamtej krwawej bitwy na korytarzu.

To nie była moja bajka. Wiedziałem, że w razie konieczności stanę na wysokości zadania i ruszę do boju, ale nie uśmiechała mi się służba w siłach lądowych.

Z kolei komendant Kotrez wezwała mnie do swojego biura, żeby omówić rozwój mojej kariery. Przepowiadała mi świetlaną przyszłość w Marynarce Wojennej i gorąco zachęcała, żebym został w akademii na dodatkowe dwa lata. Na biurku tuż przede mną spoczywały brązowe epolety chorążego. Mogłem po nie sięgnąć, gdybym tylko zechciał.

Ale ponownie wykazałem się taktem. Wyraziłem zainteresowanie i wyjaśniłem, że wstrzymam się z decyzją do ostatniej chwili, czyli do wieczoru po uroczystej paradzie z okazji zakończenia nauki.

Ostatniego dnia rano wszyscy siedzieliśmy na łózkach ubrani w mundury galowe, chociaż jeszcze bez butów i futrzanych czap, i omawialiśmy nasze plany. Chociaż nie przyznawaliśmy tego głośno, każdy z nas zdawał sobie sprawę, że po opuszczeniu tych murów powrócimy do świata Imperium, gdzie mogli przetrwać tylko najlepiej przystosowani Książęta. Nawet ci, którzy postanowili kontynuować naukę w akademii albo zaciągnąć się na statek, mogli się spodziewać, że zostaną wyzwani na pojedynek albo padną ofiarą morderstwa w ciągu tych trzech miesięcy, które będą ich dzieliły od powrotu na służbę. Istniało nawet prawdopodobieństwo, że niektórzy z Książąt dzielących ze mną koszary już teraz snuli plany o wyeliminowaniu mnie albo pozostałych kadetów z naszej klasy. Haddad wspomniał mi, że dziesiątki pojedynków i zamachów nie należały do rzadkości na pokładzie promu, który jako pierwszy wyruszał z Kwanantil Dziewięć na Kwanantil Cztery tuż po zakończeniu roku akademickiego.

Wiedziała o tym także Tyrto, co nie wywołało mojego zdumienia. Zaintrygowało mnie jednak, że nie tylko zapisała się już na kursy dla zaawansowanych i zamierzała kontynuować naukę w akademii, ale także zdołała załatwić sobie pracę na trzymiesięczny okres wakacyjny. Miała pomagać komandorowi porucznikowi przy przeprojektowaniu systemów obronnych bazy. Nie musiała więc opuszczać akademii i ryzykować śmierci poza jej murami.

Nie musiałem pytać, jak tego dokonała. Podobnie jak Tyrto, a także nowa komendant akademii, wspomniany komandor porucznik należał do Domu Tivanda. Mimo wszystko byłem pod wrażeniem jej zaradności. Mogłem wziąć z niej przykład, ale chęć poznania większego skrawka galaktyki zwyciężyła nad strachem przed ewentualnym pojedynkiem czy zamachem na moje życie.

Prawdopodobnie kolejny raz kierowała mną zbytnią pewnością siebie. W końcu już raz zginąłem i wróciłem do życia – i wcale nie było tak źle.

Aliad i Calzik zaciągnęli się na statek. Co więcej, poprosili o przydział na tę samą jednostkę. Poza tym opuścili Dom Dzerrazisa, a Aliad wyznała mi, że zamierza założyć swój własny, kiedy już będą wystarczająco dorośli. Od samego początku byli sobie całkowicie oddani, co w świecie Książąt nie zdarzało się często. Oczywiście nie łączyły ich kontakty fizyczne. Podobne relacje nie tylko były zabronione, ale także uniemożliwiało je nam odpowiednie oprogramowanie. Mogliśmy zaspokajać pożądanie jedynie w objęciach usługowych kochanków i innych zwykłych ludzi.

W tamtym czasie chyba nawet nie przyszło mi do głowy, że to, co łączyło Aliad i Calzika, mogło być miłością. Nie miałem żadnego doświadczenia w tej dziedzinie. Nigdy wcześniej nie widziałem zakochanych, a kapłani z mojej świątyni szkoleniowej nie wspominali o istnieniu takiego uczucia. Oczywiście był seks, który uprawiano się dla przyjemności. Były pakt o współpracy w obrębie poszczególnych Domów, relacje oparte na wykonywaniu obowiązków i powinności, łączące mistrza skrytobójców z jego Księciem. I była lojalność wobec Imperium.

Ale miłość?

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, czym ona jest, ale myślę, że Aliad i Calzika łączyło właśnie coś takiego – głębokie uczucie, które kazało im przedkładać interesy drugiej osoby nad własne. Zdołali zachować ten drobny fragment człowieczeństwa: instynktownie potrafili kochać. Dlatego też kiedy się poznali, przypadli sobie do gustu i stworzyli związek, w którym znaczyli znacznie więcej, niż kiedy żyli osobno.

Wtedy wszyscy uważali ich za cudaków. Niektórzy sądzili nawet, że prowadzą jakąś dziwną psychologiczną grę, która miała wszystkich odstraszyć i zapewnić im święty spokój.

– Więc co zamierzasz, Kemri? – zapytała Tyrto. – Nie możesz dłużej odkładać tej decyzji.

Nie odpowiedziałem. Zamiast tego wysłałem kolejną wiadomość do Imperialnego Umysłu.

„Kiedy zostanę wysłany na specjalną misję?”

Spodziewałem się typowej odpowiedzi: „Ucz się pilnie i trzymaj język za zębami”. Ale tym razem otrzymałem coś zupełnie innego.

„Książę Kemri «identyfikator» awansowany na kapitana Marynarki Wojennej Imperium w chwili ukończenia nauki w akademii. Bezzwłoczne przeniesienie do imperialnej stacji zaopatrzeniowej Arok-Pipad «identyfikator» w charakterze adiutanta komodora Księcia Elzweka III «identyfikator», na pokładzie okrętu Marynarki Wojennej Imperium Świt Zwaktuz «identyfikator» podchodzącym do lądowania na Kwanantil Dziewięć ETA 2315 CT ETD 0415 «pieczęć Imperialnego Umysłu»”.

Przez chwilę byłem całkowicie zaszokowany. Moja misja specjalna miała polegać na usługiwaniu urzędnikowi odpowiedzialnemu za zaopatrzenie?

Szybko przesłałem zapytanie Umysłowi. Dowiedziałem się, że komodor Elzweko miał prawie dwieście lat, odrodził się dwukrotnie i nie otrzymał żadnych istotnych odznaczeń. Poza tym w ciągu minionych sześćdziesięciu ośmiu lat nie został awansowany. Stacja zaopatrzeniowa Arok-Pipad była bardzo spokojnym i bardzo nudnym miejscem. Niewielka liczba obecnych tam elementów bojowych oznaczała, że nie czekało mnie wiele pracy.

Kiedy analizowałem uzyskane informacje, nie zaskoczyła mnie wieść, że nowym admirałem dowodzącym Królestwem Rozaxra, gdzie znajdowała się stacja Arok-Pipad, został sam Książę Dzerrazis.

Co więcej, moje krótkie śledztwo pokazało, że Dzerrazis złożył wniosek, by przydzielono mnie na służbę w jego kwaterze dowodzenia. W innych okolicznościach mógłbym odmówić i pójść własną drogą, gdyby nie kolejne zdarzenia. Mianowicie awansowała mnie sama wielka admirał floty Imperium, a Imperialny Umysł potwierdził mój awans, automatycznie

krępując mi ręce na kolejny rok, czy mi się to podobało, czy nie. Co więcej, Umysł zmienił rozkaz. I tak zamiast udać się do głównej kwatery Królestwa Rozaxra, miałem zameldować się w stacji zaopatrzeniowej, która – w przeciwieństwie do całego systemu – nie podlegała admirałowi Dzerrazisowi, ale Zarządowi Zaopatrzenia z siedzibą w Imperialnym Jądrze.

Nie miałem pojęcia, co to znaczy. Wiedziałem tylko tyle, że nie mogę się sprzeciwić. Kolejny rok miałem więc spędzić na usługach Marynarki Wojennej, na asteroidzie znajdującej się w jakimś zapomnianym przez wszystkich miejscu. Co gorsza, doszło do tego w wyniku działań Księcia, który miał dobry powód, żeby być moim wrogiem.

– Więc co wybierzesz, Kemri? – powtórzyła Tyrto.

Zanim odpowiedziałem, podniosłem swoją futrzaną czapę i wsunąłem ją na głowę, po czym sięgnąłem po buty.

– Właśnie? – zawtórowała jej Aliad.

– No cóż – odparłem, wstając. Strzepnąłem nieistniejący pyłek ze wstążki medalu dla Bohatera Imperium. – Wygląda na to, że moje usługi dla Imperatora są tak ważne, że właśnie mianowano mnie kapitanem.

Wychwyciłem nagły potok pytań przesyłanych Imperialnemu Umysłowi, a potem doczekałem się kilku niedowierzających spojrzeń, jednego uśmiechu (od Tyrto) i jednego prychnięcia.

– Więc od dzisiejszego popołudnia możecie zwracać się do mnie sir – powiedziałem. A ponieważ spodziewałem się kolejnych prychnięć, czy nawet rzucania we mnie bermycami, dodałem szybko: – Spieszę jednak uspokoić tych, którzy słusznie uważają, że nie powinienem otrzymać awansu z takim wyprzedzeniem. Pewnie ucieszy was informacja, że nie będę miał okazji skorzystać z urlopu, bo bezzwłocznie zostanę odesłany na koniec galaktyki, gdzie będę pompatycznym sekretarzem zapomnianego przez wszystkich komodora dowodzącego stacją zaopatrzeniową.

Rozdział 9

Chociaż nie cieszyło mnie, że wpadłem w pułapkę zastawioną przez Dzerrazisa, czy też, w najlepszym razie, zostałem zepchnięty na boczny tor na cały rok, ogarnął mnie zachwyt, kiedy odkryłem, że okręt Marynarki Wojennej Imperium o nazwie Świt Zwaktuz jest zautomatyzowany i pilotuje go dwóch kapłanów z Wymiaru Wnikliwego Inżyniera oraz sześć dronów usługowych mechbio. Oznaczało to bowiem, że mogę przejąć dowodzenie, zamiast podróżować jako pasażer.

Ponieważ w zasadzie od zawsze marzyłem o własnym statku, natychmiast skorzystałem z okazji i zgłosiłem się jako dowódca, co Imperialny Umysł potwierdził lakoniczną odpowiedzią, która nijak nie pasowała do przepęniającej mnie ekscytacji.

„Księżę Kemri «identyfikator» przejmuje dowodzenie nad okrętem Marynarki Wojennej Imperium Świt Zwaktuz «identyfikator» «data»”.

Świt Zwaktuz nie wypadł najlepiej w porównaniu ze statkami z moich dziecięcych marzeń albo symulacji z udziałem Księcia Garikma. Nie prezentował się też wyjątkowo. Był to zwykły transportowiec. Jego kadłub został wydrążony w liczącym wiele setek lat kosmicznym złomie, a konkretnie w ważącej milion ton sferoidzie z tworzywa wyprodukowanego przemysłowo przez wymarłą dawno temu międzygwiazdną cywilizację. Mimo to był równie twardy jak nasze najlepsze mechtechowe kadłuby. Na szczycie kuli wydrążono tunel, w którym zamontowano stosunkowo nowoczesny moduł dowódczo-kontrolno-mieszkalny, a wokół pierścienia równikowego wyhodowano liczne biotechowe silniki sterujące.

Napęd warp statku był typowy dla starych mechtechowych modeli. Chociaż w porównaniu z psychotechowym napędem miał tę zaletę, że mogło obsługiwać go znacznie mniej kapłanów, na jego niekorzyść przemawiało to, że był od niego znacznie wolniejszy i, co ważniejsze, w razie awarii powodował zwykle nie tylko śmierć kapłanów, ale także eksplozję antimaterii. Wuj Rerrunk pocieszył mnie jednak, że taki wybuch jest niezwykle mało prawdopodobny, a nawet gdyby do niego doszło, moduły dowódczo-mieszkalne prawdopodobnie nie zostałyby uszkodzone.

Uzbrojenie statku tworzyły liczne ruchome wieżyczki poruszające się po szynach wokół kadłuba, obowiązkowo w różnych konfiguracjach. Szybko odkryłem jednak, że działało ich tylko sześć spośród pięćdziesięciu. Co więcej, były wyposażone w karabiny krótkiego zasięgu, nadające się jedynie do przechwytywania podrzędnych rakiet albo pocisków.

Bardziej przydatna mogła się okazać wyrzutnia z unieruchomionym statkiem jednozałogowym klasy Kragor. Chociaż była jeszcze starsza od jednostek Jerragor, na których ćwiczylimy w akademii, maszyna miała na pokładzie naprawdę przyzwoite uzbrojenie i schowki pełne zapasów amunicji.

Poza tym na okręcie nie brakowało miejsca; mogłem więc zabrać dodatkowych kapłanów, których udało mi się zgromadzić. Awans na kapitana oznaczał kolejny przydział i tym razem otrzymałem dwóch przedstawicieli Wymiaru Radosnego Towarzysza i po jednym z Wymiarów Podróżującego Poszukiwacza oraz Rozgniewanego Wroga. Nie wiem, skąd Haddad ich wystraszył ani jak ich przetestował, ale w chwili startu wszyscy byli na okręcie. Na pokładzie Świtu Zwaktuz znajdowało się także sześciu nowych uczniów Haddada, którzy dziwnym zbiegiem okoliczności wsiedli na niego na długo przed tym, jak Imperialny Umysł poinformował mnie, że będę nim podróżował.

Zapytałem o to Haddada już na mostku kapitańskim, kiedy Kwanantil Dziewięć kurczyło się na ekranie przede mną. Tylko raz zerknąłem na planetę, którą mogłem uznać za swój pierwszy dom w dorosłym życiu. Nie czułem tęsknoty ani żalu. Cieszyłem się, że udało mi się stamtąd wyrwać. Jediną osobą, której trochę mi brakowało, była Tyrto. Szybko jednak wytłumaczyłem sobie, że i tak raczej zostalibyśmy wrogami niż sojusznikami. Być może nawet będę zmuszony ją kiedyś zabić albo zostanie przez nią zabity.

– Moi uczniowie wsiedli na Zwaktuz całkiem przypadkowo, Wasza Wysokość – odparł Haddad. – Był to pierwszy dostępny transport z Bereskiz Pięć, gdzie mieści się ich świątynia. Przyznaję jednak, że wyszło doskonale, ponieważ już wcześniej zleciłem im w ramach ćwiczeń przeszukanie statku pod kątem ewentualnych zagrożeń mogących czyhać na Waszą Wysokość. Dzięki temu mogliśmy szybciej wsiąść na pokład i wyruszyliśmy przed czasem.

– Na pewno nie wiedziałeś wcześniej o moim przeniesieniu? – dociekałem. Często odnosiłem wrażenie, że Haddad nie tylko przewyższał mnie inteligencją (co oczywiście nie było możliwe), ale także prowadził mnie wytyczoną drogą, a przynajmniej dostrzegał na horyzoncie znacznie więcej ode mnie.

– Nie, Wasza Wysokość, nie wiedziałem – odparł.

– No cóż, czekają nas trzy beczynne tygodnie – stwierdziłem. – W takim razie udam się do swoich kwater razem z kochankami i masażystą. I niech Lazkro i jego kucharze przygotują ucztę.

Haddad zakaszał.

– Żałuję, ale to nie będzie możliwe. Sądziłem, że zdaje sobie Wasza Wysokość sprawę, że w chwili podjęcia decyzji o dowodzeniu statkiem wrócił Wasza Wysokość na służbę. Dlatego też zostawiliśmy wszystkich

cywilów ze świty Waszej Wysokości. Dołączą do nas innym transportem za jakiś czas.

– Co takiego?! – wrzasnałem. – Mogłeś... trzeba było mnie uprzedzić!

– Żałuję, że tego nie zrobiłem, Wasza Wysokość – odparł Haddad ze zwieszoną głową.

Uderzyłem pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki, dając się ponieść złości. Przyszło mi jednak do głowy, że moja twarz mogła zrobić się czerwona, tak jak dawniej oblicze Huzanda, więc natychmiast wypuściłem powietrze razem z negatywnymi emocjami. Nie chciałem być takim Księciem.

– No cóż, pewnie zajmę się czymś innym – powiedziałem.

– Czy mogę zasugerować ćwiczenia z pojedynków, Wasza Wysokość? – zapytał mój mistrz skrytobójców. – I rekomendowałbym także uruchomienie statku jednozałogowego, które będzie wymagało osobistego nadzoru Waszej Wysokości.

Jak już mówiłem, Haddad zawsze wybiegał kilka kroków naprzód. Jestem pewien, że gdybym nie przejął dowodzenia nad statkiem, znalazłby inny sposób, żeby nie zabierać na pokład moich kochanków, kucharzy i masażystów.

Słusznie uznał, że brakowało mi wprawy w pojedynkach. Oczywiście nauka w akademii uwzględniała zajęcia praktyczne w tym zakresie, ale lekcje z Haddadem były znacznie intensywniejsze. Zagospodarował on jeden z pustych luków towarowych wielkości amfiteatru i naprędce sklecił tam konfigurację różnych siedlisk, terenów i struktur. Walczyliśmy więc na wszystkich możliwych polach bitewnych, używając każdej tradycyjnej broni, takiej jak szpady, pistolety i bicz paralizujące. Sięgaliśmy także po tę bardziej nietypową, którą zdaniem Haddada wybierali niektórzy Książęta, żeby zyskać przewagę nad przeciwnikiem. Opanowałem więc między innymi władanie pistoletami na bolce z żyłkami i miotaczami obrotowymi.

Pracowałem także nad uruchomieniem jednozałogowego statku Kragor, korzystając z pomocy jednego z inżynierów pokładowych, a także swoich własnych: ciotki Viviax oraz wuja Rerrunka. Trzeba było wymienić wiele mechtechowych modułów i ponownie wyhodować biotechowe elementy. W efekcie nauczyłem się więcej od kapłanów niż z oprogramowania dotyczącego inżynierii statków jednozałogowych, które załadowano mi w akademii.

Okazało się, że część wiedzy wgranej do mojego umysłu opierała się na błędnych założeniach. Na początku nie mogłem w to uwierzyć i kiedy kapłani próbowali zwrócić mi na to uwagę, wyklócałem się z nimi. Wszystko jednak stało się dla mnie jasne, kiedy asystowałem przy zbrojeniu i próbowałem wprowadzić płyt kinetyczny do wyrzutni złą stroną, ponieważ nakładka, którą miałem przed oczami, zawierała informacje całkiem niezgodne z rzeczywistością.

Całe to wydarzenie odrobinę mną wstrząsnęło i skłoniło do refleksji nad tym, ile danych utrwalonych w mojej pamięci rozmija się z prawdą. Ostatecznie uznałem, że w przyszłości zawsze będę się starał zdobyć wiedzę praktyczną, żeby zweryfikować prawdziwość oprogramowania wprowadzonego do mojego mózgu.

Ponadto spędziłem trochę czasu na rozmowach z Haddadem. Omawialiśmy niedaleką przyszłość, a także zastanawialiśmy się nad znaczeniem mojego dziwnego awansu i oddelegowania.

– Istnieje spore prawdopodobieństwo, że Książę Dzerrazis wystąpił z wnioskiem o przydzielenie Waszej Wysokości do służby w jego kwaterze głównej, aby ułatwić sobie uśmiercenie Waszej Wysokości, w zamachu czy też pojedynku, i pomścić w ten sposób komendanta Huzanda – wyjaśnił Haddad. – Wielki admirał prawie na pewno był winien Dzerrazisowi przysługę i dlatego awansował Waszą Wysokość, żeby wspomóc Dzerrazisa w realizacji jego celu i uniemożliwić Waszej Wysokości opuszczenie

Marynarki Wojennej. Ale wtedy pojawiły się inne okoliczności. Pozostaje niejasne, jaki cel przyświecał Umysłowi, kiedy postanowił przenieść Waszą Wysokość z kwatery głównej w Rozaxra do tej stacji zaopatrzeniowej. Wuj Naljalk wyliczył najwyższe prawdopodobieństwo dla dwóch scenariuszy. Jeden z nich zakłada, że Umysł umieścił Waszą Wysokość poza zasięgiem Dżerrazisa, żeby ten zapomniał o Waszej Wysokości, a drugi, że zrobił to, by ułatwić Dżerrazisowi usunięcie Waszej Wysokości.

– Świetnie! – mruknąłem. – Nie dość, że dostałem nudną pracę, to jeszcze muszę zachować wzmożoną czujność!

– Zawsze powinien Wasza Wysokość zachowywać wzmożoną czujność – uściślił Haddad. – Tak wygląda życie Księcia.

– Kiedy powiedziałeś, że Umysł mógł ułatwić Dżerrazisowi wyeliminowanie mnie, co dokładnie miałeś na myśli? – zapytałem. – Imperator może chcieć mojej śmierci?

– Chociaż Imperialny Umysł wyraża wolę samego Imperatora, nie zawsze jest to osobiste życzenie Imperatora – wyjaśnił Haddad. – Przez większość czasu chodzi po prostu o wybór między sprzecznymi interesami Książąt, żeby otrzymać możliwie najlepszy wynik dla Imperium. I mogło zdarzyć się tak, że zestawienie pragnienia zemsty Dżerrazisa z potencjałem Waszej Wysokości przeważało szalę na jego stronę. Ale równie dobrze Umysł mógł zdecydować, że spróbuje zachować Waszą Wysokość przy życiu. Wszystko jest możliwe.

Przemyślałem jego słowa. Miałem nadzieję, że kiedy zabraknie Huzanda, zniknę z celownika Dżerrazisa, na którego wrogość niczym sobie nie zasłużyłem. Wyglądało jednak na to, że byłem w błędzie. Z jakiegoś powodu admirał się na mnie wziął. A jeśli bardzo chciał mnie dorwać i zamierzał wykorzystać w tym celu wszystkie zasoby Domu Dżerrazisa, nie miałem szans.

Przyszło mi do głowy, że mógłbym przeprowadzić kontratak. Miałem nawet pewien plan, chociaż nie był on zbyt praktyczny ani oparty na wiarygodnych informacjach.

– Haddadzie, powiedz mi, jak wybierany jest następca Imperatora.

– Nie znam szczegółów, Wasza Wysokość – odparł Haddad. – Abdykacja nastąpi za niecały rok. Trzy miesiące przed Dniem Abdykacji w Imperialnym Jądrze wybranych zostaje tysiąc Książąt będących kandydatami na Imperatora. Ale to, co dzieje się potem, pozostaje tajemnicą. Kandydaci przepadają bez wieści, chociaż nie są zgłaszani jako trwale uśmierceni albo zaginieni, tylko figurują jako kandydaci już po wsze czasy. Jeden z nich zostaje Imperatorem. Nie wiadomo, co się dzieje z pozostałymi, podobnie jak nieznana jest tożsamość tego, który wstępuje na tron Imperium. Na początku nowej kadencji Książęta zawsze zlecają analizy, żeby ustalić, czy decyzje podejmowane przez nowego Imperatora wskazują na konkretnego kandydata spośród wybranego tysiąca. Czasem niektóre Domy są faworyzowane bardziej od innych, ale moim zdaniem nie da się ustalić, kto zasiada na tronie.

– Więc nie mogę liczyć na to, że zostanę kolejnym Imperatorem – skwitowałem. – Gdyby tak się stało, mógłbym zlikwidować Dzerrazisa, zanim on dorwie mnie.

– Lepiej nie opierać planów na takiej ewentualności – zgodził się Haddad bez cienia uśmiechu. – Zważywszy na rozbieżność doświadczenia i potęgi między Waszą Wysokością a Dzerrazisem, najlepiej po prostu mieć się na baczności, wyznaczyć sobie skromniejszy cel... i kontynuować ćwiczenia z pojedyneków. Dom Dzerrazisa zrzesza dwa tysiące trzystu pięciu członków, którzy obecnie mają stopień kapitana albo jego odpowiednik w innych służbach, i każdy z nich może rzucić wyzwanie Waszej Wysokości. Jeśli Dom Dzerrazisa namierzy Waszą Wysokość, zapewne wyzwie go na pojedynek.

– Ćwiczmy zatem – uznałem.

Przynajmniej mogłem dzięki temu oderwać myśli od ponurych perspektyw.

Moja przyszłość nie zaczęła się malować w jaśniejszych barwach, kiedy wydostaliśmy się z piątego i zarazem ostatniego tunelu czasoprzestrzennego prowadzącego do systemu Arok-Pipad. Można było się tam dostać tylko jednym wejściem i wydostać tylko jednym wyjściem, co było dość nietypowe. Większość systemów mogła się pochwalić większą liczbą zarówno jednych, jak i drugich. Wyglądało więc na to, że Arok-Pipad to prawdziwa dziura. Co więcej, ograniczona łączność z resztą galaktyki sprawiała, że czułem się tam jak w potrzasku.

System okazał się bardzo nieciekawym. Nie było tam żadnych planet, a jedynie ławica dużych asteroid i dwa szerokie pasma znacznie mniejszych skał i ziemi. Jego gwiazda świeciła niebieskim światłem, które cholernie raziło w oczy, nawet na odległej dziesiątej orbicie, gdzie wyłonił się nasz statek.

Przy wchodzeniu w lokalną przestrzeń siedziałem na fotelu dowodzenia jednozałogowego statku Kragor, ponieważ tak poradził mi Haddad. Choć wuj Naljalk wyliczył ledwie jednoprocentowe prawdopodobieństwo napotkania uzbrojonego, wrogiego komitetu powitalnego, to wystarczyło, żeby mój mistrz skrytobójców podjął środki ostrożności.

Standardowa procedura wymagała, żebym najpierw połączył się z Imperialnym Umysłem. Dlatego też spróbowałem to zrobić. Ale nic się nie wydarzyło.

„Haddadzie, nie mam połączenia z Umysłem! Jesteśmy blokowani?”

„Nie, Wasza Wysokość. Wygląda na to, że znajdujemy się za daleko Imperialnego Jądra i mamy za mało kapłanów, żeby zachować przekaz z takiej odległości”.

„W systemie nie wykryto żadnych wrogich obiektów? Mamy łączność ze stacją zaopatrzeniową? Dlaczego wyjścia z tunelu nie pilnuje żaden statek?”

„Nie wykryto żadnych wrogich obiektów na skanerach statku ani w psychotechnowym zasięgu. Znajdujemy się na odległych terenach Imperium, Wasza Wysokość. W takich miejscach tunele czasoprzestrzenne często bywają niestrzeżone. To normalne. Frekwo i Aleak nadają właśnie komunikaty do stacji i utrzymują połączenie, gdy tylko je nawiążą”.

„Mam wystartować?”

Miałem wielką ochotę pilotować Kragora. Jeszcze sześć miesięcy wcześniej wystrzeliłbym się w przestrzeń, nie zapytawszy Haddada o zdanie. Nauczyłem się jednak ostrożności. Dzień po dniu, małymi krokami, stawałem się coraz mądrzejszy.

„Zdecydowanie odradzam, Wasza Wysokość. Mamy połączenie ze stacją... a oni już łączą się z Umysłem”.

Niemal wyczułem ulgę w telepatycznym przekazie Haddada. Albo może było to tylko echo moich własnych uczuć. W końcu mogliśmy wpaść w dużą, paskudną pułapkę. Dzerrazis mógł wysłać statek, który zaczekałby na nas, a bez połączenia z Umysłem prawdopodobnie uszłoby mu to na sucho.

Pewnie nie byłem wart takiego zachodu.

Dotarliśmy do stacji zaopatrzeniowej dwadzieścia sześć godzin później. Zyskałem okazję do odbycia krótkiego, ale bardzo szybkiego lotu Kragorem. Doskonale się przy tym bawiłem i nawet udało mi się rozwalić skalną komętę płatem kinetycznym.

A teraz gdy czekałem na powitalną rozmowę z komodorem Elzwekiem, ubrany w zupełnie nowy mundur polowy z zielonymi epoletami kapitana i – niepodświetlonym – medalem oraz odznaką za rany, pożegnałem się w duchu z całą zabawą.

Stacja była metalową asteroidą o długości dwustu i o średnicy osiemdziesięciu kilometrów w najszerszym miejscu, w większości pokrytą warstwą lodu o grubości kilku kilometrów. Tam gdzie usunięto lód, zamontowano liczne imperialne instalacje, takie jak dok dla statków kosmicznych, chociaż większa część bazy była wydrążona głęboko we wnętrzu asteroidy.

Zaraz po przybyciu na miejsce uderzył mnie nieznośny smród. Nawet biotechowe bagno, do którego wpadłem w akademii, nie roztracało takiego odoru. Wstępne informacje, które uzyskałem od Umysłu, nie uwzględniały istotnej wzmianki o tym, że stacja zaopatrzeniowa Arok-Pipad była w istocie Centrum Upraw Zasobów Biotechnowych.

Innymi słowy, całe to miejsce przypominało połączenie ogrodu botanicznego, zoo i kompostowni. I stąd pochodziła paskudna woń nawozów, zwierzęcych odchodów i jeden Imperator raczy wiedzieć czego jeszcze – zapewne jakiegoś wstrętnego kosmicznego gówna.

Spotkało mnie wielkie szczęście, skoro miałem tym wszystkim zarządzać jako jeden z dwóch Książąt. Poza komodorem i mną na stacji przebywało około trzystu kapłanów z Wymiarów Życzliwego Ogrodnika oraz Towarzysza Życia i mniej więcej tyle samo dronów roboczych mechbio. Poza tym stacjonowała tam jedna kompania kawalerzystów mechbio. Mogłem się założyć, że dowodzenie nią będzie jednym z moich głównych obowiązków, co oznaczało mnóstwo dodatkowej pracy administracyjnej i ryzyko kolejnych zadań typowych dla Piechoty Morskiej.

– Proszę wejść, Wasza Wysokość – powiedział kapłan, który otworzył drzwi gabinetu komodora. Był ubrany w fartuch i trzymał jakieś urządzenie do rozpylania, na szczęście skierowane w dół. Przez moment uważnie je obserwowałem, obawiając się ataku biotechnowego, ale byłem połączony z Umysłem i miałem u boku Haddada. Kapłan odwrócił się w drugą stronę

i zaczął spryskiwać dużą roślinę podobną do koniczyny. Jeśli dobrze zdążyłem się zorientować, używał do tego zwykłej wody.

W gabinecie komodora panował jeszcze większy smród niż na zewnątrz. Połowę tego przestronnego pomieszczenia zajmowała bowiem usypana warstwa ziemi, którą porastały liczne rośliny. Dostrzegłem także kopiec usypany z czegoś, co przypominało zwierzęce odchody.

Komodor, którego tożsamość sprawdziłem dwukrotnie, właśnie wbił w niego łopate. Mężczyzna był wyższy i potężniejszy ode mnie; właściwie był dużo masywniejszy od większości Książąt, a ponieważ miał na sobie jedynie szorty od munduru polowego, mogłem przyjrzeć się dokładnie jego imponującym mięśniom. Stęknął, unosząc łopate pełną gnoju, który następnie rozrzucił między rzędami roślin. Potem wbił łopate w kopiec i odwrócił się do mnie.

Uśmiechnął się, kiedy zasalutowałem, i machnął kilkoma palcami. Podobnie jak wiele Książąt ze starszego pokolenia miał bujną brodę i długie wąsy. Wśród żółtych włosów widać było mnóstwo ziemi, a przynajmniej miałem nadzieję, że to ziemia.

– Kapitan Kemri – powiedział wesoło. – Witaj! Witaj!

Zwiesiłem rękę.

– Dziękuję, sir. Ja... ee... cieszę się, że tu jestem.

– Doskonale! Doskonale! – zagrzmiał Elzweko. – Miło cię poznać. Pewnie będzie najlepiej, jeśli od razu przejdziesz dalej.

Wskazał odległy kraniec swojego warzywnego poletka czy cokolwiek to było. Rosły tam większe rośliny, a nawet kępa bujnie ukwieconych bambusów. Po uważniejszych oględzinach zauważyłem także ścieżkę wyłożoną deskami. Wiodła wśród bambusów prosto w ciemność, nieprzeniknioną nawet dla moich licznych systemów optycznych.

– Rozumiem – powiedziałem, chociaż nie miałem pojęcia, o czym mówił.

Odwróciłem się, żeby zapytać Haddada, czy wiedział o tym od samego początku, ale odkryłem, że zniknął, podobnie jak moi pozostali kapłani.

– Pospiesz się, kapitanie – ponaglił Elzweko. Tym razem w jego głosie nie pobrzmiwała wesołość.

Mimo to się zawahałem. Czy to była pułapka?

„Ruszaj ścieżką między bambusami, Książę Kemri «identyfikator», to rozkaz «pieczęć Imperialnego Umysłu»”.

Z tym nie mogłem się kłócić. Omijając rozsypany obornik, ruszyłem ciężkim krokiem po nieubitej ziemi, po czym wkroczyłem w ciemność.

Rozdział 10

Kolejny raz znalazłem się w bambusowym lesie. Szedłem wzdłuż strumienia. Po kilku krokach zyskałem pewność, że to ten sam strumień co w sanktuarium świątyni na Kwanantil Dziewięć, ten sam bambusowy las i ten sam mostek. Nie zaskoczył mnie widok arcykapłanki z Wymiaru Wprawnej Ręki Imperatora, która bez wątpienia tam na mnie czekała.

Morojal.

Tym razem nie miała przy sobie wędkę i zamiast stać na mostku, siedziała na jednym z dwóch rozkładanych krzeseł ustawionych na brzegu.

– Witaj, Książę Kemri – powiedziała. – Proszę usiąść obok mnie.

Zrobiłem to, o co prosiła, chociaż ani na moment nie przestałem rozglądać się czujnie na boki.

– Jak to możliwe, że to miejsce znajduje się tutaj i na Kwanantil, praciotko? – zapytałem głosem pełnym szacunku.

Od naszego pierwszego spotkania wiele się nauczyłem.

– To sanktuarium to wehikuł, który przenosi się tam, gdzie jest potrzebny – odparła Morojal, co niewiele wyjaśniało. Nadal nie wiedziałem, w jakim sposób przemieszczał się ten wehikuł ani jak docierał do wnętrza asteroidy albo głęboko pod powierzchnię planety.

– Sprowadzono cię tutaj, żeby złożyć ci propozycję, Książę Kemri – kontynuowała Morojal.

Po rozmowie, którą odbyłem ostatnio z Haddadem na temat tego, jak wybiera się kolejnego Imperatora, sądziłem, że wiem, co zaraz usłyszę. Z całą pewnością musiałem być jednym z tysiąca wybranych kandydatów, którzy mieli zniknąć w ciągu kilku kolejnych lat. To wywoływało we mnie

ekscytację i jednocześnie zdenerwowanie. Ekscytację, ponieważ mogłem zostać Imperatorem. Zdenerwowanie, bo nikt nie znał losu dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu kandydatów, którym się to nie udało.

– Rzadką propozycję umożliwiającą służbę Imperium – dodała Morojal. Jej łagodny głos docierał do brzegów mojej wyimaginowanej ziemi obiecanej, gdzie uznano mnie za godnego noszenia korony Imperatora. – Zdajesz sobie sprawę z istnienia siedmiu służb Imperium?

Jej pytanie wyrwało mnie z zamyślenia.

– Ee, s i e d m i u? – zapytałem. – Wiem o sześciu. Marynarka Wojenna, Piechota Morska, Biuro Geodezji, Korpus Dyplomatyczny, Rząd Imperialny, Rząd Kolonialny...

– Istnieją jeszcze jedne, tajne służby. Biuro Weryfikacji. Został Wasza Wysokość wybrany na weryfikatora.

Więc jednak nie miałem zostać kandydatem do imperatorskiego tronu. Oczami wyobraźni ujrzałem, jak korona spada z mojej głowy prosto w pustkę.

– Co to znaczy? – zapytałem gburowato. – Czym zajmuje się weryfikator?

– Weryfikator robi to, co zdaniem Imperialnego Umysłu jest konieczne, do utrzymania równowagi w Imperium – wyjaśniła Morojal. – Zwykle oznacza to ingerowanie w plany innych Książąt, czasami pomaganie im w osiągnięciu celu, a czasami uniemożliwianie im tego. W związku z tym weryfikatorowi przysługują większe uprawnienia, nieosiągalne dla zwykłych Książąt. Na przykład przydział większej liczby kapłanów, lepsza łączność z Umysłem, możliwość prezentowania różnym Książętom więcej niż jednej tożsamości i tym podobne.

– Co takiego? Prezentowanie więcej niż jednej tożsamości? Co to znaczy? – zapytałem. Byłem głęboko poruszony. To oznaczało, że

Imperialny Umysł nie tylko mógł nam przedstawiać „różne oblicza prawdy”, jak ujął to Haddad, ale zwyczajnie nas okłamywać.

– W razie konieczności Imperialny Umysł może... przekalibrować informacje dostępne w sieci, tak by inni Książęta uznali weryfikatora za kogoś innego.

– A jeśli sprawa dotyczy Księcia, który zna weryfikatora?

– Weryfikatorom, w przeciwieństwie do innych Książąt, wolno zmieniać wygląd. Pod nadzorem.

– Nigdy tego nie rozumiałem – mruknąłem, myśląc o swoim odrobinę za długim nosie. – To znaczy mamy ten cały tech, dlaczego więc nie pozwolić wszystkim wyglądać tak, jak chcą?

– Podczas rzeźbienia chirurdzy znajdują się niebezpiecznie blisko mózgu. Nie jest to pożądane, nawet jeśli całą operację przeprowadzają kapłani – wyjaśniła Morojal. – Dlatego też zezwala się na to wyłącznie w sytuacji, gdy lojalność całego zespołu medycznego nie wzbudza wątpliwości i gdy procedura przebiega pod ścisłym nadzorem.

– Po co tyle środków ostrożności?

– Na wypadek gdyby wprowadzono obce albo wrogie psychotechowe elementy do mózgu Księcia – wyjaśniła Morojal. – Takie, które mogłyby później zaatakować inne Książęta, czy nawet Imperialny Umysł.

– Więc nawet kapłanom nie można ufać?

– Nie zawsze – odparła Morojal. – Większość kapłanów, którzy nie służą za przekaźniki, nie kontaktuje się regularnie z Imperialnym Umysłem. Poza tym wielu z nich przechodzi testy psychologiczne i procesy regulacyjne najwyżej raz w roku. Warunkowanie lojalnościowe z czasem traci moc. Dzieją się różne rzeczy.

– Oj, dzieją – powiedziałem przejęty. – Albo i nie. Nie dzieją, znaczy się.

– Jest Wasza Wysokość bardzo młodym Księciem – stwierdziła Morojal. – Jednakże w przeciwieństwie do wielu Książąt, których nie

interesuje nic poza zaspokajaniem najpilniejszych potrzeb albo ambicji, sprawia Wasza Wysokość wrażenie takiego, który potrafi myśleć w szerszych perspektywach. Uważam, że może Wasza Wysokość zająć wyjątkową pozycję w Imperium, jeśli tylko podejmie właściwą decyzję.

– A co się stanie, jeśli nie zechcę być weryfikatorem?

– Nic – odparła Morojał. – Wróci Wasza Wysokość do pracy na stacji zaopatrzeniowej, a za kilka miesięcy prawdopodobnie zostanie zamordowany albo zginie w wypadku upozorowanym na zlecenie admirała Dzerrazisa, który wie, że trwale pozbawił Wasza Wysokość życia jego protegowanego Huzanda.

– Co takiego? – warknąłem. – Niby skąd?

– Został o tym poinformowany – oznajmiła Morojał. Miała zimne spojrzenie, a niebieski płyn nie przestawał krążyć w jej głowie.

– Ty mu powiedziałaś. Żeby wyrzucić na mnie nacisk – wywnioskowałem. – Żeby postanowił zostać weryfikatorem.

– Tak – przyznała arcykapłanka. – Poniekąd. W akademii pracowała weryfikatorka, która miała doprowadzić do usunięcia Huzanda w sposób, który będzie dyshonorem dla Domu Dzerrazisa. Jej drugim zadaniem było wskazywanie Waszej Wysokości właściwej drogi, żeby pewnego dnia mógł Wasza Wysokość zostać weryfikatorem. Zgrabnie wykorzystwała Waszą Wysokość, żeby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Rozumiem więc, że nie mam wyboru – skwitowałem, wściekły, że zostałem zmanipulowany w ten sposób.

– Zawsze jest jakiś wybór – odparła Morojał. – Nawet jeśli różne możliwości nie wydają się równie atrakcyjne. Jeśli decyzja Waszej Wysokości ma być oparta na pełnych informacjach, powinnam wyjawić, że gdy zgłosi się Wasza Wysokość do służby w Biurze Weryfikacji, zostanie Wasza Wysokość poddany testowi.

– Co to za test? – zapytałem. Zastanawiałem się, kim była tajemnicza weryfikatorka w akademii. Morojał bez wątpienia wskazała na kobietę, ale może chciała mnie w ten sposób zmylić. Kto mógł uczynić ze mnie cel dla Huzanda? Oczywiście, kto poza mną samym?

– Nie jest łatwy – odparła arcykapłanka. – Po pierwsze, przeniesiemy świadomość Waszej Wysokości do nieulepszzonego ciała.

Co takiego?

Otworzyłem usta, żeby zadać pytanie, ale Morojał nie zamierzała przerywać.

– Potem umieścimy Waszą Wysokość w przestarzałej jednoosobowej kapsule ratunkowej wykonanej z kiepskiej jakości kopii imperialnego techu i wystrzelimy w kierunku słabo zaludnionego systemu, gdzie poza granicami Imperium.

Głośno zamknąłem usta, przygryzając sobie czubek języka.

– Po powrocie do Imperium odzyska Wasza Wysokość ulepszone ciało i zostanie powitany w Biurze Weryfikacji. Niewykluczone, że opracujemy jakąś przykrywkę z uwzględnieniem służby w Marynarce Wojennej, aby móc awansować Waszą Wysokość na komandora porucznika. Może nawet przyznamy Waszej Wysokości kolejny medal. Jakies pytania?

Pytania? Miałem tyle pytań, że arcykapłanka musiałaby na nie odpowiadać przez trzy kolejne dni, ale ponieważ wątpiałem, by zamierzała poświęcić mi tyle czasu, szybko zredukowałem ich liczbę do czterech.

– Czy to się wydarzy od razu? To znaczy zostaną przeniesiony do... nieulepszzonego ciała... i bum! Gotowe?

– Niezupełnie. Chociaż przeniesienie istotnie nastąpi od razu, przewidziany został także pewien okres na szkolenie i rozpoznanie, żeby mógł Wasza Wysokość przywyknąć do braku usprawnień i zaznajomić się z trybem życia zwykłych, czy też może raczej typowych ludzi poza granicami Imperium.

– A co z genetycznie zaprogramowanymi biotechowymi systemami i z moją naturalną psychotechową umiejętnością?

– Nieulepszone ciało zawiera część wirusowego oprogramowania z wczesnego etapu rozwoju Waszej Wysokości, ale nie całość, ponieważ niektóre sekwencje mogłyby zostać wykryte i rozpoznane. Nie posiada także dodatkowych biotechowych organów i gruczołów. Będzie mógł Wasza Wysokość korzystać ze swojego wrodzonego psychotechnu, który jest u Waszej Wysokości całkiem nieźle rozwinięty. Oczywiście zostanie Wasza Wysokość pozbawiony wewnętrznych mechtechowych osłon i wzmocnień, a także wewnętrznego systemu monitorowania, do którego Wasza Wysokość przywykł.

Zadrzałem na samą myśl o utracie tego wszystkiego i przypomniałem sobie, co czułem, kiedy odcięto mi rękę. Czy przetrwałbym cały rok z takimi ograniczeniami? Wiedziałem jednak, że jeśli nie przystąpię do testu, przez długie miesiące będę przerzucał łajno albo w najlepszym razie patrzył, jak przerzucają je inni, żeby na koniec i tak zostać zabity, a nie mogłem mieć już stuprocentowej pewności, że się odrodzę. Coś mi podpowiadało, że Książętom, którzy wiedzieli o istnieniu Biura Weryfikacji, a sami nie byli weryfikatorami, nie pozwalano wałęsać się po świecie i rozpowiadać książęcej wspólnocie, jak się sprawy mają.

– Jeśli będę przebywał w nieulepszonym ciele, nikt nie będzie wiedział, że jestem Księciem – powiedziałem wolno. – Jak mam się zbliżyć do imperialnego posterunku albo wejść do świątyni?

– Słuszna uwaga – odparła Morojal. – Ale chyba już wspomniałam, że to t e s t?

– Jeśli zostanie mi odrobina psychotechnu, będę mógł podać swoją prawdziwą tożsamość kapłanom?

– Jeśli znajdzie się Wasza Wysokość wystarczająco blisko... – Morojal zrobiła pauzę, zanim dodała: – Być może.

– Świetnie. Żadnego mechtechu ani biotechu i ewentualnie jakiś szczałkowy psychotech. To niemożliwe!

– Czyżby? – zapytała Morojal. – Komodor Elzweko sprostął temu zadaniu, podobnie jak czterdziestu sześciu innych w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

Rozrzucający obornik Elzweko był weryfikatorem? Kolejny raz upomniałem się w duchu, żeby nikogo nie oceniać po pozorach.

– No tak, a ilu poległo?

– Nie musisz tego wiedzieć. Test można zdać, tylko jest to bardzo trudne. A teraz muszę zapytać, jaką podjąłeś decyzję.

Ukryłem twarz w dłoniach, próbując coś wymyślić. Każda z opcji wydawała mi się wyrokiem śmierci. Ale jeśli pozostanę Księciem, będę przynajmniej lepiej wyposażony w obliczu tego, co mnie czekało. No bo jakie miałbym szanse, gdyby skrytobójcy dopadli mnie w nieulepszonym ciele?

Czy aby na pewno lepiej było zostać na stacji zaopatrzeniowej? Może Haddad mógłby coś wymyślić...

– Potrzebuję odpowiedzi Waszej Wysokości – ponagliła Morojal. – W tę albo we w tę.

– Spróbuję się dostać do Biura Weryfikacji – odparłem. Po prostu uznałem, że to bardziej interesujące od przerzucania obornika w oczekiwaniu na śmierć z ręki skrytobójcy. Poza tym tylko tak mogłem zyskać szansę na przeżycie, nawet jeśli nikłą.

– Dobrze – powiedziała Morojal. – Byłoby nam przykro, gdybyśmy stracili Waszą Wysokość na tym etapie.

– Ale... ale powiedziałaś, że mógłbym wrócić na stację zaopatrzeniową...

– Skłamałam – przyznała Morojal. – To część testu. Chce Wasza Wysokość powiedzieć, że się tego nie domyślił?

Nie odpowiedziałem. Uznałem, że w ten sposób dam do zrozumienia, iż wszystko było dla mnie oczywiste.

– I co teraz? – zapytałem.

Morojał wskazała strumień.

– W porządku – odparłem. Wstałem, rozebrałem się i zanurkowałem pod wodę, która nie była wodą. Kolejny raz zacząłem spadać w ciemność poprzecinaną mnóstwem świetlistych promieni.

Kiedy odzyskałem powłokę cielesną, nawet jeśli niekoniecznie swoją, spowijała mnie nieprzenikniona ciemność i wydawało mi się, że jestem całkiem sam. Czuję się niewiarygodnie słaby i musiałem zdobyć się na ekstremalny wysiłek, żeby wyczołgać się już nie ze strumienia, tylko z płytkiej wanny pełnej niezwykle słonego płynu, który podrażniał moje oczy i usta.

Runąłem na ziemię, bardzo zimną i twardą. Przypuszczalnie była to jakaś mechtechowa płyta albo inna instalacja. Przez pewien czas leżałem bez ruchu, próbując zapanować nad paniką, którą ledwie kontrolowałem. Moje ciało wydawało się dziwne i niezdarne, a umysł – wolny i zdezorientowany. Nie wiem, ile czasu spędziłem w tej pozycji, ponieważ nie miałem już wewnętrznego zegara.

Moje zmysły również były znacznie ograniczone. Zdołałem jednak dostrzec zarys wanny, a nieco dalej także wąski pas światła tuż przy podłodze. Ponieważ straciłem wszystkie systemy optyczne, wiedziałem, że nie zobaczę nic więcej, jeśli nie znajdę źródła tego światła.

Poza tym wszędzie panowała cisza, zwłaszcza w mojej głowie. Przywykłem do komunikowania się z Umysłem, do zadawania mu pytań, gromadzenia wiedzy, oglądania nakładek z informacjami o otaczającym mnie świecie, rozkoszowania się nieustającym przepływem danych, wyszukiwania tego, co interesowało mnie w owej chwili, nie wspominając

nawet o telepatycznych pogawędkach z Haddadem, pozostałymi kapłanami i znajomymi Książętami.

To wszystko przepadło. Pod żadnym możliwym względem nie byłem już Księciem Imperium.

Nagle dotarło do mnie, że być może już nigdy nim nie będę.

Powoli zacząłem się czołgać w kierunku jaśniejącego pasma. Na początku moje mięśnie były tak słabe, że ledwie mogłem przesuwać swój żalony kadłub po podłodze. Zorientowałem się, że próbuję uruchomić nieistniejące biotechowe gruczoły, które skłoniłyby te marne mięśnie do działania i pomogły mi pokonać strach. Bez pomocy hormonów i innych zastrzyków miałem do dyspozycji tylko to prymitywne ciało i musiałem zmierzyć się z dwoma największymi lękami, które od zawsze nękały ludzkość.

Były to: strach przed nieznanym i jego tchórzliwy towarzysz, czyli lęk przed ciemnością.

Cichy szloch uwiązał mi w gardle. Nie pozwoliłem mu wydostać się na zewnątrz, ponieważ doskonale zdawałem sobie sprawę, jak brzmiał. Nie zamierzałem zdradzić swojej pozycji, dopóki nie zorientuję się, gdzie jestem i z jakimi zagrożeniami muszę się zmierzyć, zwłaszcza że nie byłem pewien, czy dam radę wstać, a tym bardziej się bronić.

Bardzo, bardzo wolno, centymetr po centymetrze, niczym robak przysuwałem się do światła. Zdawało się oddalać, kiedy ja się przybliżałem. W duchu opłakiwałem utratę wszystkich ulepszeń związanych z namierzaniem obiektów i lokalizacją. Nie byłem w stanie określić, czy od celu dzieliło mnie dziesięć metrów, czy też może znacznie więcej.

Nie poddawałem się jednak i wkrótce odkryłem, że odzyskuję siłę, jakby moje mięśnie wybudzały się z letargu. W końcu przestałem się czołgać i wyciągnąwszy ręce w górę, żeby zyskać pewność, że nie uderzę w nic głową, wstałem.

Wtedy cienkie błyszczące pasmo zamieniło się nagle w oślepiające blaskiem drzwi. Osłoniłem twarz rękami i przymknąłem oczy, bo nie miałem już dodatkowych powiek ani systemu, który wyregulowałby ostrość i dostroił wzrok.

Z czasem światło zbladło, a ja dostrzegłem ludzki kształt na tle świetlistego przejścia. Postać uniosła rękę w powitalnym geście i przemówiła. I chociaż głos brzmiał znajomo, nie mogłem skojarzyć go z twarzą – ani porównać z bazą nagrań, której zwyczajnie nie miałem.

– Jak dotąd radzisz sobie całkiem nieźle, Kemri, czy też raczej Kem, jak będę cię odtąd nazywał.

– Kem? – wychrypiąłem. Mój głos brzmiał dziwnie. Wszystko brzmiało dziwnie, ponieważ docierające do mnie dźwięki nie były już filtrowane ani porządkowane.

– Kemri jest zbyt imperialne, a Kem ma odpowiednio krótką formę i nie wskazuje na konkretne pochodzenie.

Skinąłem głową. To miało sens.

– Co to za miejsce?

– Arok-Pipad – odparła postać, a ja w końcu rozpoznałem głos. Należał do komodora Elzweka. – Znajdujemy się głęboko pod ziemią, w obiekcie Biura Weryfikacji, ukrytym w stacji zaopatrzeniowej.

Wszedł do środka, a ja na niego spojrzałem. Moje oczy bardzo wolno przyzwyczajały się do światła. Mimo to zauważyłem, że był ubrany nie w imperialny mundur, lecz w poplamiony i połatany płaszcz z kapturem podszytym futrem, wywatowane spodnie i wysokie do kolan buty z metalowymi nakolannikami. Przy pasie miał broń, nie wiedziałem jednak jaką, ponieważ była ukryta w zamkniętej kaburze.

Kiedy dotknął panelu na ścianie, drzwi zasunęły się za nim, a w górze rozbłysły światła. Rozejrzałem się po dużym pomieszczeniu mechtechowej konstrukcji, przywodzącym na myśl wnętrze okrętu. Wanna, z której

wcześniej wyszedłem, zniknęła, a na jej miejscu pojawił się właśnie panel długi na trzy i szeroki na dwa metry.

W pokoju nie było niczego więcej. Przyjrzałem się sobie. Byłem nagi. I jeśli wzrok mnie nie mylił, wyglądałem dokładnie tak samo jak wcześniej.

Ale czułem się inaczej – słaby, mały i niezwykle kruchy.

„Słyszysz mnie?”

Telepatyczny komunikat bez wątpienia przesłał mi Elzweko, ale chociaż stał ledwie kilka metrów ode mnie, jego głos brzmiał tak, jakby docierał z daleka. Słyszałem go jednak wyraźnie.

„Tak!”

Wykrzyknąłem to słowo w myślach, niczym człowiek wołający o linę ratowniczą.

„To dobrze. Twoje zdolności parapsychologiczne są doskonałe. Chodź ze mną”.

Ruszyłem za komodorem na drugi koniec pomieszczenia, gdzie otworzyły się kolejne drzwi. Prowadziły na korytarz, który wił się łagodnie przez jakieś sto metrów i kończył śluzą powietrzną przysłoniętą znakami ostrzegawczymi. Bez wątpienia istniała do niej odpowiednia nakładka, z której mógł skorzystać każdy, kto miał dostęp do techowej przestrzeni.

Na znakach widniał napis: „ZAKAZ WSTĘPU. RYZYKO PROMIENIOWANIA Z MECHTECHOWEGO NAPĘDU WARP. EKSTREMALNE ZAGROŻENIE ÓSMEJ KATEGORII”.

Kategoria ósma oznaczała śmierć dla zwykłych ludzi, wolną śmierć dla hybryd takich jak kawalerzyści mechbio i bardzo ciężką, ale nie śmiertelną chorobę dla Książąt.

Elzweko pomachał w kierunku drzwi, a one otworzyły się z łoskotem do wewnątrz. Wszedł do śluzy, po czym odwrócił się w moją stronę. Dołączyłem do niego w ślimaczym tempie, wciąż jeszcze bowiem nie nauczyłem się w pełni panować nad swoim słabym, powolnym ciałem.

– To nie jest ósemka, prawda? – zapytałem. – Inaczej dawno bym zginął.

– Nie – mruknął Elzweko. – Nie ma tutaj żadnego mechtechowego napędu. Chodzi tylko o to, żeby spowolnić ciekawskich. Powiedz mi, czy gdybyś był w swoim książęcym ciele, poświęciłbyś tyle uwagi temu ostrzeżeniu?

– Nie – odparłem. – Na pewno nie. Ale dotarło do mnie, jak łatwo można stracić życie.

– To dobrze – powiedział Elzweko. Drzwi za nami się zatrzęsnęły, a kolejne rozsunęły się dopiero po chwili, kiedy przestały migać czerwone sygnały ostrzegawcze. – Nie zapominaj o tym. I trzymaj się blisko mnie.

Wyszliśmy ze śluzy prosto do wartowni. Obserwowało nas sześciu nietypowo wyposażonych i dziwnie wyglądających kawalerzystów mechbio – a na nasz widok nie stanęli na baczność. Byli wyżsi od kawalerzystów, których widywałem wcześniej, i szersi od nich w talii, a zamiast miotaczy energii trzymali krótkie, błyszczące tuby, bez wątpienia jakiś rodzaj broni.

Celowali prosto w nas, co także stało w całkowitej sprzeczności z normalnym zachowaniem kawalerzystów.

Elzweko wykonał skomplikowany gest rękami, mrużąc coś, czego nie dosłyszałem. Miałem teraz znacznie gorszy słuch, którego w dodatku nie mogłem regulować.

Cokolwiek komodor powiedział, w połączeniu z gestami sprawiło, że kawalerzyści unieśli broń i zrobili dla nas przejście. Kiedy ich mijaliśmy, próbowałem wychwycić ich psychotechowe rozmowy, lecz albo ich nie prowadzili, albo pozostawały poza moim zasięgiem.

Na korytarzu ciągnącym się za wartownią zapytałem Elzweka o dziwnych kawalerzystów i brak komunikatów telepatycznych. Przestraszyłem się, że mój psychotech jest za słaby, by wyłapać zwykły szum toczących się między nimi rozmów, a tylko dzięki niemu miałem

jeszcze szansę dotrzeć do sanktuarium świątyni. Musiałem więc poznać prawdę.

– Mają ograniczoną wydajność nerwową i zablokowany cały psychotech – odparł. – Żeby nie dało się ich zwieść ani nimi dowodzić. Reagują wyłącznie na pewne wizualne i słuchowe bodźce albo na konkretne sytuacje.

– A co to za broń? Nigdy nie widziałem takich tub.

– Tuby wstrząsowe – wyjaśnił Elzweko. – Zaprogramowane tak, żeby unieruchomić techowe systemy Książąt.

To dało mi do myślenia. Kawalerzyści mechbio, którzy mogą strzelać do Książąt? Z broni zaprojektowanej specjalnie przeciwko Książętom? Powoli docierało do mnie, że test był tylko jednym z wielu wyzwań związanych z wstąpieniem do Biura Weryfikacji.

– Rozumiesz dlaczego? – zapytał Elzweko.

– Mogę się tylko domyślać – odparłem wolno. – Przypuszczam, że większość Książąt nie przyjęłaby wiadomości o istnieniu Biura Weryfikacji z entuzjazmem. Ani wiedzy o tym, że Księcia można... zredukować. Gdyby jakiś Książę się o tym dowiedział i dotarł tutaj w poszukiwaniu dowodów...

– Nie znalazłby żadnego – przerwał mi Elzweko. – Ale wolelibyśmy stracić podejrzliwego Księcia niż centralę główną Biura Weryfikacji. Zaraz wejdziemy do miejsca, które stanie się twoim domem na kolejne cztery miesiące. Nie wyjdiesz stąd pod żadnym pozorem, jeśli nie otrzymasz wyraźnej zgody bezpośrednio ode mnie albo od Imperialnego Umysłu. Pamiętaj, że tuby wstrząsowe zabijają człowieka pozbawionego ulepszeń. Rozumiesz?

– Tak jest, sir.

Drzwi rozsunęły się przed nami i weszliśmy na pomost czy też balkon skonstruowany na ścianie bardzo przepastnej jaskini. Nie mogłem ocenić

tego dokładnie, ale mogła mieć ona co najmniej dziesięć kilometrów długości i tyle samo szerokości oraz wysokości. Oświetlona sztucznym słońcem wiszącym wysoko w górze rozległa przestrzeń była podzielona na cztery obszary.

Jeden z nich porastały obfite drzewa, krzewy i inne rośliny, zarówno ziemskie, jak i galaktyczne. Ponadto w tym przypominającym dżunglę gąszczu gdzieś widniały mechtechowe i biotechowe małe chaty lub domki.

Drugi kwadrant tworzyło złomowisko pełne rozbitych statków i pojazdów piętrzących się na czerwonej pustyni. Chociaż nie dostrzegłem tam ani jednego kompletnego okrętu, widziałem setki szczątkowych kadłubów, zarówno z mechtechu, jak i z biotechu, przemieszane z najróżniejszymi częściami, lądowe, powietrzne i morskie wehikuly na różnych etapach rozkładu, a także mnóstwo innych kawałków i fragmentów, których nie potrafiłem rozpoznać z tak dużej odległości.

W trzeciej ćwiartce, przypominającej wycinek kosmosu, panował stan nieważkości. Unosiła się tam mała nieukończona stacja kosmiczna o średnicy mniej więcej trzystu i wysokości stu metrów. W jej pobliżu dryfowały pojazdy konstrukcyjne. Nikt nie prowadził tam jednak prac.

Czwarta część znajdowała się dokładnie pod nami, mniej więcej pięćset metrów niżej. Została stworzona na podobieństwo planety z arktyczną tundrą. Było tam mnóstwo lodu i śniegu, zauważyłem także duże jezioro. Akwen otaczały zmodyfikowane, uziemione statki kosmiczne i budy wykonane z różnych materiałów. Sklecone naprędce biotechowe chaty ciągnęły się wzdłuż ulic odchodzących od bardzo dużej mechtechowej kopuły, prawdopodobnie będącej trzonem pierwotnej osady o usystematyzowanej strukturze, która z czasem zaczęła rozwijać się w chaotyczny sposób. Nieco dalej, na pasie startowym wykonanym z prefabrykatów, stał prom kosmiczny.

Kiedy tak spoglądałem w dół na ten lodowy krajobraz, zdałem sobie sprawę, że marznę i nie mogę wyregulować temperatury ciała. Poza tym nadal byłem nagi.

Elzweko otworzył schowek przy drzwiach i wyjął dwie uprząże antygravitacyjne oraz zaizolowany biotechowy kombinezon połączony z bielizną, rękawicami i kapturem. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego stroju i byłem pewien, że nie został wyprodukowany na terenie Imperium. Komodor podał mi kombinezon i założył jedną z uprząży antygravitacyjnych, po czym wręczył mi drugą. Zauważyłem, że chociaż Elzweko korzystał ze standardowego sprzętu przeznaczonego dla Książąt, z dodatkowym źródłem zasilania, mnie przypadł w udziale znacznie gorszy model, zwykle używany przez służących i resztę personelu prowadzącego gospodarstwo domowe, ustępujący nawet przemysłowej wersji przeznaczonej dla kawalerzystów mechbio.

Ubrałem się szybko, wdzięczny za ciepło i złudne poczucie bezpieczeństwa, które dawał mi strój. Nigdy szczególnie nie interesowały mnie ubrania ani ich brak, czułem się bezpiecznie w swoim ciele. Ale teraz kombinezon wydał mi się prawdziwą zbroją, nawet jeśli wiedziałem, że nie powstrzyma choćby strzałki ze środkiem paraliżującym.

– Twoja uprząż ma wystarczająco dużo mocy, żeby sprowadzić cię na ziemię – poinformował Elzweko. – Ale za mało, żeby zabrać cię z powrotem. W razie potrzeby zostaniesz wyciągnięty.

– Co mam tam robić? – zapytałem.

– Ucz się, jak być zwykłym człowiekiem poza granicami Imperium – odparł Elzweko. – I zdobądź trochę podstawowych umiejętności, które przydadzą ci się na peryferiach galaktyki.

– Będzie mnie pan uczył? – zapytałem, kiedy założyłem uprząż i sprawdziłem, czy wszystko jest w porządku.

– Nie – zaprzeczył Elzweko. – Będę wskazywał ci drogę i obserwował cię, a w razie potrzeby i w miarę możliwości ocalę ci skórę.

– Ocali mi pan skórę?

– Symulacja, w której weźmiesz udział, jest tak rzeczywista, jak to tylko możliwe – wyjaśnił Elzweko. – W każdym kwadrancie spędzisz mniej więcej miesiąc. Na początku udasz się do typowej osady z Peryferii, jakich pełno poza granicami Imperium. Mało kto zostaje w takich miejscach na dłużej, zwykle podróżujący zatrzymują się tam tylko na krótki czas. Jeśli przetrwasz, przeniesiemy cię do dżungli, w której żyje niewielu ludzi, ale za to mnóstwo nieprzyjaznych form życia. Potem będzie złomowisko, gdzie możesz poszerzyć wiedzę o techach występujących poza granicami Imperium. W większości są to kopie starych imperialnych techów, ale znajdziesz tam także Smutnookich i Naknuków. Spotkasz tam istoty czujące, które funkcjonują w zorganizowanej strukturze społecznej mogącej stanowić dla ciebie wyzwanie. Ostatnie cztery tygodnie spędzisz na stacji kosmicznej o nazwie Pióro. Będziesz pomagał dokończyć jej budowę, dzięki czemu nauczysz się funkcjonować w stanie nieważkości jako zwykły człowiek. To bardzo ważne, ponieważ w wielu miejscach w galaktyce nie ma systemów kontroli grawitacji.

– Mówi pan: symulacja... Ale na jakim poziomie?

– Na każdym – odparł Elzweko ponurym głosem. – Rozpocznie się mniej więcej piętnaście minut po tym, jak wylądujemy. Mamy tam dziesięć tysięcy zaprogramowanych osobników, ludzi, obcych, różnych form życia. Są uwarunkowani tak, żeby pozostać w wyznaczonych przez nas granicach i nie dostrzegać sztuczności otoczenia oraz nieznanymi im techów, takich jak nasz osprzęt w kwadrancie ze stanem nieważkości. Poza tym zachowują się tak samo, jak zachowywaliby się w naturalnych warunkach.

– Więc mogę zginąć tutaj równie łatwo jak podczas testu – stwierdziłem. – Też mi szkolenie.

Elzweko wzruszył ramionami.

– Ciężki trening, łatwa walka. Jak już mówiłem, będę ci dawał wskazówki i zapewniał wsparcie, przynajmniej na początku. Ale to prawda, z łatwością możesz tutaj zginąć.

– Dostanę broń, zanim zaczniemy? – zapytałem. – I to, ee, jak to się nazywało? Ekwiwalent służący do wymiany na dobra i usługi?

Książęta nigdy za nic nie płacili. Wszystko rekwirowali. Jeśli tylko nie domagali się czegoś, do czego rościł sobie prawo inny Książę albo czego potrzebowało Imperium, otrzymywali wszystko, czego zapragnęli.

– Masz na myśli pieniądze – uściślił Elzweko. – Nie. Broni też nie dostaniesz.

– Ale będę miał piętnaście minut, zanim ludzie... się aktywują albo zrobią to, co muszą zrobić, żeby rozpocząć symulację.

Elzweko uśmiechnął się i skinął głową.

– Gdzie wylądujemy?

– Na kosmodromie. Będzie wyglądało to tak, jakbyśmy właśnie przylecieli ze stacji sztucznym satelitą.

Zerknąłem z balkonu. Kosmodrom znajdował się dobre dwa kilometry od kopuły i pozostałych budynków. Jako Książę mógłbym pokonać ten dystans w dwie minuty. Jako zwykły człowiek, który nadal czuł się niepewnie na własnych nogach, potrzebowałem co najmniej trzy razy więcej czasu. A to oznaczało, że zostanie mi jakieś siedem minut na znalezienie broni albo cennych przedmiotów, albo jednego i drugiego.

Żałowałem, że nie mogę liczyć na pomoc Haddada. Bardzo by mi się teraz przydała. Ogarnęła mnie złość. W końcu mistrz skrytobójców powinien trwać u boku swojego Księcia. Ale gniew szybko osłabł. Musiałem przyznać, że Haddad nie miał wpływu na moją obecną sytuację.

Potem, o dziwo, zamyśliłem się nad losem Haddada i reszty mojej świty. Czy zostaną przydzieleni komuś innemu, jeśli nie wrócę z tego szkolenia

albo polegnę w trakcie czekającego mnie później testu?

Nie zwykłem się przejmować służącymi, więc poczułem się dziwnie. Na szczęście to uczucie dość szybko minęło i ponownie skoncentrowałem się na sobie. W końcu to ja znalazłem się w sytuacji zagrożenia życia.

– Gotów rozpocząć szkolenie? – zapytał Elzweko. Na jego znak zniknęły barierki, a ja poczułem się tak, jakbym stał na wieży do skoków.

– Tak – odparłem, po czym runąłem w przepaść.

Rozdział 11

Bardzo szybko dostałem pierwszą nauczkę. Miałem się za mądrą, bo wykombinowałem, że zdobędę broń i cenne przedmioty od uczestników symulacji, zanim zostaną aktywowani, i osiągnąłem cel. Ponieważ zaraz po lądowaniu udało mi się dotrzeć do kopuły w ciągu sześciu minut, zdążyłem przetrząsnąć kieszenie aż dwóch osób na „główniej ulicy” osady, a także wyjąć broń z kabury mężczyzny stojącego przed jednym z budynków.

Nie uwzględniłem tylko tego, co się wydarzy, kiedy kilka minut później symulacja rzeczywiście ruszy, a mężczyzna, któremu odebrałem broń, instynktownie sięgnie do kabury. Gdy tylko odkrył, czego mu brakuje, w okamgnieniu rozejrzał się wokół i dostrzegł nową twarz w mieście, czyli moją, nadal bowiem stałem w pobliżu i chłonałem atmosferę.

Nie zastosowałem także podstawowych środków ostrożności i nie ukryłem swojej zdobyczy. Nadal przemawiała przeze mnie książęca arogancja, sprawdziłem więc tylko, jak broń działa, po czym umieściłem ją za pasem, gdzie każdy mógł ją zobaczyć. Mężczyzna oczywiście ją zauważył i zapewne uznał, że zwędziłem mu ją w chwili jego nieuwagi.

Jak miałem się wkrótce przekonać, większość tutejszych ludzi nosiła przy sobie więcej niż jedną sztukę broni. Mężczyzna wyciągnął pistolet z płaszcza i zaczął unosić go w moją stronę. Wziąłem z niego przykład. Mój spowolniony refleks bardzo mnie jednak zaskoczył.

Byłbym na dobre stracony, gdyby nie Elzweko. Coś wystrzeliło z prawej strony, usłyszałem świst, a chwilę później mój napastnik poleciał w tył prosto w błoto, nie zdążywszy strzelić. Tymczasem po moim niecelnym

strzale został ślad w postaci wąskiego rowka w pewnej odległości od miejsca, gdzie wcześniej stał mężczyzna.

Elzweko chwycił mnie za rękę i zaciągnął w ciemną uliczkę biegnącą między dwoma budynkami, które dawno temu były pojazdami pokonującymi przestrzeń kosmiczną.

– Ruszaj się! – rozkazał. – On ma przyjaciół.

Kiedy biegliśmy wąskimi ulicami pokrytymi breją, komodor wyjaśnił, że źle wybrałem cel. Nieboszczyk był bowiem kapitanem statku, który nie tylko miał przyjaciół, ale także całą załogę, złożoną z jego krewnych.

– To tak, jakbyś zabił Księcia z ważnego Domu, mającego licznych sojuszników – dodał Elzweko, kiedy się w końcu zatrzymaliśmy. Nie miałem pojęcia, gdzie się dokładnie znajdujemy, chociaż bez wątpienia otaczały nas nędzne schronienia, sklecone naprędce gdzie popadnie, zamiast schludnych chatek tworzących bardziej uporządkowane centrum osady.

– Więc co mam zrobić? – zapytałem.

– Zmień wygląd – zasugerował Elzweko. – Trzymaj broń w ukryciu. Istnieje szansa, że nikt nie zdążył ci się dobrze przyjrzeć, a nawet jeśli zdążył, nie powie o tym swojej załodze. Spróbuj nie umrzeć.

– Jak mam zmienić... – zacząłem, ale Elzweko tylko się uśmiechnął i wystrzelił w górę, a cichy jęk jego uprząży antygravitacyjnej zabrzmiał dla mnie jak ryk trąby zwiastujący zagładę.

Przez chwilę rozważałem jego słowa, po czym zdjąłem górną część swojego kombinezonu i wyrwałem błękitną podszewkę służącą za podkoszulek. Założyłem go na biały kombinezon. Potem schowałem skradziony pistolet do ciasnej kieszeni i przejrzałem swoje „skarby”. Okazało się, że to puszka pełna racji żywnościowych i jakieś urządzenie służące do rozrywki, w którym brakowało mocy.

W ciągu kolejnych piętnastu minut przeprowadziłem arogancki eksperyment – zacząłem rozkazywać przypadkowo napotkanemu przechodniowi, żeby udzielił mi informacji. Omal nie wywołałem kolejnej katastrofy, ale mimo to udało mi się znaleźć coś na kształt bazaru nieopodal kopuły wyznaczającej centrum. Tworzyło go mnóstwo niedużych straganów. I właśnie tam zamieniłem skradzione racje oraz zabawkę na znacznie lepsze przebranie. Poza płaszczem z kapturem, prawdopodobnie wykonanym nie z biotechu, lecz z futra prawdziwego zwierzęcia, otrzymałem także sześć orreków. Właśnie takimi pieniędzmi płacono w tym gwiazdnym miasteczku. Ze zdumieniem przyglądałem się tym sześciobokom. Wykonano je z jakiegoś nieimperialnego biotechu z mechtechowymi włóknami zawierającymi informacje o wartości każdego z owych orreków, które zapewne były walutą jakiegoś państwa na Peryferiach, głównego partnera handlowego osady. Oczywiście według scenariusza symulacji.

Szybko odkryłem, że za sześć orreków nie da się kupić nic przydatnego. Rozważałem kradzież albo morderstwo, żeby zdobyć ich więcej, ale zważywszy na pierwsze doświadczenia w tym miejscu, to nie byłoby mądre. Wyglądało na to, że wszyscy w gwiazdnym miasteczku byli uzbrojeni po zęby, a wielu z mieszkańców mogło należeć do rodzinnych klanów, załóg albo gangów. A ja nie potrzebowałem więcej wrogów prócz tych, którzy już prawdopodobnie mnie szukali.

Jak się wkrótce przekonałem, rzeczywiście byłem poszukiwany. Wywnioskowałem to ze słów dwóch mężczyzn i kobiety, którzy wypytywali o młodego mężczyznę w białym kombinezonie, uzbrojonego w miotacz energii BangBang z niebieskimi biotechowymi uchwytami. Najpierw podchodzili do ludzi przede mną, ale wszyscy odpowiadali przecząco. W końcu padło na mnie, więc zrobiłem to samo. Trząsałem się,

kiedy mnie mijali, spodziewając się nagłego, gwałtownego bólu. Nikt mnie jednak nie zaatakował.

Kolejne trzy dni spędziłem w ciągłym ruchu, o krok wyprzedzając grupę tropiących mnie mścicieli, która jak wynikało z moich obserwacji, składała się z dwóch kobiet i trzech mężczyzn. Miałem więc mnóstwo czasu na przemyślenia i zrozumiałem, że wszystko, co robię wśród zwykłych ludzi, może mieć konsekwencje, i to bardzo poważne. Dla Księcia nie było to oczywiste.

Gwiezdne miasteczko nie było zbyt duże; liczyło ledwie kilka tysięcy mieszkańców, upchniętych na obszarze wielkości średniego krążownika wojennego Imperium, dlatego też trudno było unikać moich prześladowców.

Na szczęście wyglądało na to, że nikt szczególnie nie palił się, żeby im pomóc. Większość populacji osady stanowili podróżni będący tutaj przejazdem, załogi statków w drodze do innych miejsc (przynajmniej we własnym mniemaniu, bo w rzeczywistości byli skazani na niekończącą się symulację). Byli też ci, którzy z różnych powodów musieli opuścić swoje statki, i nieliczni, którzy postanowili osiąść w tym skutym lodem świecie.

Wszyscy oni pomagali sobie tylko wtedy, kiedy w grę wchodziły interesy albo emocje. Dotyczyło to na przykład rodzin albo załóg, co często szło ze sobą w parze.

Po trudnych początkach odkryłem, że mogę zarabiać na jedzenie i dach nad głową wskrzeszaniem starych imperialnych biotechów oraz mechtechów i wykonywaniem drobnych napraw. Najczęściej wystarczyło wykorzystać psychotechnowe zdolności, by urządzenie odżyło. Oczywiście na początku popełniłem błąd, gdyż nawet nie próbowałem ukrywać swoich talentów i nie zadałem sobie trudu, żeby zajrzeć do środka zepsutego urządzenia.

Nauczyłem się jednak dobrze maskować, a także unikać prześladowców, którzy tak naprawdę nie mieli pewności, kogo szukają. Dopasowałem się także do mody panującej wśród mieszkańców gwiazdowego miasteczka.

Ale największym sukcesem, jaki osiągnąłem w tej zimnej, nędznej osadzie, była zmiana sposobu myślenia. Zacząłem zachowywać się tak, jakby wszyscy wokół mnie byli Książętami, a nie zwykłymi ludźmi. Co więcej, nauczyłem się działać bez pośpiechu i każdorazowo oceniać sytuację, zamiast bez zastanowienia rzucać się w wir akcji, ponieważ moje instynktowne odruchy mogły wydawać się tutaj podejrzane.

Nie było łatwo, dlatego bardzo ucieszyłem się na widok Elzweka, który pojawił się nagle pewnego popołudnia w drzwiach kontenera. Kontener ten zapewniał mi schronienie w zamian za trzy orreki za dobę, pobierane przez lokalnych bossów jakiejś organizacji tworzonej przez załogę albo rodzinę, albo jedno i drugie.

– Nie strzelaj – powiedział Elzweko, odsuwając na bok koc służący za drzwi.

Nie opuściłem lufy swojej krótkiej broni palnej, dopóki nie wszedł do środka, a ja nie upewniłem się, że jest sam. Nie był to miotacz energii BangBang, który ukradłem pierwszego dnia. Pozbyłem się go dawno temu. W zamian zdobyłem prostą broń na proch chemiczny, która strzelała kulkami z jakiegoś supergęstego metalu.

– Całkiem nieźle zmieniłeś wygląd – pochwalił mnie Elzweko. Usiadł na regulowanym fotelu, który dawno temu prawdopodobnie uświetniał wnętrze jakiegoś płatnego samolotu liniowego.

– Tak – przyznałem. – Głównie dzięki brudowi.

Nadal miałem swój futrzany płaszcz, ale kombinezon zamieniłem na znacznie cieńszy dwuczęściowy skafander, podobny do tych, które nosiła większość mieszkańców gwiazdowego miasteczka. Ponadto moją głowę

chroniła miękka wkładka do hełmu, z osłoną z przezroczystego biotechnu w kolorze bursztynu.

– Minęło dwadzieścia siedem dni – powiedział Elzweko. – Czas ruszać do kolejnego kwadrantu. Możesz zabrać wszystko, co masz na sobie.

Miałem jedynie ubranie, krótką broń palną i nóż ukryty w bucie. Dodatkową amunicję, pozostałe ubrania, podstawowy zestaw pierwszej pomocy i trochę skondensowanego jedzenia oraz innych drobiazgów trzymałem w małym plecaku. Planowałem z wyprzedzeniem i gromadziłem przydatne rzeczy przy każdej nadarzającej się okazji.

Popełniłem tylko jeden błąd: nie miałem tego wszystkiego na sobie.

– Dotykam swojego plecaka stopą – stwierdziłem. – Czy to się liczy?

– Nie – odparł Elzweko. – Wychodź. Symulacja została zatrzymana.

Ruszyłem za Elzwekiem na dwór. Zadrzałem, gdy tylko chłodne powietrze przedarło się przez moje ubranie, futrzany płaszcz i całą resztę. Wiedziałem już, że zimno może zabić zwykłego człowieka, którym teraz byłem.

Nauczyłem się także, że dobrze mieć wszystkie przybory niezbędne do przetrwania przy sobie, a nie w plecaku.

Ponownie zadrzałem, ale tym razem już nie z zimna.

Elzweko błędnie zinterpretował moją reakcję, bo powiedział:

– Spodoba ci się dżungla. Panuje tam upał.

Ale dżungla wcale mi się nie spodobała. Oprócz upału królowała tam wilgoć. Na domiar złego w powietrzu unosiły się pierwiastki śladowe, przez które parność stawała się dokuczliwa. Chociaż nie przypuszczałem, żeby stwarzała zagrożenie, cieszyłem się, że mam na twarzy osłonę. Przystawanie co chwilę, żeby wytrzeć oczy, nie pomogłoby mi przetrwać w tym środowisku.

Elzweko nie zamierzał dotrzymać mi towarzystwa. Gdy tylko wylądowaliśmy na skrawku, który ledwie zasługiwał na miano polany,

ponownie wzbił się w powietrze.

– Uważaj na...

– Na co?! – zawołałem za nim, ale jego odpowiedź zagłuszył huk wystrzału z mojej broni, ponieważ musiałem otworzyć ogień do czegoś, co skoczyło na mnie z jednego z pobliskich drzew.

Wykonałem unik, gdy napastnik przeleciał obok mnie. Oddałem kilka kolejnych strzałów w jego pierś, gdyż pociski, które wpakowałem mu w głowę, najwyraźniej nie wyrządziły żadnej szkody. Nie byłem pewien, czy późniejsze serie w jakikolwiek sposób zaszkodziły stworzeniu, które nadal huštało się na lianach. Obserwowałem je do momentu, aż zniknęło mi z oczu.

Nie byłem pewien, co dokładnie widziałem, poza tym, że stwór był człekokształtny i miał taki sam fioletowy kolor jak pnie otaczających mnie potężnych drzew, które podtrzymywały rozległy baldachim roślin, prawie całkowicie blokujący dostęp sztucznego światła słonecznego.

Wkrótce dostrzegłem większą polanę, na której mogły się znajdować budynki czy też inne siedliska. Nie przyglądałem się jej wystarczająco długo, by zyskać pewność. Starłem się jednak nie tracić polany z oczu i dzielnie znosiłem wszelkie niedogodności pogodowe. W poprzednim kwadrancie słońce poruszało się w przewidywalny sposób, więc miałem nadzieję, że tym razem też tak będzie. Nie mogłem jednak określić jego położenia, gdyż widok zasłaniała mi bujna roślinność.

Stwierdziłem, że jeśli przed końcem dnia dotrę do tej większej polany, którą obrałem za cel, być może zdołam przetrwać.

Dawniej, zanim uczyniono mnie śmiertelnikiem, pewnie zmarnowałbym dobre dziesięć minut na narzekanie i ciskanie przekleństw. Na szczęście ten etap miałem za sobą. Ściskając swoją krótką broń palną w prawej dłoni, wyciągnąłem nóż z buta, wytyczyłem trasę względem słońca i ruszyłem przez gęste zarośla.

Do zmierzchu skończyła mi się amunicja i dorobiłem się trzech głębokich zadrapań na ramieniu. Rany bardzo mi dokuczały, więc zacząłem przypuszczać, że dostała się do nich trucizna. Wszystkiemu winne było pnącze czy też coś, co brałem za pnącze, zanim wystrzeliło w moją stronę i próbowało mnie wciągnąć w szeroko rozwarte gniazdo nasienne wielkości statku jednozałogowego.

Udało mi się za to dotrzeć na polanę. Na samym jej środku wznosił się budynek. Rzuciłem się pędem w tamtą stronę, nie zważając na to, że słońce już zaszło i wszystko spowiła ciemność. Pierwszy raz znalazłem się w tak gęstym mroku. Co gorsza, towarzyszyły mu straszne odgłosy dobiegające z dżungli.

Spanikowany, wbiegłem prosto na ścianę i omal nie straciłem przytomności. Te kilka sekund, kiedy zdezorientowany i zdyszany leżałem na ziemi, pozwoliło mi ochłonąć. Zostawiłem dżunglę za sobą, a odgłosy miażdżenia, rozgniatania i rozcinania nie przybierały na sile. Poza tym ściana, której dotykałem, przypominała element standardowej naziemnej konstrukcji ze znajomego imperialnego biotechu.

Ponieważ nic nie widziałem, wolno ruszyłem po omacku. W końcu dotarłem do drzwi. Wodząc ręką wzdłuż framugi, w górę i w dół, znalazłem jednostkę kontrolną. Był tam otwór biotechowego analizatora, ale uznałem, że wetknięcie w niego palca nie jest dobrym pomysłem. Wiedziałem, że moje obecne ciało nie ma typowego książęcego profilu genetycznego, a jeśli ten budynek rzeczywiście powstał z rozkazu Imperium, na pewno został wyposażony w urządzenia chroniące przed intruzami.

Dlatego też wyteżyłem swoje zredukowane zmysły i natychmiast odkryłem istnienie psychotechowego zamka, który prezentował się w moim umyśle jako trójwymiarowa, sześciokątna wielopoziomowa plansza, gdzie na różnych polach ustawiono ponad sto pionków. Złota figura błysnęła w oczekiwaniu na moje rozkazy.

Jęknąłem głośno.

Miałem do czynienia z zamkiem-zagadką, nieznaną mi dotąd grą, w której musiałem pokonać uwarunkowany biotechowy umysł, żeby otworzył drzwi.

Coś dużego zatrzepotało nad moją głową. Bez dawnych usprawnień nie potrafiłem określić dokładnych rozmiarów tajemniczego stworzenia ani dzielącej nas odległości. Przykucnąłem nisko i nasłuchiwałem, ale hałas ustał.

Ponownie skupiłem się na grze. Przypominała urozmaiconą wersję szachów. Niektóre z kilkunastu rodzajów pionków występowały pojedynczo, innych było więcej. Kiedy się im przyglądałem, dotarło do mnie, że wszystkie wyglądają jak statki kosmiczne. Tworzyły imponującą kolekcję, poczynsz od klasycznych mechtechowych obłych i okrągłych kształtów typowych dla początków Imperium, a skończywszy na bardziej wymyślnych i zróżnicowanych współczesnych formach.

Rozpoznałem nawet niektóre statki z indeksów nazw imperialnych pojazdów, które przeglądałem jeszcze w swojej świątyni szkoleniowej, a także te, które pojawiały się w *Triumfach Księcia Garikma*. Było tam dwadzieścia jednozałogowych maszyn Kwygrel, szybkich i śmiercionośnych, ale nieuzbrojonych, i osiem jednostek patrolowych Jorgnul, które dla odmiany były dobrze wyposażone do walki, ale nie rozwijały dużych prędkości. Kolejne osiem statków przypominało starsze modele znanych mi okrętów wojennych Yoatin.

Błyszczący pionek nie wyglądał znajomo, ale udało mi się określić jego przeznaczenie na podstawie kształtu. Wyglądem nawiązywał do pojazdu zwiadowczego przeznaczonego do szukania tuneli czasoprzestrzennych. Gdy tylko to ustaliłem, dostrzegłem prowadzące od niego ledwie widoczne linie przecinające różne poziomy planszy.

Rozkazałem mu ruszyć wzdłuż tych linii, a on pokonał dwanaście sześciokątnych pól, wznosząc się sześć poziomów wyżej. Kiedy się przesuwał, na jego drodze pojawiały się kolejne smugi imitujące tunele. Niektóre z nich połączyły się z pozycjami wroga, a inne doprowadziły do moich pionków.

Poruszył się srebrny okręt wojenny, a jeden z moich statków jednozałogowych zniknął w rozbłysku tęczącej błyskawicy.

Gra była w toku. Zapomniałem o odgłosach dobiegających z dżungli i o dokuczliwej wilgoci, a także o pustym magazynku i krótkim ostrzu noża. Zamiast tego określałem pozycje i rozważałem wszystkie możliwe posunięcia, i przesuwałem swoje pionki, jakby to była prawdziwa flota, a od mojego dowodzenia zależała przyszłość Imperium.

Nieco później ostatni srebrny pionek wycofał się w mrok, znikając z planszy, a ja poczułem, że drzwi nieznacznie się uchyliły. Pchnąłem więc, a one ustąpiły, po czym przesunęły się na bok.

Rozbłysło ostre światło, które omal mnie nie oślepiło. Dosłownie chwilę później na skraju dżungli rozległa się przerażająca kakofonia dźwięków wydawanych przez tysiące bliżej niezidentyfikowanych istot pędzących w moją stronę.

Wbiegłem do środka, z trudem powstrzymując wrzaski przerażenia. Na oślepe szukałem jakiegoś przycisku służącego do zamykania, wysyłając w myślach kolejne polecenia: „Zamknij się, zamknij się”.

Nie wiem, czy trafiłem palcami na odpowiedni panel, czy też zadziałał mój psychotech, ale w każdym razie drzwi w końcu się zasunęły. Cofnąłem się, z nożem w pogotowiu, kiedy liczne odnóża zabębniły o ścianę i dach, poruszając się w szaleńczym pędzie.

I nagle wszystko ustało. Gdy tylko drzwi odcięły im dostęp do światła, kuszone blaskiem stworzenia wróciły w mrok.

Rozejrzałem się, mrugając.

Znajdowałem się w dużym, pustym pomieszczeniu. Dokładnie na środku leżał mój plecak – ten sam, którego Elzweko nie pozwolił mi wcześniej zabrać. Wyglądało na to, że niczego w nim nie brakowało, co pozwalało mi wierzyć, że znajdę tam także zestaw pierwszej pomocy, którego potrzebowałem do opatrzenia najprawdopodobniej zatrutych zadrapań na ramieniu. Podszedłem do niego nieufnie, rozglądając się za pułapkami.

Na torbie leżała kostka informacyjna. Pojaśniała, kiedy się zbliżyłem, zrobiłem więc krok w tył, na wypadek gdyby zamiast wiadomości zawierała coś innego. Ale nie eksplodowała ani nic z tych rzeczy. Zamiast tego rozpostarł się nad nią obraz Elzweka.

– Dobra robota, Kem. Ten budynek złoży się piętnaście minut przed wschodem słońca. Zginiesz, jeśli do tego czasu go nie opuścisz. Odbuduje się piętnaście minut przed zmrokiem. Ale za każdym razem będziesz musiał pokonać biotechową inteligencję, żeby się do niego dostać. Prawdopodobnie widziałeś, co ciągnie do światła... Pozwoliłem więc sobie zamienić iluminator w twoim bagażu na czasomierz. Powodzenia.

Rozdział 12

Żeby się nie rozwlekać, dodam tylko, że przetrwałem w dżungli, chociaż poza bliznami po ranach zadanych przez trujące pnącze doczekałem się także kilku mniej poważnych urazów. Przywykłem nawet do gorączkowego wyrywania się ze snu z przeświadczeniem, że przegapiłem alarm czasomierza, chociaż w rzeczywistości do wyjścia miałem jeszcze całą godzinę. Taka sama panika towarzyszyła mi pod koniec każdego dnia, kiedy zmagalem się z grą, desperacko próbując dostać się za drzwi.

Pewnego wieczoru przegrałem i nie zostałem wpuszczony do środka. Przez całą noc nie zmrużyłem oka. Gdy tylko słyszałem podejrzany dźwięk, zaczynałem czołgać się wokół budynku.

Ale jak już wspomniałem, udało mi się przetrwać nawet to. W efekcie utwierdziłem się w przekonaniu, że życie zwykłego człowieka jest niezwykle kruche, a przy okazji nauczyłem się nienawidzić upału i wilgoci, a także odbierającej wzrok ciemności.

Nigdy nie udało mi się zobaczyć stworzeń, które całymi chmurami przemierzały noc. Odkryłem jednak, że podążały za nimi lśniące ślepie większych stworzeń, poruszających się w małych stadach. Chociaż nie widziałem nic poza licznymi parami błyszczących oczu, uznałem, że należały do jakichś pajęczaków, o czym świadczyły ślady na ziemi i kawałki sieci, które po sobie zostawiały.

Elzweko przyniósł mi uprząż antygravitacyjną trzydziestego drugiego dnia, kiedy zacząłem panikować, że zostanę w tym miejscu na zawsze, co zapewne było zamierzone. Ponieważ uczyłem się na własnych błędach, tym razem cały swój dobytek miałem na sobie. Straciłem go jednak zaraz po

tym, jak zostałem zrzucony do trzeciego kwadrantu. Właśnie tam, na złomowisku, podobni do traszek czteronodzy kosmici, o których nigdy wcześniej nie słyszałem, skonfiskowali wszystko, co zdołałem wcześniej zgromadzić. Według nich był to „obowiązkowy zakup”. W zamian otrzymałem od nich chip kredytowy ukryty w pierścieniu, który mogłem wykorzystać jako „kapitał obrotowy” na rozpoczęcie własnej działalności.

Złomowisko było doskonale zorganizowane. Kosmici pochodzili z planety o nazwie brzmiącej jak „szub” i z tego powodu byli nazywani przez ludzi Szubianami. Bardzo wysoko cenili handel. Uważali, że wszystko ma swoją wartość i nadaje się na wymianę, wliczając artykuły pierwszej potrzeby, takie jak możliwość zachowania życia. Codziennie w południe przychodził do nas szubiański mistrz śmierci, któremu można było zapłacić za zachowanie życia albo dać się zabić. Przypuszczam, że można było również stanąć z nim do walki, ale to rozwiązanie wydawało mi się niekorzystne, bo kosmita miał trzy metry wzrostu i nosił zbroję oraz topór z ostrzem długości mojej ręki.

Trzeba jednak przyznać, że Szubianie byli uczciwi. Dlatego też każdemu, kto przybył na asteroidę (którą uważali za swoją), przydzielali kapitał obrotowy, różny w zależności od tego, co nowy przedsiębiorca miał im do zaoferowania. Później wyłącznie od niego zależało, jak potoczą się jego losy i czy przyznany kredyt pozwoli mu zachować życie oraz dobrze prosperować.

Wpadłbym w poważne tarapaty, gdybym trafił tutaj na początku szkolenia, bo prawie na pewno próbowałbym poradzić sobie w pojedynkę. Ale dzięki doświadczeniom zdobyтым w gwiazdnym miasteczku stałem się odrobinę mądrzejszy i zmęczony własnym towarzystwem po wyprawie do dżungli. Dołączyłem więc do grupy składającej się prawie wyłącznie z ludzi – w większości sprowadzonych z jakiejś staroziemskiej osady – oraz z kilku kosmitów. Ponieważ wykupili oni prawo do odnowienia wiekowego

transportera opancerzonego Imperium, zaoferowałem im swoje usługi przy naprawie jego części.

Wystarczyło udowodnić, że mam pewną wiedzę o kilku urządzeniach, i ukradkiem wykorzystałem psychotech do uruchomienia hybrydowej matrycy logicznej mechbio, którą uważali za bezużyteczną, aby podpisali ze mną kontrakt.

W zamian musiałem tylko spędzać czas z grupą ludzi, których w głębi serca nadal uważałem za gorszych od siebie i stworzonych do wykonywania moich poleceń. Tłumienie naturalnych instynktów kosztowało mnie dużo energii. I chociaż bardzo się starałem, mniej więcej tydzień później, kiedy byłem bardzo zmęczony, nie wytrzymałem i wygarnąłem dwóm głównym udziałowcom naszego małego przedsiębiorstwa, co naprawdę o nich myślę.

Pięć minut później miałem obitą twarz i szukałem nowego kontraktu albo innej możliwości zarobku. Do południowej wizyty mistrza śmierci zostało ledwie kilka godzin, a ja nie miałem ani grosza, ponieważ musiałem zapłacić karę uwzględnioną w umowie, której w swojej arogancji nie doczytałem do końca przy podpisywaniu.

Na szczęście w poprzedniej pracy zdołałem zgromadzić kilka drobiazgów z imperialnego techu. Moi byli współpracownicy sądzili, że są trwale uszkodzone albo przepalone, ale ja wiedziałem, że można je naprawić, naładować albo ponownie uruchomić.

Do moich zdobyczy należała mechtechowa wiązka tnąca, która w zależności od regulacji wierciła otwór cienki jak włos albo wypalała dziurę wielkości dłoni we wszystkim, co nie miało najnowocześniejszego pancerza.

Zaprezentowałem ją grupie, która odzyskiwała zawartość jakiegoś statku pocztowego, wyposażonego w setki małych trezorów, demonstrując, co wiązka potrafi, i wróciłem do gry.

Tym razem przekonanie o swojej wyższości nad innymi zachowałem dla siebie. Zresztą i tak nie mogłem się odzywać, bo moja szczęka spuchła tak bardzo, że ledwie otwierałem buzię.

Prawdopodobnie właśnie to wymuszone milczenie ocaliło mi życie. Poza tym tak bardzo przywykłem do nieopowiadania o tym, jaki jestem wspaniały, przepalania zamków i katalogowania zawartości schowków, że na widok Elzweka ogarnęła mnie złość. Sądziłem bowiem, że w kolejnym kwadrancie może być tylko gorzej.

– Podoba ci się tutaj? – zapytał komodor, kiedy założyłem uprząż antygravitacyjną.

– Jest lepiej niż w dżungli – odparłem. – A w gwiazdnym miasteczku było cholernie zimno.

– Ostatnie zadanie to łatwizna – burknął Elzweko. – Jeśli tylko nie przedziurawisz swojego skafandra, nie zapomnisz się zabezpieczyć ani nie padniesz ofiarą awarii wzmacniacza.

– Dam radę – zapewniłem. Prychnąłem, wyrażając w ten sposób emocje tłumione przez ostatnie tygodnie, ale komodor nawet nie zwrócił na to uwagi.

– Zatrzymamy się na moment na platformie startowej, żeby zorganizować dla ciebie skafander – uprzedził Elzweko. – Masz jakieś preferencje?

Już miałem powiedzieć, że nic mnie nie obchodzi jakiś głupi skafander, ale szybko zamknąłem usta i się zastanowiłem.

– Tak – odparłem. – Chciałbym sam go wybrać i przetestować.

Elzweko uśmiechnął się i skinął głową na znak aprobaty.

– W górę – powiedział, wzbijając się w powietrze.

Ruszyłem za nim nieco wolniej. Jego osprzęt miał po prostu większą moc.

Dziwnie było znaleźć się ponownie na imperialnym okręcie, nawet jeśli mogłem poruszać się wyłącznie w granicach platformy widokowej zawieszanej nad przepastną jaskinią, w której mieściła się symulacja. Wiem, że to bez sensu, przecież wszystkie kwadranty stanowiły część statku. Z tym że podczas szkolenia w ogóle nie czułem bliskości normalnego świata Imperium, a teraz gdy znów znalazłem się tak blisko niego, wydawało mi się, że do niego nie należę. Wiedziałem, że nigdy tam nie wrócę, jeśli nie zdam testu. Kolejny raz pożałowałem, że zostałem wybrany przez arcykapłankę Morojal.

Elzweko otworzył schowek, z którego wcześniej wyjął mój poprzedni kombinezon, ale tym razem pozwolił mi wejść do środka. Na ścianie wisiało tam dwanaście skafandrow próżniowych. Chociaż pochodziły z różnych miejsc i miały różne specyfikacje, wszystkie były stare i zużyte.

– Masz piętnaście minut – oświadczył Elzweko. – Wybieraj mądrze.

Biegiem minąłem rząd skafandrow. Przy każdym zatrzymywałem się na kilkanaście sekund i majstrowałem przy przełącznikach i panelach, żeby je aktywować. Pomiąłem tylko ten, który znajdował się na końcu, ponieważ został wyprodukowany przez Naknuków i był obdarzony podstawową biotechową inteligencją. Nie traciłem na niego czasu, ponieważ został skonstruowany z myślą o konkretnym użytkowniku, którego rozpoznawał na podstawie próbki krwi albo naskórka.

Ale dziesięć minut po tym, jak przejrzałem standardowe programy testowe pozostałych skafandrow i z różnych powodów wszystkie okazały się nieprzydatne, musiałem wrócić do odrzuconego modelu.

Naknukowie mówili i pisali zgodnie ze standardami Imperium, ponieważ odłączyli się od niego zaledwie czterysta czy pięćset lat wcześniej. Nigdy nie zdołałem poznać pełnej wersji tej historii od Imperialnego Umysłu ani od kogokolwiek innego. Jednak według powszechnie dostępnej, zatwierdzonej wersji zasadniczo wyglądało to tak, że cały Dom zrzeszający

około trzech tysięcy Książąt umknął przed Imperium, żeby daleko w galaktyce stworzyć wyspecjalizowaną w biotechu konfederację, która całkowicie odrzuciła psychotech i mechtech. Oczywiście Imperium nadal rosło w siłę, a Naknukowie nie zaszli tak daleko, jak by mogli, więc w minionych dekadach dochodziło do licznych starć wzdłuż granicy obszaru obejmującego kilka tysięcy spornych systemów planetarnych.

Bez problemu odczytałem informacje widoczne na zewnętrznej powłoce optycznej skafandra, które tylko potwierdziły moje podejrzenia. Ekumatotorikilinee, jak przedstawił się owerol, działał bez zarzutu. Mógł go jednak nosić tylko ten, kto miał autoryzację, czyli gwiazdny major Druzek. Przypuszczałem, że major od dawna nie żyje, skoro jego strój miał ponad dwieście lat.

– Trzy minuty – oznajmił Elzweko.

Kolejny raz przejrzałem schematy. Biotechowy mózg wielkości jaja, który kontrolował skafander, znajdował się w małym wybrzuszeniu tuż poniżej obręczy hełmu na wysokości szyi. Pochyliłem się nad nim i spróbowałem nawiązać połączenie za pomocą psychotechu.

Poczułem się tak, jakbym zanurkował w ciepłym błocie, blokującym wszelkie bodźce zewnętrzne i wywołującym wrażenie klaustrofobii. W efekcie ogarnęła mnie panika. Ale znałem ten standardowy system chroniący przed psychotechowym wtargnięciem, miałem z nim bowiem do czynienia w dzieciństwie podczas lekcji z tej dziedziny. Nie wycofałem się więc i ostatecznie udało mi się włamać do nieskomplikowanego umysłu skafandra. Wmówiłem mu, że jestem jego prawowitym właścicielem, gwiazdnym majorem Druzkiem, którego profil genetyczny zastąpiłem własnym.

W chwili gdy zakończyłem procedurę, Elzweko obwieścił:

– Dwie minuty.

Bezzwłocznie skontaktowałem się z Ekkim, jak przechrzcilem skafander. Kazałem mu się otworzyć, po czym wszedłem do środka. Kiedy osłona hełmu się zasunęła, tuż przed moimi oczami rozbłysły liczne wskaźniki. Mrugały, tworząc wzory, których nie rozumiałem. Zamierzałem rozpracować je później, ale chwilowo mogłem bezpośrednio łączyć się z nieskomplikowanym umysłem Ekkiego. Poinformował mnie, że owerol został uszczelniony i nadawał się do używania w próżni, a wszystkie jego systemy były w pełni sprawne.

– Dobrze – pochwalił Elzweko. – Przejdziemy teraz przez górną śluzę Pióra, która stanowi połączenie z projektorem stanu nieważkości. Użytkownicy symulacji są zaprogramowani tak, żeby z niej nie korzystać. Udasz się najpierw na spotkanie z szefem zmiany, a potem prosto do pracy na osiem godzin. Gotowy?

– Jasne – odparłem. – Wprost nie mogę się doczekać.

Stacja kosmiczna nazwana przez ludzi Piórem nie była taka zła. Miała niezłą organizację, więc nie musiałem się przejmować czyhającymi na mnie prześladowcami ani wrogimi formami życia. I jak długo działał Ekki, tak długo było mi w miarę wygodnie, nie za gorąco i nie za zimno.

Oczywiście musiałem ciężko pracować, co nie przychodziło mi naturalnie. Konstruowanie mechtechnu w stanie nieważkości i w próżni nie jest najłatwiejszą rzeczą na świecie. Zastanawiało mnie, dlaczego nie używano tutaj robotów, do czasu aż ujrzałem pierwszy wypadek, zakończony eksplozją jednostki reagowania. Wymiana ludzi była o niebo tańsza od wymiany jakichkolwiek automatów.

Najtrudniejsze jednak okazało się dla mnie mieszkanie z innymi w jednej sali. Na szczęście mieliśmy własne zamykane kapsuły sypialne, które zapewniały nieco prywatności. Podczas pracy musiałem znosić otaczające mnie niższe formy życia. Nie zamierzałem jednak ich słuchać ani na nie patrzeć w czasie wolnym.

Zamiast tego zwykle chowałem się w swojej kapsule sypialnej i dla zabicia czasu studiowałem podręczniki techniczne. Ale przyswajanie wiedzy szło mi znacznie wolniej i było trudniejsze niż w czasach, gdy informacje były zwyczajnie zapisywane w mojej głowie za pomocą odpowiedniego oprogramowania. A przypominam, że teoria często utrudniała mi pracę, zamiast ją ułatwiać. Przy zdobywaniu praktyki zawsze trzeba się z nią zmagać, nawet jeśli ma się przed oczami dowody zadające kłam uzyskanym informacjom, tak jak wtedy, kiedy ładowałem płyt kinetyczny na pokładzie Świtu Zwaktuz.

Przywykłem więc do ośmiogodzinnych zmian, ośmiogodzinnych odpoczynków i wykonywania wciąż tych samych prostych czynności w trudnym środowisku. I ostatecznie przywykłem do życia wśród ludzi, nawet jeśli w miarę możliwości trzymałem się na uboczu.

Właściwie do tego stopnia wpadłem w ten rytm życia, że przestałem odliczać dni do końca szkolenia. Spodziewałem się, że Elzweko zostawi mnie na Piórze cały miesiąc, ale po upływie zaledwie trzech tygodni zostałem poproszony o stawienie się w górnej służbie – niewidocznej dla ludzi biorących udział w symulacji – gdzie rzekomo miałem powitać jakiś wahadłowiec. Właśnie tam spotkałem komodora, ubranego w zgrabny imperialny skafander, przy którym mój Ekki wyglądał jak strój z zamierzchłej ery starej Ziemi, jeszcze sprzed czasów pierwszych lotów w kosmos.

Elzweko pokazał mi, żebym za nim ruszył, i poprowadził mnie służą wiodącą przez sufit skonstruowany wewnątrz jaskini.

– Udało ci się – stwierdził, kiedy przemierzaliśmy znajomy imperialny korytarz.

– Tak jest, sir.

– Uczysz się szybciej od innych – pochwalił Elzweko. – A byli też tacy, którzy nie nauczyli się niczego. Mimo wszystko nadal musisz zachować

czujność. Zawsze zastanawiaj się, jak zachowałby się Księżę... a potem rób dokładnie na odwrót.

Skinąłem głową. To była dobra rada.

– Wysyłamy cię niezwłocznie – kontynuował Elzweko. – Przed nami znajduje się magazyn. Masz trzydzieści minut. Możesz zabrać z niego wszystko, co zmieści się do kapsuły ratunkowej. Kapsuła zostanie przetransportowana na zautomatyzowanym gońcu zaprogramowanym do pokonania dziesięciu tuneli czasoprzestrzennych, prosto w kierunku obrzeży Lokowik. Później zrzuci cię w pierwszym systemie, w którym wyłapie taką liczbę techowych transmisji, która potwierdzi czyjąś stałą obecność, a nie na przykład jakież przelatujące w pobliżu statki.

– A jeśli to Smutnoocy albo Umarlacy? – zapytałem. – Albo Naknukowie?

– Znajdziesz się w przestrzeni Peryferii – odparł Elzweko. – Nie będzie to jednak terytorium żadnego z naszych wrogów. Oczywiście to nie oznacza, że nie możesz spotkać jakiegoś wrogiego statku. Jeśli to będą Smutnoocy, sugeruję doprowadzić do przeciążenia zasilania twojej kapsuły. Umarlacy nie biorą jeńców. A Naknukowie... Przy nich być może zdołałbyś przetrwać. Nie ma w tobie niczego, co ich biotech skojarzyłyby z Imperium, a oni współpracują z ludźmi z Peryferii. Widzę, że masz naknukowy skafander do pracy. Na pewno to docenią.

– A mogę zatrzymać skafander? – zapytałem. Przyzwyczailem się do Ekkiego.

– Możesz zabrać wszystko, co masz na sobie, i dodatkowo wszystko to, co zgromadzisz w magazynie – wyjaśnił Elzweko. – Po prostu przejdź przez tamte drzwi i zabieraj się do roboty. Powodzenia, kapitanie Kemri, czy też może Kemie, kupcze z systemu Rabogad, miejsca bez znaczenia... Co mi przypomina, że szczegóły dotyczące twojej nowej tożsamości znajdziesz w systemie informacyjnym kapsuły.

– Jestem Kem – odparłem. Uniosłem rozpostartą dłoń, tak jak to często robili ludzie z Peryferii podczas symulacji szkoleniowej.

Elzweko odwzajemnił mój gest, odwrócił się na pięcie, po czym wyszedł przez drzwi prowadzące do Imperium i wszystkiego, do czego tak bardzo chciałem wrócić. Ja z kolei wszedłem do długiej sali pełnej przedmiotów przypominających szczątki i odpady z różnych światów. Leżały na ustawionych w trzech rzędach stołach, ciągnących się przez całe sto metrów pomieszczenia, a także pod nimi. Na odległym krańcu dostrzegłem drzwi z obwódką podświetloną na zielono. Gdy tylko wszedłem, światło zmieniło kolor na żółty. Wiedziałem, że w chwili gdy stanie się czerwone, będę musiał wyjść z magazynu.

Zatrzasnęły się za mną trzydzieści minut później. Następnie zszedłem po schodkach do małego wewnętrznego doku, gdzie na torach czekał już na mnie nieduży, niestandardowy zautomatyzowany goniec. Z tyłu przymocowano do niego niepokojąco mały walec o długości czterech i średnicy trzech metrów. Znajdujący się na jego końcu wąż uniósł się gwałtownie, ukazując kanapę antygravitacyjną.

To była moja kapsuła ratunkowa. Przyjrzałem się jej, po czym zacząłem się zastanawiać, jak mam w niej przetrwać pięć tygodni – bo właśnie tyle zajmie przejazd przez dziesięć tuneli czasoprzestrzennych – nie wspominając już o czekającej mnie podróży w przestrzeni kosmicznej.

Poza tym nie miałem pojęcia, jak upchnąć w środku moje łupy. Ponieważ potraktowałem słowa Elzweka dosłownie, zabrałem ze sobą wszystkie pożyteczne rzeczy, które zdobyłem w magazynie i zdołałem przytaszczyć tutaj.

Każda z moich zdobyczy miała swoje lata, ale zachowała się w dobrym stanie. W większości przypadków były to kopie imperialnych techów.

I tak oto udało mi się znaleźć pistolet igłowy, który z ogromną prędkością wypuszczał drobinki metalu o niezwykle dużej gęstości. Była to

bardzo skuteczna broń przyboczna, choć o ograniczonej przydatności, ponieważ miałem do niej tylko trzy magazynki, z setką igieł każdy.

Wyszukałem również biotechnowy aplikator medyczny wraz z zestawem trzech uśpionych, lecz żywych symbiontów. Odpowiednio odżywione i napojone, mogły się okazać prawdziwym wybawieniem dla ludzkich, czy też prawie ludzkich pacjentów. Każdy z nich potrafił uporać się z ogromną liczbą chorób, trucizn i substancji zanieczyszczających, a także zaradzić mniejszym urazom, zaś w razie poważniejszych podtrzymać funkcje życiowe.

Nie pogardziłem kombinezonem z kompozytu mechtechowo-biotechnowego, do pewnego stopnia chroniącego przed bronią białą i energetyczną. Choć Ekki niczym prawdziwa zbroja osłoniłby mnie przed licznymi narzędziami do walki, mogłem potrzebować nieco bardziej zwyczajnego stroju, którym z pewnością nie był jednocześnie biotechnowy skafander kosmiczny dodający mi pięćdziesiąt centymetrów wysokości i tyle samo szerokości. Kombinezon najprawdopodobniej został wyprodukowany całe wieki temu na potrzeby Biura Geodezji Imperium, ale wszystkie oznaczenia, które mogłyby na to wskazywać, zastąpiono wyblakłymi plakietkami Żeglugi Piątego Świata. Uznałem, że to jakaś firma handlowa z jednego z systemów politycznych na Peryferiach, z pięcioma zamieszkanymi światami. Zapewne stanowiła jeden z elementów mojego nowego życiorysu, z którym miałem się zapoznać po drodze.

Na koniec uznałem, że przyda mi się ważne pudło z biotechnowymi szablonami w kriostazie. Choć trudno je było aktywować, ponieważ wymagały odpowiednich zabiegów, wiele uwagi i różnych surowców, z szablonów dało się wyhodować mantę do ponownego wejścia w atmosferę, identyczną jak ta, z której kiedyś korzystałem, psa obronnego, dwa rodzaje lotników zwiadowczych (nocnego i dziennego) oraz wodne

stworzenie ratownicze. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że będę musiał skorzystać z pomocy choćby jednego z nich, ale dzięki szkoleniu wiedziałem, że takie rzeczy miały znaczną wartość w świecie handlu.

Ponadto w kapsule ratunkowej znajdowało się trochę przydatnego sprzętu. Było to standardowe wyposażenie: racje żywnościowe, woda, urządzenia do oczyszczania powietrza oraz dość podstawowy i zredukowany pakiet przetrwania. Przejrzałem swój dobytek, zanim przeprowadziłem diagnostykę kapsuły. Podobnie jak wszystko inne miała swoje lata, ale działała. Ocenilem, że powstała na Peryferiach. Mimo to była wierną kopią imperialnego mechtechowego modelu z kilkoma biotechowymi elementami.

Nie znalazłem żadnych nowoczesnych urządzeń komunikacyjnych, lecz tylko przestarzały przekaźnik radialny szeroko- i wąskopasmowy. Na szczęście działał. Kiedy w końcu się zapakowałem, wszystko sprawdziłem i zabezpieczyłem Ekkiego pasami, zautomatyzowany goniec bezbarwnym głosem powiadomił o rychłym starcie.

Minutę później rozpoczęło się odliczanie, a dziesięć sekund potem pojazd ruszył po szynach i wystrzelił w kosmos, rozpoczynając pierwszy etap mojej podróży w nieznane.

Nie zaczęła się ona dobrze, ponieważ kolejny raz poznałem ograniczenia nieulepszoności ciała. Chociaż goniec został wyposażony w kontrolę grawitacji, z jakichś przyczyn nie objął nią kapsuły. W efekcie dotkliwie odczułem działanie przeciążenia o sile 7 g i natychmiast straciłem przytomność.

Ocknąłem się, kiedy goniec odpalił napęd i w końcu rozszerzył swoje pole grawitacyjne, przywracając w kapsule stan, który pozwalał mi normalnie funkcjonować. Miałem zatkaany nos i słony posmak w ustach. Ogarnęła mnie panika, zanim pojąłem, że krwawię, a pokrywające wnętrze Ekkiego rzeski zaciskają mi nos i odsysają krew.

Kiedy krwotok został zatamowany, zdałem sobie sprawę, że bolą mnie plecy i głowa, a gdy spróbowałem zmienić pozycję na wygodniejszą, kolejny raz stwierdziłem, że to będzie długa i nużąca podróż.

Chyba najbardziej doskwierała mi nuda. Nie dość, że leżałem w skafandrze na kanapie antygravitacyjnej w przestrzeni tak ciasnej, że ledwie mogłem się wyciągnąć, to jeszcze nie miałem czym się zająć. Podczas przejazdu przez pierwszy tunel czasoprzestrzenny dotarłem do skraju wytrzymałości. Przez cały czas wpatrywałem się w niewyraźne, wolno aktualizowane obrazy skanerów, bo kapsuła nie zapewniała niczego więcej. Na szczęście goniec był tak mały i poruszał się tak szybko, że kilka razy wychwyciłem komunikaty innych statków i zostawiłem je w tyle, zanim ich załogi zdążyły podjąć ewentualne działania.

Gdy dotarliśmy do piątego tunelu, przestałem obserwować skanery. Wiedziałem, że goniec mnie ostrzeże, jeśli wydarzy się coś, o czym powinienem wiedzieć.

Podczas przejazdu przez dziewiąty tunel nawet nie próbowałem zachować przytomności umysłu. Od miesiąca tkwiłem w swoim skafandrze wewnątrz kapsuły. Chociaż dzięki masażom wykonywanym przez rzęski i rutynowym ćwiczeniom byłem w niezłej formie fizycznej, mój stan psychiczny pozostawiał wiele do życzenia. Chętnie zażyłbym narkotyki, które pozwoliłyby mi odciąć się od mózgu chociaż na pewien czas, ale nie miałem żadnych na pokładzie. Mogłem łyknąć środki przeciwbólowe, ale to w niczym by mi nie pomogło. Nie zostało mi zatem nic innego, jak zmuszać się do snu, powtarzać nudną gimnastykę i powstrzymywać się przed analizowaniem w nieskończoność wszystkich możliwych scenariuszy, które uwzględniały mój powrót do Imperium, przedostanie się do świątyni, wkroczenie do sanktuarium i odzyskanie należnego mi życia. Chwilowo jednak moim największym osiągnięciem było wykonywanie

dwóch tysięcy zgięć palca u nogi na godzinę. Jednym słowem, przypominałem żalosne szczątki Księcia.

W końcu nadszedł dzień, w którym goniec wyłonił się z dziesiątego tunelu czasoprzestrzennego.

Poruszyłem się gwałtownie, kiedy głos automatycznego pilota rozległ się pierwszy raz od startu i wyrwał mnie z pięknego snu, w którym jako Księżę stałem na mostku kapitańskim okrętu milion razy lepszego od mojej beznadziejnej kapsuły.

– Dotarłeś do celu. Wykryto oznaki życia w zasiedlonym świecie. Wykryto ruchy statków. Lokalna bitwa mieści się w parametrach misji. Uwolnienie kapsuły nastąpi po sygnale. Dziesięć, dziewięć, osiem...

– Czeka! – wrzasnąłem. Bez względu na to, co oznaczała wzmianka o lokalnej bitwie, nie chciałem zostać wciągnięty w jej wir.

Automat zignorował moje krzyki.

– Pięć, cztery...

Sięgnąłem po zabezpieczenia. Dotąd spałem unieruchomiony jedynie pasem w talii. Uderzyłem więc w awaryjny przycisk z biotechowej pianki, który znajdował się tuż nad moją głową. Przez potworną sekundę nie działało się absolutnie nic. Ostatecznie jednak szarawa sieć pokryła całe moje ciało prócz głowy. Wiedziałem, że kiedy kapsuła opuści pole grawitacyjne gońca, zacznie nagle wytracać prędkość, być może nawet przy przeciążeniu większym niż 7 g, którego doświadczyłem podczas startu.

– Trzy, dwa, jeden, zero.

Poczułem się tak, jakby w kanapę wcisnęła mnie wielka dłoń. Sieć bezpieczeństwa trzymała mocno. Kapsuła zawirowała, albo to ja przekoziółkowałem.

Wszystko utonęło w mroku.

Rozdział 13

Kiedy odzyskałem przytomność, powitało mnie znajome uczucie towarzyszące odsysaniu krwi z nosa przez rzęski. Co więcej, wszędzie dookoła buczały, wyły i piszczały najróżniejsze systemy alarmowe. Kapsuła już nie wytracała prędkości, tylko spadała swobodnie, a krępujące mnie zabezpieczenia zaczęły się luzować. Wciąż jeszcze otumaniony, odgarnąłem na bok sieci, po czym dotknąłem holograficznego sześcianu, będącego głównym ekranem kontrolnym. Powinien był znajdować się na wysokości mojej twarzy, ale najwyraźniej został dostosowany do potrzeb kogoś niższego ode mnie, bo wyświetlał się na wysokości mojej piersi. Musiałem więc wygiąć szyję, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

Wszystkie ostrzeżenia dotyczyły niebezpiecznych obiektów poruszających się z dużą prędkością i mogących przeciąć tor lotu mojej kapsuły. Wystarczyła chwila, by nawet mój spowolniony umysł pojął, że nie miałem do czynienia z raketami ani innymi pociskami. Obiekty były bowiem zbyt wolne i nikt nimi nie sterował. Ponieważ wszystkie różniły się od siebie kształtem, uznałem, że to cała masa złomu. Niektóre szczątki nadal wypuszczały powietrze albo inne substancje lotne. Innymi słowy, patrzyłem na szybko powiększającą się chmurę resztek statku bądź statków zniszczonych w walce powietrznej.

Żadne z tych pozostałości nie stwarzały bezpośredniego zagrożenia, dlatego czym prędzej wycelowałem palce w hologram, żeby ustawić czujniki kapsuły. Chciałem się przekonać, czy w pobliżu nie ma czegoś bardziej godnego uwagi od rumowiska po bitwie. Szukałem oczywiście nietkniętych, w pełni sprawnych statków i innych źródeł mocy.

Wiedziałem, że czujniki kapsuły nie są na tyle czułe, by wykryć okręt wojenny Imperium bądź inną zaawansowaną technologię, jeśli te zechcą pozostać w ukryciu. Mogły jednak wytropić każdy rodzaj statku piratów czy małego państwa z Peryferii, odpowiedzialny za niedawną burdę.

Wydawało mi się, że upłynęły całe wieki, zanim obraz na ekranie się zmienił. I chociaż w pobliżu nie było widać żadnych sprawnych statków, stosunkowo niedaleko znajdowało się słabnące źródło zasilania. Interesujący mnie obiekt na skanerze przypominał zachowany w jednym kawałku kadłub. Uznałem, że to okręt, który został uszkodzony albo zwyczajnie unieruchomiony przez załogę próbującą przeczekać do czasu, gdy zrobi się bezpiecznie.

Co ciekawe, na zaktualizowanym skanie było widać także inne źródła mocy, zarówno na planecie na czwartej orbicie, jak i w przestrzeni kosmicznej tuż obok niej. Chmura szczątków statku rozciągała się właśnie między tą planetą a wyjściem z tunelu czasoprzestrzennego, który niedawno pokonałem. Nieco dalej była także druga, nieco mniejsza chmura unosząca się w kierunku czegoś, co kapsuła wzięła za wejście do tunelu prowadzącego w drugą stronę. Uznałem, że jej przypuszczenia są słuszne, skoro w przestrzeni został ślad promieniowania typowego dla napędu warp.

To wszystko sugerowało, że doszło do starcia między najeźdźcami, którzy przybyli przez ten sam tunel co ja, a obrońcami planety próbującymi udaremnić atak. Początkowo sądziłem, że ta druga, unosząca się dalej chmura szczątków mogła być dawniej okrętem napastników, ale kiedy kapsuła stworzyła obraz jej danych i uznała, że prawdopodobnie pochodziły ze statku obrońców, wywnioskowałem, że atakującego nic nie obchodził lokalny system. Zwyczajnie przyleciał, rozniósł w pył wszystkich, którzy stanęli mu na drodze, i odleciał. Być może nie stałoby się nic złego, gdyby obrońcy po prostu go zignorowali.

Oczywiście była to tylko moja hipoteza, oparta na bardzo ograniczonej wiedzy. Później odkryłem, że jak zapewne się domyślasz, nie do końca miałem rację.

Chwilowo jednak najbardziej interesowało mnie źródło energii w postaci unieruchomionego okrętu. Kapsuła miała napęd godny pożałowania, mechtechowy silnik fuzyjny, który w najlepszym razie mógł rozwinąć zawrotną prędkość 0,1 g. Ale chociaż była wolna, mogła mnie dowieźć na dryfujący statek, oczywiście pod warunkiem że ten drugi nie zacznie nagle przyspieszać.

W zasięgu mojego skanera nie odbywał się żaden wzmożony ruch, a kapsuła nie odbierała transmisji, ani tych opóźnionych, ani żadnych innych. Mimo to z planety docierało wiele podejrzanych odgłosów sugerujących działanie jakiejś mechtechowej ultraszerokopasmowej tarczy komunikacyjnej albo szyfratora. Podejrzałem także, że nawiązywano tam mnóstwo połączeń szeregowych, ale kapsuła nie była w stanie ich wychwycić.

Nie radziła sobie również z nawigacją, zgodnie z intencją Biura Weryfikacji. Dawniej na pewno była wyposażona w jakiś system sterujący, który mógłby określić moją pozycję na podstawie takich parametrów, jak rodzaj gwiazdy czy orbity planet. Ale aktualnie na pokładzie nie znalazłem niczego podobnego.

Dlatego nie miałem pojęcia, gdzie wylądowałem ani jak daleko mogła znajdować się najbliższa posiadłość Imperium.

Rozważyłem obranie kursu na planetę, ale ten dogorywający statek znajdował się zbyt blisko, żeby mnie nie kusił. Gdybym się na niego dostał i przywrócił zasilanie, to mógłby być pierwszy krok w drodze powrotnej do Imperium i prawdziwego życia.

Równie dobrze mogłem bardzo szybko dotrzeć do kresu swojej podróży. Wystarczyło, że statek miał wystarczająco dużo mocy do obsługi systemów

namierzających i obronnych, z których skwapliwie skorzystaliby impulsywni członkowie załogi albo maszyny obsługujące pojazd. A zważywszy na to, co się tutaj wydarzyło, nikogo mogłoby nie interesować to, że podróżowałem w kapsule ratunkowej.

Uznałem jednak, że warto zaryzykować.

Musnąłem palcami hologram. Kapsuła wyliczyła kurs przechwycenia. Poczułem słaby ucisk w żołądku, kiedy włączył się napęd. Opuściłem głowę na kanapę i rozpocząłem autotest Ekkiego, sięgając po najróżniejszą broń, którą zamierzałem umieścić w odpowiednich przegródkach skafandra.

Dotarcie do statku zajęło mi dwie godziny. Kiedy kapsuła znalazła się wystarczająco blisko, pojawiły się na nim dane. Zapoznałem się z obrazami i informacjami. Przy okazji zignorowałem bzdurne założenie źle poinformowanego komputera pokładowego mojej kapsuły, który uznał, że to klon wojennego krążownika klasy Izkik, liczącego sobie sześćset lat, a mimo to niezwykle niebezpiecznego. Byłem bowiem przekonany, że nie mam do czynienia z okrętem przeznaczonym do walki. Oczywiście statek był takiej samej wielkości co Izkik i miał biotechowy kadłub, ale na tym kończyły się podobieństwa.

Uznałem, że to transporter, w którym jedną z ładowni zastąpiono czymś, co przypominało niewiarygodnie dużą wyrzutnię pocisków. Chociaż uzyskałem jedynie częściowy skan, wyraźnie widziałem rakiety wystającą dobre pięćdziesiąt metrów na zewnątrz. Prawdopodobnie była to sama głowica bojowa, a konkretnie jakiś rodzaj ładunku termojądrowego. Reszta ukrywała się w środku. Gdyby rakiety odpalono w odległości kilkuset metrów od statku, uległyby zniszczeniu razem z celem.

Właśnie dlatego wiedziałem, że to nie okręt wojenny, lecz jedynie transporter służący do przewożenia pocisków. Działał w ten sposób, że dostarczał ładunek w wyznaczone miejsce, wyrzucał go w przestrzeń

i oddalał się czym prędzej, zanim ten zostanie odpalony. Proces mógł trwać całe wieki, dlatego nie miał zastosowania w przypadku ruchomych celów.

Ale w obecnym stanie statek do niczego się już nie nadawał. Cały jego biotechowy kadłub pokrywały charakterystyczne strupy i pęcherze, które rozpoznałem dzięki szkoleniu w akademii. Nic dziwnego, że był unieruchomiony w przestrzeni – został trafiony jakąś stosunkowo nowoczesną i potężną imperialną bronią przeznaczoną do unicestwiania załogi i systemów biotechowych jednostek. W ciągu kilku ostatnich godzin dosięgła go fala wstrząsowa, która natychmiast zabiła wszystko, co miało puls, a nie było odpowiednio chronione. Ponieważ transporter był zasadniczo żywym organizmem i nie korzystał ze wsparcia innych techów, wszystkie jego systemy przepadły razem z załogą.

Mimo to nadal odbierałem sygnał słabnącego źródła mocy. Nie wiedziałem, co to oznacza, ale istniał tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Statek miał sześć okalających go, typowych biotechowych doków. Wprowadziłem swoją kapsułę do najmniejszego z przejść w kadłubie, przypominających ogromne blizny, szczęśliwie nie po tej stronie, która nosiła ślady poparzeń od fali wstrząsowej. Zdziwiłem się, że otwór zamknął się za mną, gdy tylko kapsuła zacumowała w doku. Ale jeszcze bardziej zdumiała mnie reakcja obecnych na statku rzęsek, które bardzo szybko wyrównały ciśnienia. To sugerowało bowiem, że statek zachował nie tylko sporo mocy, ale także sprawną część systemu nerwowego.

Ponieważ fala wstrząsowa najwyraźniej poraziła jedynie część transportowca, nie spowodowała nagłej śmierci, a jedynie zapoczątkowała jego powolne konanie. Tak czy inaczej, koniec był bliski, nie mogłem więc polegać na lokalnych systemach podtrzymywania życia. Dlatego nie rozszczelniłem Ekkiego, kiedy wygramoliłem się z kapsuły, w prawej dłoni ściskając pistolet igłowy, a w lewej promień świetlny, wspomagający

reflektory skafandra. W doku panowała ciemność. Działało wyłącznie oświetlenie awaryjne w podłodze, i to też nie wszędzie. Spodziewałem się, że dalej będzie tylko gorzej.

Padła kontrola grawitacji albo statek nigdy nie posiadał takiego systemu. Ale dzięki miesięcznemu szkoleniu na stacji kosmicznej Pióro nie miałem problemu z poruszaniem się w takich warunkach. Chwytacze przy butach Ekkiego szybko dostosowały się do biotechnowego podłoża statku, mogłem się więc poruszać bez nieskoordynowanych akrobacji i przekleństw, tak typowych dla spacerów w stanie nieważkości bez odpowiednich urządzeń pomocniczych.

Musiałem poświęcić chwilę na przełamanie naturalnego oporu śluzy powietrznej przed wpuszczeniem na pokład nieznanego gościa. Ponieważ jednak śluza nie była połączona z centrum dowodzenia, zdołałem zmanipulować jej zwój nerwowy za pomocą swojego psychotechnu. Po kilku nieudanych próbach ostatecznie rozsunęła przede mną kolejne pary drzwi.

Po drugiej stronie napotkałem pierwsze dryfujące ciała. Była to grupa sześciu mężczyzn i kobiet, a także jeden kosmita, bez wątplenia akceptowany przez pozostałych. Wszyscy mieli na sobie skafandry, a wielu z nich było dobrze uzbrojonych. Brakowało im jednak zbroi, która uchroniłaby ich przed falą wstrząsową. Podczas ataku każde naczynie krwionośne w ich ciałach eksplodowało w ułamku sekundy, dlatego cieszyłem się, że nie mieli rozszczelnionych skafandrów. I bez tego w powietrzu unosiło się wystarczająco dużo baniek pełnych ciekłych biotechnowych substancji odżywczych i odpadów.

Otoczały ich różne rodzaje broni, sugerujące, że należeli do zaokrętowanej piechoty morskiej albo oddziału obrony powietrznej. Ale z pewnością nie byli zawodowymi żołnierzami. Każdy z nich miał inny rodzaj skafandra od innego producenta. Poza tym wszystkie owerole nosiły

liczne ślady niestandardowych przeróbek i napraw, podobnie jak eklektyczny zestaw broni.

Jedynie emblematy wymalowane po bokach hełmów albo na napierśnikach wskazywały, że należeli do pseudomilitarnej jednostki. Dodatkowo na stroju każdego z nich widniało jakieś skrzydlate zwierzę w niebieskich i czerwonych barwach. Bez wątpienia symbol ten został wykonany przez maszynę przy użyciu szablonu, w dodatku w wielkim pośpiechu, co potwierdzało, że była to raczej formacja ochotnicza.

Minąwszy ciała, zacząłem sprawdzać włazy znajdujące się z jednej strony komory wejściowej. Statek był duży, z łatwością zatem mogłem się zgubić. Sądziłem więc, że znalezienie mostka kapitańskiego nastreczy mi wiele trudności. Pomocny okazał się jednak cywilny charakter jednostki. Inaczej niż na okrętach Marynarki Wojennej, każde rozwidlenie, każdy właz, każda drabina i rampa były oznaczone kolorowymi kodami. Szybko je rozpracowałem i znalazłem najkrótszą drogę do celu.

Po drodze mijałem kolejne zwłoki, dryfujące w przestrzeni, przypięte pasami do foteli albo kanap czy też wciśnięte w różne zakamarki. Większość z nich miała na sobie skafandry ozdobione symbolem skrzydlatego zwierzęcia, więc nie należała do załogi, lecz do tej samej jednostki co nieszczęśnicy w śluzie. Skoro było ich tak wielu, na statku zapewne spodziewano się abordażu. Z uwagi na małą prędkość i kiepskie wyposażenie transportera ten sam manewr w odwrotnym kierunku byłby możliwy jedynie w sytuacji, gdyby chodziło o zajęcie nieruchomego obiektu, takiego jak stacja kosmiczna bądź baza księżycowa.

Tak jak się spodziewałem, mostek był zamknięty. Przy śluzie powietrznej musiałem majstrować psychotechnem trochę dłużej niż przy zwoju nerwowym drzwi, ale ostatecznie się otworzyła. I tak znalazłem się na korytarzu wydrążonym w biotechowym kamieniu twardym niczym

diament. Nie znałem tego budulca, postanowiłem więc zachować czujność, na wypadek gdyby zapewniał ochronę przed falą wstrząsową.

Istotnie sprawdzał się jako tarcza osłonowa, o czym przekonałem się już w środku. Nie był jednak wystarczająco skuteczny. Sześciuosobowa załoga obecna na mostku kapitańskim nie skoła natychmiast. Mieli minutę albo dwie, zanim silny krwotok wewnętrzny okazał się zbyt dużym wyzwaniem dla systemów medycznych ich skafandrów. Dwie osoby zdążyły się wyplątać ze swoich sieci, chwycić zestawy pierwszej pomocy i podsunąć je swoim towarzyszom. Zdziwiłem się, że zamiast siebie próbowali ratować innych. W końcu z pewnością nie brakowało im rozumu.

Chociaż nie miało to większego znaczenia, pokazywało, jak funkcjonował wtedy mój książęcy umysł, który zwyczajnie nie rozumiał, że ktokolwiek mógłby chcieć się poświęcić dla innych.

Większość paneli kontrolnych nie działała, płyn kipiał z porozrywanych kabli i popękanych powłok optycznych. Ale dwa panele po prawej stronie mostka były częściowo sprawne, co uwiarygodniało moją teorię, że fala wstrząsowa trafiła z pełną mocą jedynie część statku. I chociaż niecelny strzał wystarczył, żeby zabić każdego przebywającego na pokładzie pasażera, nie unicestwił wszystkich biotechowych systemów.

Przez chwilę stukiałem we włókna nerwowe ocalałych paneli i szarpałem za nie, aż w końcu na powłoce optycznej pojawił się raport o stanie transportera. Był bardzo zachęcający. Okazało się, że statek miał dwa serca. Jedno przestało bić, ale drugie, mniejsze, nadal pracowało. Większość wytwarzanej przez nie mocy marnowała się z powodu pozrywanych przewodów. Wiedziałem, że jeśli ten stan się utrzyma, nastąpi absolutny koniec. Jeśli jednak zdołam dotrzeć do serca wystarczająco szybko i przekieruję zasilające je płyny, przetrwa jeszcze jakiś czas. Potem dzięki odzyskanej mocy zdołam naprawić albo wyhodować wystarczającą część

systemu dowodzenia, podłączę do sieci przynajmniej część biotechnowych silników sterujących i będę działał dalej.

Dalszy plan zależał od rozwoju wydarzeń. Na planecie, którą obserwowałem, mogło się znajdować więcej statków. Niewykluczone, że już zmierzały w moją stronę. Poza tym w dowolnym momencie przez tunel czasoprzestrzenny mogły się przeprawić kolejne jednostki.

Próbowałem o tym nie myśleć, kiedy wybiegłem ze sterowni i skierowałem się w dół, zmierzając do pomocniczego serca. Jeśli je ocale, wszystko będzie możliwe. Jeśli mi się nie uda, zostawała kapsuła, która umożliwiała dyskretne dotarcie na planetę. Tak czy inaczej, nie miałem nic do stracenia.

W pośpiechu działałem nierozważnie. W drodze do pomocniczej maszynowni przedzierałem się przez setki dryfujących ciał w skafandrach. Dlatego kiedy rozsunęły się przede mną ostatnie drzwi, zdumiał mnie widok postaci poruszającej się obok ogromnej, pulsującej, zielono-różowej kuli będącej sercem statku.

Ktokolwiek to był, stał plecami do mnie. Miałem pomysł, żeby go zastrzelić, tak na wszelki wypadek. Nie zrobiłem tego jednak. Wprowadziłem za to odpowiednie dane do zwoju nerwowego, żeby drzwi się nie zasunęły, przyłgnałem do ściany, po czym wyregulowałem zewnętrzne głośniki.

– Uwaga!

Postać w kombinezonie zerwała się, sięgając po broń.

– Nie ruszaj się albo cię zastrzelę! – zagrzmiałem przez głośniki.

Prawa ręka postaci znieruchomiała, po czym spoczęła na pasie skafandra. Nie widziałem za to, co dzieje się z lewą.

– Odśloniłam główny nerw serca statku – zaskrzeczał zdecydowanie kobiecy głos. Zdradzał napięcie i agresję. – Wysadzę serce, piracie!

Przeanalizowałem sytuację. Mój pistolet igłowy mógł nie przebić jej skafandra, który wyglądał na model znacznie nowszy od większości pozostałych na tym pokładzie. A nawet gdyby mi się udało, nieznajoma mogłaby nie umrzeć od razu i w efekcie zyskałaby czas, żeby zniszczyć serce.

Wyglądało na to, że będę musiał negocjować, chociaż to stało w sprzeczności z książęcą naturą.

Rozdział 14

– Nie jestem piratem – wyjaśniłem – tylko rozbitkiem. Możesz wolno odwrócić głowę. Nie zastrzelę cię. Przynajmniej na razie.

– Trzymam rękę na nerwie, zaciskam na nim palce. Jeśli strzelisz, ścisnę go i wybuchnie.

– Rozumiem – odparłem. Gdybym teraz stracił serce statku, byłbym niepokieszony. Poniewczasie zdałem sobie sprawę, że eksplozja mogłaby pozbawić mnie życia albo poważnie zranić, więc w nagłym przypiływie strachu zacząłem mówić szybciej. – Możemy się dogadać.

Odwróciła głowę. Nie widziałem jej twarzy, ponieważ zasłaniała ją posrebrzana osłona. Jednym szarpnięciem zasygnalizowałem Ekkiemu, żeby ujawnił moje oblicze. W efekcie moja osłona zrobiła się przezroczysta. W ramach szkolenia z dominacji uczyłem się hipnotyzowania wzrokiem. Moje oczy nie były jednak takie jak dawniej. Nie potrafiłem więc wykonać wpajania mimetycznego mruganiem, dokładnie zmierzyć rozwarcia źrenicy danej istoty, żeby sprawdzić, czy kłamie, ani ocenić zmian zachodzących w krwiobiegu i temperaturze ciała w ciągu minuty.

– Nie jestem piratem – powtórzyłem. – Mój statek został trafiony przy wyjściu z tunelu czasoprzestrzennego i tylko ja zdołałem uciec w kapsule ratunkowej. Twój okręt znajdował się najbliżej.

Osłona kobiety wolno pojaśniała. Nie widziałem wiele, ponieważ nosiła respirator zasłaniający nos i usta, ale jej błyszczące ciemnoniebieskie oczy wyraźnie odcinały się na tle bardzo bladej cery.

– Skąd... skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz?

Mówiła wolno, z wysiłkiem. Albo była wyczerpana, albo cierpiała. Albo jedno i drugie.

– Gdybym był piratem, już leżałabyś martwa – zauważyłem.

– Racja – przyznała. – Poza tym... chyba jeszcze za wcześnie na przybycie piratów. Jakim... jakim statkiem podróżowałaś?

– Statkiem handlowym Zimit, należącym do Żeglugi Piątego Świata – skłamałem, używając nazwy widniejącej na kombinezonie, który wybrałem po zakończeniu szkolenia. – Co to znaczy, że jeszcze za wcześnie na przybycie piratów? Kto wysadził twój statek i pozostałe?

– Imperium! – syknęła, jakby to było przekleństwo. – Dranie przedarli się przez oddział pełniący wartę przy tunelu, a potem przez flotę i zlikwidowali strażników przy wyjściu po drugiej stronie. Dziewiętnaście statków zniszczonych w pięć godzin... a my nic nie mogliśmy zrobić.

– Skąd wiesz, że to był statek Imperium? Wcześniej wspominałaś o piratach.

– Co innego mogłoby spowodować takie zniszczenia? Poza tym Księżniczka się nam przedstawiła, zanim zaatakowała.

Nie była to standardowa taktyka Imperium, ale wyjaśnienie brzmiało wiarygodnie. Uznałem, że musiał istnieć powód, dla którego Imperialny Umysł albo nawet jakiś starszy oficer Marynarki Wojennej chciał, by zniszczono tych mieszkańców Peryferii. Zdziwiło mnie jednak, że statek Księżniczki nie został, by dokończyć zadanie.

– Więc co piraci mają z tym wspólnego?

– Piraci pojawiają się dzień albo dwa dni później – wyjaśniła. – A przynajmniej tak było wcześniej. Dwukrotnie, cztery i dziewięć lat temu. Wszystko wyglądało identycznie. Statek Imperium oczyścił teren, a potem nadlecieli piraci i splądrowali wszystko, co mogli, zanim zdołała tutaj dotrzeć flota Konfederacji.

– Flota Konfederacji? – Brakowało mi informacji na ten temat. Na Peryferiach istniało mnóstwo państw, które nazywały siebie federacjami, więc nie była to dla mnie żadna przydatna wskazówka. Nie rozumiałem również, dlaczego Księżniczka miałyby wyświadczać przysługę piratom.

– Dołączyliśmy do Konfederacji po pierwszym ataku – wyjaśniła kobieta. Brzmiała niewyraźnie, a ja zauważyłem różową pianę po bokach jej maski, sugerującą wewnętrzną krwotok w płucach. – Pomogli za drugim razem. Przynajmniej flota Konfederacji nie dała piratom dokończyć roboty. Przypuszczam, że tym razem... będzie ich jeszcze więcej. A Konfederaci mogą uznać, że nie warto nas znowu ratować...

– Jesteś ranna – zauważyłem, rozważając, jak jej pomóc. Pracowała przy sercu statku, więc prawdopodobnie była inżynierem obeznanym z biotechnem albo odbyła szkolenie, które mogło okazać się dla mnie użyteczne.

– Jestem t r u p e m – uściśliła nieznajoma, śmiejąc się gorzko. Różowa piana zaczęła kipieć spod maski, ponieważ skafander nie nadążał z jej usuwaniem. Głos kobiety był ledwie słyszalny, kiedy tonęła we własnej krwi. – Pracowałam na zewnątrz przy maszynie radiowej... ale i tak oberwałam tym... tym, co trafiło statek.

– A mimo to próbujesz ocalić serce – zdziwiłem się. – Po co?

Odpowiedział mi rzęzący kaszel, a hełm kobiety gwałtownie opadł do przodu. Zesztywniałem, spodziewając się eksplozji. A gdy nic nie wybuchło, podbiegłem do niej i szybko odczepiłem jej palce od splątanych nerwów w odsłoniętym ganglionie kontrolnym serca statku.

W ciasnej kieszeni miałem symbiont medyczny i aplikator, który otworzył się na mój rozkaz. Przez kilka sekund szukałem odpowiedniego portu w skafandrze kobiety, ale kiedy żadnego nie znalazłem, rozszczelniłem fragment na jej przedramieniu. Na zewnątrz wytrysnęły kropelki krwi. Pociągnąłem zawleczkę symbionta i załadowałem go do

aplikatora. Przez moment wydawało się, że jest przeterminowany, ale po kilku sekundach osłona urządzenia zaświeciła na złoto. Przyłożyłem aplikator do skóry kobiety, a on się z nią zespolił. Wtedy symbiont przedostał się do krwiobiegu, żeby replikować i naprawiać.

Miałem nadzieję, że zareagowałem w porę, a moja pacjentka jest wystarczająco ludzka, by symbiont zadziałał. Chociaż z wyglądu przypominała człowieka, pozory mogły mylić.

Aplikator zadrżał w mojej dłoni, kiedy skrawek obnażonej skóry zaświecił, sygnalizując zapotrzebowanie na substancje biologiczne dla symbionta, konieczne do przeprowadzenia procesów leczniczych. Wyszedłem więc za drzwi, chwyciłem pierwsze lepsze zwłoki i zaciągnąłem je w pobliże kobiety, a potem podłączyłem do tuby zasilającej aplikatora.

Dzięki wielomiesięcznemu szkoleniu zdobyłem dość rozległą wiedzę o ludziach. Dlatego też odwróciłem głowę nieprzytomnej nieznanym, żeby po przebudzeniu oszczędzić jej widoku byłego towarzysza załogi, na którym żerował uzdrawiający ją symbiont.

Następnie podszedłem do serca statku. Kobieta zablokowała większość wyjść, żeby utrzymać wysoki poziom płynów. Szybko obiegłem pulsującą kulę i odłączyłem te przewody, których ona nie zdążyła. Później uruchomiłem proces rutynowego autoprzeglądu. Zdziwiłem się, że serce miało mechtechowy rozrusznik w miejscu, gdzie pierwotnie musiał się znajdować biotechowy system. Podobnie jak cały układ zasilający został wykonany z kopii starego imperialnego techu, dlatego też doskonale reagował na moje psychotechowe polecenia. Kazałem mu stymulować serce i przyśpieszyć proces naprawczy.

Na kolejnym etapie zająłem się pomocniczymi automatycznymi naroślami reperującymi i wylęgarniami pluskiew pokładowych. Zmusiłem je do wytężonego wysiłku, co nie było łatwe, gdyż do każdego z tych

urządzeń musiałem przysunąć się maksymalnie blisko, żeby zadziałał mój psychotech. A dodam, że większość z nich znajdowała się w kanałach technologicznych ukrytych w podłodze, ścianach i suficie. Ekki uniemożliwił mi dotarcie do wielu z tych miejsc, ale nie zamierzałem pozbyć się skafandra, bo nie było wiadomo, czy na pokładzie lada moment nie zabraknie powietrza. W końcu opracowałem system domina, polegający na tym, że wydawałem polecenie pierwszej z narośli, a ona przekazywała je kolejnym.

Godzinę później wydarzyły się dwie ważne rzeczy.

Najpierw pojawiła się pierwsza sprawna pluskwa pokładowa, biotechowy dron pomocniczy wielkości mojej dłoni. Przypędziła na swoim tysiącu nóżek z jednej z niedostępnych dla mnie wylęgarni i natychmiast zabrała się do odbudowy zespołu nerwowego za pomocą swojego wrzeciona. Na statkach takich jak ten pracowały zwykle setki pluskiew, ale tejsze zostały zabite, a większość wylęgarni uległa zniszczeniu, więc nawet ta jedna była dobrym znakiem. Sprawna wylęgarnia mogła wyprodukować kilka takich stworzeń w ciągu godziny, jeśli nie brakowało zapasów substancji organicznych i nieorganicznych, a tych na pokładzie mieliśmy teraz pod dostatkiem. Nie tylko zwłoki nadawały się do przetworzenia, ale także skafandry i broń.

Drugim ważnym zdarzeniem było przebudzenie się kobiety. Już wcześniej zdążyłem usunąć ciało, na którym żerował jej symbiont. Poza tym usadowiłem ją na kanapie antygrawitacyjnej we wnęce dla załogi, w pobliżu serca statku. Na wyświetlaczu aplikatora pojawił się wówczas komunikat, że kobieta przeżyje, ale będzie potrzebowała kilku dni odpoczynku, w trakcie których symbiont będzie kontynuował pracę. Ta wiadomość mnie rozczarowała, ponieważ liczyłem na dodatkową parę rąk do pomocy. Ostatecznie uznałem jednak, że później też będzie co robić.

Jak widać, nawet po wielomiesięcznym szkoleniu wśród ludzi nie byłem skłonny traktować tej kobiety jak człowieka. Zwłaszcza w sytuacjach kryzysowych dochodziła do głosu moja książęca natura. Dlatego – przynajmniej jeszcze na tym etapie – moja współpasażerka dla mnie niczym nie różniła się od zaprogramowanej służącej.

– Jak masz na imię?

Podskoczyłem jak oparzony. Jako Książę nigdy nie dałbym się tak zaskoczyć. Mojej uwadze nie uszłaby bowiem zmiana rytmu oddechu, która zachodziła kilka sekund przed powrotem świadomości.

Porzuciłem ganglion kontrolny, któremu się przyglądałem, i podszedłem do kobiety. Uniosła osłonkę i zdjęła maskę. Wtedy ujrzałem całą jej twarz. Nadal była blada z powodu utraty krwi, ale uznałem, że z uwagi na niezwykłą urodę mogłaby zostać moją kochanką. Zawdzięczała ją głównie oczom, które mimo zmęczenia świeciły jasnym blaskiem i skrywały obietnicę uśmiechu, jakkolwiek odrobinę sardonicznego.

Ponadto albo była młodsza, niż sądziłem, albo korzystała z bardzo skutecznych zabiegów odmładzających. Prawdopodobnie mieliśmy tyle samo ziemskich lat, około osiemnastu, nawet jeśli w moim przypadku wiek był zwodniczy, jeśli wziąć pod uwagę całe wgrane oprogramowanie i zdobyte już doświadczenie.

– Mam na imię Kem. A jak nazywają ciebie?

– Bardzo różnie – odparła kobieta, a właściwie dziewczyna. – Ale mam na imię Rejni.

– Rejn¹? – zapytałem. – Jak ciekłe opady atmosferyczne?

– Tak, tylko z literą „i” na końcu. R e j n i.

– Rejni – powtórzyłem, próbując odpowiednio ułożyć usta. Podobnie jak wiele innych imion pochodzących spoza Imperium wydawało mi się dziwaczne i brzmiało obco.

– Tak, wiem, że jest głupie – powiedziała z westchnieniem. – Nie musisz się nade mną pastwić.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytałem, szczerze zaciekawiony. Imiona dla Książąt opracowywali kapłani według określonego wzoru i przy założeniu, że każde z nich musi być unikatowe.

– Powiedziałam: dość! – krzyknęła Rejni. – Rozumiem, do czego pijesz.

Wzruszyłem ramionami. Zwykli ludzie byli zagadkowymi istotami. Ci zaprogramowani przynajmniej robili to, co im kazano. Pozostali postępowali nieprzewidywalnie. Nie zamierzałem pozostać wśród mieszkańców Peryferii na tyle długo, żeby dowiedzieć się więcej o ludzkich ekstrawagancjach. Co oznaczało, że musiałem naprawić statek.

– Jesteś inżynierem biotechnu? – zapytałem.

– Ja? – zdziwiła się Rejni. – Nie. Jestem specjalistką do spraw komunikacji. A właściwie studentką drugiego roku na tym kierunku.

– Aha – mruknąłem rozczarowany. Specjalistka do spraw komunikacji nie była specjalnie przydatna. – Ale pracowałaś przy sercu. Zapobiegłaś utracie sporej ilości płynu.

Tym razem to Rejni wzruszyła ramionami, co najwyraźniej sprawiło jej ból. Stęknęła cicho, a jej twarz pobladła jeszcze bardziej. Mimo to podjęła rozmowę.

– Ukończyłam kurs z kontroli obrażeń, a w zeszłym roku odbyłam służbę dla rezerwistów na starym Heffalurpie. Jedno z ćwiczeń polegało na przywróceniu sprawności dodatkowemu sercu statku.

– Na Heffalurpie? – zdziwiłem się. – A więc tak nazywa się statek... A tak w ogóle to w jakim systemie się znajdujemy?

– W jakim s y s t e m i e?

– Nie jestem astrogatorem – wyjaśniłem cierpliwie. – W ciągu zeszłego tygodnia wykonaliśmy mnóstwo szybkich tranzytów. Nie wiem, dokąd zmierzaliśmy, kiedy zostaliśmy trafieni.

– To Karalcza – odparła Rejni. Mówiła wolno i z wysiłkiem. Spojrzałem na powłokę optyczną na aplikatorze. Symbiont chciał, żeby zasnęła i oszczędzała energię. – Nie ma tam zbyt wiele – dodała, a jej powieki opadły. – Ale to dom.

Przynajmniej jeszcze przez jakiś czas, pomyślałem, wracając do pracy. Nie wróżyłem temu systemowi nic dobrego, jeśli dziewczyna miała rację co do piratów.

Poza tym zaintrygowało mnie to, w jakim kontekście użyła słowa „dom”. Poznałem tę interesującą koncepcję już podczas szkolenia na weryfikatora, kiedy to dowiedziałem się, że była związana z miejscem, rodziną i akceptowanym statusem w konkretnym społeczeństwie. Przypuszczałem, że skoro nie mam rodziny, za dom powinienem uznać Imperium. Nie byłem jednak związany z żadnym konkretnym miejscem w jego granicach ani z żadnymi konkretnymi osobami, mimo że odzyskanie Haddada i całej mojej świty mogłoby się okazać niezwykle pomocne, zwłaszcza w obliczu zagrożenia ze strony piratów.

Pogrążony w myślach, wróciłem na mostek kapitański. Także tam pracowały teraz pluskwy pokładowe. Uznałem, że to kolejny dobry znak. Złapałem dwie z nich i za pomocą psychotechnu przekonałem je, żeby zajęły się skanerami dalekiego zasięgu. Wierzchołki czuciowe, które wyglądały jak czułki i sięgały jakieś sześćset metrów za kadłub, sprawiały wrażenie nietkniętych falą wstrząsową. Ale wszystkie połączenia nerwowe między czułkami a mostkiem zostały zniszczone i trzeba było je naprawić.

Nie zamierzałem czekać na dane, dlatego wróciłem do doku i opracowałem prowizoryczny system, który miał przekazywać Ekkiemu odczyty ze skanerów kapsuły. Oczywiście szczególnie interesowała mnie sytuacja w tunelu czasoprzestrzennym. Jeśli urządzenia wykryją, że coś wkrótce się z niego wyłoni, przynajmniej się o tym dowiem.

Skorzystałem także z okazji, żeby uszczknąć coś z zapasów i napić się wody filtrowanej przez kapsułę. Smakowała znacznie lepiej od tej z wewnętrznego zbiornika w moim skafandrze. Wciąż nie przywykłem jeszcze do zmęczenia i głodu. Nigdy wcześniej nie doskwierały mi w takim stopniu jak teraz. Sądziłem, że pobyt w akademii uzmysłowił mi, czym jest osłabienie organizmu, ale to, co wtedy czułem, nie mogło się równać z doświadczeniami zdobytymi podczas symulacji szkoleniowej oraz tego testu. Odkryłem, że wycieńczenie zwykłego człowieka jest znacznie bardziej uciążliwe od znużenia Księcia, który może regulować umysł i skład chemiczny ciała według potrzeb.

W drodze powrotnej do pomocniczego serca zatrzymałem się przy sterowni napędu warp, gdzie przeżyłem bardzo niemiłe rozczarowanie. Spodziewałem się, że na statku znajduje się taki mechtechowy system napędzający, skoro nie istniały jego biotechowe odpowiedniki, a modele psychotechowe posiadali jedynie Smutnoocy i członkowie Imperium. Mechtechowy napęd działałby nawet po zderzeniu z falą wstrząsową, która eliminowała wyłącznie organizmy biologiczne.

Nie znalazłem jednak żadnego napędu warp. W jego miejscu Heffalurp miał dziurę. Wyglądało na to, że napęd został usunięty, a pomieszczenie, w którym się dawniej znajdował, zamieniono w ładownię. A zatem transporter był statkiem wyłącznie międzyplanetarnym, a nie międzygalaktycznym. Marnowałem na nim czas.

Rozjuszony, walnąłem pięścią w ścianę. Całkiem zapomniałem, że moja ręka nie jest już tak twarda jak kadłub statku, a ja nie mam na sobie skafandra wyprodukowanego w Imperium. Ekki zaprotestował, sygnalizując, że posiniaczyłem jego rękawicę, a ja poczułem ból. I właśnie to przypomniało mi mądre słowa komodora Elzweka: „Zawsze zastanawiaj się, jak zachowałyby się Książę, a potem rób dokładnie na odwrót”.

Walenie pięścią w ścianę w przyływie gniewu było bardzo książęce, a w zaistniałych okolicznościach także bardzo głupie. I w niczym nie pomogło. Musiałem ocenić sytuację i opracować plan. Nie ulegało wątpliwości, że statek nie miał napędu warp, nie mogłem więc wrócić nim do Imperium – gdziekolwiek się znajdowało.

Istniała jednak możliwość, że na planecie albo na jakiejś należącej do niej stacji znajdowały się międzygwiazdne okręty. Gdybym więc zdołał ocalić Heffalurpa i sprowadzić go na Karalczę Cztery, być może mógłbym wymienić go na mniejszą, szybszą jednostkę nadającą się do podróżowania przez tunele czasoprzestrzenne.

Ten plan wydawał się rozsądny, ale oczywiście brakowało mi doświadczenia w negocjowaniu z małymi rządami planetarnymi, które desperacko walczyły o przetrwanie i gdy już raz dorwały jakiś statek, nie zamierzały wypuścić go z rąk.

Odrobinę podniesiony na duchu, wróciłem do pomocniczego serca. Rejni nadal spała. Już miałem zabrać się do pracy, kiedy Ekki przekazał mi ważną informację.

Wzrastało zużycie energii w tunelu czasoprzestrzennym i wszystko wskazywało na to, że w ciągu najwyżej czterech godzin coś się z niego wyłoni. Zważywszy na to, co powiedziała mi wcześniej Rejni, istniało spore prawdopodobieństwo, że zmierzała tutaj flota piratów gotowych splądrować planetę. A my mogliśmy stać się dla nich dodatkowym trofeum.

Chyba zakląłem na głos, ponieważ Rejni się obudziła.

– Co się dzieje? – zapytała, wyraźnie zestresowana.

– W tunelu wzrasta poziom promieniowania – wyjaśniłem.

– Piraci – skwitowała Rejni.

– Pewnie tak – przyznałem. Zerknąłem na powłokę optyczną, na której pojawił się raport o stanie serca statku; bez wątpienia znacznie się poprawił. Nie było jednak szansy, żeby poziom mocy osiągnął pułap operacyjny

w ciągu kolejnych sześciu czy ośmiu godzin. Dlatego napastnicy, którzy przybędą tunelem, zaatakują nas, albo nawet wtargną na pokład, zanim transporter odzyska sprawność.

Rejni podążyła za moim spojrzeniem.

– Ile?

– Osiemnaście procent – odparłem. – Nie wystarczy, żeby odpalić systemy dowodzenia, nawet jeśli działają silniki sterujące.

Podjąłem ryzyko w nadziei, że się opłaci, zrozumiałem jednak, że nic z tego. Nadszedł czas, żeby się rozstać. Spojrzałem na Rejni, a konkretnie na prostokątne pudełko na jej ręce.

– Zabiorę aplikator – uprzedziłem spokojnym głosem, podchodząc do niej. Jednym wprawnym ruchem chwyciłem pudełko. – Oczywiście możesz zatrzymać symbionta.

– Zamierzasz się ewakuować? W swojej kapsule?

– Oczywiście – odparłem. – Co innego mogę zrobić? Zostać tutaj i dać się zabić albo pojmać?

Takie opcje miała Rejni, ponieważ nie zaproponowałem, że zabiorę ją ze sobą. Ale ona wpadła na inny pomysł.

– Pomóż mi wystrzelić rakietę – powiedziała.

Spojrzałem z niedowierzaniem w ciemnoniebieskie oczy Rejni i zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób symbiont zdołał tak namieszać jej w głowie.

– Ładunek termojądrowy? – zapytałem. – Na pewno w nic nie trafi, a już na pewno w nic, co się porusza. To strata czasu.

– Może zablokować wyjście z tunelu – wyjaśniła Rejni. – Po to został tu przetransportowany.

Rozważałem jej słowa, przechylając głowę na bok tak bardzo, jak tylko pozwalało mi na to dość obszerne wnętrze hełmu. Wiedziałem, że nie da się tak po prostu trafić w wyjście z tunelu czasoprzestrzennego. W końcu był to

tylko punkt między przestrzenią kosmiczną a przestrzenią zerową, który nic nie znaczył, dopóki pod wpływem konkretnej energii nie połączył się z innym punktem o podobnych współrzędnych.

Rozumiałem jednak, co planowała Rejni. Wcześniej najwyraźniej błędnie oceniłem głowicę bojową pocisku. Miałem bowiem do czynienia z tym, co kolokwialnie nazywano zatyczką. Nie trzeba było nią trafić dokładnie w wyjście z tunelu, który właśnie się otwierał. Wystarczyło zdetonować jej specjalny ładunek energetyczny w pewnej odległości od niego.

Gdyby do tego doszło, punkt straciłby swój potencjał, przynajmniej na pewien czas. Innymi słowy, tunel by się zamknął i nikt nie mógłby z niego korzystać przez kilka tygodni, a nawet miesięcy.

Imperium korzystało z takiej broni sporadycznie, ponieważ jej skuteczność podawano w wątpliwość. Zablockowanie tunelu czasoprzestrzennego oznaczało odcięcie drogi nie tylko wrogom, ale również sojusznikom, a poza tym do większości systemów prowadził zwykle więcej niż jeden tunel. Uznałem jednak, że w tej sytuacji, gdy cała Marynarka Wojenna systemu została starta na proch, a prawdopodobieństwo rychłego przybycia wroga przez ten konkretny tunel graniczyło z pewnością, takie działanie miało sens.

– To zatyczka – powiedziałem.

– Bingo. A ja mam kody startowe.

– Wkrótce trzeba będzie ją odpalić – dodałem, analizując sytuację. – Nie ma czasu, żeby wydostać ją ze statku. Zapłonnik dokończy to, co zaczęły nasz... imperialne siły. I zabije każdego, kto zostanie na pokładzie.

– Jak duża jest twoja kapsuła?

– To model jednoosobowy.

– Ale chyba można upchać w niej d w i e osoby? Przynajmniej na krótki lot?

Uznałem, że to możliwe, i wolno dotarło do mnie, czego ode mnie oczekuje. Nawet się nie zorientowała, że jeszcze minutę temu planowałem zostawić ją na pastwę losu. Kolejny raz uświadomiłem sobie, że myślę jak Księżę, a ją traktuję jak zaprogramowaną służącą albo coś równie zbywalnego.

Jak by to wyglądało, gdybym pojawił się na Karalczy sam, a mieszkańcy planety dowiedzieliby się, że porzuciłem jedną z nich? Zwłaszcza gdyby zdołała odpalić pocisk i zamknąć tunel? Źle oceniłem jej przydatność. To nie jej techniczne umiejętności były cenne. Najważniejszy był ewentualny dług, który zaciągnie wobec mnie jej społeczeństwo, jeśli ją ocalę. W końcu mogłem zapomnieć o Heffalurpie, którego mógłbym przehandlować.

Ach, jak wiele będzie zawdzięczał mi rząd planetarny, jeśli zablokuję przejście i dam tym ludziom chwilę wytchnienia, żeby mogli przygotować się do walki z piratami...

– Więc jak będzie? – zapytała Rejni, dźwigając się z kanapy. – Przygotujemy raketę do odpalenia za trzydzieści minut i zwiejemy w twojej kapsule?

– W porządku – odparłem.

Zaskoczyła mnie, kiedy ujęła moją dłoń i potrząsnęła nią. Omal nie sięgnąłem lewą ręką po swój pistolet igłowy, ale zdołałem się opanować. Podczas szkolenia poznałem kilku entuzjastów takich uścisków.

– Witaj w Karalczańskich Siłach Powietrznych – oznajmiła Rejni z uśmiechem.

Rozdział 15

Zmarszczyłem czoło. Nigdy nie powiedziałem, że zaciągnę się do zdziesiątkowanego oddziału ochotniczego.

– Żartowałam – wyjaśniła Rejni. – Chciałam tylko, hm, rozluźnić nerwową atmosferę. No wiesz, taki śmiech przez łzy.

– Jasne – przytaknałem. Nadal nie przywykłem do nowej sytuacji i żyłem w świecie, w którym tylko Książęta mogą pozwalać sobie na żarty. – Możesz chodzić?

Przedział czasowy, w którym mogliśmy wystrzelić zatyczkę, był bardzo ograniczony.

– Chyba tak – odparła Rejni. Wsparła się na moim ramieniu i wstała, wciąż nieco się garbiąc. Następnie wysunęła jedną stopę i zrobiła krok, a potem jeszcze jeden. Szedłem u jej boku, częściowo ją podtrzymując. Poruszaliśmy się naprawdę wolno. Zrobiłbym lepiej, gdybym ją zostawił i popędził do stanowiska kontroli pocisków.

Ale z jakiegoś powodu postąpiłem inaczej.

Kiedy w końcu dotarliśmy na miejsce, okazało się, że sterownia wygląda tak, jakby została sklecona naprędce z mechtechowych i biotechowych modułów. Oczywiście fala wstrząsowa zniszczyła wszystkie biotechowe elementy. Posadziłem Rejni na fotelu dowodzenia. Dziewczyna próbowała wyświetlić raport o stanie systemów na powłoce optycznej, podczas gdy ja poszedłem złapać możliwie jak najwięcej pluskiew pokładowych.

Kiedy przyniosłem pełne naręcze tych stworzeń, a one rozbiegły się w kierunku różnych portów dostępu, Rejni popatrzyła na mnie uważnie.

– Jak je zaprogramowałeś? – zapytała zaciekawiona. – Sądziłam, że wszystkie różdżki kodujące padły tak jak wszystko inne.

– Hm, mam własną – odparłem z wahaniem, poklepując jedną z kieszeni Ekkiego. – Musiałem ją tylko przekalibrować. Czy ten pulpit działa?

Rejni dała sobie spokój z pluskwami i ponownie skupiła uwagę na mechtechowym panelu kontrolnym. Świecił się dzięki mocy czerpanej z serca statku.

– Działa na poziomie awaryjnym trzeciego stopnia, bez hologramów – odparła, próbując rozsunąć palcem kłapki wejścia awaryjnego, które się zatrzasnęło, kiedy wysiadły kontrolki holograficzne. – Ale pocisk nie reaguje.

– Pluskwy muszą odtworzyć połączenia nerwowe – wyjaśniłem.

Rejni skinęła głową. Jej palce nie przestawały wykonywać skomplikowanych ruchów przy otworze wejściowym.

– Wprowadziłam komendę odpalenia. Odliczanie zacznie się, gdy tylko przywrócona zostanie łączność z pociskiem. Czy aktywność w tunelu wzrasta?

Zerknąłem na wewnętrzną powłokę optyczną Ekkiego. Nie otrzymałem jednak kolejnego raportu z kapsuły. Co więcej, nie mogłem poprosić o dane, ponieważ zaimprovizowany przeze mnie system przesyłał komunikaty tylko w jedną stronę. Nie miałem czasu stworzyć czegoś lepszego.

– Jeszcze nie – odparłem. – Z ostatniego skanu, który otrzymałem, wynikało, że mamy kilka godzin.

– W takim razie miejmy nadzieję, że pluskwy się uwiną – powiedziała Rejni.

– Skoro ustawiłaś odpalenie, możemy już iść – zasugerowałem. – Lepiej, żebyśmy znaleźli się jak najdalej od tego ładunku termojądrowego.

Rejni nie odpowiedziała natychmiast. Potem odwróciła się, żeby na mnie spojrzeć. Zamrugła kilka razy. Jej spojrzenie wydało mi się dziwnie fascynujące, więc zacząłem się zastanawiać, czy to mruganie nie było elementem hipnozy mającej na celu zdominowanie mojego umysłu. Spuściłem wzrok. Kusilo mnie, żeby się z nią połączyć za pomocą psychotechnu, ale jeśli mogła się pochwalić choćby znikomymi umiejętnościami parapsychologicznymi, wyczułaby moją próbę, co skomplikowałoby sytuację bardziej, niżbym sobie tego życzył.

– Nie, ja... muszę się upewnić, że pocisk zadziała – powiedziała. – To mój obowiązek jako ostatniego ocalałego oficera. Zaczekam do zakończenia rekonstrukcji połączeń nerwowych. Muszę otrzymać raport, że pocisk ma zielone światło. Ale, Kem, jeśli chcesz teraz odlecieć... rozumiem.

Rzeczywiście chciałem już opuścić to miejsce, ale moje plany się nie zmieniły. Musiałem zabrać ze sobą Rejni, żeby zaskarbić sobie wdzięczność Karalczan, która zapewne będzie tym większa, jeśli odetniemy tunel i powstrzymamy atak piratów.

Poza tym było w niej coś takiego, co sprawiało, że nie chciałem, by źle o mnie myślała. Zacząłem traktować ją jak zaprzyjaźnioną Księżniczkę. Musiałem więc dotrzymać jej kroku.

– W takim razie zostajemy – zdecydowałem.

Rejni wróciła do swoich przełączników. Obserwowałem ją przez sekundę, zanim poszedłem poszukać więcej pluskiew i sprawdzić dwie rzeczy. Zależało mi, żeby jak najszybciej przywrócić połączenie z pociskiem. Jeśli choć jeden pirat przeprawi się przez tunel, znajdziemy się po uszy w szambie bez jednostki recyklingowej, jak zwykli mawiać członkowie załogi Pióra.

Mimo to trzydzieści minut później, nawet z pomocą tuzina pluskiew, nie zdołaliśmy przywrócić połączenia. Kapsuła nie przesłała mi kolejnego

komunikatu, a nam zdecydowanie za szybko kończył się czas. Bez wątplenia mieliśmy nie więcej niż godzinę do chwili, gdy pierwszy pirat pokona tunel.

– Ile zostawiłaś nam czasu na ewakuację? – zapytałem Rejni, kiedy wróciłem z kolejnymi pluskwami, które natychmiast zagoniłem do pracy.

– Zapłon ma dwudziestominutowe opóźnienie – odparła Rejni. Pochyliła się na fotelu dowodzenia, obserwując kilka powłok optycznych, które aktualizowały się sporadycznie.

– Ile potrzebuje pocisk przy maksymalnej prędkości, żeby dotrzeć do tunelu?

– Dwadzieścia siedem minut i piętnaście sekund.

Łącznie czterdzieści siedem minut, czyli za długo.

– Lepiej zredukuj opóźnienie do dwunastu minut – zasugerowałem.

– Nie jestem pewna, czy dam radę poruszać się tak szybko... A twoja kapsuła to ta w doku L? Ta najmniejsza?

– Tak. Właśnie obliczyłem, ile czasu potrzebujemy, żeby dotrzeć do niej marszowym krokiem. Sześć minut. Dwie minuty na wejście do środka. Jedna na start. Trzy minuty przy maksymalnym przyspieszeniu... i powinniśmy być bezpieczni, oczywiście pod warunkiem że to, co zostało ze statku, osłoni nas, kiedy zostanie uruchomiony zapłonnik zatyczki. Tak czy inaczej, musimy jak najszybciej odpalić go w kierunku tunelu.

– Połączenie nawiązane – poinformowała Rejni spokojnym głosem, jakby przekazywała raport na mostek. – Cel obrany. Procedura odpalenia rozpoczęta. Dwunastominutowe odliczanie rozpoczyna się... teraz!

Chwyciłem ją, gdy zachwiała się przy wstawianiu z fotela. Na szczęście zdołałem zachować równowagę. Potem oboje ruszyliśmy do drzwi. Minęliśmy je, odrobinę dryfując. Ale już na korytarzu Rejni się przewróciła. Odepchnęła mnie, kiedy próbowałem pomóc jej wstać.

– Nie! Jestem za wolna! Idź beze mnie!

Nie odpowiedziałem. Skoro sam straciłem przyczepność, poszybowałem aż pod sufit. Wisiałem tam przez moment, dopóki nie uruchomiłem dysz manewrowych Ekkiego. Wtedy ponownie stanąłem na ziemi. Przy okazji wpadł mi do głowy pewien pomysł.

– Połóż się! – rozkazałem. – I rozłóż ręce na boki.

Rejni usłuchała. Podskoczyła delikatnie i znalazła się na takiej wysokości, że bez problemu mogłem pochylić się nad nią i objąć ją w pasie.

– Co robisz? – zapytała.

Zignorowawszy ją, skoncentrowałem całą swoją siłę mentalną na wydaniu psychotechnowego rozkazu. Pluskwy pokładowe, które wypełzły z tras dostępowych, zalały korytarz, po czym wyprzedziły nas pędem, zmierzając we wskazanym przeze mnie kierunku.

„Otwórzcie wszystkie drzwi i włazy od tego miejsca do doku L i dopilnujcie, żeby się nie zamknęły”.

Następnie odepchnąłem się od podłogi, jednocześnie aktywując główny silnik sterujący ukryty w plecaku Ekkiego. Gruczoły biotechnowe wypuściły gaz reakcyjny, a my wystrzeliliśmy do przodu znacznie szybciej, niż się spodziewałem. W efekcie zrównaliśmy się z pluskwami na czele stawki.

Chciałem nas spowolnić, więc opuściłem nogę, ale nie przyniosło to rezultatów. Ponieważ nie zdołałem wystarczająco szybko oderwać stopy od ziemi, zmieniliśmy kierunek. Nie zmierzaliśmy więc już prosto do włazu, tylko na ścianę. Obróciłem nas tak, żeby osłonić dziewczynę, i przyjąłem cios na ramię. Posiniaczony Ekki kolejny raz zaprotestował. Spróbowałem wyregulować tor lotu za pomocą dysz kierunkowych. Nawet mi się udało, ponieważ ruszyliśmy w stronę otwartego włazu, niestety, ruchem obrotowym, który za chwilę jeszcze się wzmógł. Po drodze jakaś pluskwa pokładowa pracująca przy nerwie kontrolnym pomachała do nas czułkami.

Rejni poruszyła się w moich ramionach, opuszczając rękę i nogę. Przytrzymałem ją mocniej, zanim zrozumiałem, że próbowała w ten sposób

zapanować nad wirowaniem. Zdołaliśmy wyrównać lot, wykonać skręt pod kątem sześćdziesięciu stopni i wznieść się nad rampą. Nie uniknęliśmy przy tym kilku niegroźnych kolizji. Właz przed nami się otworzył, dzięki czemu prawdziwy rój pluskiew pokładowych przedostał się przez niego kilka sekund przed nami. Było ich kilkadziesiąt, znacznie więcej, niż mogłem się spodziewać.

– Dziewięć minut do odpalenia! – wrzasnęła Rejni. Do tej pory nie sprawdzałem czasu. Za bardzo pochłaniało mnie zmaganie z kolejną rampą i drzwiami znajdującymi się na jej szczycie. Rozsunęły się w ostatniej chwili, znowu więc zraniłem Ekkiego.

Mieliśmy do pokonania jeszcze śluzę powietrzną. Widziałem pluskwę pokładową uwijającą się przy jej nerwie kontrolnym. Spisała się doskonale, ponieważ wejście prowadzące do śluzy wkrótce stanęło przed nami otworem. Ale wtedy dotarło do mnie, że wyjście na drugim końcu pozostanie zamknięte, dopóki wlot nie będzie szczelny, ponieważ tak działało zabezpieczenie.

Czym prędzej wyłączyłem dyszę i odrobinę opuściłem stopy, żeby nas spowolnić. Ale i tym razem przedobrzyłem. Ugrzęzłem w miejscu, hamując tak gwałtownie, że nie zdołałem utrzymać Rejni. Dziewczyna zaczęła kręcić beczki, zmierzając prosto do wyjścia ze śluzy powietrznej. Rzuciłem się za nią chaotycznym biegiem, od czasu do czasu tracąc równowagę. Na szczęście, gdy tylko oboje znaleźliśmy się w środku, pluskwa pokładowa zatrzęsnęła drzwi wejściowe i otworzyła te prowadzące na zewnątrz.

Wcześniej nawet przez myśl mi nie przeszło, że to takie mądre stworzenia. Pociągnąłem Rejni w górę i chwiejnym krokiem dotarliśmy do kapsuły.

– Siedem minut – wydyszała. Garbiła się i trzymała za brzuch. Domyśliłem się, że symbiont medyczny ograniczył środki przeciwbólowe,

gdy tylko słusznie odczytał wzrost poziomu adrenaliny w jej krwi jako sygnał wzmożonej aktywności.

Podsadziłem Rejni, a ona wczołgała się do kapsuły. Wskoczyłem do środka tuż za nią i natychmiast wcisnąłem przycisk, żeby zamknąć właz. Kilka pluskiew pokładowych weszło razem ze mną, ale nie mogłem się teraz nimi zajmować.

– Połóż się! – poleciłem Rejni, która skuliła się na drugim końcu kanapy antygravitacyjnej.

– A co z tobą? – zapytała.

– Połóż się! – huknąłem, niechętny przyjmując ton znanych mi chorążych. – To rozkaz!

Dziewczyna dłużej nie oponowała. Kiedy się umościła, na kanapie zostało mniej więcej sześćdziesiąt centymetrów wolnej przestrzeni. Skuliłem się obok dziewczyny, aktywowałem holograficzną tablicę kontrolną i rozpocząłem startowanie awaryjne.

Sieć bezpieczeństwa z sykiem opłotła Rejni, a przy okazji także mnie, choć tylko w pasie. Z uwagi na bardzo ograniczone oprogramowanie system zabezpieczeń nie wiedział, jak poradzić sobie z pasażerem, który zamiast leżeć na swoim miejscu, kuczał przy włazie.

– Trzy minuty – powiedziała Rejni.

Kapsuła szarpnęła, wyswobadzając się z macek dokujących. Chociaż nie sprawdziłem wcześniej zwieracza portowego, miałem nadzieję, że wciąż działał. Jeśli właściwie wprowadziłem kapsułę do środka, powinien automatycznie wypuścić wszystko, co spróbuje wydostać się na zewnątrz.

W chwili uruchomienia napędu poczułem kolejny wstrząs. Postukałem w hologram, żeby uzyskać obraz tego, co znajdowało się przed nami, i odetchnąłem z ulgą, kiedy ujrzałem jedynie gwiazdy, przestrzeń kosmiczną i krawędzie doku. Lada moment mieliśmy się wydostać na zewnątrz.

Ale wszystko działało się zbyt wolno.

– Startuj wreszcie! – krzyknąłem do kapsuły całkiem bez sensu, niezgrabnie stukając uwieczonym w rękawicy palcem w holograficzne klawisze. – No już!

Kapsuła zadrżała ponownie, a ja poczułem nieznaczne przyspieszenie. Przy okazji zacząłem się przesuwając z boku na bok. Nadal poruszaliśmy się jednak zbyt wolno i po raz kolejny pożałowałem, że nie podróżuję imperialnym statkiem jednozałogowym. Albo czymkolwiek lepszym od tego zabytkowego ślimaka, którego dla mnie osiodłano.

– Dwie minuty trzydzieści sekund – powiedziała Rejni nagłym głosem. Ze swojego miejsca nie widziała holograficznego obrazu. – Wydostaliśmy się z doku?

– Dopiero co – odparłem z ulgą. – Za dwie minuty powinniśmy dotrzeć...

Nie dokończyłem zdania. Hologram oślepił mnie bielą, a sekundę później trafiła nas fala wywołana gwałtownym wzrostem temperatury w wyniku eksplozji gazu. Poleciało na nas także mnóstwo odłamków. Kapsuła zawirowała i zacząłem fikać koziołki, kiedy puściła moja sieć bezpieczeństwa. Alarmy zawyły, a tablica holograficzna utonęła w morzu czerwonych symboli sygnalizujących awarię systemu i rozległe uszkodzenia.

Pocisk wystrzelił przed czasem. I, przynajmniej chwilowo, ocaliło nas tylko to, że system odrzucenia zamka zapłonika musiał przebić się przez kilkaset metrów kadłuba Heffalurpa. Na szczęście nie wyparowaliśmy. Uderzyła w nas jednak fala niezwykle rozgrzanego powietrza z mnóstwem drobnych części statku.

Rozległ się głośny brzęk, a cała kapsuła zachybotwała gwałtownie, kiedy trafiło w nią coś dużego. Tuż nad kanapą antygravitacyjną, gdzie leżała zabezpieczona siecią Rejni, pojawiła się dziura wielkości mojej pięści.

Natychmiast zaczęło uciekać przez nią powietrze. Wydostawało się na zewnątrz pod postacią kryształków lodu, uniemożliwiając silnikom sterującym wyrównanie toru lotu.

Rzuciłem się do przodu, rozerwałem schowek awaryjny, odszukałem biotechową łatę i cisnąłem ją w kierunku dziury. Gdy tylko puściłem tę pełną jakiegoś paskudztwa kulę, zmieniła się w koło wielkości talerza, które natychmiast zostało zassane przez uchodzące powietrze. Chociaż w kapsule nie zostało wystarczająco dużo ciśnienia, żeby utrzymać łatę w miejscu, pomogły jej w tym maleńkie przyssawki.

Niestety, żeby dokonać tego wyczynu, musiałem przestać zapierać się rękami i nogami o ściany kapsuły, dlatego kolejny raz zacząłem objąć się po całym wnętrzu. Przy okazji wpadłem na Rejni. Dziewczyna krzyknęła z bólu. Jednocześnie w moim hełmie rozległy się narzekania Ekkiego, a na tablicy holograficznej pojawiły się informacje o kolejnych problemach. Ja tymczasem próbowałem zmienić pozycję i nie zwymiotować. Jako Księżę nie miałem takich dolegliwości, ale teraz wirowanie i fikołki sprawiły, że żołądek podszedł mi do gardła.

Przełknąłem żółć, przycisnąłem stopy i jedną rękę do ścian kapsuły, a drugą ręką wyłączyłem dość głupiego autopilota. Zacząłem odpalać dysze manewrowe w sekwencji, która miała nas ustabilizować.

A przynajmniej taki miałem plan. Jego realizacja okazała się jednak trudniejsza, niż zakładałem, zwłaszcza że kilka silników sterujących nie reagowało na komendy. Najpierw podkręciłem wszystko za mocno, potem za słabo, przez co rzucało nami z boku na bok, a także w górę i w dół. Tego było za wiele dla mojego ucha wewnętrznego. Zwymiotowałem kilka razy, kierując głowę do dołu. Wołałem, żeby nieczystości trafiły do niższych partii skafandra. Ekki dość szybko radził sobie z usuwaniem płynów, ale naprawdę nie chciałem utopić się we własnych rzygowinach.

W końcu zapanowałem nad kapsułą i mogłem zorientować się w sytuacji.

– Uda się nam? – zapytała Rejni, kiedy ostrożnie wróciłem na swoje miejsce i na nią spojrzałem. Miała czystą twarz, więc albo symbiont oszczędził jej wymiotów, albo jej skafander sprzątał znacznie szybciej od mojego.

– Jeszcze nie wiem – odparłem, przeglądając raport o uszkodzeniach. Na początku nie wyglądało to najgorzej. Chociaż sterowność została znacznie ograniczona, główny napęd działał jak należy. W kapsule nie było czym oddychać, ale nadal mieliśmy skafandry. Liczyłem także na biotechnowy regeneratory powietrza, dopóki nie zorientowałem się, że straciliśmy go razem z niewielkim zapasowym zbiornikiem tlenu. Okazało się, że to, co w nas trafiło i zrobiło dziurę, przebiło się nie tylko przez kadłub, ale także przez wspomniany zbiornik, regeneratory i wewnętrzną okładzinę komory.

Może nie było aż tak źle. Wszystko zależało od tego, co jeszcze uległo uszkodzeniu i jak długo miała potrwać nasza podróż.

– Tunel się zablokował? – zapytała Rejni.

– Jeszcze nie wiem! – warknąłem.

Rejni odwróciła się bez słowa. Przesuwałem palce po hologramie, wyliczając trajektorie i czas lotu na planetę. Ponadto próbowałem nakłonić czujniki do przekazania sensownego raportu, ale one wciąż tylko próbowały wysledzić pozostałości po Heffalurpie. I tak nic nie mogłem z tym zrobić – skoro trafiały nas szczątki statku, to trudno.

Wreszcie bardzo wolno pojawił się oczekiwany przeze mnie obraz.

– Pocisk dotarł do wskazanego obszaru i coś się stało – powiedziałem wolno. – Czekam na informację o poziomie energii w tunelu. Jak dotąd radar nie wykrył obecności żadnych statków.

Rejni nie odpowiedziała. Zerknąłem przez ramię i zauważyłem, że dziewczyna ma zmrużone oczy i bezgłośnie porusza ustami.

- Co robisz? – zapytałem.
- Modłę się – wyjaśniła, nie patrząc na mnie.
- Co takiego? Modlisz się? Chyba nie rozumiem.

Rejni uniosła powieki i spojrzała na mnie zdumiona. Ale ponieważ bardzo szybko ponownie zamknęła oczy, uznałem, że nie wyglądam zbyt dobrze. W końcu nadal miałem resztki wymiocin wokół ust.

– Modłę się. No wiesz, w skrytości ducha proszę niewidzialną, prawdopodobnie nieistniejącą siłę wyższą, żeby pomogła nam zamknąć tunel.

– Aaa, rozumiem – skłamałem. W moim świecie kapłani byli przedstawicielami prawdziwej władzy, a nie jakiejś tam niewidzialnej istoty, której istnienie podważano, a Książęta zwyczajnie komunikowali się z Imperialnym Umysłem, zamiast się do niego modlić.

– Czy to działa? – zapytałem po chwili. Nadal czekałem na dane z radaru.

– Nie wiem – odparła Rejni. – Może.

Zawahała się, po czym dodała:

– Modliłam się na Heffalurpie, przy sercu statku. A potem pojawiłeś się ty.

– To niczego nie dowodzi – stwierdziłem. Skupiałem się głównie na radarze, który wolno zdawał raport ze stanu energetycznego tunelu. Liczby rosły, ale nie osiągnęły poziomu sugerującego jakąkolwiek aktywność.

– Wiem – przyznała Rejni. – Tak naprawdę nigdy wcześniej się nie modliłam. Nie jestem wierząca jak...

Przerwała w połowie zdania.

– Jak kto? – zapytałem. Liczby przestały rosnać. Czyżby tunel rzeczywiście został zamknięty?

– Jak część załogi Heffalurpa – dokończyła.

– Więc pewnie się modlili?

– Tak.

– Ale wszyscy umarli. Więc to całe modlenie się najwyraźniej nie działa.

– Pewnie nie – szepnęła Rejni.

Poziom energii w tunelu zaczął spadać.

– Z drugiej strony... – Uśmiech zaczął rozjaśniać moją poplamioną wymiocinami twarz. – Tunel został zamknięty. I nie odbieram żadnych sygnałów sugerujących, że coś mogło wcześniej się przez niego przedostać.

– Tak jest!

Rejni wyciągnęła jedną rękę spod krępującej ją sieci i przytrzymała dłoń w górze, bardzo blisko mnie. Niepewny, co robić, delikatnie ścisnąłem czubek jej rękawicy. Przestałem się uśmiechać, kiedy ponownie zerknąłem na hologram podający najlepszy kurs na Karalczę Cztery.

Nie było dobrze. Przy maksymalnym przyspieszeniu 0,1 g potrzebowaliśmy czternastu dni – czyli trzystu trzydziestu sześciu godzin – żeby osiągnąć cel. Gdybyśmy jednak dotarli na miejsce z taką prędkością, musielibyśmy zostać pochwyceni w sieć spowalniającą, której Karalczanie prawdopodobnie nie mieli. Dlatego też w mniej więcej połowie drogi powinniśmy zwolnić, co oznaczało dwadzieścia dni w drodze.

Bez dostawy tlenu Ekki mógł utrzymać mnie przy życiu przez jakieś dziesięć dób. Z kolei Rejni miała mechtechowy skafander. Jeśli był wyposażony w biotechowy skrubler powietrza, mógł zapewnić jej komfortowe warunki najwyżej przez kilka dni.

– Hm, jak długo możesz jeszcze oddychać w swoim skafandrze, Rejni?

Pochyliła głowę, żeby spojrzeć na czytnik zamontowany w jej hełmie na wysokości brody.

– Mniej więcej przez osiem godzin.

– Och – westchnąłem.

Rozdział 16

– Rozumiem, że to problem? – zapytała Rejni, próbując zapanować nad emocjami. Ale ja nawet bez ulepszego słuchu wychwyciłem drżenie w jej głosie.

– Tak – odparłem. – Straciliśmy cały zapas tlenu i regenerator, a z tym żalonym napędem kapsuła potrzebuje co najmniej trzystu godzin, żeby dotrzeć na Karalczę Cztery. Nie ma niczego bliżej? Albo może zostały wam jakieś statki?

– Są inne statki – potwierdziła Rejni. – Przypuszczam jednak, że nie otrzymają pozwolenia na oddalenie się od planety. Muszą chronić siedlisko. I nawet gdyby ruszyli tutaj z pełną mocą, nie zdążą w osiem godzin. A ile czasu zostało tobie?

– Mniej więcej dwieście czterdzieści godzin – odparłem. – Jeśli Ekki... mój skafander... nadal będzie filtrował z pełną mocą.

– Nazwałś swój skafander Ekki? – zdziwiła się Rejni. Zauważyłem dołeczek, który pojawiał się na jej policzku wraz z uśmiechem.

– Pierwszy właściciel nazwał go tak, że nie dało się tego wymówić, więc ja w skrócie zwracam się do niego Ekki – wyjaśniłem, po czym raz jeszcze zadałem wcześniejsze pytanie: – Czy nie ma nic bliżej Karalczy Cztery? Jakiejś stacji wydobywczej albo czegokolwiek innego? Nic nie widzę na tych pierścieniach wokół gazowego olbrzyma na szóstej orbicie.

– Nie jestem pewna – przyznała Rejni. – To znaczy wydaje mi się, że był tam jakiś pałac, kiedy te tereny należały jeszcze do Imperium...

– C o t a k i e g o? – wypaliłem.

– Należały do Imperium – powtórzyła Rejni. – Hm, czy mogę usiąść? Trochę dziwnie patrzeć na ciebie z tej pozycji.

– Siedź, leż, rób, co chcesz – odparłem. – Co miałaś na myśli?

Rejni wyswobodziła się z sieci bezpieczeństwa i razem wepchnęliśmy ją z powrotem do podajników. Urządzenia powinny były reagować automatycznie, ale oczywiście nie działały jak należy.

– Te tereny należały do Imperium – powtórzyła. – Czego nie rozumiesz? Mniej więcej dwieście lat temu był to jeden z imperialnych systemów. Z jakiegoś powodu Książę Ksaodzek zabrał swoich kapłanów oraz cały dobytek i odleciał. I tyle. Nikt nie interesował się tym miejscem, nikt tu nigdy nie wrócił. Nie pojawiały się tutaj nawet statki Imperium aż do pierwszego ataku dziewięć lat temu.

Próbowałem to zrozumieć. Wiedziałem, że Imperium nigdy się nie wycofywało. Nie porzucało żadnego systemu ani świata, a jedynie poszerzało swoje granice w nieustającym podboju galaktyki.

Ale czy na pewno? Kolejny z filarów, na których wznosiło się moje poprzednie życie, zaczął się chwiać. Dawniej sądziłem przecież, że prawo imperialne jest święte, a Książęta zawsze wykonują rozkazy Imperialnego Umysłu. Może nieustający rozwój Imperium był mitem jak cała reszta...

– Karalcza Cztery była kiedyś imperialnym światem – powiedziałem, rozmyślając o nierozwiniętych wiejskich planetach, najbardziej typowych dla Imperium. – To znaczy produkowano tutaj jedzenie i tym podobne?

– Właśnie tak – potwierdziła Rejni. – I pod pewnymi względami nic się tam nie zmieniło. To znaczy pełno tam kmiotków, gospodarstw i ładnych widoczków. Poza tym nie ma nic przydatnego, no, może poza dobrej jakości jedzeniem.

– Więc nie jesteś planetniczką?

Rejni się roześmiała.

– Uprawiaczką? Oczywiście, że nie. Mieszkam w siedlisku. Gryfontorus.

Postukała symbol skrzydlatego stworzenia na plakietce na ramieniu skafandra, a jej śmiech zamarł.

– Wszyscy z Heffalurpa pochodzili z Gryfona. Ale pozostałe pierścienie też ucierpią, biorąc pod uwagę zniszczenia w pozostałej części floty.

– Siedlisko to strefa kosmiczna z czasów Imperium? – zapytałem.

– Dawniej rzeczywiście do niego należało – uściśliła Rejni. – Od tamtej pory wiele się zmieniło.

Ponownie zacząłem planować. Jeśli przeżyję i dotrę na orbitę Karalczy Cztery, być może znajdę jakiś imperialny tech, który mógłbym pozyskać dla własnych celów. Książęta zwykle mieli tajne schowki. Może był tam nawet ukryty statek, który odpowie na wezwanie mojego psychotechnu.

Ale najpierw musiałem tam dotrzeć, zanim skończy mi się powietrze.

– Jakimi komunikatorami dysponujesz? – zapytała Rejni. – Jeśli połączę się z kwaterą KSP, dowiem się, czy w pobliżu nie przelatuje jakiś statek, który mógłby nas przechwycić.

– Nie mam niczego zaawansowanego technicznie – odparłem. Lepszej jakości systemy komunikacji zostały usunięte z pokładu, zapewne umyślnie. – Mam tylko zwykły radialny przekaźnik szerokopasmowy. Nic, co umożliwiłoby łączność w czasie rzeczywistym.

– Więc lepiej od razu wezmę się do roboty – stwierdziła Rejni. – Znajdujemy się mniej więcej miliard kilometrów od siedliska, co daje jakieś pięćdziesiąt minut opóźnienia.

Skinąłem głową. Upłynie mniej więcej godzina, zanim otrzymają naszą wiadomość, i kolejna, zanim my otrzymamy odpowiedź albo wysłany zostanie po nas najbliższy statek, jeśli jakiś rzeczywiście znajdował się w okolicy... To nie wróżyło nam dobrze.

Kątem oka dostrzegłem ruch. Odwróciłem się szybko, sięgając po broń, ale była to tylko pluskwa pokładowa. Zapomniałem, że zabrałem kilka na pokład.

– A może pluskwy naprawią regenerator! – wykrzyknęła Rejni.

Pokręciłem głową.

– Inny biotech – odparłem zgodnie z prawdą. Szybko zrozumiałem jednak, że muszę skłamać o tym, jak nimi dowodziłem. Poklepałem więc kieszeń, dodając: – Poza tym zgubiłem różdżkę kodującą. Lepiej dam ci od razu sterownik czytnika.

Wyciągnąłem z gniazdka urządzenie, włączyłem je i podałem Rejni. Spojrzała na nie, poprawiła kilka ustawień, zmieniła kanały na te, które jej odpowiadały, po czym wpięła urządzenie do swojego skafandra. Właśnie to było najlepsze w imperialnych techach, czy też ich królujących na Peryferiach kopiach: pasowały do siebie bez względu na to, ile liczyły lat. Kompatybilność techów leżała u podstaw imperialnych projektów.

– Wzywam dowództwo taktyczne KSP i każdy statek KSP przebywający poza szóstą orbitą, każdy statek KSP poza szóstą orbitą. Mówi Rejni Gryfon, ocalała z Heffalurpa KSPS-17. Podróżuję cywilną kapsułą bezpieczeństwa o współrzędnych...

Spojrzała na mnie pytającym wzrokiem, przełączyłem więc obraz na tablicy holograficznej, żeby wyświetlić potrzebne jej dane, i przechyliłem go w jej stronę, a wtedy podała współrzędne, kurs i prędkość.

– Kapsuła jest uszkodzona i mamy ograniczony zapas tlenu. Musimy zostać przechwyceni przez statek KSP.

Rejni powtórzyła wiadomość pięć razy, podczas gdy ja analizowałem sytuację. Nadal zmierzaliśmy w stronę Karalczy Cztery, ale nie ulegało wątpliwości, że bez wsparcia nawet ja nie dotrвам do celu. Musiałem wymyślić coś, co ocali nas oboje.

Zerknąłem na dziewczynę, kiedy wciąż jeszcze nadawała komunikat. Czułem, że muszę ją ocalić, chociaż nie miałem pojęcia dlaczego. Oczywiście przemawiały za tym logiczne argumenty. Wiedziałem, że mieszkańcy Karalczy będą mi wdzięczni za uratowanie jej życia. To nie tłumaczyło jednak dojmującego przeświadczenia, że nie wolno mi pozwolić jej umrzeć. Była to niemożliwa do wyjaśnienia emocjonalna reakcja organizmu, której nigdy wcześniej nie doświadczyłem.

Wcale mi się to nie podobało. Bo nie dość, że stałem się przez to słaby, to jeszcze nic nie mogłem na to poradzić. Próbowałem sobie wmówić, że dziewczyna niczym nie różni się od zaprogramowanych służących z mojej świty, ale tak nie było. Tamci przypominali bezbarwną masę. Ona była inna, bardzo interesująca i zupełnie różna od wszystkich ludzi, których poznałem podczas szkolenia. Mimo że nawiązałem nic porozumienia z kilkoma osobami poznanymi w symulacji, nigdy nie czułem potrzeby, żeby je chronić.

Co ona mi zrobiła? Nie było możliwości, żeby jakimś cudem wprowadziła behawioralny wirus do mojego umysłu. Cokolwiek czułem, musiało wypływać z mojego wnętrza...

Ale nie miałem czasu na analizowanie swoich zachowań. Musiałem ustalić, co, do cholery, począć dalej.

Po przesłaniu komunikatu Rejni napotkała moje spojrzenie, więc odwróciłem głowę.

– Pewnie teraz musimy trochę zaczekać – powiedziała. – Będę powtarzała wiadomość co dwadzieścia minut, dopóki nie otrzymamy odpowiedzi.

– Na dokładnie ile czasu starczy zapas tlenu w twoim skafandrze? – zapytałem.

– Tak jak mówiłam, na jakieś osiem godzin – odparła Rejni. Nie spojrzała na czytnik.

– Dokładnie – powtórzyłem surowo.

Rejni pokręciła nosem, ale pochyliła głowę, żeby sprawdzić odczyt.

– Siedem godzin dwadzieścia trzy minuty – poinformowała. – Przy założeniu, że ograniczę aktywność do minimum... co raczej nie będzie trudne.

Wskazawszy ciasną przestrzeń, poklepała kadłub, a następnie mój skafander. Siedzieliśmy ramię przy ramieniu.

– Pewnie symbiont mógłby wprowadzić cię w trans – powiedziałem, myśląc na głos. – Ale to zdałoby egzamin jedynie przez kolejne osiem godzin, w najlepszym razie...

– Poza tym to kiepska zabawa – dodała Rejni.

Spojrzałem na nią zdumiony, zanim się zorientowałem, że żartowała, i uśmiechnąłem się.

– Więc jednak masz poczucie humoru – skwitowała. – Już podejrzewałam, że jesteś jednym z tych wojskowych typów nieustannie zajętych pracą.

– Że niby ja? Wojskowy typ? – Udałem zaskoczenie, upominając się w duchu, żeby bardziej się pilnować. – Byłem zwykłym członkiem załogi statku handlowego. To ty jesteś oficerem KSP.

– Ee, to nie do końca prawda – odparła Rejni. – Nie powinno mnie być na Heffalurpie. To znaczy jestem młodszym oficerem rezerwy KSP, ale podróżowałam na gapę. Dlatego chowałam się na maszcie radiowym.

– Na gapę? – powtórzyłem zdumiony.

– Odbywałam szkolenie na Heffalurpie w doku, kiedy rozległ się alarm. Miałam opuścić pokład, ale tego nie zrobiłam. Kiedy kapitan, mój wuj Lymond, się zorientował, byliśmy już w drodze, więc zamknął mnie w radiostacji.

– Wuj Lymond? – zapytałem niepewnie. Jedynymi wujami, jakich znałem, byli przypadkowo przydzieleni mi kapłani. Nie orientowałem się

zbyt dobrze w koneksjach rodzinnych. Wydawało mi się jednak, że wuj był męskim rodzeństwem jednego z rodziców, chociaż nie miałem pewności.

– Brat mojego ojca – dodała cicho Rejni. Na sekundę zamknęła oczy. – Był taki wściekły, a teraz nie żyje... podobnie jak wszyscy moi kuzyni...

Potem zamilkła. Minąłem dziewczynę, żeby sprawdzić załataną dziurę. Przyjrzałem się również regeneratorowi powietrza, na wypadek gdyby jednak dało się go naprawić. Pluskwy pokładowe przysunęły się do mnie i po chwili zaczęły wodzić czułkami po guzowatej powierzchni martwego urządzenia. Ale nic nie dało się zrobić. Wróciłem do pozycji siedzącej w chwili, gdy Rejni znowu nadawała komunikat.

Chciałem zdobyć dla niej dodatkowy zapas powietrza. Pomyślałem o małym zbiorniku Ekkiego, który zawierał głównie tlen pod wysokim ciśnieniem, a także o jego sprawnym regeneratorze. Może gdybym wypuścił cały gaz ze skafandra do kapsuły, a potem zdjął hełm i uruchomił regenerador...

Dokonałem wyliczeń. W kapsule pozostała resztką powietrza, mniej więcej osiemnaście procent z tego, co było na początku. W czasach, kiedy korzystałem ze wszystkich ulepszeń, mógłbym przetrwać w takich warunkach kilka godzin, ale w obecnym stanie – ledwie kilka minut. Niemniej cały zapas tlenu Ekkiego podniósłby ciśnienie do poziomu pięćdziesięciu czterech procent normy. Jedyne problem polegał na tym, że mój regenerador nie poradzi sobie z przetwarzaniem dwutlenku węgla wydzielanego aż przez dwie osoby.

Rejni zyskałaby jednak siedemdziesiąt dwie godziny zamiast siedmiu.

– Znalazłem sposób, żeby zapewnić ci trochę więcej powietrza – oświadczyłem. – Mogę trochę zwiększyć ciśnienie w kabinie dzięki zapasom Ekkiego, a potem rozszczelnić hełm oraz przeguby i włączyć regenerador zamontowany w skafandrze. Będzie rozrzedzone, ale zyskamy w ten sposób trzy dni.

– Jesteś pewien? – zapytała Rejni.

– Wyliczenia są raczej dokładne – powiedziałem. – Oczywiście to są mniej więcej trzy dni, przy uwzględnieniu dwugodzinnego marginesu błędu...

– Nie o to mi chodziło. Czy na pewno chcesz to zrobić? Trzy dni mogą nie wystarczyć, a sam powiedziałeś, że twój skafander zapewni ci przetrwanie przez dziesięć dób.

Czy byłem pewien? Nie byłem. Właściwie nie rozumiałem nawet, dlaczego w ogóle zaproponowałem takie rozwiązanie. Ale ona znowu tak na mnie spojrzała...

– Chcę tego – odparłem. Schowałem głowę między ramionami i poinstruowałem Ekkiego, żeby wpuścił zapas powietrza do kabiny.

Kiedy ciśnienie wzrosło, rozszczelniłem przeguby na kolanach, a także zdjąłem rękawice i hełm. Prawie natychmiast z nosa zaczęła mi lecieć krew. Ścisnąłem go mocno i oddychałem wolno i płytko przez usta. Powietrze było rzadkie i zimniejsze, niż się spodziewałem, ale pozwalało przetrwać.

– Jes dobrze – odezwałem się niewyraźnie. – Mozes zdjąć hem.

Pozbywszy się hełmu, dziewczyna potrząsnęła głową. Jej rudawe włosy nie były tak krótkie, jak mi się wydawało – przytrzymała je opaska komunikatora, który zostawiła na głowie.

Chociaż rzęski Ekkiego strzygły mnie od czasu do czasu, moją twarz porastał mniej więcej trzydniowy zarost, od niedawna upstrzony wymiocinami i krwią. Chwyciłem jedną z pluskiew pokładowych i przytrzymałem ją przed twarzą, instruując, żeby pozbyła się nieczystości.

– Nie wiedziałam... że tak można – powiedziała zdumiona Rejni.

Ciężko było mówić w rozrzedzonym powietrzu.

– Ee, to nie jest zalecane – odparłem. – Trzeba... zachować odpowiednią odległość.

Gdy tylko pluskwa wykonała zadanie, odstawiłem ją na ziemię, a ona czym prędzej czmychnęła.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, przyzwyczajając się do nowych warunków. Potem skupiłem uwagę na skanerach, a Rejni powtórzyła swój komunikat. Próbowałem na nią nie patrzeć, ale nie mogłem się opanować.

– No co? Co jest? – zapytała, kiedy napotkała moje spojrzenie trzeci albo czwarty raz. – Czy coś się stało?

Zacząłem się śmiać i nie mogłem przestać, a Rejni wzięła ze mnie przykład. W końcu oboje zaczęliśmy szlochać, a ostatecznie kaszleliśmy i z trudem łapaliśmy oddech. Na koniec oparłem się o jedną ze ścian kapsuły, a Rejni zrobiła to samo naprzeciwko mnie. Dopiero później się dowiedziałem, że była to reakcja na szok, nieznana Książętom, jako że ich wewnętrzne systemy automatycznie regulowały skład chemiczny ciała.

– Tak – odezwałem się wreszcie. – Coś się stało.

Znowu zaczęliśmy chichotać i kaszeć, a potem niespodziewanie w kapsule rozległ się trzeszczący głos, więc zamilkliśmy i skupiliśmy się na przekazie.

– Wiadomość dla Rejni Gryfon. Tutaj Dręczyciel KSP, na obrzeżach K6. Mamy cię na radarze. Przechwycimy twoją kapsułę za osiemdziesiąt jeden godzin, jeśli utrzymasz stały kurs i prędkość. Dowództwo taktyczne KSP zaraportowało zatkanie tunelu. Otrzymaliśmy także komunikaty: „Dobra robota heffalurpy” i „Co ty tam robisz, Rejni?”. Zamelduj się jak najszybciej.

Osiemdziesiąt jeden godzin. Czyli o dziewięć za dużo, żebyśmy przetrwali.

Rozdział 17

– Powiem im, że nie mamy tyle czasu – zaproponowała Rejni, oddychając z trudem. Cały czas kaszłała, ponieważ nie mogła nabrać wystarczająco dużo powietrza. – Są tak blisko...

– Nie – odparłem. – Będzie dobrze. Mam drugi symbiont medyczny. Jeśli oboje wejdziemy w trans... powinno się udać.

– Ale jeśli pojawią się problemy, nie będziemy mogli zareagować – zaprotestowała Rejni. – Może mnie uśpiasz, a sam zachowasz przytomność?

Pokręciłem głową.

– Margines bezpieczeństwa jest zbyt mały – skwitowałem. – Oboje musimy zużywać mniej tlenu i wydalać mniej dwutlenku węgla. Upředź ich, że wejdziemy w trans. I dodaj, żeby się pospieszyli.

– Dręczyciel to szybka korweta z załogą z Gryfona – odparła Rejni. – Na pewno wycisną maksymalną prędkość.

– Bez kontroli grawitacji? – zapytałem.

Rejni pokiwała głową.

– Żaden z naszych statków już jej nie ma. Brakowało nam modułów, a także inżynierów, którzy potrafiliby naprawić systemy.

To oznaczało, że Dręczyciel istotnie wznosił się na wyżyny swoich możliwości. Bez kontroli grawitacji jego załoga była w stanie znieść przeciążenie maksymalnie trzykrotnie większe od normalnego.

– Odpowiedz im – poleciłem.

Kiedy Rejni przekazała wiadomość, wyciągnąłem aplikator, który następnie przyłożyłem do jej ramienia. Powłoka optyczna na urządzeniu zamigotała, po czym pojawiły się na niej zaktualizowane dane. Dziewczyna

nadal była bardzo słaba, a obniżone ciśnienie powietrza i niska zawartość tlenu jej nie pomagały. Mimo to symbiont zatamował krwotok wewnętrzny.

Poleciłem aplikatorowi, żeby symbiont wprowadził Rejni w stan śpiączki farmakologicznej, tak głęboki, na jaki pozwalały jej obrażenia. On z kolei poprosił o przeprowadzenie transfuzji przed rozpoczęciem procedury.

Rejni skończyła powtarzać komunikat po raz trzeci. Pochyliła głowę w moją stronę. Zdałem sobie sprawę, że trzymam ją za rękę, by zyskać lepszy widok na powłokę optyczną aplikatora. Pojawiła się tam informacja, że dziewczyna potrzebuje jeszcze co najmniej litra krwi.

– Nie powinienes najpierw załadować swojego symbionta? Przecież coś może pójść nie tak.

– Nie – odparłem. – Mam jeszcze dwie sztuki. Poradzę sobie. Gotowa?

– Chyba tak – odparła. Zmniejszyła dzielącą nas odległość i delikatnie przycisnęła usta do mojego policzka. – Nie podziękowałam ci jeszcze, Kem. Dziękuję.

Gdy tylko aplikator zaczął usypiać dziewczynę, delikatnie popchnąłem ją na kanapę antygravitacyjną. Nie puściłem jednak jej dłoni.

– Dobranoc, słodki książę – szepnęła.

Podskoczyłem jak oparzony.

– Słucham?

Skąd wiedziała, że jestem Księciem? Skoro zdobyła tę wiedzę, musiałem ją zabić, bo nawet jeśli zostaniemy uratowani, zawsze istniało ryzyko, że wyjawি komuś mój sekret. Gdyby ktoś się o tym dowiedział, mógłby mnie zabić albo rozczłonkować moje ciało w celu przeprowadzenia badań, albo...

Rejni wolno zamknęła oczy, a jej usta ułożyły się w delikatny uśmiech.

– To fragment... bardzo starej ziemskiej historii – mruknęła. – „Niech ci do snu chóry aniołów nucą uskrzydłone”². Do... zobaczenia...

Odetchnąwszy z ulgą, ułożyłem dziewczynę na kanapie. Była nieprzytomna i coraz głębiej wchodziła w trans. Nadal jednak potrzebowała krwi.

Otworzyłem port w aplikatorze i już miałem wsunąć tam palec, kiedy przyszedł mi do głowy lepszy pomysł.

Pluskwy pokładowe były organizmami biotechnowymi. Zasilało je coś przypominającego krew, co prawdopodobnie mógł wykorzystać symbiont.

Za pomocą psychotechnu wezwałem znajdującą się najbliżej mnie pluskwę i przytrzymałem ją, tak żeby aplikator mógł ocenić jej przydatność. Kiedy urządzenie zapuściło w nią sondę, przebierała licznymi kończynami. Uspokoilem ją i nakłoniłem do snu, podczas gdy aplikator analizował substancję biologiczną, którą ostatecznie uznał za użyteczną.

Podłączyłem zatem do niego dwie pluskwy, a po wszystkim upchnąłem puste pancerce do schowka. Potem usunąłem aplikator i załadowałem do niego symbiont. Długo czekałem, aż rozbłyśnie złotym światłem.

Ale nic się nie wydarzyło. Symbiont okazał się przeterminowany, a więc niezdatny do pomocy.

Drugi zaświecił na pomarańczowo, co oznaczało, że nie działał poprawnie, a wprowadzenie konającego albo oszalałego symbionta do krwiobiegu nie było zalecane.

Zacząłem się więc zastanawiać, co dalej. Musiałem pobierać mniej tlenu i wydychać mniej dwutlenku węgla, żebyśmy oboje przeżyli. Leżenie i rozmyślanie nie było najlepszym rozwiązaniem. Nie wystarczyło także zapaść w sen, wywołany z pomocą narkotyków czy też bez nich.

Gdybym miał ulepszone ciało, mógłbym zmodyfikować swój metabolizm, nakazując wszystkim systemom wejść w stan hibernacji. Ale nie miałem takiej możliwości.

Czy na pewno? Moje psychotechnowe funkcje nie zostały wyłączone. Dzięki nim bez trudu programowałem pluskwy pokładowe i przesyłałem

polecenia biotechnowym ganglionom. Być może mogłem zmusić swój organizm do zapadnięcia w śpiączkę na osiemdziesiąt jeden godzin.

Istniał tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Na początku wyobraziłem sobie siebie jako wroga, którego umysł trzeba zdominować, i przystąpiłem do psychotechnowego ataku. Wydzieliłem część swojej świadomości, która odtąd miała udawać obcy organizm, po czym oplotłem ją mentalną siecią w poszukiwaniu ośrodków odpowiedzialnych za kontrolowanie czynności życiowych.

I wtedy moje zmysły zaczęły się wycofywać. Pogorszył mi się wzrok i słuch, a potem znalazłem się zarówno w swoim ciele, jak i poza nim. Dotkliwie doświadczałem obecności swojego systemu nerwowego, synaps przesyłających impulsy niezwykle skomplikowanymi drogami. Wyczuwałem przepływ własnej krwi i wymianę tlenu w płucach.

Podążyłem za impulsami nerwowymi prosto do mózgu, gdzie zacząłem majstrować. Mój oddech zwolnił. Serce zwolniło. Wszystko zwolniło.

Ogarnęła mnie fala triumfu. Udało mi się wprowadzić własne ciało w stan śpiączki.

Zachowałem jednak przytomność umysłu, który w jakiś sposób odłączył się od powłoki cielesnej. Ślepy i głuchy na zewnętrzny świat, odbierałem wyłącznie sygnały dochodzące z wnętrza. Nie docierało do mnie nic poza tym, co działo się pod moją skórą. Słyszałem jedynie bardzo wolne dudnienie własnego serca, ale wkrótce i ten dźwięk zaczął się ode mnie oddalać.

Straciłem poczucie czasu. Odkąd rozpocząłem ten eksperyment, mogło upłynąć równie dobrze pięć minut, jak i pięć godzin.

Najpierw się tym nie przejmowałem. Bycie umysłem pozbawionym ciała gwarantowało relaks. Czuję się odprężony, dryfowałem w przestrzeni spokojny i zadowolony. Ale po chwili – nie wiem, jak dłużej – uwagi zaczęła się domagać paskudna myśl.

A jeśli trwałem w uśpieniu dłużej, niż sądziłem? Może przez wiele dni?

Ogarnęła mnie panika, która jednak nie wpłynęła na czynności życiowe mojego organizmu. I chociaż bicie mojego serca nie zmieniło rytmu, nie potrafiłem określić, czy było szybkie, czy też wolne, ponieważ straciłem wszystkie punkty odniesienia. Ciśnienie krwi wydawało mi się w normie. Histeria zawładnęła wyłącznie moim umysłem, i to jedynie w obrębie wydzielonej świadomości.

Zacząłem mieć wątpliwości, czy kiedykolwiek odzyskam fizyczność.

Próbowałem zachować spokój, ale nie mogłem. Panika narastała i zaczęła przesłaniać wszystko inne. Nagle nie liczyło się nic prócz niej. Przestało mnie obchodzić, że mogę się udusić. Zależało mi wyłącznie na odzyskaniu powłoki cielesnej.

Usilnie próbowałem odszukać połączenia nerwowe, wzdłuż których wcześniej podążałem. Poszukiwałem tego, co zakotwiczało mój umysł w ciele. Czułem się jak rozgorączkowana pluskwa pokładowa, która przemierza tunele w poszukiwaniu krytycznej awarii i nie może jej znaleźć.

I nagle wróciłem do swojej powłoki cielesnej. Z trudem łapałem powietrze i kaszlałem. Moje serce waliło jak oszalałe, a głowę rozsadał ból. Z góry spływało na mnie jasne światło, a jakiś alarm wydawał wysokie tony.

Zamrugalem, unosząc głowę, ale poczułem ucisk na skroniach. Poza tym miałem skrępowane nadgarstki i kostki. Mruczając z niezadowolenia, spróbowałem się uwolnić, ale byłem słabszy niż kiedykolwiek wcześniej, więc po prostu opadłem z powrotem na łóżko.

Na łóżko? Ponownie zamrugalem i przekręciłem głowę w bok. Nie znajdowałem się już w kapsule. Leżałem przypięty pasami w mechtechowej kajucie statku, który albo miał sztuczne pole grawitacyjne, albo poruszał się z przyspieszeniem nie większym niż 1 g.

Niepewnie nabrałem powietrza w płuca. Smakowało słodko. I chociaż było tu znacznie lepiej niż w kapsule, w której powoli kończył się zapas tlenu, pęta studziły mój entuzjazm. Najwyraźniej sytuacja nie rozwinęła się tak pomyślnie, jak zakładaliśmy.

Drzwi naprzeciwko łóżka się rozsunęły. Nie mogłem unieść głowy, więc nie widziałem, kto wchodzi.

– Rejni? – zapytałem.

– Nie – rozległ się znacznie mniej przyjemny i w dodatku męski głos. Po chwili zobaczyłem jego właściciela. Pochylił się, żeby spojrzeć na mnie, a potem na wyświetlacz na łóżku. – Jestem technikiem medycznym. Mam na imię Kilgore. Jak się czujesz?

Musiałem zastanowić się nad odpowiedzią.

– Hm, dobrze – odparłem wreszcie. – Przebywam na pokładzie Dręczyciela?

Technik medyczny Kilgore zerknął na mnie z ukosa.

– Musisz odpoczywać – powiedział, dotykając panelu.

Poczułem, że podaje mi jakiś lek.

– Nie! Dopiero się obu...

Kiedy znów odzyskałem przytomność, ujrzałem w górze to samo światło i usłyszałem ten sam dźwięk alarmu. Napiąłem mięśnie rąk i nóg. Nadal byłem skrepowany. Miałem także opaskę na głowie.

– Jak masz na imię? – zapytał ktoś, kogo nie widziałem. Z pewnością nie technik medyczny Kilgore. Głos należał bowiem do kobiety, ale nie do Rejni.

– Kem – odparłem. Ze zdumieniem poczułem nieodpartą chęć, by dodać brakujący człon mojego prawdziwego imienia, ale się powstrzymałem.

– Masz więcej imion?

– N... nie – wychrypiałem. Co się ze mną działo?

Twarz kobiety przysunęła się do mnie. Zamrugałem, żeby zobaczyć ją wyraźnie.

– Dlaczego jestem skrepowany? – zapytałem. – I czemu Kilgore podał mi narkotyk? Po tym wszystkim, co dla was zrobiłem? Zatkanem tunel i w ogóle.

– Jesteśmy ci wdzięczni – odparła kobieta. Miała srebrzyste włosy, które w ogóle nie pasowały do jej młodej twarzy. Pewnie stosowała jakieś odmładzające techy, których istniało całe mnóstwo. – Pozostaje kwestia twojej... tożsamości i motywacji.

– Jak to? – zapytałem. – Jestem kupcem. Mój statek wybuchł...

– Wiemy, co powiedziałaś Rejni – przerwała mi kobieta. – Ale coś mi tu nie pasuje.

– Co takiego?

– Dlaczego wyglądasz dokładnie tak samo jak Księżniczka, która zniszczyła naszą flotę? – zapytała kobieta.

– Słucham? – Próbowałem nie przesadzać ze zdumieniem. Ale w środku gotowałem się ze złości.

Księżniczka, która wyglądała jak ja? Przecież to niemożliwe. Wkrótce jednak mój spowolniony umysł połączył kilka dodatkowych neuronów i przypomniałem sobie Atalin z akademii, kadetkę idealną. Faktycznie była bardzo do mnie podobna, może nawet łączyło nas pokrewieństwo.

Ale jeśli rzeczywiście o niej mowa, dlaczego ze wszystkich systemów wybrała właśnie ten? I po co pokazała twarz?

Poczułem, jak moje wnętrze przeszywa zimny dreszcz. To nie mógł być przypadek. Morojal maczała w tym palce, wrabiała mnie. Może Atalin jej pomagała. Czy chodziło o to, żeby utrudnić mi zdanie testu? Czy kryło się za tym coś więcej?

– Wyglądasz dokładnie tak samo jak Księżniczka, która przekazała nam wiadomość ze statku Imperium – powtórzyła kobieta. – Powiedziała, że ma

na imię Atalin. Dlaczego jesteś do niej podobny?

Poczułem, że ponownie podano mi narkotyk, zapewne jakieś serum prawdy. Nie działało jednak tak skutecznie, jak powinno.

– Nie wiem – odparłem szybko. Chciałem zdążyć, zanim narkotyk zacznie działać. Czy wkrótce pokona moje pozbawione ulepszeń ciało? Nie czułem nieprzewyciężonego przymusu mówienia prawdy, przynajmniej na razie. – Może to jakiś żart. Mój statek musiał przybyć kilka minut przed tym należącym do Imperium. Może zeskanowała moją twarz i ją wykorzystwała. Przecież nie jestem kobietą.

– Jesteś Księciem?

Chwilowo nie, pomyślałem i w chwili paniki zaczęłam się zastanawiać, czy nie powiedziałem tego na głos.

– Księciem? – Roześmiałem się. Histeria była lepsza od wyjawienia prawdy. – Księciem? Chyba żartujesz? Oni są jak... supermeni... a ja jestem zwykłym kupcem. Przeskanuj mnie, a zobaczysz, że nie mam żadnych źródeł zasilania ani strzelających palców, ani zbrojonej głowy i sam nie wiem czego, wszystkich tych cudowności... które chciałbym mieć, żeby...

– Przeskanowaliśmy cię – wyjaśniła kobieta. – Kilka razy.

Morojał zapewniła, że nie znajdą niczego w moim ciele. Ale jeśli kłamała? Albo się myliła? Nawet nie chciałem myśleć, co by się stało, gdyby arcykapłanka nie miała racji.

Czułem, jak narkotyk przenika w głąb mojego ciała, ale nie straciłem nad sobą kontroli. Wiedziałem, że poczułbym się wspaniale, gdybym wszystko im wyśpiewał. Ale opierałem się i próbowałem manipulować półprawdami.

– Jesteś podwładnym Imperium?

– Nie – odparłem zgodnie z prawdą. W końcu nie byłem podwładnym, ale szefem.

– Jesteś wrogiem Karalczy?

– Nie. – Pokręciłem głową.

– Jaki jest twój ziemski wiek?

Dlaczego chcieli to wiedzieć?

– Chyba mam dziewiętnaście lat. Może dwadzieścia.

Usłyszałem dochodzące z oddali pomruki. Wydało mi się, że rozpoznałem głos.

– Rejni? To ty? Nic ci nie jest?

– O to go nie zapytam! – obruszyła się przesłuchująca mnie kobieta. Patrzyła w inną stronę i nie mówiła do mnie. Najwyraźniej sądziła, że jej nie słyszę albo że nie będę niczego pamiętał. – To wszystko. Jego skany są typowe dla człowieka. Księżniczka po prostu... sama nie wiem... przywłaszczyła sobie jego twarz. Może nie chcą, żeby zwykli śmiertelnicy wiedzieli, jak naprawdę wyglądają. Albo to był jakiś chory żart.

Omiałem nie udzieliłem jej wyjaśnień. Zamiast tego zacząłem jednak kaszleć. Nagle poczułem, że pasy puściły. Usiadłem i ujrzałem, że nieopodal stoi Rejni. Wyglądała świeżo i czysto w granatowym kombinezonie z pojedynczym zaplecionym złotym pasem na każdym rękawie. Uśmiechała się do mnie tak, że wyraźnie widziałem dołeczek.

Druga kobieta była ubrana w zielony kombinezon i miała trzy złote pasy na rękawie.

– Przepraszam cię za to, Kem. Jestem komandor porucznik Alice Gryfon. Rejni powiedziała nam, jak duży był twój wkład w zablokowanie tunelu i uratowanie jej życia. Ale musimy zachować ostrożność, zwłaszcza w obecnej sytuacji, a ten komunikat Księżniczki był... dziwny. Tak czy inaczej, wierzę, że możesz zostać uznany za cywila. Witaj na Orbitpleksie Karalcza Jeden, lepiej znanym jako Siedlisko.

Komandor porucznik zerknęła na dziewczynę, zanim dodała:

– Jest cały twój, Rejni. – Potem zwróciła się do mnie: – Potraktuj to dosłownie. Każdy przybysz musi mieć poręczyciela, żeby otrzymać

pozwolenie na opuszczenie doku. Rejni za ciebie ręczy, więc ponosi odpowiedzialność za twoje działania. Tak czy inaczej, nie widzę przeciwwskazań, żeby puścić cię wolno. Jesteś zdrowy i nie stwarzasz zagrożenia.

Wyszła, a ja siedziałem przez chwilę z otwartymi ustami, podczas gdy mój umysł pracował na najwyższych obrotach. Rejni podeszła do mnie i stanęła tuż przy łóżku. W końcu udało mi się sklecić zdanie.

– Przebywam w kosmicznym siedlisku na Karalczy Cztery? Sądziłem, że to pokład Dręczyciela... Jak to możliwe?

– Byłeś nieprzytomny przez osiem dni – wyjaśniła Rejni. – Kiedy przechwycił nas Dręczyciel, technik medyczny powiedział, że odrzuciłeś swojego symbionta po tym, jak wprowadził cię w śpiączkę. Nie mogli cię dobudzić. I nawet tutaj nie potrafili nic zrobić. Dlatego czekaliśmy na rozwój wypadków. Ja... bardzo się cieszę, że się przebudziłeś, Kem.

– To tak jak ja – odparłem. Osiem dni? Zadrzałem. Nie zamierzałem nigdy więcej opuścić swojego ciała. Miałem szczęście, że udało mi się wrócić. – Hm, i co teraz?

– Pomyślałam... że możesz zostać ze mną i z moimi rodzicami – zaproponowała Rejni. – Sporo ci zawdzięczamy...

– Z twoimi rodzicami? – przerwałem jej. Nie miałem nic konkretnego na myśli. Po prostu zaciekała mnie sama koncepcja posiadania rodziców, których się zna i z którymi można mieszkać. Ale Rejni się zaczerwieniła.

– Tak, hm, jeszcze się od nich nie wyprowadziłam. Jestem studentką i rezerwistką, podobnie jak większość... a poza tym dopiero co skończyłam osiemnaście lat.

– Zakładam, że to ty pytałaś o mój wiek.

Uśmiechnęła się, a ja odwzajemniłem uśmiech. Nie mogłem się opanować.

– W sumie chętnie się u was zatrzymam – odparłem, spuszczać nogi z łóżka. – W końcu gdzieś muszę.

Rejni gwałtownie odwróciła głowę, kiedy wstałem. Nie od razu zrozumiałem, co wywołało taką reakcję. Dopiero po chwili przypomniałem sobie, że niektóre społeczeństwa dość osobliwie traktowały kwestię nagości. Przekonałem się o tym już w trakcie szkolenia.

– Mój ojciec wyprawia ucztę – powiedziała, nadal unikając mojego widoku. – Mam nadzieję, że lubisz karalczańskie krewetki. Hodowane na planecie, a nie w cysternach.

– Pewnie tak – odparłem. Otworzyłem szafkę obok łóżka i poczułem zachwyt oraz zdumienie na widok swojego skafandra próżniowego. Wyglądało na to, że znajdowała się tam także reszta mojego dobytku, chociaż bez broni.

– Ekki!

Rejni spojrzała na mnie.

– Nie możesz założyć Ekkiego – powiedziała, po czym pospiesznie odwróciła się do mnie plecami. Ja tymczasem schyliłem się i zacząłem grzebać w torbie stojącej obok mojego skafandra. Po chwili wyciągnąłem z niej bieliznę i kombinezon z plakietkami Żeglugi Piątego Świata. Kiedy leżałem w śpiączce, zostałem umyty i ogolony. Od tygodni nie byłem taki czysty.

– Załatwię wózek na twój sprzęt – zaoferowała Rejni pospiesznie, kiedy rozłożyłem ubranie na łóżku. Zdążyła dotrzeć do drzwi, zanim zacząłem skakać na jednej nodze, próbując założyć slipy. Przed wyjściem zawołała jeszcze: – Zaraz wracam!

Rozdział 18

Zanim Rejni zabrała mnie do swojego domu, musiałem przejść odprawę dla nowych mieszkańców. Na szczęście zamiast KSP zajmowała się tym administracja cywilna Siedliska, która w dodatku nie korzystała z pomocy substancji chemicznych.

Nadal czułem działanie narkotyku, który podano mi podczas przesłuchania, więc zaprezentowałem się nie najlepiej. Pewnie uznali moją sprawność umysłową za niższą od przeciętnej. Chłopak, który pokazywał mi schematy Siedliska, musiał przerywać od czasu do czasu, żeby się upewnić, czy za nim nadążam. Poza tym ze dwa razy spojrział na Rejni wymownie, jakby chciał zapytać: „Dlaczego wpuszczamy tego oszołoma?”.

W sumie dowiedziałem się, że Siedlisko to stare mechtechowe miasto kosmiczne zbudowane przez Imperium według bardzo wysokich standardów jakieś osiem czy dziewięć wieków temu. Konstrukcję tworzyło pięć pierścieni ułożonych piętrowo. Przez każdy z nich biegł tunel o średnicy około dwóch kilometrów, poprzecinany dwunastoma korytarzami o długości sześciu kilometrów i średnicy dwustu metrów, wiodącymi do centralnego punktu. Co więcej, każdy z pierścieni zawdzięczał swoją nazwę zwierzętom zamieszkującym dawniej starą Ziemię: gryfonowi, smokowi, bazyliżkowi i sfinksowi, oraz jednemu mitycznemu stworzeniu znanemu jako delfin.

Centrum zostało z polotem nazwane Centrum i właśnie tam mieściła się większość biur administracyjnych oraz wojskowych, a także doki dla statków i tym podobne.

W przeciwieństwie do karalczańskich statków Siedlisko nadal miało działający system kontroli grawitacji i doskonałą klimatyzację, dzięki czemu było to całkiem przyjemne miejsce do życia. A przynajmniej tak twierdził chłopak, który mnie odprawiał.

Co więcej, oświadczył pogodnie, że zanim będę musiał pójść do pracy, żeby mieć swój wkład w funkcjonowanie społeczności, dostanę tydzień na aklimatyzację.

– W Siedlisku nie mamy darmozjadów – podkreślił. – Co chciałbyś robić? Masz jakieś szczególne umiejętności?

– Hm... pewnie... – odparłem niejasno. Chciałem dodać, że całkiem nieźle radzę sobie z naprawianiem wszelkich imperialnych techów, ale byłem na to zbyt odurzony narkotykiem.

– Na początek przydzielę cię do łatania kadłuba – kontynuował urzędnik, nie czekając na moją odpowiedź. – To nie takie trudne.

– Och, daj spokój, Ganulf – wtrąciła się Rejni. – Kem jest...

Już miałem zgodzić się z Rejni, powiedzieć chłopakowi, co może sobie zrobić ze swoim łataniem kadłuba, i zażądać stanowiska odpowiedniego dla mojej pozycji, kiedy przypomniałem sobie radę Elzweka.

Zawsze zastanów się, jak zachowałyby się Księżę, a potem rób dokładnie na odwrót.

– W porządku – odparłem. – Łatanie kadłuba mi pasuje. Hm, w środku czy na zewnątrz?

– W środku – uściślił Ganulf. – Nadal mamy działającą tarczę do wyłapywania meteorów, a także samouszczelniający się zewnętrzny kadłub. Niestety, pojawiają się drobne pęknięcia, które trzeba naprawiać. Rozumiesz więc, jaka to ważna praca... Właśnie tak, Rejni, ważna, nie patrz tak na mnie. Łatacz otrzymuje wykrywacz przecieków i torbę z łatanami i ma za zadanie uszczelnić każde uszkodzone miejsce. Poza tym to dobry sposób, żeby poznać okolicę. Sam byłem kiedyś łataczem.

– Świetnie – skwitowałem. Właściwie byłem nawet zadowolony. Dzięki tej pracy mogłem swobodnie przemierzać Siedlisko w poszukiwaniu tajnych imperialnych schowków, z których istnienia lokalni mieszkańcy nie zdawali sobie sprawy. Poza tym wiedziałem, że nie zabawię tutaj długo. – Brzmi nieźle. Lubię latać dziury.

– Cieszę się – odparł Ganulf. – Mam tutaj twój pełny skan od KSP... od wojska... Wyciągnij rękę. Nie tak. Połóż dłoń wierzchem do góry, a ja umieszczę twój lokalizator pod skórą. Proszę bardzo. Połączy się z naszym centrum informacyjnym, zatwierdzi twoje przyjęcie do pracy i takie tam, aktywuje system wypłat i kredytowania. Zakładam, że jesteś obeznany z takim rozwiązaniem identyfikacji tożsamości? Wiem, że niektórzy handlarze preferują bardziej... archaiczne...

– Dam radę – mruknąłem. Co do zasady, system był bardzo podobny do tego, z którego korzystali Szubianie na złomowisku. Poza tym, chociaż kilka dni spędziłem w śpiączce, czułem się niewiarygodnie zmęczony. Chciałem się tylko położyć do łóżka, najlepiej takiego, do którego nie będę przypięty pasami.

– Przyznano ci kredyt na start w zamian za twoją kapsułę bezpieczeństwa, a większość jej zawartości została przeniesiona do twojego osobistego schowka – poinformował Ganulf. – Oczywiście bez broni.

– Co takiego? W zamian za moją kapsułę? – zdziwiłem się. Zabrali moją kapsułę? Uszkodzona na niewiele by się zdała, ale pewnie mogłem ją naprawić.

– Wszystkie prywatne statki kosmiczne są rekwirowane przez KSP – wyjaśnił Ganulf. – Mamy sytuację awaryjną, sam rozumiesz.

– Jasne, rozumiem, zaskakująco dobrze – odparłem.

Ganulf prychnął, po czym spojrzął na listę.

– Witaj w Siedlisku, Kemie – powiedział. – Czy raczej powinienem powiedzieć: Kemie Gryfonie. Oczywiście będziesz mógł później zmienić

nazwisko, jeśli przeniesiesz się na inny pierścień.

Skinąłem głową. Dowiedziałem się tego podczas odprawy. Każdy mieszkaniak miał na nazwisko tak, jak nazywał się pierścień, w którym żył. Co więcej, większość osób zasiedlających dany pierścień była ze sobą spokrewniona. I tak oto, ponieważ miałem zamieszkać z Rejni i jej rodzicami, zostałem Kemem Gryfonem.

Chociaż ten pomysł wydawał mi się dziwaczny, w obecnym stanie nie miałem siły forsować innych rozwiązań. Wmawiałem sobie, że to i tak nie potrwa długo, podobnie jak praca łatacza kadłuba. Zamierzałem rozpocząć poszukiwania autentycznych imperialnych techów, gdy tylko rozjaśni mi się w głowie. Może nawet znajdę jakiś statek; Książęta zwykle trzymali po kilka pojazdów ukrytych w takich miejscach jak to. Następnie planowałem się stąd wydostać i skupić na powrocie do Imperium – oraz do swojej należytej postaci.

– Chodź, Kem – powiedziała Rejni. Wzięła mnie za rękę i wyprowadziła na zewnątrz. – Wyglądasz na wyczerpanego.

– Bo jestem – odparłem. – Pewnie to reakcja wstrząsowa na odkrycie, że jednak nie umarłem.

Rejni przystanąła i spojrzała na mnie bardzo poważnie. Nie patrzyłem jej w oczy, chociaż nie dlatego, że obawiałem się wpajania mimetycznego. Po prostu ta dziewczyna sprawiała, że czułem się inaczej, i wcale mi się to nie podobało. A może mi się podobało, tylko czułem, że nie powinno, skoro odciągało mnie od misji. Przecież powinienem się koncentrować wyłącznie na możliwie jak najszybszym powrocie do Imperium.

– Gdyby nie ty, Kem, oboje bylibyśmy martwi – powiedziała. – Nie mówiąc o tym, że zginęłoby znacznie więcej osób. Piraci dawno by tutaj dotarli. Splądrowaliby wszystko, co się da, i zabili każdego, kto stanąłby im na drodze. Wiem, że nie potraktowaliśmy cię tak, jak na to zasługujesz, ale jesteśmy ci wdzięczni. Ja jestem ci wdzięczna.

– Wiem – przyznałem. – A teraz musisz mnie zabrać do łóżka.

– Hm, wiem, że istnieją pewne społeczne i komunikacyjne różnice między ludźmi z różnych systemów – dodała po krótkiej przerwie. – Ale kiedy powiedziałam, że jestem wdzięczna, nie proponowałam ci...

– Po prostu wskaż mi drogę do łóżka – przerwałam jej. – Inaczej zemdleję na tym korytarzu.

– Och. Pierścień Gryfona znajduje się kawałek drogi stąd... ale chyba moglibyśmy wezwać podróżnika...

Usiadłem i oparłem się o ścianę, żeby podkreślić, jak słabo się czuję.

– Albo zespół medyczny...

– Jestem tylko zmęczony – burknąłem. – Muszę się porządnie wyspać.

Rejni przemówiła do swojej bransoletki, która zapewne była jej osobistym komunikatorem. Ja takiego nie dostałem. Może miałem go sobie kupić.

Podróżnik okazał się wąskim wózkiem antygravitacyjnym z czterema siedzeniami. Bez wątpienia był równie stary jak samo Siedlisko, ale działał. Opadłem na dwa siedzenia i straciłem przytomność.

Kiedy się obudziłem, leżałem na wygodnym, szerokim łóżku z narzutą w kolorach jaskrawej czerwieni i niebieskiego. Rozejrzałem się po pokoju, który mógłby służyć za kwatery jednego z moich sług w przestrzeni Imperium, był bowiem bardzo czysty, jasny i wygodny. Na ścianie wisiał mechtechowy system wizyjny, a w rogu dostrzegłem prywatną kabinę odświeżającą, widoczną przez chwilowo przejrzysty parawan. Ogólnie rzecz biorąc, było tu tysiąc razy lepiej niż w kapsule bezpieczeństwa.

Obok łóżka znajdowała się wysuwana półka, na której stała półprzezroczysta kostka. Kiedy ją podniosłem, rozłożyła się, tworząc cienki panel wielkości mojej klatki piersiowej. Ekran zalśnił na niebiesko, a potem pokrył się kolorami, zanim moim oczom ukazała się młoda kobieta, którą początkowo wziąłem za Rejni. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że była

od niej trochę starsza. Pomachała i pobiegła korytarzem, oddalając się od urządzenia rejestrującego obraz. W połowie drogi do wjazdu na końcu korytarza zatrzymała się i odwróciła, żeby znów pomachać. Chociaż nie zdążyłem poznać dobrze Siedliska, wydawało mi się, że nagranie zostało zrobione właśnie tutaj.

– Do zobaczenia! – zawołała. – Pewnie będzie się wydawało, że nie ma mnie całe wieki, ale kiedy wrócę, okaże się, że minęła ledwie chwila!

Obraz zniknął wraz z ostatnim słowem, a potem odtwarzanie zaczęło się od początku. Kiedy dotknąłem rogu, panel ponownie złożył się w milczącą, półprzezroczystą kostkę.

Drzwi zabuczały cicho, po czym pojaśniały łagodnym, perłowym blaskiem. Wstałem więc, żeby je otworzyć. Po drugiej stronie stała Rejni. Za jej plecami dostrzegłem pokój komunalny, z którego prowadziło kilka par drzwi takich jak moje.

– Usłyszałam hałas – powiedziała, zaglądając do środka. – Dobrze się czujesz?

Wskazałem kość pamięci.

– Głos kobiety na nagraniu.

Twarz dziewczyny stężała. Potem minęła mnie biegiem, chwyciła kostkę i wycofała się za próg.

– Zapomniałam o niej – powiedziała. – Mam nadzieję, że nie... mam nadzieję...

– Kim ona jest? – zapytałem.

– Była – poprawiła mnie Rejni. – Była... moją siostrą. Miała na imię Anza.

– Nie żyje?

Rejni skinęła głową.

– Jak zginęła? – zapytałem, kierowany ciekawością. Mimo całego szkolenia nie nauczyłem się jeszcze, że czasami ludzie nie byli w stanie

poradzić sobie z pytaniami wywołującymi żywe emocje.

– Piraci zeszłym razem – odparła Rejni. – Proszę... Proszę, nie pytaj mnie o to więcej... i nie wspominaj o niej przy moich rodzicach.

– Dobrze – obiecałem, a ponieważ przypomniałem sobie pewną nie całkiem zrozumiałą dla mnie scenę, którą kiedyś zaobserwowałem, dodałem po chwili: – Przykro mi.

Rejni skinęła głową, po czym zrobiła głęboki wdech.

– To będzie twój pokój, jak pewnie zdążyłeś się domyślić – rzuciła pospiesznie. Jej policzki się zaczerwieniły, co mogło sugerować złość albo inne emocje. Ostatecznie uznałem jednak, że to musiało mieć związek z jej zmarłą siostrą. – Łączy się z naszym salonem, który dzielę z rodzicami. Te drzwi prowadzą do ich sypialni, a tamte do mojej. Drzwi wyjściowe wychodzące na korytarz są tam, a wyjścia awaryjne to ten włącz na górze, który tutaj widzisz, i kolejny na dole, ukryty pod dywanem. Jesteś głodny?

Nie musiałem się zastanawiać nad odpowiedzią. Kiszki grały mi marsza. Prawdopodobnie przez kilka ostatnich dni byłem karmiony wyłącznie przez rurkę wprowadzoną przez nos prosto do żołądka.

– Tak!

– To się dobrze składa. Już prawie pora kolacji, pierwszego posiłku dnia – wyjaśniła Rejni. – Drugim jest śniadanie. Hm, moi rodzice są w domu i chcieliby cię poznać. Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zjedzą razem z nami?

– Ani trochę – odparłem. Chociaż pomyśl, by mieć rodziców, nadal wydawał mi się dziwny, był też niezwykle interesujący. Poza tym kolejny raz pomyślałem, że spędzę tutaj maksymalnie tydzień. Nie musiałem się więc niczym przejmować.

Kolacja okazała się znacznie ciekawszym wydarzeniem, niż zakładałem, głównie za sprawą matki Rejni. Bo chociaż jej ojciec, Larod, mówił niewiele, a na co dzień zajmował się transportem produktów spożywczych

z planety, w kobiecie rozpoznałem komandor porucznik Alice Gryfon ze służb specjalnych KSP, która przesłuchiwała mnie w szpitalu. Pewnie już wcześniej dostrzegłbym więź łączącą matkę z córką, gdybym miał jakiegokolwiek pojęcie o relacjach rodzinnych. Tak czy inaczej, kiedy podczas posiłku Alice zadawała mi kolejne pytania, pomyślałem, że być może pozwoliła Rejni sprowadzić mnie do domu, żeby mieć na oku potencjalnego wroga.

Poza tym z każdą upływającą minutą Rejni fascynowała mnie coraz bardziej. Lubiłem z nią rozmawiać, a także wysłuchiwać jej myśli i opinii. Wcześniej pytałem o zdanie wyłącznie Haddada i Elzweka, i to tylko dlatego, że potrzebowałem od nich informacji, żeby przetrwać. Ale od Rejni chciałem dowiedzieć się wszystkiego, czym chciała się ze mną podzielić. Nawet jeśli informacje te nie miały znaczenia dla strategii, taktyki czy przetrwania.

– Mamy kilka miesięcy spokoju, zanim piraci tutaj dotrą – powiedziała Alice. – Poza tym istnieje spora szansa, że flota Konfederacji przybędzie do nas pierwsza, drugim tunelem czasoprzestrzennym. Co wtedy zrobisz, Kem?

Wzruszywszy ramionami, nabrałem na łyżkę trochę słodkiej, jasnofioletowej, półpłynnej substancji, którą nazywali żelogodą, i przełknąłem.

– Jestem kupcem – odezwałem się po chwili. – Zaciągnę się na pokład najlepszego okrętu handlowego w okolicy i ruszę w drogę.

– Gdybyśmy mieli taki na miejscu, wyruszyłbyś od razu? – zapytała Alice.

Spojrzałem na nią, zastanawiając się, czy to jakiś podstęp. Jeśli rzeczywiście był jakiś statek handlowy, a oni zamierzali mnie puścić, może powinienem skorzystać z okazji.

– W zależności od tego, dokąd by zmierzał – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Musiałem wrócić do przestrzeni Imperium. – Naprawdę taki macie? Sądziłem, że skonfiskowaliście wszystkie statki.

– Bo to prawda – przyznała Alice. – Po prostu byłem ciekawa.

Zerknąłem na Rejni. Zamiast jeść swoją żelogodę, przyglądała mi się przez moment.

– Dobrze wiesz – zwróciła się do matki – że to nie do końca prawda.

– Słucham? – zdziwiła się Alice.

– Mam na myśli flotę Konfederacji – uściśliła Rejni. – Prawdopodobnie nie dotrą na czas albo nie uda im się stworzyć wystarczająco silnego oddziału, żeby nam pomóc. Najprawdopodobniej za kilka miesięcy otworzy się tunel przy dziesiątej orbicie, przylecą przez niego piraci, a my spróbujemy ich powstrzymać żalonymi reszt...

– Rejni – ostrzegła ją Alice. – To szczegóły operacyjne.

Dziewczyna zamilkła. Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Larod spojrzał prosto na mnie, unosząc brwi. Zapewne powinienem był zrozumieć, co chciał mi w ten sposób przekazać, ale ja nie miałem zielonego pojęcia. Następnie wrócił do jedzenia. Przy okazji zerknął na powłokę optyczną karwasza czy też jakiegoś biotechnowego wzmocnienia protetycznego, które nosił na lewym nadgarstku. Przez cały czas wyświetlały się tam informacje zaszyfrowane w postaci symboli, których nie miałem czasu rozgryźć.

– Masz rodzinę, Kem? – zapytała Alice.

– Rodzinę? Ee... – Zawahałem się. Gdybym zaprzeczył, to mogłoby wydać się dziwne. Może nawet zdradziłbym w ten sposób swoją prawdziwą tożsamość albo wzmógł podejrzliwość Alice. – Mam siostrę – dodałem, chwytając się czegoś, co mogło być prawdą.

Niewykluczone, że pani komandor porucznik miała przy sobie analizator stresu i namierzała mnie w tej chwili. A może było to nawet to urządzenie,

na którego ciągle spoglądał Larod. Oczywiście nie mogłem zdradzić prawdziwego imienia Atalin ani podać żadnej nazwy za bardzo kojarzącej się z Imperium.

– Tyrtos – burknąłem z ustami pełnymi żelogody. – Nie widziałem jej od dawna. Pracowaliśmy na różnych statkach.

– A twoi rodzice? – drążyła Alice.

– Nie żyją – odparłem. Także i tym razem istniało duże prawdopodobieństwo, że mówiłem prawdę. Przy okazji wyobraziłem sobie mężczyznę i kobietę oddających swoje dziecko kapłanom selekcjonerom i monofilamentowe ostrza błyskające na ich szyjach. – Zostali zabici przez kawalerzystów mechbio Imperium.

– Przykro mi – powiedziała Alice. – Dawno temu?

Skinąłem głową i wbiłem wzrok z talerz, zanim odpowiedziałem:

– Tak. Wolałbym o tym nie rozmawiać.

Nauczyłem się tego od Rejni i zadziałało. Alice przestała mnie wypytywać i wkrótce udała się pilnie na służbę.

– Widzę, że jesteś rozbitkiem pod wieloma względami – skomentował Larod, wstając kilka minut później. Kiedy poklepał mnie po ramieniu, w pierwszym odruchu chciałem chwycić go za nadgarstek, powalić na ziemię i dźgnąć niezbyt ostrym końcem łyżki. Po prostu nie byłem przyzwyczajony do tego, że dotykano mnie bez pozwolenia. Ostatecznie jednak tylko się wzdrygnąłem.

– Muszę polecieć na drugi koniec planety, Rejni – dodał Larod, nieświadomy, że dopiero co uniknął śmierci. – Sprawdzić plony. Myślę, że wrócę za dwadzieścia cztery godziny.

Ponownie poklepał mnie po ramieniu i tym razem, kiedy pochylił się nade mną, oparł tam dłoń na dłużej.

– Witaj w Siedlisku, Kem. I dziękuję ci za to, co zrobiłeś. Za zablokowanie tunelu... i... za uratowanie mojej córki.

Zanim zdążyłem się odezwać, wyszedł. Dostrzegłem jednak wyraz jego twarzy i błysk w jego oczach – i nawet z obniżoną wydajnością psychotechnową wyczułem siłę tej emocji, którą trzymał na wodzy. Intensywne uczucie ulgi przeplatające się z niepokojem i strachem o przyszłość.

– A więc co chcesz teraz robić? – spytała pogodnie Rejni.

Rozdział 19

Chciałem porwać ją w ramiona, pocałować, powalić na podłogę i kochać się z nią na dywanie, który zasłaniał właz awaryjny. Ale nie wiedziałem, jak do tego podejść. Gdyby była jedną z moich zaprogramowanych kochanek, po prostu kazałbym się jej położyć i przygotować na przyjęcie swojego pana i władcy. Zdawałem sobie jednak sprawę, że to byłoby niestosowne wobec dziewczyny, i co ważniejsze, do niczego by nie doprowadziło.

Uznałem, że nic nie zyskam także wtedy, gdy zaproponuję jej pożyczkę albo zastąpienie jej w pracy, co sprawdzało się w gwiazdnym miasteczku i na Piórze. Dzięki szkoleniu wiedziałem jednak, że czasami ludzie zawierali także inne, bardziej zagadkowe dla mnie umowy, które nie miały nic wspólnego ze wspomnianymi formami płatności. Nie miałem tylko pojęcia, na jakiej zasadzie działały.

– Ee, sam nie wiem – odparłem, zdumiony własnym brakiem stanowczości. Jak dotąd zawsze postępowanie zdecydowanie, nawet podczas symulacji. I nawet jeśli brakowało mi pomysłu, jak osiągnąć cel, próbowałem aż do skutku. Ale tym razem bałem się zaryzykować fałszywy ruch.

Wszystko dlatego, że zależało mi na Rejni. Nie chciałem stać się jej wrogiem ani obiektem nienawiści, chociaż wiedziałem, że to błąd taktyczny. Nie powinienem był troszczyć się o żadnego człowieka. W końcu liczyło się tylko wykonanie zadania wyznaczonego przez Imperialny Umysł.

Nie bez trudu skoncentrowałem się więc na swojej misji.

– Może mogłabyś mnie oprowadzić – zaproponowałem.

– Dobry pomysł – przyznała Rejni. – Dasz radę pójść pieszo?

– Tak... Wcześniej musiał zaszkodzić mi narkotyk.

– Przepraszam cię za to – odparła Rejni, wykrzywiając twarz w grymasie.

Przez moment sądziłem, że ma jakiś atak.

– Hm, to miało być zabawne – wyjaśniła. – Znowu chciałam rozładować napięcie.

Ponownie wybałuszyła oczy i dziwnie ułożyła usta.

I tym razem się roześmiałem. Chociaż próbowałem się opanować, nie wytrzymałem długo i ponownie wybuchałem śmiechem. A kiedy w końcu się uspokoiłem, Rejni znowu zrobiła tę swoją minę. Śmiałem się więc do rozpuku.

Był to kolejny niepokojący sygnał, bo przez nią traciłem kontrolę nawet nad własnym oddechem.

Ale podobało mi się to. Kiedy się śmiałem, zapominałem o wszystkim innym i czułem się tak cudownie jak nigdy wcześniej.

Czułem się wolny.

Po kilku dniach udało się nam z Rejni pokonać dzielące nas różnice, także te społeczne i kulturowe. Przeszliśmy więc na wyższy etap wzajemnej fascynacji, ale nadal nie mieliśmy pojęcia, jak właściwie wyrazić wypełniające nas emocje.

Nie zacząłem jednak dobrze. Właśnie wróciłem z lekcji pogładowej na temat swojej nowej pracy, która zgodnie ze słowami Rejni, była monotonna i nudna. Zostałem zmuszony do obejrzenia programu o tym, jak znajdować przecieki i je łączyć, a potem kilka razy musiałem przećwiczyć wszystkie czynności, chociaż były niewiarygodnie proste i mógłbym je wykonywać we śnie.

Poza tym tęskniłem za Rejni. Wcześniej każdą wolną chwilę spędzaliśmy razem, a zeszłej nocy wykonaliśmy nawet pewną akrobację,

która przypominała dość nieporadny pocałunek. Nie miałem jednak pojęcia, czy wpadła mi w ramiona celowo, czy po prostu się poślizgnęła. Tak czy inaczej, nasze usta spotkały się niezdarnie, a potem odskoczyliśmy od siebie jak oparzeni, chociaż nikt nas nie przyłapał na gorącym uczynku.

Kiedy wróciłem do naszych kwater, natychmiast zacząłem szukać Rejni. Nie było jej w części wspólnej, więc postukałem w panel informacyjny na jej drzwiach. Nie otrzymałem jednak odpowiedzi. Trochę zawiedziony wróciłem do swojego pokoju.

Na łóżku znalazłem srebrne pudełko, identyczne jak to, które wyciągnął nowicjusz skrytobójca w mojej świątyni szkoleniowej. Tamto skrywało kwiatową pułapkę, strzelającą wiązkami energii.

– Kem! – zawołała Rejni, podchodząc do mnie.

Cofnąłem się, wykonałem obrót i powaliłem Rejni na podłogę, nakrywając ją swoim ciałem, żeby miała chociaż cień szansy na przeżycie, kiedy wiązka wypali dziurę w mojej piersi.

– Kem! Co ty wyprawiasz?!

Znieruchomiałem w oczekiwaniu na nagłą śmierć.

Po sekundzie czy dwóch, kiedy nic się nie wydarzyło, dźwignąłem się na rękach i zerknąłem w głąb pokoju. Srebrne pudełko nadal leżało na moim łóżku. Nie otworzyło się ani nie rozwinęło w śmiertcionośną broń.

– Kem?

Spojrzałem na leżącą pode mną Rejni.

– Ee, to srebrne pudełko... wygląda jak... Myślałem, że to... bomba.

Rejni zamrugwała.

– To prezent – wyjaśniła. – Ode mnie. Możesz go obejrzeć.

Zawstydzony, wstałem i podszedłem do pudełka. Miałem mętlik w głowie, ponieważ właśnie zrobiłem coś niewiarygodnie głupiego, co zdecydowanie nie było godne Księcia.

Powinienem był użyć Rejni jako tarczy, zamiast zasłaniać ją własnym ciałem. Już drugi raz zamierzałem ocalić ją za wszelką cenę.

Chyba traciłem rozum, chociaż działo się to za moim przyzwoleniem.

– Otwórz – zachęciła mnie Rejni. Zamknęła drzwi i stanęła za mną.

Otworzyłem pudełko. W środku nic nie było. Pokazałem jej puste wnętrze, a ona wpadła w moje ramiona i pocałowała mnie prosto w usta, nie zostawiając żadnych wątpliwości, że zrobiła to umyślnie.

Odwzajemniłem pocałunek, a kiedy opadliśmy na łóżko, zapytałem:

– Więc gdzie ten mój prezent?

– To ten całus – wyjaśniła Rejni, przesuwając palec po zamku mojego kombinezonu. – Taką mamy tutaj tradycję: opakowujemy pocałunek i zostawiamy go na łóżku tego, kto się nam podoba.

– Więc ja ci się podobam – mruknąłem, wtulając twarz w jej włosy.

– B a r d z o – odparła. – A ja tobie?

– S z a l e n i e – przyznałem.

Obawiałem się, że szaleństwo jak najbardziej wchodziło tutaj w grę, ale w tamtym momencie nic mnie to nie obchodziło.

Chociaż moje kochanki były technicznie bardziej sprawne, to tylko przy Rejni czułem się wyjątkowo. Albo może to ja zachowywałem się inaczej. Nie pragnąłem od Rejni wyłącznie czynności seksualnych. Chciałem mieć wszystko, chciałem tulić ją we śnie, patrzeć na nią i wsłuchiwać się w jej cichy oddech.

Nigdy wcześniej nie byłem tak ogromnie szczęśliwy i tak absolutnie przerażony.

Bałem się, ponieważ wiedziałem, że będę musiał z niej zrezygnować. Mogłem funkcjonować w zwykłym ludzkim ciele przez pewien czas i ulegać wszelkim rozterkom ludzkiego serca, ale w rzeczywistości byłem Księciem Imperium. Musiałem wrócić do swojego prawdziwego życia. A przynajmniej tak mi się wówczas wydawało.

Kiedy spędzałem czas z Rejni, zapomniałem o wszystkim prócz tego, że jestem z nią. Ale po upływie tygodnia znowu wezwano ją do KSP, podobnie jak pozostałych rezerwistów. Karalczanie robili, co mogli, żeby przygotować się na ponowne otwarcie tunelu, którego spodziewano się za pięć miesięcy. Na szczęście Rejni nie przydzielono na żaden z latających statków, tylko na niszczyciela remontowanego w stoczni, więc wracała czasem do domu. Mimo wszystko musiała spędzać na pokładzie cztery z siedmiu nocy w tygodniu.

Tęskniłem za nią i niechętnie oddawałem się poszukiwaniom ukrytych imperialnych schowków podczas uszczelniania mnóstwa przecieków. Nie miałem na to ochoty, bo gdybym naprawdę znalazł odpowiedni środek transportu, którym mógłbym odlecieć z Siedliska, wszystko byłoby skończone. Odleciałbym, a Rejni zostałyby tutaj.

Mimo wszystko kontynuowałem poszukiwania i uszczelniałem przeciekające miejsca. Przy okazji uważnie obserwowałem, co się dzieje, ponieważ każda informacja mogła okazać się dla mnie przydatna, czy to na etapie przygotowań, czy wtedy, gdy nadejdzie czas, żeby się stąd wynosić.

Główne tematy rozmów Karalczan dotyczyły aktualnych wydarzeń. Najtrudniej było mi się zmierzyć z ich nienawiścią do Imperium i ogromną pogardą wobec Książąt. Uważali ich za wrogich obcych, nie lepszych od Umarlaków, którzy też mieli w zwyczaju strzelać do wszystkiego, co wejdzie im w drogę. Moim zdaniem było to bardzo głupie porównanie, skoro Umarlacy wysadzali się za każdym razem, gdy wszystko wskazywało na to, że przegrają starcie.

Kilka razy musiałem nawet zaciskać pięści, żeby powstrzymać się przed uderzeniem jakiegoś aroganckiego mieszkańca Centrum, który utrzymywał, że Imperium to choroba rozprzestrzeniająca się za pośrednictwem przerażającego nosiciela zwanego Księciem. Opanowałem się jednak, co przed szkoleniem nigdy by mi się nie udało. Musiałem pogodzić się

z obecną sytuacją, bez względu na to, jak bardzo mi się nie podobała – oczywiście nie dotyczyło to Rejni.

Kolejnym z ulubionych tematów w Siedlisku było to, kiedy otworzy się tunel czasoprzestrzenny. W związku z tym pojawiały się następne pytania: kiedy przybędą piraci i czy wzmocniona flota Konfederacji, do której dołączyli Karalczanie, dotrze na miejsce przed nimi? Wszyscy wiązali wielkie nadzieje z Konfederatami, którzy rzekomo mieli przylecieć z misją ratunkową innym przejściem, tym „bezpiecznym”, znajdującym się na terenach nieskażonych obecnością piratów.

Sam wcale w to nie wierzyłem. O ile było mi wiadomo, cała ta Konfederacja stanowiła niewielkie zgrupowanie kilkunastu systemów. I chociaż zeszłym razem rzeczywiście wysłała flotę na pomoc Karalczanom, w moim przekonaniu właśnie ten fakt zmniejszał prawdopodobieństwo, że tym razem postąpi tak samo. Skoro dysponowała ograniczonymi siłami powietrznymi, jej członkowie zapewne zastanawiali się, co im z tego przyjdzie. Co więcej, Karalczanie mieli u nich dług wdzięczności, którego jeszcze nie zdążyli spłacić.

Próbowałem nie myśleć o piratach, ponieważ jeśliby się zjawili, Rejni poleciałyby z nimi walczyć i najprawdopodobniej zginęłyby w jakimś zimnym, mrocznym miejscu. Beze mnie – ja planowałem możliwie jak najszybciej wrócić do Imperium, ponownie zostać Księciem i pozbyć się wszystkich tych niewygodnych myśli.

Ale przyszłość nie dręczyła mnie tylko wtedy, kiedy spędzałem czas z Rejni albo katowałem się fizycznie, latając dwukrotnie więcej przecieków niż ktokolwiek inny w historii Siedliska i przy okazji szukając ukrytych imperialnych techów.

Pierwszy miesiąc spędziłem głównie w Centrum, a przynajmniej w tych jego częściach, do których wstęp nie był wzbroniony. Ponieważ znajdowały się tam wszystkie doki, główne źródła energii i inne równie ważne obiekty,

początkowo uznałem, że to właśnie tutaj panujący dawniej Książę ukrył swój skarb. Ale po licznych wizytach we wszystkich tych zakamarkach, do których wpuściły mnie służby bezpieczeństwa KSP, zmieniłem zdanie. W Centrum panował nieustający ruch. A skoro był to najbezpieczniejszy rejon Siedliska, Książę z pewnością przechowywał tutaj wszystkie swoje oficjalne okręty, garnizon kawalerzystów mechbio i tym podobne. Także świątynia musiała się mieścić w Centrum.

Gdzie w takim razie przebiegły Książę zdeponował swój sekretny dobytek i, co ważniejsze, sekretny statek?

Chociaż nadstawiałem uszu w nadziei na przydatne wskazówki, era Imperium skończyła się tutaj dawno temu i nawet jeśli kiedyś krążyły mity o starych imperialnych techach, nie opowiadano ich w przerwach między rzucaniem obelg pod adresem Księżąt i wszystkiego, co z nimi związane. Poszukiwania przecieków zawiodły mnie w najdziwniejsze zakamarki. Przy okazji korzystałem ze swoich psychotechowych zmysłów, licząc na to, że wywołam reakcję czegoś, co pozostawało w ukryciu i czekało na wezwanie Księcia.

Przez miesiąc zmieniło się tylko tyle, że ogromnie znużyło mnie uszczelnianie drobnych pęknięć. Uznałem, że muszę ograniczyć swoje poszukiwania i uważnie przeanalizować strukturę Siedliska pod kątem możliwych kryjówek.

Kiedy wreszcie wpadłem na trop, nie mogłem zrozumieć, dlaczego zajęło mi to tyle czasu. W końcu co najmniej kilka razy przechadzałem się przed widocznym fragmentem imperialnej kryjówki. Ale gdy tylko ją namierzyłem i poświęciłem trochę czasu na przeczesanie pobliskiego terenu za pomocą psychotechnu, w końcu zostałem nagrodzony. Dotarł do mnie cichutki szept imperialnego systemu psychotechowego. Delikatnie zakręciło mi się w głowie, kiedy przyglądałem się tej części Siedliska, która idealnie nadawała się na kryjówkę.

Zbiornik w pierścieniu Delfina.

Było to główne źródło świeżej wody dla całego Siedliska. Zajmowało pięćdziesiąt metrów najniższej położonej powierzchni piątego pierścienia. Niewielka jego część była otwarta i tworzyła jezioro o głębokości dziesięciu metrów, w którym można było pływać. Większość pozostawała jednak ukryta pod ładnie uformowanym wzgórzem porośniętym drzewami o szerokich liściach filtrujących powietrze.

Uznałem, że gdzieś głęboko w osłoniętej części zbiornika znajdę coś interesującego. Ponieważ Książęta potrafili wstrzymać oddech na mniej więcej pół godziny, z łatwością mogli się dostać do środka. Ale dla zwykłego człowieka to miejsce było w zasadzie niedostępne. Mroczne głębiny zbiornika zapewne odstraszały nawet nurków amatorów, a skoro czerpano z niego wodę do picia, bez wątpienia chroniły go także zapory sanitarne.

Gdy tylko odkryłem ten zbiornik, pomyślałem, żeby wybrać się tam w Ekkim, ale gdybym wałęsał się po okolicy w skafandrze próżniowym, czy nawet niósł go ze sobą, nie dotarłbym nawet na brzeg jeziora. Byłem pewien, że część mieszkańców została ostrzeżona, by mieć na mnie oko, a systemy bezpieczeństwa Siedliska zostały zaprogramowane tak, by mnie śledzić. Mimo że zarówno ludzki, jak i automatyczny nadzór miał luki, które mogłem zidentyfikować, nie zdołałabym niepostrzeżenie przetransportować skafandra do Delfina.

Ale w bagażu, który KSP pozwoliło mi zabrać z kapsuły bezpieczeństwa, miałem biotechowy szablon opisany jako wodne stworzenie ratownicze, będące udoskonaloną wersją ziemskiego delfina. Mogłem więc wyhodować dwumetrową hybrydę oddychającą zarówno na lądzie, jak i w wodzie, z płetwami, z pyskiem z przyssawkami i, co najlepsze, z regulowanym podajnikiem powietrza dla jeźdźca. Stworzenie

mogło osiągać prędkość trzydziestu kilometrów na godzinę, a także nurkować na głębokość siedemdziesięciu metrów i aportować.

Wystarczyło zanieść szablon w pobliże jeziora i tam wyhodować z niego stworzenie ratownicze – najlepiej z dala od czujnych oczu mieszkańców Siedliska. W tym celu musiałem zapewniać mu około stu pięćdziesięciu kilogramów substancji organicznych na każde dziesięć dni.

Oczywiście mogłem się mylić. Być może w zbiorniku nie było nic ciekawego albo Karalczanie zdążyli to odkryć dawno temu. Nie mogłem jednak wymyślić żadnej innej kryjówki dla starego imperialnego techu – a słabe psychotechowe echo sugerowało, że znalezisko jest warte zachodu.

Na szczęście kiedy następnym razem przechadzałem się wzdłuż brzegu, z wykrywaczem przecieków skierowanym do ziemi, znalazłem odpowiedź na pytanie, jak wyhodować wodne stworzenie ratownicze w tajemnicy. Zauważyłem kilka osób rozstawionych co dziesięć metrów wzdłuż jeziora. Każda z nich trzymała w rękach wędkę. Po odbyciu standardowej rozmowy na temat tunelu, piratów i floty Konfederacji dowiedziałem się, że łowienie ryb to bardzo popularne hobby wśród Karalczan. Wystarczyło zameldować się na konkretnym stanowisku w pobliżu wody i zarzucić wędkę. W jeziorze było mnóstwo ryb, jak poinformował mnie jeden z wędkarzy. Pokazał mi nawet pięciokilogramowego łotra, którego złapał. Za niewielką opłatą można było zabrać do domu wszystkie złowione ryby. Ja z kolei planowałem wyhodować na nich swoje stworzenie ratownicze.

Kiedy zaniósłem szablon na miejsce, przyjrzałem się niebu, a potem ścianie Siedliska, i spróbowałem określić lokalizację soczewek dalekiego zasięgu. Potem znalazłem trudno dostępne miejsce, szczelnie osłonięte drzewami natleniającymi, zarejestrowałem je jako stanowisko do wędkowania i wysłałem zamówienie na wędkę oraz kurs szkoleniowy. Oczywiście nie otrzymałem oprogramowania wgrywanego bezpośrednio do umysłu, tak jak dawniej w Imperium, ale interaktywna symulacja

holograficzna też działała całkiem niezle. Co ciekawe, kij mojej wędki nie został wytłoczony z biotechnu, ale wykonany z prawdziwego drewna, z drzew rosnących na tutejszej planecie. Ponadto miał kołowrotek z prymitywnego mechtechowego metalu i żyłkę wyprodukowaną z substancji pozyskiwanych z nafty. Najwyraźniej mieszkańcy traktowali wędkowanie bardzo poważnie.

Kilka dni później wodne stworzenie ratownicze rośło sobie w najlepsze na płyciźnie, kilka metrów od mojego spławika.

Dziwiło mnie, że chociaż mogłoby mi to przysporzyć kłopotów, bardzo chciałem powiedzieć Rejni, co planuję, zwłaszcza kiedy stworzenie osiągnęło prawie maksymalną wielkość. Z trudem się hamowałem, żeby niczego nie wypaplać, kiedy leżąc w łóżku, rozmawialiśmy o tym, jak spędziliśmy ostatnie dni rozłąki.

– Łaty, łaty i przecieki – powiedziałem z uśmiechem. – A co u ciebie?

Rejni odwróciła się do mnie.

– Czy to ci przeszkadza? Mam na myśli całe to łatanie. Jestem pewna, że wkrótce dostaniesz lepszą pracę. Może dołączysz do mnie na Rozpalaczu.

– Tak jest dobrze – zapewniłem ją pospiesznie. – Męczy mnie tylko to, że nie widuję cię codziennie.

– Powinieneś służyć w KSP – kontynuowała Rejni. – Przecież wiesz o systemach pokładowych i walce znacznie więcej ode mnie. Właściwie to nawet więcej od oficerów. I nawet od naszego kapitana.

Nie dodała, że pośrednio wynika to z faktu, że Księżniczka Atalin uśmierciła większość starych wyjadaczy. Poza tym w jej słowach kryło się niewypowiedziane pytanie. Zdążyliśmy przejść od niewerbalnych systemów komunikacji do poziomu wyrażania emocji za pomocą słów. I dlatego Rejni chciała wiedzieć o mnie coraz więcej. Interesowała ją moja przeszłość.

Zawahałem się przez moment, zanim postanowiłem wyjawić część prawdy.

– Ja... ach... Odbyłem dość intensywne szkolenie w Marynarce Wojennej. Ale zrezygnowałem i zostałem kupcem.

– Wiedziałaś! – wykrzyknęła Rejni, wskakując na mnie. – Powinieneś powiedzieć mamie! Na pewno moglibyśmy załatwić ci miejsce na Rozpalaczu.

– Rejni, zrezygnowałem ze służby w Marynarce Wojennej Żeglugi Piątego Świata, ponieważ nie chciałem zostać oficerem. I nic się pod tym względem nie zmieniło.

Mówiłem szczerze. Po powrocie do Imperium, który miał kiedyś nastąpić, zamierzałem opuścić Marynarkę Wojenną, jeśli to w ogóle było możliwe. Z pewnością istniały inne stosowne przykrywki dla weryfikatora. Może przyjmą mnie do Biura Geodezji. Naprawdę podobała mi się wizja przemierzania kosmosu.

– Ale jesteś nam potrzebny! – zaprotestowała Rejni. – Każda pomoc będzie nieoceniona.

– Flota Konfederacji przybędzie przed piratami – zapewniłem ją. – Wszyscy tak twierdzą.

– Bo chcą w to wierzyć – odparła Rejni. – Co nie znaczy, że tak będzie.

– Jeśli piraci dotrą tutaj przed Konfederacją – dodałem wolno – zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wam pomóc.

Rejni uśmiechnęła się i uściskała mnie mocno. Objąłem ją, rozmyślając o tym, jak bardzo nienawidzę tego, że nie mogę wyznać jej prawdy. A prawda była taka, że gdyby istniała możliwość, zniknąłbym stąd na długo przed przybyciem Konfederacji albo piratów.

Później, kiedy patrzyłem, jak śpi, zastanawiałem się, czy nie mógłbym zabrać jej ze sobą. Wiedziałem jednak, że to niemożliwe. W Imperium mogłaby być jedynie moją kochanką. Haddad nie odpuściłby, dopóki nie

oddałbym dziewczyny na programowanie umysłu. Oczywiście miałyby rację, nakłaniając mnie do tego, ale ja straciłbym w ten sposób swoją Rejni. Ponieważ ta, którą znałem, przestałaby istnieć. Równie dobrze mógłbym ją zabić. Dlatego nie mogłem jej tego zrobić.

Znacznie trudniej było mi pogodzić się z myślą, że gdyby nie była zaprogramowana, nie chciałyby być z Księciem Kemrim. Wiedziałem, że Imperium wyrządziło wiele złego jej ludziom, a jako Księżę, utożsamiałem Imperium. A przynajmniej tak uważałyby Rejni.

Sporo o tym rozmyślałem, bo chociaż zależało mi na powrocie do książęcego ciała, nie podzielałem poglądów Imperium w kwestii książęcych przywilejów. Ale ów problem był nierozwiązalny, ponieważ tych dwóch rzeczy nie dało się rozdzielić. Księżę i Imperium. Imperium i Księżę. Byłem tym, czym mnie uczyniono.

Następnego dnia rano Rejni została ponownie wezwana na służbę, a jej statek miał wkrótce wyruszyć w podróż. KSP skróciło wszystkim przepustki, ale nie było ani żadnych oficjalnych komunikatów o powodach tej decyzji, ani nawet żadnej wiarygodnej plotki.

Kolejnym dowodem na to, jak bardzo odwykłem od zachowań typowych dla Księcia, było podarowanie Rejni Ekkiego, po uprzednim zmanipulowaniu inteligencji skafandra za pomocą zręcznej psychotechnowej sztuczki. Jak dotąd nie widziałem na Karalczy lepszego skafandra próżniowego, dlatego tym bardziej powinienem był zachować go dla siebie. Ale jak udowodniłem już dwukrotnie, bardziej zależało mi na bezpieczeństwie dziewczyny niż na własnym.

I tak Rejni zabrała Ekkiego. Zduśiłem uczucie, które rozrywało mnie od środka – kiedy moje imperialne „ja” oddzielało się od nowo tworzącej się tożsamości – i zabrałem się do wyszukiwania i łatania przecieków, a potem do wędkowania.

Użyłem psychotechnu, żeby sprawdzić, jak przebiega rozwój stworzenia ratowniczego, i zdumiało mnie to, co odkryłem. Sądziłem, że potrzebuje jeszcze kilku dni, ale ono osiągnęło maksymalną sprawność. Samo poinformowało mnie, że złowiło dodatkową rybę, potrzebną do zakończenia transformacji.

Wszedłem do jeziora. Zimna woda sięgnęła mi do kolan, a potem do pasa. Stworzenie ratownicze podpłynęło do mnie, nadal zanurzone tak, że nie mogłem go zobaczyć.

Uniosłem rękę, ale się zawahałem. Nadszedł czas na podjęcie decyzji, chociaż nie spodziewałem się, że dojdzie do tego tak szybko.

Nie wiedziałem, co zrobić. To był mój pierwszy krok w kierunku Imperium, z powrotem do Księcia Kemriego. Jeśli zanurkuję teraz do jeziora i tak jak się spodziewałem, odkryję statek, moje dawne życie znajdzie się w zasięgu ręki.

Będzie to jednak także pierwszy krok oddalający mnie od Rejni. W dodatku nie będę mógł go cofnąć. Czy naprawdę chciałem porzucić Rejni i wrócić do Imperium?

– Kocham ją – szepnąłem, smakując słowa na języku. Nie wypowiedziałem ich jeszcze w obecności Rejni, a teraz, kiedy chciałem to zrobić, było za późno.

Ale czy na pewno?

Zrobiłem krok w tył, a woda zafalowała wokół moich kolan. Ostatecznie jednak tafla się wygładziła.

Kim tak naprawdę chciałem być? Kemem, który odkrył, że wszechświat jest bardziej zróżnicowanym i cudowniejszym miejscem, niż wcześniej podejrzewał? Czy Księciem Kemrim, który był tylko trybikiem w potężnej maszynie? Wiedziałem już, że ten obdarowany licznymi przywilejami trybik nie miał jednej rzeczy: wolności. Żaden z Książąt nie mógł obrać innej drogi niż ta, którą wytyczyło dla niego Imperium.

Wydawało mi się, że stałem tak bardzo długo, chociaż zapewne nie trwało to dłużej niż kilka sekund. Czułem się rozdarty między tym, kim byłem, a tym, kim mogłem się stać.

Kiedy cofnąłem nogę, na powierzchni pojawił się wir. Zdecydowanym krokiem ruszyłem na brzeg – podjąłem ostateczną decyzję.

W pewnym momencie sztuczne niebo pierścienia zmieniło kolor z niebieskiego na krwistoczerwony, przy akompaniamencie długiego elektronicznego pisku, po którym rozległy się trzy krótkie wybuchy, powtarzane raz za razem.

Wiedziałem, co to oznacza. Był to sygnał oznaczający, że wszyscy członkowie KSP mają się zameldować w stacjach wojskowych, a wszyscy cywile w punktach zbornych. Oczywiście nie było większych szans na sprowadzenie stu pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców Siedliska w dół na planetę, ale zakładałem, że musieli spróbować.

Istniał tylko jeden możliwy powód tego alarmu. Tunel musiał odblokować się wcześniej, niż zakładano.

Nadciągali piraci.

Rozdział 20

Przez kilka sekund nie mogłem się ruszyć. Myślałem tylko o Rejni. Jej okręt miał wyjść piratom naprzeciw, podobnie jak kilka innych, które przynajmniej częściowo wyremontowano w ciągu ostatnich czterech miesięcy. Pełni złudnej nadziei, zbyt młodzi albo zbyt starzy, żeby walczyć, w archaicznych, kiepsko uzbrojonych statkach zwyczajnie nie mieli szans.

– Kem! Kem Gryfon!

Odwróciłem się zdumiony. Nieznani mi mężczyzna i kobieta wyłonili się spomiędzy drzew. Oboje byli ubrani w zielono-czarne kombinezony służb bezpieczeństwa i trzymali w pogotowiu szyfratory synaptyczne.

Pewnie byłem obserwowany uważniej, niż sądziłem.

– Nie ruszaj się i podnieś ręce!

Kolejny raz zmieniłem zdanie. Nie zamierzałem skończyć jako więzień. Jeśli pozostanę na wolności, a w tym jeziorze rzeczywiście ukryto statek, być może zdołam zrobić coś użytecznego. Nawet jeśli nie dla niewdzięcznych Karalczan, to przynajmniej dla Rejni.

Pomachawszy do agentów bezpieczeństwa, wskoczyłem do jeziora. Stworzenie ratownicze, tak jak zostało wyszkolone, zanurkowało przede mną, żebym mógł się usadowić na jego grzbiecie. Wypuściłem powietrze w postaci bąbelków, po czym przyłożyłem usta do podajnika powietrza. Następnie wydałem zdecydowany rozkaz za pośrednictwem psychotechnu, a zwierzę zabrało mnie w dół, w kierunku mrocznych głębin jeziora, prosto do wewnętrznego zbiornika.

Bez sztucznych oskrzeli agenci nie będą w stanie ruszyć za mną w pościg w najbliższym czasie, a szczerze wątpiłem, żeby Karalczanie

dysponowali tym techem. Jeśli dopisało mi szczęście, w ogóle nie zauważyli stworzenia ratowniczego i będą przeczesywali linię brzegową, spodziewając się, że w końcu gdzieś się wyłonię.

Jeziro od zbiornika odgradzała sztywna, przepuszczająca wodę powłoka, mająca utrzymać ryby i potencjalnych pływaków z dala od wody pitnej, ale ja wiedziałem, że gdzieś tam musiało znajdować się przejście. Dzięki sonarowi stworzenia ratowniczego, do którego mogłem się podpiąć, szybko znalazłem zdumiewająco szeroką śluzę powietrzną, znacznie większą od każdego kanału technicznego. Była zamknięta, ale obszedłem system bezpieczeństwa dzięki bezpośredniemu psychotechnowemu rozkazowi, który odblokował zarówno wejście, jak i wyjście.

W zbiorniku panowała absolutna ciemność, a ja kolejny raz zatęskniłem za swoimi ulepszonymi oczami. Zwierzę miało jednak swój sonar, więc wykorzystałem go do przeszukania pomieszczenia, tworząc obraz wnętrza zbiornika.

Najbardziej zaciekała mnie jedna ze ścian, ta sama, która tworzyła jednocześnie zewnętrzny mur pierścienia Delfina. Gdyby w jakimś miejscu okazała się grubsza niż standardowe pięć metrów, a zbiornik wyraźnie by się tam zwężał, byłby to znak, że coś zostało ukryte po drugiej stronie.

Ale to, co znalazłem, wcale nie tkwiło w ścianie. Stało tuż przede mną na samym środku zbiornika, bezwstydnie na widoku. Pewnie można było uznać, że to jakiś ogromny system filtrujący, ale ja od razu rozpoznałem charakterystyczny kształt spodka.

Była to mechtechowo-biotechowa hybryda, statek wyrzutnia klasy Korkrek, zaprojektowana maksymalnie trzysta lat temu. Jeśli została w pełni wyposażona, miała nie tylko mechtechowy napęd warp oraz napędy międzyplanetarne, ale także jednozałogowy statek Kragor, który można było wystrzelić niczym z procy z bardzo dużą prędkością, oraz system kontroli grawitacji o dużym zakresie, odpowiedni do przechwytywania

kosmicznych śmieci i ciskania nimi, jak również do wypuszczania w przestrzeń myśliwców.

D o k ł a d n i e o takim okręcie marzyłem przez długie lata spędzone w świątyni szkoleniowej. Był wysoce zautomatyzowany, więc mogłem pilotować go w pojedynkę, przynajmniej przez jakiś czas. Idealnie nadawał się na tajny osobisty transportowiec Księcia. Doskonale sprawdziłby się zarówno podczas ucieczki, jak i na polu bitwy.

Pokierowałem stworzenie ratownicze do miejsca, w którym spodziewałem się znaleźć właz, chociaż na sonarze niczego nie było widać. Oparłem dłoń na gładkim metalowym kadłubie i przesłałem polecenie.

„Bezzwłocznie przekaz raport o stanie przejmującemu dowodzenie Księciu Kemriemu «identyfikator»”.

Z wrażenia omal nie zapomniałem pobierać tlenu z podajnika, kiedy czekałem na odpowiedź. Nie nadeszła od razu. Ale zanim w końcu ją otrzymałem, poczułem wibracje kadłuba.

„Witaj, Książę Kemri «identyfikator» na Korkreku 1118. Stan: wybudzenie z uśpienia, wszystkie systemy w pełni sprawne”.

Kiedy właz się otworzył, woda wepchnęła mnie do środka razem z moim zwierzęciem ratowniczym.

„Nie zamykaj drzwi zewnętrznych”.

Wstrzymałem oddech i poinstruowałem stworzenie, żeby wróciło do jeziora, gdzie mogło przetrwać i być może przysłużyć się jakoś Karalczanom. Poza tym istniało prawdopodobieństwo, że zajmie przez jakiś czas duet ze służb bezpieczeństwa, a także posiłki, które zapewne przybyły mnie szukać.

Gdy tylko zwierzę odpłynęło, rozkazałem statkowi zamknąć zewnętrzne drzwi i wyrównać ciśnienie. Wydawało mi się, że czekam całą wieczność, chociaż nie mogło to trwać dłużej niż dwie minuty. Po prostu kolejny raz

zapomniałem, że bez usprawnień nawet tak prosta czynność jak wstrzymanie oddechu pod wodą może stanowić wyzwanie.

Krztusząc się odrobinę, opuściłem śluzę powietrzną i wszedłem w głąb statku. Jego kadłub został wykonany z mechtechu, co wcale nie było oczywiste, gdyż poprzedni Książę, który nim dowodził, miał bardzo osobliwy gust. Podłogi wykonano z jakiegoś pseudomarmuru ze złotymi żyłkami, a ściany wyłożono boazerią z biotechowej reprodukcji drewna kasztanowego o intensywnie żółtym połysku. Włazy i drzwi, choć uzbrojone imperialnym mechtechem, także zostały osłonięte biotechowym drewnem ognioodpornym. W efekcie wnętrze statku przypominało domostwo z epoki antyku na starej Ziemi. Na mostek prowadziły nawet spiralne schody. Kiedy wspinałem się po stopniach, wyczułem obecność przełączników w przestrzeni psychotechowej, dzięki którym można było przekształcić klatkę schodową w szyb zrzutowy.

Podobało mi się. Ktokolwiek urządził ten statek, miał zapisany w głowie podobny psychotechowy bios jak ja. Może wzorował się nawet na jednym z okrętów opisanych w jakimś odcinku *Triumfów Księcia Garikma*.

Wszedłem na mostek kapitański przez podwójne drzwi obite brązowo-zieloną skórą, które rozsunęły się bezgłośnie. W kominku natychmiast zapłonął ogień, a ogromny fotel ze szkarłatnej skóry obrócił się przodem do mnie. Usiadłszy na nim, wyczułem obecność biotechowej inteligencji statku, z niecierpliwością wyczekującej mojej uwagi.

„Przejmuję dowodzenie”.

Nastąpiła niepokojąca przerwa, zanim statek odpowiedział.

„Psychotech potwierdzony. Biotech nietypowy. Wymagany kod”.

Ogarnął mnie lęk. Moje ciało nie miało prawidłowej biotechowej sygnatury, a ja nie znałem kodów odpowiednich dla tego statku.

„Tutaj weryfikator funkcjonujący w nieulepszonej powłoce cielesnej. Zezwól na dowodzenie przejściowe, zanim kontakt z Imperialnym

Umysłem umożliwi potwierdzenie tożsamości”.

Położyłem duży nacisk na ten komunikat, używając całej swojej mentalnej mocy. Miałem nadzieję, że przekonam w ten sposób statek. Poza tym nie było wykluczone, że do jego bazy danych wprowadzono zaszyfrowane tajne informacje o weryfikatorach.

Ponownie musiałem zaczekać na odpowiedź. Niemal wyczuwałem procesy myślowe biotechowego mózgu ukrytego w głębi statku, kiedy rozważał moje słowa.

„Wyrażam zgodę. Tymczasowe dowodzenie potwierdzone. Połączenie z Imperialnym Umysłem niemożliwe. Brak przekaźników. Brak kapłanów w kriostazie”.

Odetchnąłem z ulgą, opadając na duży fotel. Zaintrygowało mnie, że na statku znajdowały się komory kriostazy. Niewiele imperialnych statków tej wielkości było wyposażonych w urządzenia do transportowania personelu w stanie hibernacji. Ta technologia miała swoje wady, gdyż traciło się jednego uspięnego na dziesięciu, ale pozwalała oszczędzić zapasy podtrzymujące życie i umożliwiała upchnięcie dużej liczby personelu na małej przestrzeni.

„Podaj stan komór kriostazy”.

„W kriostazie pogrążonych jest czternastu służących mechbio model Kergek-Alisz, dziesięciu kawalerzystów mechbio II, poprawiony model Gilgagr, sześć małych dronów mechbio, model Leisz, trzech zaprogramowanych ludzi z kategorii kochanek, płci męskiej, trzech zaprogramowanych ludzi z kategorii kochanek, płci żeńskiej. Siedemnaście w pełni sprawnych komór kriostazy pozostaje pustych. Cztery komory kriostazy są uszkodzone”.

To wszystko było bardzo interesujące. Bez wątpienia znalazłem osobistą jednostkę ratunkową Księcia, o czym świadczyła obecność służących i kochanków. Przy okazji rodziło się pytanie, czemu Książę Ksaodzek nie

zabrał tego statku, kiedy prawie trzysta lat temu opuszczał planetę. Próbowałem wypytywać Rejni i jej rodziców o wycofanie się sił Imperium z tego systemu. Krążyłem wokół tematu, owijałem w bawełnę. Oni jednak niczego mi nie wyjaśnili, a ja nie mogłem przejrzeć bazy danych Siedliska bez wzbudzania podejrzeń Alice. Z ogólnodostępnych źródeł dowiedziałem się tylko tyle, że okres, który nastąpił tuż po wycofaniu się Księcia, budzi wiele wątpliwości. Z nielicznych zachowanych dokumentów nie wynikało jasno, co się tak naprawdę wydarzyło.

Uznałem więc, że równie dobrze mogę zapytać o to statek.

„Czy Książę Ksaodzek był twoim poprzednim dowódcą?”

„Tak. Książę Ksaodzek «identyfikator»”

„Podaj mi ostatnią potwierdzoną pozycję Księcia Ksaodzeka i określ czas”.

„Tranzyt do systemu Jegre na pokładzie imperialnego statku kosmicznego Lorgra. Od przesłania raportu minęły dwieście sześćdziesiąt dwa lata, cztery miesiące, trzy dni, sześć godzin i czterdzieści pięć minut”.

„Podaj stanowisko i przynależność do służb Księcia Ksaodzeka”.

„Gubernator Planetarny, Karalcza Cztery, Rząd Imperialny”.

„Czy Książę Ksaodzek został wezwany do odwrotu przez starszego rangą Księcia czy przez Imperialne Jądro?”

„Brak informacji”.

„Wiesz, dlaczego Książę Ksaodzek opuścił system i nigdy nie wrócił?”

„Brak informacji”.

Postanowiłem zapomnieć o dawnych wydarzeniach i skoncentrować się na teraźniejszości.

„Kiedy systemy będą gotowe do startu?”

„Za godzinę, trzydzieści trzy minuty i piętnaście sekund... czternaście sekund...”

„Pokaż dane systemu dostępne ze skanerów”.

„Dane ze skanera jednoprzebiegowego przestrzeni zerowej osiemdziesiąt dwa procent pewności, dane ze skanera ciągłego nie są jeszcze dostępne”.

Spojrzałem na ścianę, a potem na sufit, ale nie znalazłem tego, czego szukałem. Nie dostrzegłem także bezpośredniego zasilania nerwowego psychotechnu.

„Gdzie jest projekcja skanu?”

„W kominku. Książę Ksaodzek lubił, żeby dane prezentować mu w ogniu”.

Chociaż było to dość niezwykle, uznałem, że nie do mnie należy ocenianie upodobań innych. Odwróciłem głowę w stronę kominka, a wtedy fotel wyposażony w biomechanizm informacji zwrotnej zmienił pozycję tak, że znalazłem się naprzeciwko ognia. Natychmiast ujrzałem holograficzną prezentację systemu okoloną prawdziwymi płomieniami. Ale bez ulepszonych oczu nie mogłem dojrzeć szczegółów. Zniecierpliwiony, sięgnąłem po hologram i wyciągnąłem go z płomieni, a potem używając standardowej techniki dotykowej, powiększyłem i przewinałem informacje, żeby zobaczyć to, co chciałem.

Z tunelu czasoprzestrzennego wyłoniło się szesnaście statków, w czterech formacjach po cztery, prezentując znaczną precyzję wojskową. Nacierają na Karalczę Cztery z prędkością 5g, co sugerowało, że były wyposażone w system kontroli grawitacji. Z całą pewnością nie były to stare, poobijane wraki. Leciały dokładnie w kierunku pięciu znacznie wolniejszych statków KSP, z którymi miały się spotkać za mniej więcej czterdzieści godzin. Jednym ze statków KSP był Rozpalacz, wiozący na pokładzie technika do spraw komunikacji, kapitan Rejni Gryfon.

Podświetliłem piracką flotę.

„Pokaż mi wszystkie dane tych statków i oszacuj moment przechwycenia przy maksymalnym przyspieszeniu bojowym... ee... Mamy na pokładzie jakiś sprawny statek jednozałogowy?”

„Jeden statek jednozałogowy Kragor III klasy jest właśnie szykowany po unieruchomieniu. Ożywić służących mechbio, żeby przyspieszyć prace?”

„Zezwalam. A, i ożyw jeszcze kawalerzystów i drony mechbio”.

„A kochanków?”

„Nie... zostaw ich pod lodem”.

Ponownie spojrzałem na hologram. Dawno nie dowodziłem statkiem, a poza tym zdawałem sobie sprawę, że mój mózg nie pracował tak szybko jak dawniej. No i trochę rozpraszała mnie woda kapiąca mi z nosa.

„Ee, przedstaw raport o potencjale bojowym i przyślij służącego z ręcznikiem”.

„Służący wróci do życia za czternaście minut. Magazyny z bronią od pierwszego do szóstego są puste. Magazyny z bronią od dwunastego do osiemnastego są puste. Magazyny z bronią od siódmego do dziesiątego są pełne. Do wykorzystania zostało czternaście standardowych mechtechowych rakiet Lixgur i biotechowy penetrator miotający płatami kinetycznymi”.

Z całego tego gładzenia statku dowiedziałem się tyle, że połowa uzbrojenia została usunięta z pokładu. Na szczęście zostały jeszcze dwie sztuki broni energetycznej, a także wystarczająco dużo pocisków, żeby narobić komuś kłopotów. Poza tym miałem do dyspozycji prawie całkowicie uzbrojony statek jednozałogowy, który będzie gotowy do walki za kilka godzin.

Ale nie to interesowało mnie najbardziej. Przyglądałem się flocie KSP, a w szczególności okrętowi, który moim zdaniem był Rozpalaczem, i myślałem o Rejni. Cokolwiek się wkrótce wydarzy, już nigdy więcej jej nie spotkam. Ta mała pomarańczowa ikonka statku była ostatnim łączącym nas ogniwem. Kiedy ją obserwowałem, kolejny raz otarłem nos, a potem jeszcze oczy, ponieważ w ich kącikach zaczęła zbierać się woda, która zamazywała mi widok.

Statek wciąż przekazywał informacje, kiedy dostrzegłem na hologramie coś jeszcze. Była to maleńka zielona ikonka spowita pyłem asteroidalnym i szczątkami, które tworzyły pierścień wokół gazowego giganta, Karalczy Sześć.

Dotknąłem tego punkciku.

„Co to takiego?”

Statek przerwał zdecydowanie zbyt szczegółowy raport o stanie uzbrojenia. Nastąpiła dziwna chwila ciszy, zanim odpowiedział.

„Punkt obserwacyjny Biura Geodezji Imperium Lozren-Wassek”.

Ikona pod moim palcem zbladła.

„Hej, co się stało?”

„Nie rozumiem pytania”.

Dźgnąłem hologram palcem.

„Co się stało z punktem obserwacyjnym Biura Geodezji w pierścieniu gazowego giganta w tym miejscu?”

„Opóźniona aktualizacja bazy danych. Dysonans między przestrzenią zerową a przestrzenią rzeczywistą. Nie ma żadnego punktu obserwacyjnego Biura Geodezji”.

Chociaż wiedziałem, że to możliwe, nie uwierzyłem w tę wersję. Moim zdaniem punkt obserwacyjny Biura Geodezji Imperium rzeczywiście tam był, ale jakiś Książę – albo Imperialny Umysł – rozkazał mojemu statkowi go nie dostrzegać.

Cała ta sprawa wyglądała podejrzanie: Atalin przysłana, żeby roznieść w pył obrońców planety, wyszkoleni piraci ze stosunkowo nowoczesnymi statkami, punkt obserwacyjny Biura Geodezji ukryty w pierścieniu gazowego giganta i nawet to, że ze wszystkich możliwych systemów trafiłem właśnie do tego. Oczywiście nie mogłem być pewien, czy to wszystko istotnie zostało ukartowane w ramach mojego testu na

weryfikatora, czy może zaangażowany był w to ktoś jeszcze i ta osoba pociągała za sznurki.

– Kimkolwiek jesteś, mam nadzieję, że dobrze się bawisz – mruknąłem.

„Pytanie?”

– Nie do ciebie, statku – odparłem wolno. – Czy ty w ogóle masz jakieś imię?

„Jak cię nazywał Ksaodzek?”

„Statkiem”.

„Hm, a pod jaką nazwą figurujesz na liście Marynarki Wojennej?”

„Zapasowy statek Korkrek 1118”.

Westchnąłem. Przywykłem do rozmów z ludźmi. Komunikowanie się z biotechnowym mózgiem statku kosmicznego przypominało konwersację z zaprogramowanym służącym.

„Będę cię nazywał Korker”.

„Korker. Kore-ker”.

„Bardzo dobrze, Korker. Wyznacz kurs, który nie wyrządzi żadnych szkód w Siedlisku albo ograniczy je do minimum, a potem pozwoli nam minąć flotę KSP z maksymalnym przyspieszeniem, poza polem rażenia ich broni. Zaatakujemy tę flotę tutaj. Najpierw wystrzelisz płyty kinetyczne, a zaraz potem jednozałogowy statek, który będę pilotował osobiście. Następnie zrobię pętlę, żebyś mógł mnie przechwycić, i odleciemy przez ten tunel czasoprzestrzenny tutaj”.

Uderzałem palcem w hologram, podając wytyczne Korkerowi.

„Pokaż połączenia tunelu z tego wyjścia z najbliższą posiadłością Imperium według twojej bazy danych”.

Gwiazdne mapy Karalczan, które przeglądałem, nie okazały się pomocne. Zawierały szczegółowe dane dotyczące Konfederacji i niektórych rejonów poza jej granicami, ale niewiele wskazówek dotyczących

Imperium. Wszystko wskazywało na to, że nie korzystano z wyjścia przez tunel czasoprzestrzenny, a nawet jeśli było inaczej, nikt już nie wracał.

Z kolei Korke miał wszystkie gwiazdne mapy, których potrzebowałem, nawet jeśli pochodziły sprzed kilkuset lat. Według jego informacji najbliższa posiadłość Imperium znajdowała się jedyne trzy tranzyty przez tunele stąd. Najpierw trzeba było się dostać do obcego świata o niewymawialnej nazwie, a potem do Xinxri pod auspicjami Imperium. Skoro system znajdował się pod kontrolą Rządu Kolonialnego, na pewno znajdzie tam Księcia, a także świątynię. To się raczej nie zmieniło w ciągu kilku ostatnich stuleci, odkąd baza danych Korkeera została zaktualizowana. Nadal nie rozumiałem, dlaczego Imperium zrezygnowało z Karalczy, ale wartościowe obce światy stanowiły rzadkość, dlatego byłem przekonany, że Xinxri nadal znajduje się pod rządami Imperium.

Wtargnięcie do świątyni mogło się okazać kłopotliwe, ale z radością zostawiłem problemy kolejnego dnia na kolejny dzień.

Dzisiaj musiałem zająć się piratami i jak zwykle okazałem się zbyt pewny siebie, o czym wkrótce poinformował mnie Korke.

„Wstępne analizy dalej położonej floty sugerują, że najważniejszy okręt ma grawitonowe pole tłumiące, które może zmienić kierunek płatów kinetycznych, tak że nie uderzą we flotę”.

Jakie to typowe! Kiedy chociaż raz dorwałem w swoje ręce zaawansowany tech, okazało się, że wróg też takim dysponuje.

„Przedstaw raport o możliwościach i tożsamości wroga. Czy przesyła komunikaty?”

„Okręty wroga podają, że są własnością Porojawiańskiego Kolektywu Dobrobyt SA. To kopie imperialnego mechtechnu niewiadomego pochodzenia. Ich potencjał militarny odpowiada jednemu lekkiemu krążownikowi klasy Lizgro, trzem niszczycielom klasy Diszko i czternastu transportowcom klasy Leolek”.

Oparłem się na fotelu i pogрузyłem w myślach. Lekki krążownik Lizgro był prawdziwą łyżką dziegciu w beczce miodu. Transportowce nie stanowiły problemu dla mojego superokrętu, podobnie jak trzy sztuki Diszko. Ale Lizgro był statkiem, który wyprodukowano zaledwie trzydzieści albo czterdzieści lat temu. Bardzo zdumiała mnie jego obecność na Peryferiach, ponieważ w akademii uczono mnie, że potrzeba średnio ponad siedemdziesięciu pięciu lat, by skutecznie skopiować projekt Imperium. Oczywiście nie mógł mieć psychotechnowych usprawnień prawdziwego statku Imperium, ale podstawowy projekt uwzględniał wszystkie mechtechowe bajery, takie jak kontrola grawitacji czy ekrany grawitonowe, mogące ochronić całą flotę przed atakiem płatów kinetycznych. Poza tym był doskonale uzbrojony, więc biotechnowy penetrator załadowany na Korkera mógł wyrządzić mu większą szkodę jedynie z bardzo bliskiej odległości.

Musiałem wyeliminować Lizgro w pierwszej kolejności za pomocą statku jednozałogowego, a wtedy Korker będzie mógł zniszczyć pozostałe statki płatami kinetycznymi, czyli pociskami osiagającymi nawet jedną piątą prędkości światła.

Statki jednozałogowe zostały stworzone tak, żeby mogli je pilotować Książęta. Oczywiście mogłem nim dowodzić za pomocą swojego psychotechnu. Nie spodziewałem się jednak, że dojdzie do tego w sytuacji, gdy będę musiał stawić czoło prawdziwemu wrogowi, nacierając na niego z pełnym przyspieszeniem. Kragory wykorzystywały większość mocy do pilotażu, więc ich wewnętrzny system kontroli grawitacji był znacznie mniej potężny od tego używanego w większych statkach i jedynie ograniczał obciążenie grawitacyjne, zamiast je niwelować. Żeby skutecznie zaatakować Lizgro i uniknąć jego broni, musiałbym wykonać natarcie z przyspieszeniem 40 g, co oznaczało efekt 10 g w kokpicie przez co najmniej trzydzieści minut. Jako Książę miewałem przy takich

przejażdżkach chwilowe utraty przytomności. W ciele zwykłego człowieka byłem bez szans. Mój mózg zamieniłby się w miazgę, a krew wyciekłaby mi nosem i rozbryzgała się po całym kokpicie.

Dlatego po prostu nie mogłem się mierzyć z takim nowoczesnym statkiem jak Lizgro.

Rozważałem to przez kilka sekund. Oczywistym rozwiązaniem była rezygnacja z ataku na piratów i czmychnięcie wyjściem prowadzącym przez tunel z powrotem do przestrzeni Imperium. Każdy rozsądny Książę postąpiłby w ten sposób.

Niemniej ja nie byłem już rozsądnym Księciem i uważałem, że wytrzymam siłę przeciążenia 10 g przez trzydzieści minut, jeśli podejmę odpowiednie środki bezpieczeństwa.

„Korker, zakładam, że masz na pokładzie biotechnowy róg obfitości?”

„Są trzy. Dwa do celów ogólnych i jeden z wytwornym jedzeniem. Brakuje kilku wyspecjalizowanych materiałów prototypowych”.

„W porządku. Wyprodukuj tyle biotechnowego żelu akceleracyjnego, żeby wypełnić kokpit statku jednozałogowego i dodatkowo dwadzieścia procent tej ilości. I bezzwłocznie trzeba mi zaimplementować symbiont medyczny”.

„Gotowe”.

Poczułem drobne ukłucie na ramieniu, więc zerknąłem w dół. Ujrzałem zasuwający się panel. Nie zdążyłem więc nawet przyjrzeć się aplikatorowi, który chwilę wcześniej wyciął kwadratowy skrawek z mojego kombinezonu i zaaplikował mi symbionta. Był to znacznie bardziej zaawansowany model od tego, którego użyłem do ratowania Rejni. Nie potrzebował aplikatora jako przekaźnika, ponieważ zdążył już wyhodować powłokę wizyjną na moim ciele. Właśnie pokazywały się na niej dane dotyczące mojego ogólnego stanu zdrowia, a także czerwone światło alarmowe.

Zaskoczony, natychmiast skupiłem się na alarmie. Okazało się, że między kostkami trzeciego i czwartego palca mojej prawej dłoni znajdował się obcy przedmiot wielkości łebka od szpilki.

Urządzenie namierzające.

Kazałem symbiontowi je zniszczyć. Najwyraźniej KSP i komandor porucznik Alice nie byli tak ufni, jak sądziłem. A może chodziło wyłącznie o troskę rodzicielską. Tak czy inaczej, wiedzieli, że dotarłem do zbiornika i zniknąłem, gdy tylko znalazłem się za ekranami ochronnymi statku.

Do tej pory poszukiwania musiały nabrać rozmachu, zważywszy, że przypadkiem moje zniknięcie zbiegło się z przybyciem piratów do systemu.

„Kiedy startujemy?”

„Za godzinę, pięć minut i piętnaście sekund”.

Zawahałem się, niepewny, jak najlepiej postąpić, oczywiście przy uwzględnieniu tego, że całkiem straciłem rozum i nie zamierzałem na zawsze opuszczać Karalczy.

„Skanery wykryły obecność małych oddziałów ludzi wyposażonych w sprzęt do nurkowania. Zbliżają się tutaj przez zbiornik. Namierzam ich promieniem teledetekcji. Strzelać?”

„Nie strzelaj! Przełącz mnie na system łączności Siedliska. Zlokalizuj komandor porucznik Alice Gryfon i połącz mnie z nią”.

W kominku pojawił się kolejny panel holograficzny, częściowo zachodzący na obraz ze skanera. Chwyciłem go gwałtownie i przyciągnąłem do siebie. Pokazywał centrum dowodzenia. Panowało tam prawdziwe zamieszanie – mniej więcej pięćdziesiąt osób w mundurach wskazujących na przynależność między innymi do KSP pracowało przy indywidualnych stanowiskach dowodzenia, będących techowymi hybrydami i wyposażonych w trzy albo cztery ekrany holograficzne zamontowane na biotechowych łodygach, które dostarczały energię oraz sygnały nerwowe niezbędne do przesyłania danych.

Stanowiska dowodzenia tworzyły pięć koncentrycznych pierścieni i łatwo było zauważyć, że im bliżej środka ktoś siedział, tym wyższy miał stopień. Alice Gryfon zajmowała miejsce w samym centrum. Tak jak większość grupy miała na głowie słuchawki i uważnie przysłuchiwała się nadawanym komunikatom.

„Połącz się i wyświetl mój obraz oraz głos na jednostce holograficznej przed Alice Gryfon”.

Mój ekran rozbłysnął i teraz patrzyłem bezpośrednio na Alice, a ona na mnie. Chociaż na początku szeroko otworzyła usta, szybko zapanowała nad oszołomieniem.

– Cześć, Alice – powiedziałem. – Hm, chciałem się z tobą skontaktować, żeby... wprowadzić cię w pewne szczegóły, które powinnaś poznać.

– Jesteś na statku w zbiorniku – odezwała się wolno Alice.

– Tak – odparłem. – Posłuchaj, to nie jest dokładnie tak...

– Klucz Złota Tajga Rosamond, wykonać – powiedziała Alice, chociaż nie do mnie. Zamknęła oczy, zanim dodała szeptem: – Wybacz mi, Rejni.

Rozdział 21

– Czy coś powinno się wydarzyć? – zapytałem uprzejmie Alice.

Tym razem kobieta nie zdołała ukryć ogromnego zdumienia.

Z kolei Korker zdał raport:

„Powstrzymano inicjację syntezy termojądrowej w bliskiej odległości. Urządzenie zostało uszkodzone”.

„Jakie urządzenie?”

„Mina jądrowa będąca kopią modelu Firez-Waltav 231, umieszczona pod podłogą zbiornika, pod moim kadłubem trzydzieści dwa lata temu w zastępstwie poprzedniego urządzenia. Zagrożenie zerowe”.

Zatem Karalczanie znali lokalizację statku. Po prostu nie mogli go wydostać ani w żaden sposób wykorzystać. Żywili jednak nadzieję, że mina jądrowa zlikwiduje go w ekstremalnych okolicznościach, na przykład wtedy, kiedy ktoś spróbuje wykorzystać go przeciwko nim. Alice założyła, że właśnie taki mam plan.

– Zaczekaj! – rzuciłem pospiesznie, kiedy szok na twarzy Alice ustąpił miejsca determinacji. – Nie podejmuj pochopnych decyzji. Chcę wam pomóc.

– Pomóc? – powtórzyła ponuro. – Żeby ocalić większe łupy dla siebie i pozostałych piratów?

– Nie trzymam z piratami, Alice – odparłem stanowczo.

– Więc służyysz Imperium, które pomaga piratom.

– To też nieprawda – odparłem. Kilku kolejnych oficerów KSP, a wśród nich mężczyzna, w którym rozpoznałem ich dowódcę, admirała Wylliana Sfinksa, podeszło do stanowiska Alice. – Nie miałem pojęcia o ataku

piratów, ale ja... hm... tymczasowo pracuję dla Księcia, który nie jest zaangażowany w wasze sprawy. I wątpię, żeby Imperium rozkazało oczyścić drogę piratom. Moim zdaniem to wyłącznie prywatna inicjatywa.

– P r y w a t n a i n i c j a t y w a, żeby zabić ponad dwanaście tysięcy mężczyzn i kobiet i zostawić kolejne tysiące na łaskę piratów i handlarzy niewolników? – warknęła Alice.

– Nie zamierzam dyskutować w tej chwili o metodach działania Imperium ani o jego moralności – uciałem. – Chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś nie robiła nic głupiego, ponieważ ten statek odpowie na każdy atak, a ponadto...

Przygryzłem wargę w chwili wahania. Mogłem się jeszcze rozmyślić. Ale w pewien sposób wyjawienie matce Rejni planów przypieczętowało mój los. Uważałem, że to głupie i bezsensowne, i nie rozumiałem, dlaczego kilka prostych słów mogło zmobilizować mnie do działania, ale tak właśnie było.

– A ponadto – powtórzyłem, po czym nabrałem powietrza – poprosiłem Księcia dowodzącego tym statkiem, żeby zniszczył piratów... a on się zgodził.

– Jest tam Książę? – zapytał admirał, wtrącając się do rozmowy, podczas gdy Alice patrzyła na mnie bez słowa, a jej oczy wyglądały tak, jakby mogły wypalić dziurę w imperialnej zbroi.

– Tak – powiedziałem, zmuszając umysł do wytężonej pracy. – Trwał w kriostazie. Wysłano mnie, żebym go odnalazł i wybudził.

– Chcemy rozmawiać z Księciem – zażądał admirał Sfinks.

Pokręciłem głową.

– On... jest zajęty. Powinniście być wdzięczni, że zgodził się zaatakować piratów. Dysponują nowoczesnym techem i nie będzie łatwo ich pokonać.

– Kim jesteś? – zapytała Alice, ignorując admirała, który zamierzał dodać coś jeszcze. – Czym jesteś?

Kim byłem? Czym byłem? Sam już tego nie wiedziałem.

– Przeskanowaliście mnie, więc w i e s z, że jestem zwykłym człowiekiem – odparłem, starając się patrzeć jej prosto w oczy. – Kupcem z Peryferii. Handluję z niektórymi ze światów Imperium. Podczas jednego z moich przystanków pewna Księżniczka złożyła mi propozycję nie do odrzucenia. Miałem tutaj przybyć i odzyskać uśpionego Księcia oraz jego statek. Nie wiem, czemu jej zależało, żeby zrobić to po cichu. Książęta... Książęta działają w sposób niezrozumiały dla nas, zwykłych śmiertelników.

Potem spojrzałem Alice prosto w oczy.

– Nie wiedziałem, że spotkam Rejni. Nie wiedziałem, że... że się w niej zakocham.

Kiedy wypowiedziałem te słowa, nabrały mocy.

Alice chciała coś powiedzieć, ale admirał odsunął ją na bok.

– Książę naprawdę zamierza zaatakować piratów?

– Tak – odparłem. – Ma u mnie dług.

– Jak szybko dotrzecie na pozycje wroga? – zapytał admirał.

Niemal jednocześnie przesłałem Korckerowi telepatyczne zapytanie, a on mi odpowiedział. Był nieporównywalnie szybszy od floty KSP, ponieważ mógł utrzymać przyspieszenie na poziomie 25 g, jednocześnie zapewniając swojej załodze wewnątrz komfortowe 1 g.

– Za dwadzieścia jeden godzin – poinformowałem. – Znacznie wcześniej niż wasza flota, admirale.

Zamrugnął, ale na pewno nie dlatego, że zdumiały go możliwości statku. Już wcześniej widywali okręty Imperium w akcji. Wiedziałem, że poczuł ulgę, ponieważ porzucił już wszelką nadzieję, a teraz znów mógł się jej uczepić.

– Nie musisz odlatywać tym statkiem, jeśli Książę się zgodzi – powiedziała nagle Alice. – Zatrzymamy cię pod nadzorem, dopóki

wszystko nie ułoży się zgodnie z twoimi zapewnieniami. Gdy tylko piraci zostaną zwyciężeni, przyjmiemy cię z otwartymi rękami. Prawda, admirale?

– Oczywiście! – huknął admirał. – Ponownie wyświadczyłeś nam wielką przysługę.

Więc wiedzieli, jaki był mój udział w zamknięciu tunelu, i tylko udawali, że jest inaczej. Ci Karalczanie byli bardziej przebiegli, niż sądziłem.

Pokręciłem głową z żalem.

– To nie zależy ode mnie. Księżę wydaje rozkazy. Muszę odlecieć tym statkiem. Ma swoje lata i przez dłuższy czas trwał w stanie uśpienia, więc trzeba przyszykować go do walki. To moje zadanie.

– Kem, nie chciałam... mieliśmy rozkaz, żeby odpalić tę minę – wyznała Alice.

– Rozumiem – odparłem. – Gdyby sprawy ułożyły się inaczej... ale to niemożliwe. Zrobię, co w mojej mocy, żeby pokonać piratów.

– Dziękuję – powiedział admirał Sfinks.

Ugryzłem się w język, zanim wypaliłem: „Podziękuj Rejni”. Wpakowałbym ją w kłopoty, ponieważ dowództwo mogłoby uznać, że wiedziała o mnie więcej, ale tego nie zgłosiła. Poza tym chodziło także o coś innego. Chciałem ocalić nie tylko Rejni, ale całe to żalosne Siedlisko, wliczając nawet takich głupich, irytujących ludzi jak Ganulf, zwyczajnie dlatego, że przestałem traktować ich jak uległe pionki, których mogłem używać do własnych celów, a zacząłem dostrzegać w nich ludzi.

Biotechowy służący podszedł do mnie z ręcznikiem. W przeciwieństwie do kawalerzystów mechbio nie nosił zbroi, więc wyraźnie było widać jego wąską talię, a także chitynowe kończyny i tułów. Alice i jej kompani próbowali się nie gapić, ale jeśli nie liczyć starych nagrań, pewnie nigdy wcześniej nie widzieli takiej hybrydy będącej skrzyżowaniem owada z człowiekiem.

„Zakończ transmisję”.

Korker usłuchał, a wtedy Alice zniknęła. Widziałem, że chciała coś powiedzieć, ale nie miałem ochoty kontynuować tej rozmowy. Nie było nic więcej do powiedzenia.

Poza tym nie kłamałem, kiedy mówiłem, że mam do wykonania pracę na statku. Trzeba było przygotować wiele rzeczy.

Opuściliśmy zbiornik zgodnie z planem, niecałą godzinę później. Sądziłem, że będziemy musieli się przebić przez konstrukcję Siedliska, ale Książę Ksaodzek przygotował wszystko z wielką rozwagą. Pod nami znajdował się właz awaryjny, wystarczająco duży dla tego statku. Otwierał się wolno, przez dobre piętnaście minut wyrzucał wodę, która skraplała się w powietrzu, tworząc chmurę idealną dla celów dywersyjnych. Płynu nie było jednak tak dużo, jak się spodziewałem, ponieważ liczne membrany, podobne do tej, która oddzielała jezioro od zbiornika, dostosowały się do sytuacji awaryjnej i przestały przepuszczać cokolwiek.

Statek wyłonił się ze swojej wieloletniej kryjówki, wypychany delikatnie przez silniki sterujące, po czym zaczął się oddalać od Siedliska ze stałą prędkością 0,25 g. Karalczanie nawet nie zadali sobie trudu, żeby wymierzyć w nas siatkę laserową do ochrony przed meteorami, na wypadek gdybym kłamał. Chyba wiedzieli, że tylko zmarnowaliby czas.

Po pokonaniu odpowiedniej odległości wrzuciliśmy wysoki bieg. Korker przeszedł od kroku spacerowego do sprintu, przyspieszając do pełnych 25g. W niecałą godzinę osiągnął prędkość dwudziestu tysięcy kilometrów na sekundę.

Niczego nie poczułem. Dzięki wewnętrznemu systemowi kontroli grawitacji połączonemu z czujnikami przestrzeni zerowej i biotechnową sztuczną inteligencją, która je kontrolowała, zarówno taka prędkość, jak i pomniejsze relatywistyczne efekty nie miały dla mnie żadnych konsekwencji.

Zostało mniej więcej dwadzieścia godzin, zanim dotrę do strefy zrzutu, czyli dokładnie tyle czasu, ile potrzebowałem. Bo chociaż zdążyłem zaimplementować symbionta, który miał pomóc mi przetrwać skomplikowane manewry statku jednozałogowego i wszystko inne, co mogło się później wydarzyć, musiałem wypełnić kokpit – oraz siebie – biotechnowym żelem akceleracyjnym.

Ta obrzydliwa, przezroczysta substancja miała konsystencję smarków. Wysoko natleniona i opracowana tak, żeby umożliwić oddychanie, rozkładała dwutlenek węgla i robiła całą masę innych przydatnych rzeczy. Ale żeby uzyskać pełny efekt, trzeba się było w niej zanurzyć i nią oddychać.

Wkrótce przekonałem się również, że przebywanie w normalnym ludzkim ciele sprawia, że symbiont medyczny staje się niezbędny, by zachować spokój, kiedy mąż wypełnia nozdrza, usta, gardło i płuca. Przy okazji człowiek czuje ból i ma wrażenie, że tonie, a świadomość, że dławiący go żel ma umożliwiać oddychanie, w niczym nie pomaga.

Niemniej kilka godzin później siedziałem w kabinie pilota Kragora, ubrany w imperialny kombinezon, całkowicie unieruchomiony przez sieć bezpieczeństwa i całkowicie nasączony i otoczony żelem akceleracyjnym. Nie wspominając o tym, że byłem umiarkowanie odurzony przez symbionta.

Wszystko zależało teraz od mojego psychotechnu. Nie mogłem się ruszyć ani odezwać. Mogłem pilotować Kragora za pośrednictwem telepatycznych komend i w ten sam sposób komunikować się z Korkerem. Miałem tylko nadzieję, że nie stracę łączności z okrętem po wystrzeleniu się w przestrzeń kosmiczną w statku jednozałogowym. Wierzyłem jednak w swoje umiejętności parapsychologiczne, więc czułem się dość pewnie.

Korker przesyłał mi aktualne dane ze skanerów, chociaż nie było ich wiele. Dawno minęliśmy flotę KSP, a piraci dopiero zmierzali w naszą

stronę, nie wykonując żadnych podstępnych manewrów taktycznych. Istniał cień szansy, że dzięki zdolnościom maskującym Korkera byliśmy dla nich niewidoczni, ale bardziej prawdopodobny scenariusz zakładał, że nie uważali nas za wrogów, więc nie widzieli potrzeby zmiany kursu bądź planu.

Miałem nadzieję, że dzięki temu zyskam kolejną niewielką przewagę w nadchodzącym starciu.

Co więcej, liczyłem na to, że przeżyję start. Moje ciało miało zostać poddane największemu przeciążeniu w chwili, gdy statek jednozałogowy zostanie wystrzelony przez miotający grawitor Korkera.

„Jeszcze raz przeanalizujmy plan, Korkerze”.

„Zgoda”.

„Gdy tylko znajdziemy się w odpowiedniej odległości, wystrzelisz jedną salwę płatów kinetycznych w Lizgro, a zaraz potem Kragora. W takim zestawie maskującym ten ostatni powinien przypominać wadliwy pocisk. Pomyślą, że zostanie przechwycony przez ekran grawitacyjny, więc nie będą strzelać. Gdy tylko znajdę się wystarczająco blisko, odpalę płaty Kragora. Do tego czasu znajdę się w ich osłonie i nic nie będą mogli już na to poradzić. Zlikwiduję Lizgro. Jednocześnie ostrzelamy pozostałe statki. Bez ekranu ochronnego Lizgro eksplodują w drobny mak. Zrozumiałeś?”

„Potwierdzam”.

Albo ten plan był genialnie prosty, albo niezwykle głupi. Niestety, istniał tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Powodzenie akcji w znacznej mierze zależało do tego, jak nowoczesny był tech Lizgro. Jeśli czujniki piratów potrafiły przedrzeć się przez systemy maskujące Korkera, zauważą, że się zbliżam. I chociaż nie trafiliby mnie płatem kinetycznym, z pewnością mieli do dyspozycji uniestwiacze, działo na promienie fuzyjne i mnóstwo innej broni, która mogłaby mi zaszkodzić.

Musiałem przeżyć gwałtowne przyspieszenie i manewry przy dużej prędkości nie tylko po to, żeby pilotować statek jednozałogowy, ale także by koordynować natarcie.

„Czternaście minut piętnaście sekund do wystrzelenia”.

„Przyjąłem”.

Zastanawiałem się, czy powinienem był zrobić coś jeszcze albo wydać dodatkowy rozkaz Korckerowi, ale nie mogłem nic wymyślić.

„Nadeszła nietypowa wiadomość, zatytułowana *Dla Kema*”.

„Odtwórz ją”.

To Rejni nadała komunikat. I chociaż przekazywał mi go statek za pośrednictwem psychotechnu prosto do mojego mózgu, mógłbym przysiąc, że słyszałem jej głos.

– Kem, tu Rejni. Matka właśnie powiadomiła mnie o tym, co robisz i jak ci się to udało... i chciałam ci powiedzieć, że nie obchodzi mnie, kim jesteś ani skąd pochodzisz, ani dlaczego się u nas pojawiłeś. Wiem, że postąpisz słusznie. Kocham cię.

„Wiadomość jest zapętłona. Mam odtworzyć ją ponownie?”

„Nie... ale zachowaj ją. Mogę... mogę zechcieć odsłuchać ją ponownie, kiedy... jeśli wrócę”.

„Dziesięć minut trzydzieści sekund do wystrzelenia”.

Leżałem w paskudnym bajorze i nie zastanawiałem się nad tym, co zamierzam ani dlaczego to robię.

Wiedziałem, że tak należy.

Jedenaście minut później nie byłem już tego taki pewien. Ledwie zachowując przytomność, zmagalem się z potwornym bólem w piersi i brzuchu pomimo wysiłków symbionta. Otaczający mnie żel akceleracyjny zabarwił się na różowo od krwi ciekącej z moich uszu, nosa i zapewne jeszcze z kilku innych miejsc. Nie byłem w stanie stwierdzić, czy nadal mam ręce i nogi, ponieważ nie czułem niczego poniżej łokci i kolan.

Ale za to mój statek jednozałogowy Kragor pędził prosto na wroga z niewiarygodną prędkością, a czujniki przestrzeni zerowej nie wykryły przede mną żadnych wystrzałów. Co więcej, jeden z płatów kinetycznych odpalonych przez Korquera w pierwszej serii przedarł się przez ekran Lizgro i zlikwidował jeden z transporterów Leolek. Analizy sugerowały, że wiele kawałków i fragmentów unoszących się w walcowatej chmurze to ludzkie szczątki. Zarówno ten transportowiec, jak i większość pozostałych prawdopodobnie przewoziły oddziały lądowe – mnóstwo rąk do łatwej pracy polegającej na plądrowaniu. Gdyby dotarli do Siedliska, ograbiliby je do cna, zabierając każdy użyteczny tech. Ogołociliby także powierzchnię planety ze wszystkich plonów, zwierząt i zapasów, skazując ocalałych niedobitków na śmierć głodową.

Mój psychotech działał. Mimo to musiałem podjąć niezwykle wysiłek, żeby zachować skupienie i wznieść się ponad ból oraz potworne uczucie miażdżenia. Nie napotkałem jednak trudności w kontaktowaniu się z Korkerem, a statek jednozałogowy nadal reagował na moje telepatyczne komendy.

Kiedy Korker zaraportował, że wróg odpalił pocisk, natychmiast rozkazałem wykonanie uniku i odkryłem, że w żelu akceleracyjnym nie da się krzyknąć. Mimo to udało mi się wrzasnąć w myślach.

Sekundę później zostaliśmy trafieni przez otoczkę płata kinetycznego.

Wiedziałem, że to tylko otoczka, ponieważ nadal żyłem, a statek jednozałogowy nadal był w jednym kawałku.

Ale napęd został uszkodzony. Dziesiątki raportów przemykało w mojej głowie, a wszystkie negatywne.

Poczułem, że siła napierająca na moje ciało słabnie. Nadal poruszaliśmy się z niewiarygodną prędkością w kierunku wroga, ale statek jednozałogowy tracił przyspieszenie.

Poza tym doszło także do innych uszkodzeń. Ciągnęła się za nami smuga, którą zarejestrował Korke. Domyśliłem się, co to takiego, jeszcze zanim to sprawdziłem, a Korke potwierdził.

„Tracisz żel akcelacyjny”.

„Wiem. Podaj czas pozycji optymalnej do ataku”.

„Za czterdzieści cztery sekundy”.

No tak. Już to przerabiałem, z Rejni. Mój żel akcelacyjny wyciekał do atmosfery, a ja poruszałem się z dużą prędkością. Zbyt dużą, żeby przeżyć. Żadna sztucznie wywołana śpiączka nie pozwoliłaby przetrwać przy całkowitym braku tlenu. Gdzieś za mną musiała znajdować się spora dziura, przez którą uchodziło całe cenne powietrze.

Tym razem naprawdę miałem umrzeć.

Musiałem jednak wytrzymać do momentu, gdy upewnię się, że zlikwidowałem flagowy statek piratów, tak aby Korke mógł się zająć pozostałymi.

To były długie czterdzieści cztery sekundy.

„Minąłeś granicę ekranu. Strzelaj”.

Wystrzeliłem wszystkie pociski Kragora, a kilka sekund później zaatakował Korke.

Chwilę później statek jednozałogowy zwolnił jeszcze bardziej. Nacisk wywierany na moje ciało zmalął, chociaż ból nie ustąpił ani nie odzyskałem czucia w rękach i nogach.

Ale nic mnie to nie obchodziło. W skupieniu czekałem, aż pocisk dotrze do celu, co nastąpiło jakieś trzy sekundy później.

Statek jednozałogowy i Korke zdały raporty niemal jednocześnie, współbrzmiać w mojej głowie.

„Cel zniszczony. Lizgro zniszczony. Dyszko 1 zniszczony. Dyszko 2 zniszczony. Dyszko 3 zniszczony. Transportowce klasy Leolek od 1 do 12 zniszczone. Jeden transportowiec poważnie uszkodzony”.

Więc nie zdjeliśmy wszystkich, pomyślałem zaniepokojony. Ale nic nie mogłem teraz zrobić. Byłem zbyt zmęczony i wszystko mnie bolało. Chciałem odpocząć...

Wiedziałem jednak, że jeszcze na to za wcześnie. Musiałem dokończyć zadanie. Musiałem ochronić Rejni i jej ludzi.

„Korker, zbliż się do ostatniego transportowca i zniszcz go. Przejmij statek jednozałogowy. Kontynuuj lot... na Xinxri”.

Od dawna miałem zamknięte oczy, ale poczułem się tak, jakbym dopiero teraz pogrążył się w ciemności, której towarzyszył przejmujący chłód.

Chyba oblałem test na weryfikatora.

Ale zdałem test na człowieka.

Więc tak wygląda śmierć, pomyślałem. Wydaje się inna, kiedy jest ostateczna.

„Wasza Wysokość. Proszę się skontaktować z Umysłem”.

Głos rozlegający się w mojej głowie należał do Haddada.

Gdybym nie miał sparaliżowanej twarzy, bez wątpienia bym się uśmiechnął. Towarzystwo mojego mistrza skrytobójców wydawało mi się odpowiednie w chwili śmierci. Nawet jeśli był tylko wytworem wyobraźni, ułudą wywołaną przez ostatni elektryczny impuls w moim gasnącym umyśle.

„Wasza Wysokość! Proszę nawiązać połączenie!”

Tym razem usłyszałem nie tylko Haddada, ale także wszystkich kapłanów należących do mojej świty, wszystkich wujów i ciotki. Czułem, jak sięgają do mojego umysłu, próbując go pochwycić i przyciągnąć do siebie, do tego małego punktu obserwacyjnego w pierścieniu otaczającym gazowego giganta...

Oni naprawdę znajdowali się w systemie! Mogłem się połączyć!

W chwili śmierci wyteżyłem umysł i mimo że nie poczułem żadnego brzęczenia z tyłu głowy, Imperialny Umysł nagle znalazł się przy mnie

w całej swej chwale.

„Połączenie z Księciem Kemrim «identyfikator» zostało przywrócone i jest w toku. Potwierdzam. Potwierdzam. Zachować do oceny”.

Rozdział 22

To była moja druga śmierć.

Tak jak poprzednio obudziłem się w wygodnym łóżku. Ale tym razem przez moment miałem wrażenie, że wynurzam się z długiego, spokojnego snu. Zniknęło jednak, kiedy w pełni odzyskałem świadomość i zrozumiałem, że wróciłem do swojego ulepszanego ciała, potok raportów przepłynął przez mój umysł, a wraz z aktualizacją danych swoją obecność zdecydowanie zaznaczył Imperialny Umysł.

„Witaj z powrotem, Książę Kemri III «identyfikator». Zostałeś oceniony przez naszych kapłanów Wymiaru Wprawnej Ręki Imperatora, którzy uznali, że warto cię wskrzesić «pieczęć Imperialnego Umysłu»”.

Usiadłem i chociaż nie rozpoznałem dużej komnaty urządzonej z przepychem, z radością powitałem Haddada i swoich pierwszych dwunastu kapłanów, wraz z Wujami Frekwo i Aleakiem na przedzie.

– Witamy z powrotem, Wasza Wysokość – powiedział Haddad grobowym głosem.

– Gdzie jesteśmy? – zapytałem. – W punkcie obserwacyjnym w Karalczy?

– Nie, Wasza Wysokość. Przebywamy w Imperialnym Jądrze. Tutaj przywrócono Waszej Wysokości dawne ciało. Niemniej świta Waszej Wysokości i ja istotnie przybywamy z systemu Odkaz, znanego Waszej Wysokości jako Karalcza.

Uniosłem jedną brew. Imperialne Jądro było wyłącznie miejscem ceremonii. Dawno temu stacjonowali tutaj Imperator i Imperialny Umysł, ale to się zmieniło. Infrastruktura potrzebna Imperialnemu Umysłowi

została rozprzestrzeniona po całym Imperium, a miejsce pobytu Imperatora nie było nikomu znane.

– Ile to trwało tym razem? – zapytałem. – To znaczy ile czasu minęło, odkąd umarłem?

– Cztery miesiące i jeden dzień, Wasza Wysokość.

Cztery miesiące. Więc bez względu na to, co się wydarzyło na Karalczy, dokonało się dawno temu i nie miałem na to żadnego wpływu.

– Czy... czy piraci się przedarli? – zapytałem.

– Flota, z którą zmierzył się Wasza Wysokość, została całkowicie zniszczona – wyjaśnił Haddad.

Na moment odwróciłem od niego głowę, żeby ukryć emocje. Rejni żyła! Siedlisko nie zostało, albo przynajmniej nie powinno było zostać splądrowane, pod warunkiem że Atalin nie zaatakowała go po raz kolejny. Stłumiłem nagły przypływ strachu.

– Jaki jest aktualny status Karalczy? – zapytałem. – Co wydarzyło się po mojej śmierci?

– Jak już wspomniałem, świta Waszej Wysokości, wliczając mnie, bezzwłocznie powróciła do przestrzeni kosmicznej Imperium – odparł Haddad. – Jednakże z uwagi na zainteresowanie Waszej Wysokości systemem Odkaz, monitorowałem go przez cały ten okres i mogę zameldować, że nie doszło do kolejnych manewrów militarnych, a system jest w trakcie odzyskiwania swojego utraconego potencjału gospodarczego...

– Dlaczego jestem w Imperialnym Jądrze? – przerwałem mu, skupiając się na czymś innym.

– Imperialny Umysł ogłosił, że Wasza Wysokość zostanie odznaczony Imperialną Gwiazdą za Odwagę i awansowany na komandora porucznika Marynarki Wojennej Imperium.

„Otrzymam Imperialną Gwiazdę za Odwagę?”, zwróciłem się do Umysłu. Było to najwyższe odznaczenie przyznawane przez Imperium, a ja z pewnością nie zrobiłem nic, co należałoby uhonorować w ten sposób. „Dlaczego?”

„Pochwała za odwagę. Dnia 272-4456 Książę Kemri III «identyfikator» dowodzący przestarzałym okrętem Imperium klasy Korkrek podczas misji ratowniczej napotkał flotę piratów składającą się z osiemnastu statków, wliczając lekki krążownik będący kopią najnowszego techu, i zamierzającą splądrować imperialny protektorat Odkaz. Książę Kemri III zaatakował flotę piratów w bezpośrednim starciu, osobiście pilotując przestarzały statek jednozałogowy Kragor 2, i zlikwidował wroga, mimo że został śmiertelnie ranny”.

– Imperialny protektorat? Misja ratunkowa? – zacząłem mrużyć pod nosem. Co to za brednie? A piraci w ogóle by się tam nie pojawili, gdyby Atalin nie rozniosła całego KSP. Mógłbym się założyć, że klon lekkiego krążownika Lizgro także był prezentem od pomocnej Księżniczki.

Dlaczego Imperialny Umysł traktował to, co zrobiłem, jak udaną akcję Marynarki Wojennej? I o co chodziło z tym imperialnym protektoratem?

„Mam pytanie. Jaki jest status imperialnego protektoratu dla systemu Odkaz?”

„System Odkaz został zastrzeżony bezpośrednio przez Imperialny Umysł do realizacji nieokreślonego celu w przyszłości. Nieosiągalny dla Książąt. Nikt nie rości sobie do niego prawa. Tranzyt możliwy wyłącznie na wyraźny rozkaz. Stacjonująca tam jednostka Biura Geodezji ma za zadanie wyłącznie monitorować sytuację”.

To mnie zdziwiło. Cała sytuacja z Karalczanami była dziwna. Ale przynajmniej system był chwilowo bezpieczny, oczywiście do pewnego stopnia. Bez pozwolenia Umysłu Atalin nie mogła wrócić, żeby pozbyć się resztek KSP, a skoro flota Porojawiańskiego Kolektywu Dobrobytu SA

została rozbita w proch, piraci też nie mogli tego zrobić. Poza tym istniała szansa, że w końcu przybędą na ratunek długo wyczekiwani Konfederaci.

Chociaż próbowałem tego nie robić, znów rozmyślałem o Rejni. Poczułem ukłucie, kiedy wyobraziłem ją sobie w jej domu w pierścieniu Gryfona, leżącą na naszym wspólnym łóżku. To mi nie pomagało. Nie byłem już Kemem. Kupiec Kem nie żył od czterech miesięcy, pogrzebany w przeszłości. Książę Kemri od kilku minut rozpoczynał nowe życie. Po prostu nie mogłem sobie pozwolić na sentymentalną zadumę. Zablokowałem wspomnienia.

Musiałem zostawić przeszłość za sobą i zapomnieć o Rejni.

– Wkrótce rozpocznie się przyjęcie przed odznaczeniem, Wasza Wysokość – poinformował Haddad taktownie, przerywając milczenie. Zdałem sobie sprawę, że gapię się w jakiś odległy punkt w przestrzeni. – Pokojowi mogą już ubierać Waszą Wysokość.

– Bardzo dobrze – burknąłem, gramoląc się z łóżka. Podskoczyłem w miejscu i chwilę powalczyłem z cieniami, żeby na nowo zaznajomić się z mocniejszymi mięśniami i lepszym refleksem. Czuję się oszołomiony powrotem do superciała. – Jak się przedstawia sprawa zabójstw tutaj, w Imperialnym Jądrze? – zwróciłem się do Haddada, kiedy dwaj zaprogramowani służący weszli z moim mundurem galowym, który teraz zdobiły czerwone epolety komandora porucznika.

– Są kategorycznie zabronione, a Imperialny Umysł nieustannie nad wszystkim czuwa – odparł Haddad. Skinąłem głową, nagle zwracając uwagę na znajome brzęczenie z tyłu głowy. – Jednakże nie można całkowicie wykluczyć takiej możliwości, więc jak zawsze musi Wasza Wysokość zachować czujność. Poza tym jest coś jeszcze, co może stanowić zagrożenie, a do czego Wasza Wysokość nie przywykł.

– A konkretnie?

– Książęta przebywający w Imperialnym Jądrze nie są na służbie, więc dopuszcza się pojedynki między tymi, którzy mają równe stopnie. Także ci bez stopni mogą walczyć między sobą. Aktualnie przebywa tutaj wiele Książąt, a skoro zbliża się abdykacja, niejedni pali się do pojedynku, żeby zwrócić w ten sposób uwagę Imperatora.

Wiedziałem, że nie miał nikogo konkretnego na myśli, ponieważ nikt nie znał tożsamości Imperatora. Nikt nie wiedział również, jaką formę przybierał, kiedy pojawiał się w Imperium, bo oczywiście wcale nie musiał prezentować się dokładnie tak samo jak przed wstąpieniem na tron. Zakładałem, że potrafi zmieniać wygląd. Tak czy inaczej, jako pan Imperialnego Umysłu, mógł nadzorować wszystko, z każdego miejsca, w którym przebywał połączony z Umysłem Książę. Kilka wybitnych sukcesów odniesionych podczas pojedynków bez wątpienia zwróciłoby uwagę Imperialnego Umysłu, a zatem także Imperatora.

Teraz kiedy wiedziałem, że można było przenieść książęcy umysł do innego ciała, zastanawiało mnie, czy spotkałem już obecnego Imperatora, tylko nie miałem o tym pojęcia. Imperator mógł dysponować kilkoma różnymi ciałami i tożsamościami.

Chociaż ta koncepcja wydała mi się interesująca, chwilowo nie zamierzałem poświęcać jej więcej czasu. Zamiast tego przyjąłem od Haddada mój typowy zestaw broni. Schowałem go, przymocowałem swoją szpadę ceremonialną i założyłem nakrycie głowy. Tyle dobrego, że jako komandor porucznik nosiłem skromną czapkę z daszkiem zamiast tej niedorzecznej bermycy przeznaczonej dla kadetów.

W mojej głowie pojawiły się mapa przedstawiająca trasę z moich komnat do Wielkiego Ósmego Pałacu Audiencyjnego i streszczenie etykiety. Wyglądało na to, że miałem dołączyć do dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu Książąt zgromadzonych w holu recepcyjnym. Tam mieliśmy się czegoś napić, zanim ustawimy się

w szeregu w odpowiedniej kolejności, według wagi przyznanych nam nagród, i ruszymy do Komnaty Odznaczeń, gdzie otrzymamy medale z rąk wielkiego admirała Floty Imperium Itzsatza albo gubernatora Leszaka, w zależności od tego, w czyich służymy szeregach.

Haddad dotrzymywał mi towarzystwa. Był jak wierny, zawsze mile widziany cień. Dotarło do mnie, że mój mistrz skrytobójców był pod wieloma względami jedynym członkiem świty, którego zawsze traktowałem jak człowieka, nawet jeszcze przed szkoleniem na weryfikatora. W pewien sposób był w moim życiu tym, kim Alice była dla Rejni. Kolejny raz odpędziłem od siebie podobne myśli. Nie mogłem tego porównywać. Haddad był wyłącznie mistrzem skrytobójców, przydzielonym mi na pewien czas i zastępowalnym. To moja wina, że poczułem do niego coś więcej, i musiałem zdusić to uczucie.

Tylko Haddad opuścił komnatę razem ze mną. Po drodze poznałem jednak kolejnych dwunastu nowych kapłanów, których przydzielono mi w ramach awansu, i dodatkowych sześciu nowicjuszy skrytobójców.

Inaczej niż w akademii i mojej świątyni szkoleniowej większość pomieszczeń Imperialnego Jądra nie została ulokowana pod ziemią. Lokalizacja całej przestrzeni publicznej i zakwaterowania przeznaczonego dla goszczących tutaj Książąt została podyktowana raczej estetyką niż względami bezpieczeństwa. Moje komnaty mieściły się w małym oddzielnym budynku, wzniesionym w czarującym parku usianym podobnymi do siebie trzypiętrowymi domami. Wszystkie te budynki były wzorowane na stylu architektonicznym pewnego regionu starej Ziemi, który charakteryzował się mnogością wysokich dwuspadowych dachów i zaokrąglonymi nadbudówkami.

Pozostali Książęta, olśniewający w pełnym umundurowaniu galowym odpowiednim dla różnych służb, wyłaniali się z pobliskich budynków w towarzystwie swoich mistrzów skrytobójców i zmierzali szeroką,

brukowaną alejką w kierunku Wielkiego Pałacu Audiencyjnego. Nie potrzebowalem żadnych wskazówek, żeby go znaleźć, ponieważ była to jedyna konstrukcja znacznych rozmiarów w zasięgu wzroku. Ogromny biały budynek ozdobiono licznymi wieżyczkami i kopułami w kształcie połówki cebuli, które pokryto warstwą jasnego złota. Nie był utrzymany w tym samym stylu architektonicznym co domy Książąt. Poza tym pod powłoką różnych stylistycznych zabiegów i tak kryły się jednakowe tłoczone biotechnowe kompozyty i mechtechowe zbrojenia.

Kiedy wszedłem na ścieżkę między dwoma grupami Książąt, z nieba posypały się płatki kwiatów wiśni, roztaczając słodki zapach. Wstrzymałem oddech, zablokowałem nos i usta, po czym spojrzałem na Haddada.

„Rutynowy ceremoniał: brak zagrożenia”.

Chociaż skinąłem głową, nie usunąłem filtrów blokujących dostęp do moich dróg oddechowych. Zachowałem także dystans od garstki Książąt przede mną i od tych za mną. Wszyscy byli starsi i wyżsi stopniem, a w grupie na przedzie kroczył co najmniej jeden kontradmirał. Wyłapałem raporty o ich tożsamości, a wtedy mój umysł zalało mnóstwo imion, stopni i nazw służb. Wszystkie jednak brzmiały obco. Sytuacja zmieniła się, kiedy przekroczyłem próg sali recepcyjnej. Było to rozległe pomieszczenie, szerokie i długie na kilkaset metrów, o łukowym sklepieniu, na którym wymalowano gwiazdną mapę najwcześniejszych podbojów Imperium. Służący mechbio w biało-złoty szatach krążyli między gośćmi, roznosząc napoje na srebrnych tacach. Tymczasem Książęta zdawali się rozmawiać wyłącznie z członkami swoich jednostek.

Chwyciłem kieliszek, po czym leniwym krokiem ruszyłem w kierunku pobliskiego grona członków Marynarki Wojennej. Nagle odebrałem komunikat dotyczący tożsamości jednego z oficerów stojących do mnie plecami.

„Księżniczka Atalin I «identyfikator», komandor porucznik, Marynarka Wojenna Imperium. Otrzyma odznaczenia dla Bohatera Imperium Pierwszej Klasy”.

Zadałem pytanie Imperialnemu Umysłowi.

„Pochwała. Dnia 212-4456 Księżniczka Atalin I «identyfikator» dowodząca okrętem Imperium klasy Kuresk podczas rutynowego patrolu została zaatakowana przez nielegalną formację składającą się z dwudziestu okrętów w systemie Odkaz i zniszczyła ją, nie ponosząc żadnych strat”.

– To kłamstwo! – warknąłem, gotując się ze złości.

Atalin się odwróciła, a wszyscy oficerowie Marynarki Wojennej zamilkli i spojrzeli na mnie, a potem znowu na nią. Wyglądaliśmy bardzo podobnie, chociaż Atalin miała dłuższe włosy.

Przez moment tylko mierzyliśmy się wzrokiem.

– Zwracasz się do mnie, Księżę Kemri? – zapytała w końcu.

– Pochwała uzasadniająca twoje odznaczenie stoi w sprzeczności z tym, w czym brałem udział – odparłem. Złość brała we mnie górę nad zdrowym rozsądkiem. Dobrze wiedziałem, dokąd zmierzam, ale nie potrafiłem zawrócić. – Musisz przyznać, że moja reakcja jest zrozumiała.

– Wspomniałeś coś o kłamstwie – powiedziała spokojnie Atalin.

– Chodzi o to, że jakoby zostałaś zaatakowana przez „nielegalną formację” – wyjaśniłem. – Osobiście nigdy nie nazwałabym potraktowania garstki prymitywnych statków falą wstrząsową atakiem. Ani heroicznym wyczynem.

– Chyba coś ci się pomieszało – skwitowała Atalin. – Imperialny Umysł jak zawsze zarejestrował wyłącznie fakty.

Nie mogłem z tym polemizować. Wiedziałem, co się wydarzyło, ale jeśli Imperialny Umysł twierdził inaczej, nie mogłem dowieść niczego innego.

– Być może Imperialnym Umysłem był tym razem... rozproszony – stwierdziłem. – Ale bez względu na wszystko nie dostrzegam nic

bohaterskiego w twojej gwiazdnej „bitwie”, Księżniczko Atalin.

Wzruszywszy ramionami, Atalin podała swój kieliszek służącemu.

– Widzę, że nie zamierzasz przestać mnie oczerniać, Księżę Kemri – rzuciła. – To częsta bolączka wśród świeżo upieczonych absolwentów akademii. Być może uważasz, że twoja twarz za bardzo przypomina moją i szukasz wymówki, żeby ją zdefasonować? Bardzo dobrze. Dam ci lekcję, którą najwyraźniej opuściłeś w akademii. Wybierz broń.

Pojedynek. Tego było mi trzeba. W mojej świątyni szkoleniowej uważałem pojedynki za część książęcego życia. Sądziłem, że się do nich dąży i w nich lubuje. W akademii, gdzie pojedynki były zabronione, słygał z nich tylko komendant, a ja nie chciałem być taki jak on. A teraz, targany złością, pragnąłem jedynie pokonać Atalin, dać jej nauczkę, ukarać ją za zniszczenie floty KSP.

Chociaż Haddad udzielił mi wielu cennych lekcji na pokładzie imperialnego okrętu Świt Zwaktuz, kiedy podróżowaliśmy do Arok-Pipad, miałem wrażenie, że od tamtego czasu upłynęły całe wieki. Nie zapomniałem jednak jego rady o wyborze nietypowej broni.

– Pistolety na bolce z żyłkami – warknąłem.

Atalin nie sprawiała wrażenia wytrąconej z równowagi. Odwróciła się do swojej mistrzyni skrytobójców, bardzo wysokiej i szczupłej kobiety o długich, żylastych rękach.

– Vivaldro? Przygotujesz wszystko z... mistrzem Haddadem? Po ceremonii?

Vivaldra skinęła głową, po czym pomknęła na spotkanie z Haddadem. Oboje wykonali nieznaczne ukłony, a niebieski płyn w ich skroniach zawrzał, kiedy znaleźli się tak blisko siebie, że prawie się dotykali.

„Wyznaczeni do nagrody ustawią się w kolejności odznaczania «pieczęć Imperialnego Umysłu»”.

– Do zobaczenia – powiedziała Atalin. Zasalutowała, a ja automatycznie zrobiłem to samo. Nienawidziłem jej za zabicie wuja Rejni i tysięcy innych Karalczan, ale jednocześnie nie mogłem przestać podziwiać jej opanowania i chłodu. Musiałem przyznać, że jeszcze sześć miesięcy temu sam bez skrupułów zabiłbym tych Karalczan.

Poza tym nie mogłem zignorować myśli, że prawie na pewno jest moją siostrą. Było w niej coś takiego, co mnie do niej przyciągało – niczym psychotechnowy szept powtarzający, że w naszych żyłach płynie ta sama krew. I gdybyśmy dorastali razem, mogłaby stać się dla mnie tym, kim Anza była dla Rejni.

Ale nawet jeśli miałem rację i nawet jeśli ona czuła to samo co ja, to nie mogło nic znaczyć i nie znaczyło. Nie dla Księżąt Imperium.

– Gratulacje, Księżę Kemri – odezwał się ktoś stojący tuż u mojego boku. Był to kapitan paradujący w mundurze obwieszonym medalami i wstążkami. Na jego szyi wisiała imponujących rozmiarów Gwiazda za Odwagę. – Witaj w naszej małej, lecz wyselekcjonowanej grupie, towarzyszu.

– Dziękuję, sir – mruknąłem. Słowa z trudem przeszły mi przez gardło. Moje odznaczenie było równie fałszywe jak to przyznane Atalin. Zastanawiałem się, za co kapitan Garuzk otrzymał swoje, ale nie zapytałem o to Umysłu. Naprawdę nie chciałem wiedzieć, czy spalił zamieszkaną planetę, czy zrobił coś równie potwornego.

Pomyślałem o Atalin, kiedy zająłem miejsce prawie na samym przedzie bardzo długiej kolejki Księżąt. Sprowokowałem pojedynek ze złości na to, co zrobiła, ale tak naprawdę mój gniew był wymierzony w Imperium. Poza tym pojedynek nie mógł ożywić Karalczan ani powstrzymać podobnych incydentów w przyszłości. Niczego nie rozwiązywał. Nawet jeśli jedno z nas zginie, z dużym prawdopodobieństwem zostaniemy przywrócenii do życia. Bo niby jak Wymiar Wprawnej Ręki miałby uznać Księcia, który

właśnie został odznaczony, za niewartego wskrzeszenia? A Umysł nieustannie wszystko kontrolował tutaj w Imperialnym Jądrze, nie było więc mowy o pomyłce.

Poza tym co chciałem osiągnąć, próbując pomścić Karalczan? Nigdy więcej nie spotkam Rejni. Nawet gdyby do tego doszło, co miałbym jej powiedzieć? Że walczyłem z Księżniczką, która zabiła jej wuja i innych członków rodziny? I że tak w ogóle to moja siostra, a ja ją zabiłem, ale tylko na trochę, bo potem się odrodziła? A później oboje wróciliśmy do książęcego życia i ze wszystkimi Karalczanami wszechświata robiliśmy cokolwiek, na co przyszła nam ochota, zwyczajnie dlatego, że mogliśmy? Bo gwarantowano nam uzasadnienia naszych działań i medale?

Mimo że bardzo mi to doskwierało, musiałem się z tym kryć. Wróciłem do maszyny, ponownie stałem się trybikiem, który miał do wykonania zadanie, i nie mogłem nic na to poradzić. Pewnie mógłbym odebrać sobie życie, ale takie rozwiązanie nie wydawało mi się kuszące. Bez wątplenia nie widziałem żadnej drogi ucieczki z Imperium. Nie było ucieczki od Imperialnego Umysłu ani od pozostałych Książąt.

Właśnie takie pogodne myśli zaprzętały mój umysł, kiedy stawałem na podium, gdzie czekał na mnie wielki admirał floty. Książę Itzsatz był czarującym mężczyzną, który w ogóle nie wyglądał na swoje sto pięćdziesiąt siedem lat. Kiedy miałem okazję przyjrzeć się mu z bliska, tylko oczy zdradzały jego wiek. Spojrzenie Księcia skrywało długą historię i wielki chłód – i nigdy nie wyrażały uśmiechu widocznego na jego twarzy.

– Dobra robota, Książę Kemri – powiedział, kiedy wsunąłem swoją czapkę pod rękę i przyklęknałem na przygotowanej poduszce. Ozdobił moją pierś ciężkim medalionem zawieszonym na wstążce. – Imperium potrzebuje więcej takich Książąt jak ty. Prosto na wroga w statku jednozałogowym to jest coś! Dostrzegłem też pozytywne sygnały podczas twojej akcji lądowej w starciu ze Smutnookimi. Tak trzymać, tak trzymać!

Wstałem, założyłem czapkę, zasalutowałem i wykonałem idealny zwrot w prawo, gdy nagle dostrzegłem arcykapłankę Morojał stojącą na uboczu, niewidoczną dla zgromadzonych w sali.

Omam się nie zawałem, ale szkolenie wzięło górę. Instyktownie obierając kierunek, wymaszerowałem przez boczne drzwi. Morojał skinęła na mnie, więc zamiast podążać wraz z pozostałymi Książętami szerokim głównym korytarzem prowadzącym do czekających na nas pobratymców i mistrzów skrytobójców, ruszyłem za arcykapłanką znacznie węższym przejściem.

Nie byłem specjalnie zaskoczony, kiedy światło zaczęło się zmieniać, a proste kąty białego pałacowego korytarza ustąpiły miejsca bambusowym kępom, między którymi było widać las. Kilka minut później podążałem za Morojał ścieżką z drewnianych paneli wśród wysokich drzew.

Potok szemrał, przecinając polanę, a stojące tam dwa krzesła wyglądały tak, jakby nikt ich nie ruszał, odkąd siedziałem na nich po raz ostatni, kiedy musiałem podjąć decyzję o dołączeniu do Biura Weryfikacji.

– Proszę usiąść – poleciała Morojał.

– Tylko jeśli odpowiesz na moje pytania – odparłem wojowniczo.

– Odpowiem, jeśli tylko będę mogła – wyjaśniła Morojał. – Proszę usiąść.

– Dlaczego otrzymałem Imperialną Gwiazdę za Odwagę za zabicie piratów, którym Księżniczka Atalin utorowała drogę i którym najwyraźniej podarowano imperialny tech? – zapytałem. – I dlaczego Karalcza stała się nagle protektorem Imperium?

– Uznaliśmy, że tego by sobie Wasza Wysokość życzył – poinformowała mnie Morojał, najwyraźniej w odpowiedzi na moje ostatnie pytanie. – Proszę potraktować to jako nagrodę. W rzeczywistości nie ma to większego znaczenia poza tym, że może utrudnić atak osobom takim jak Książę Dzerrazis.

– Więc Atalin wykonywała rozkazy Dzerrazisa?

– Tak. Książę Dzerrazis umacniał swoje wpływy w tamtej części Peryferii przy wykorzystaniu Porojawiańskiego Kolektywu Dobrobyt SA. Ale to już skończone. Będzie realizował swoje ambicje w innym miejscu.

– Więc dlatego wysłaliście mnie na Karalczę? To nie był zwykły test, tylko weryfikacja. Ty albo Imperialny Umysł chcieliście, żebym pokonał piratów.

– Tak – przyznała Morojal. – Umysł uważa, że stworzenie przez admirała Dzerrazisa i jego Domu silnej, niezależnej siły na Peryferiach nie leży w interesie Imperium. Jednakże naszym głównym celem było sprawdzenie Waszej Wysokości.

– A skoro się odrodziłem, zakładam, że zdałem test – podsumowałem. – Ale dlaczego pozwoliliście mi uwierzyć, że ostatecznie pożegnam się z życiem?

– Żeby odpowiednio przetestować Waszą Wysokość, musiał Wasza Wysokość uwierzyć, że jest sam i nie ma szans na odrodzenie – wyjaśniła Morojal. – Ale ma Wasza Wysokość rację. Zdał Wasza Wysokość test na weryfikatora.

Poczułem, jak rozpala się we mnie wątpa iskierka nadziei. Skoro jako weryfikator mogłem ratować systemy podobne do Karalczy przed grabieżą ze strony takich Książąt jak Dzerrazis i Atalin, moje życie mogło nabrać wartości. Może miałem szansę być tym, kim chciałem – kimś, kogo szanowałyby Rejni i kogo szanowałbym ja sam. W głębi serca wiedziałem jednak, że to niemożliwe. Wykluczał to mój książęcy status.

– I co teraz? – zapytałem.

– W zwykłych okolicznościach Imperialny Umysł wyznaczyłby Waszej Wysokości zadanie – powiedziała Morojal. Zamilkła i spojrzała na mnie swoimi starymi oczami o trzech źrenicach. – Ale to sytuacja wyjątkowa.

Został Wasza Wysokość wybrany nie tylko na weryfikatora, ale także na kandydata Imperium, co zostanie obwieszczone jeszcze dzisiaj. Gratuluję, Wasza Wysokość.

– Jak to?

Za każdym razem, kiedy już prawie się oswajałem z nową sytuacją, Morojał zmieniała zasady gry.

– Na kandydata Imperium – powtórzyła Morojał – który ma szansę zasiąść na tronie.

– Jestem jednym z tysiąca – powiedziałem wolno. – Moja kandydatura zostanie zgłoszona do Imperialnego Jądra... gdzie odznaczono dzisiaj tysiąc...

– Istotnie. Wkrótce cały ten tysiąc otrzyma nominację.

– Jeden zostanie Imperatorem, a pozostali przez wieki będą widnieli na liście jako „kandydaci”. Co się z nimi stanie?

– Jeden wstępuje na tron – powiedziała Morojał. – A pozostali... Sam się Wasza Wysokość przekona.

– A jeśli nie chcę być kandydatem? – zapytałem, chociaż była to czysta formalność, ponieważ już znałem odpowiedź. – Jeśli nie chcę zostać Imperatorem?

– Tym, którzy tego chcą, jest znacznie łatwiej – odparła Morojał. – Jednakże nalegam, żeby Wasza Wysokość nie podejmował żadnych nierozsądnych działań. Bo jak zapewne się Wasza Wysokość zorientował, nie jest Wasza Wysokość zwykłym kandydatem, ale faworytem Imperatora, a zatem także Imperialnego Umysłu.

Przed Karalczą wziąlbym to za dobrą monetę, w dodatku całkowicie mi należną, teraz jednak bylbem podejrzliwy.

– Dlaczego? – zapytałem bez ogródek. – I czemu w ogóle zostałem wybrany spośród tylu Książąt?

W Imperium żyło dziesięć milionów Książąt. Wybór tysiąca spośród nich na pewno nie był łatwy, a znając Imperium, cała procedura prawie na pewno przebiegła w znacznie bardziej skomplikowany sposób, niż mogło się wydawać.

– Na ostatnie pytanie dość łatwo odpowiedzieć, chociaż to oczywiście wielki sekret. Przede wszystkim nieliczni Książęta mają nadzwyczaj wysoki poziom wrodzonego psychotechnu, potrzebny do wstąpienia na tron i kierowania Imperialnym Umysłem. A jeszcze mniej potrafi funkcjonować bez połączenia z Umysłem, co jest konieczne, by go zdominować, zamiast mu ulec. Wasza Wysokość dowiódł, że posiada obie te zalety.

– Więc do testu kwalifikuje się jedynie tysiąc Książąt raz na dwadzieścia lat? – zapytałem.

– Nie – odparła Morojał spokojnie. – Dwa tysiące lat temu rzeczywiście było ich tysiąc. Teraz jednak wybiera się i ogłasza taką liczbę jedynie z uwagi na tradycję, a także po to, żeby ukryć fakty.

– Więc ilu ich teraz jest?

– Pięciu – wyjaśniła Morojał.

Wpatrywałem się w nią przez niewiarygodnie długą sekundę.

– Pięciu!

– Oczywiście nie może Wasza Wysokość zdradzić tych informacji żadnemu innemu z kandydatów podczas ceremonii – dodała Morojał.

Poczułem niezbyt dotkliwy ból za prawym okiem, kiedy to powiedziała, a niebieski płyn zawirował wokół jej głowy. Przeprowadziła psychotechnową interwencję, więc nie mógłbym poruszyć zakazanego tematu, nawet gdybym chciał.

Nie miałem jednak takiego zamiaru. Nadal próbowałem zrozumieć to, co usłyszałem. Dziesięć milionów Książąt i tylko pięciu kandydatów zdolnych do wstąpienia na tron Imperatora?

– Chodzi o pewną mutację – wyjaśniła Morojal. – Taką, której nie możemy zainicjować ani wyhodować. Dawniej pojawiała się często, ale obecnie występuje niezmiernie rzadko.

– Po co więc w ogóle zmieniać Imperatorów? – zapytałem.

– My nie zmieniamy Imperatorów – sprostowała Morojal. – Czy kiedykolwiek zastanawiał się Wasza Wysokość, czym tak naprawdę jest Imperialny Umysł?

– Nie... – odparłem wolno. Dlaczego się nad tym nie zastanawiałem? Imperialny Umysł był tym, czym był.

– To część istoty Księcia – wyjaśniła Morojal. – Tak jak programujemy służących, tak samo dokładamy wszelkich starań, żeby Książęta nie kwestionowali pewnych rzeczy.

– My, czyli kto? – zapytałem gorzko.

– Imperialny Umysł i jego najważniejsi słudzy, arcykapłani szesnastu wymiarów – wyjaśniła Morojal.

Milczałem, przetrawiając najnowsze rewelacje. Nie byłem wstrząśnięty ani nawet specjalnie poruszony, chociaż, jak przypuszczam, większość Książąt zareagowałaby w tej sytuacji z większym przejęciem. Nie czułem się tak, jakbym miał wpływ na cokolwiek, i zaczynałem się zastanawiać, czy pozorna władza Księcia rzeczywiście powinna stanowić obiekt pożądania.

– Imperialny Umysł – kontynuowała Morojal – to gestalt tożsamości poprzednich Imperatorów, kierowany przez tego, który aktualnie panuje. Zwykle po dwudziestu latach dowodzenia główna tożsamość zaczyna się zspalać z pozostałymi. Wtedy zachodzi konieczność wyboru nowego Imperatora.

– Więc wstąpienie na tron oznacza... d o ł ą c z e n i e do Umysłu? – zapytałem.

– Przez dwadzieścia lat Imperator zachowuje całkowitą odrębność – powiedziała Morojał. – Ma w tym czasie taką moc, żeby kierować Umysłem, a przez Umysł każdym Księciem i każdym kapłanem. Dowodzi całym Imperium. Dzierży władzę a b s o l u t n ą.

Gdy tylko to usłyszałem, poczułem, jak wzbiera we mnie prawie obezwładniające pragnienie. Chciałem władzy absolutnej. Chciałem zostać Imperatorem. Musiałem zostać Imperatorem!

Walczyłem z nim, ponieważ wiedziałem, że ta chęć nie wypływa z mojego wnętrza. Została we mnie zaszczepiona.

– Powiedziałaś, że jest pięciu kandydatów – zauważyłem zachrypniętym głosem. Zaszło mi w gardle. – Jak konkretnie dokonuje się wyboru Imperatora?

– W sposób uświęcony tradycją Imperium – odparła Morojał. – Ma wygrać najlepszy. Wszyscy przystępują do testu, który przeżywa tylko jeden. A Wasza Wysokość może już przed startem zyskać przewagę. Proszę pokonać Atalin w pojedynku. Nie odrodzi się. Wtedy zostanie was tylko czworo.

– Atalin jest moją siostrą? – zapytałem.

– Oczywiście – przyznała Morojał. – Choć to nieistotne. To konkurentka Waszej Wysokości, a Wasza Wysokość jest faworytem wśród kandydatów i ma największe szanse z całej piątki, żeby zasiąść na tronie Imperatora. Musi Wasza Wysokość zająć należne mu miejsce.

Tego zawsze chciałem i od dawna wierzyłem, że to moje przeznaczenie. Powinienem więc być w ekstazie.

I jakaś część mnie rzeczywiście pławiła się w zachwycie. Ale do głosu doszła także ta druga, być może większa część mojego jestestwa, która zadrżała na myśl o takiej perspektywie. Przez moment miałem nawet dziwne halucynacje. Poczułem się tak, jakby nagle w mojej głowie

zapanował mrok, całkowicie odcinając mnie od wolnej przestrzeni i światła słonecznego.

Rozdział 23

Haddad czekał na mnie, kiedy po wyjściu z bambusowego lasu chwiejnym krokiem dołączyłem do grona odznaczonych Książąt opuszczających pałac. Na zewnątrz w ogrodzie wiwatowali oni i wznosili toasty, głównie na swoją cześć, najlepszym szampanem, jaki można było otrzymać z biotechowego rogu obfitości.

– Zatrzymała mnie arcykapłanka, którą spotkałem już wcześniej – szepnąłem do niego, kiedy skłonił się na powitanie, przysuwając do mnie głowę.

– Rozumiem, Wasza Wysokość – odparł Haddad. – Pojedynek z Księżniczką Atalin został wyznaczony za godzinę, w Komnacie Pojedyneków Erod-Azkom. Życzy sobie Wasza Wysokość udać się tam niezwłocznie?

Pojedynek. Teraźniejszość wraz ze swoimi potrzebami wdarła się między moje różne jaźnie zmagające się ze słowami Morojał.

Miałem zostać Imperatorem.

– Życzy sobie Wasza Wysokość udać się tam niezwłocznie? – powtórzył Haddad.

Przy akompaniamencie jego słów przed moimi oczami pojawiła się aktualna nakładka wskazująca drogę do komnaty pojedyneków, która znajdowała się niedaleko stąd. Mogłem zostać i wznieść toast za swoje odznaczenie. Prawdopodobnie doczekałbym się również toastów od innych, skoro tego dnia także kilkoro innych Książąt otrzymało Imperialną Gwiazdę za Odwagę. Ale nie miałem ochoty tu być, a z lekcji Haddada pamiętałem, że zawsze lepiej pojawić się wcześniej na miejscu pojedynku,

żeby mieć czas na sprawdzenie wszystkiego w razie gdyby druga strona próbowała się uciec do nieczystych zagrań. Poza tym Haddad, jak to miał w zwyczaju, zadał pytanie tylko po to, żeby zasugerować pożądany bieg wypadków.

Nakazałem sobie koncentrację na teraźniejszości.

– Tak – odparłem, po czym ruszyłem przez tłum energicznym krokiem, odpowiadając na okazjonalne gesty ręką i saluty, niemal wszystkie będące wyrazem uznania członków innych służb i kilku oficerów Marynarki Wojennej, którzy także nosili Imperialną Gwiazdę za Odwagę. Większość pozostałych Księżąt z Marynarki Wojennej postawiła sobie za cel ignorować moją obecność, tak by móc świętować swoje sukcesy bez konieczności porównywania swoich mniej istotnych odznaczeń z tym, które przyznano mnie.

Kiedy wyszedłem z ogrodu i znalazłem się z dala od tłumu Księżąt, Haddad poprowadził mnie trawnikiem w kierunku wyżłobionej w ziemi ścieżki prowadzącej między krzewami.

– Moi uczniowie zabezpieczyli tę drogę – powiedział cicho, kiedy zbliżaliśmy się do celu. – A kolejna grupa jest teraz w komnacie pojedynków, podobnie jak mistrzyni Księżniczki Atalin, Vivaldra. Może mi Wasza Wysokość zdradzić powód spotkania z arcykapłanką Morojal?

– Tak – odparłem. Ufałem Haddadowi bardziej niż komukolwiek innemu, przynajmniej w Imperium. – Zostałem wybrany na kandydata do imperialnego tronu.

– Ach – mruknął Haddad. – Tak się właśnie domyślałem.

– Naprawdę? – zapytałem. – Ja nie miałem pojęcia.

– Moja pierwsza podopieczna była kandydatką dwadzieścia lat temu – dodał Haddad. – Księżniczka Emzyl. Ona także została wybrana do Biura Weryfikacji, a kilka lat później została kandydatką. Dostrzegłem

podobieństwa w waszych umiejętnościach i ścieżkach kariery, Wasza Wysokość.

– Może jest teraz Imperatorem! – wykrzyknąłem.

– Może – przyznał Haddad.

– Czy wiesz cokolwiek na temat wyzwania, z którym muszą się zmierzyć kandydaci? – zapytałem skwapliwie.

– Nie – odparł Haddad. – Księżniczka Emzyl powiedziała mi, że została wybrana na kandydatkę... a następnego dnia rano już jej nie było, a mnie przydzielono komuś innemu.

– Jasne. – Westchnąłem. – Chciałem tylko zebrać trochę informacji, ale chyba liczyłem na zbyt wiele.

– Najlepiej skoncentrować się teraz na czekającym Waszą Wysokość pojedynku – zasugerował Haddad. – Chociaż Wasza Wysokość ćwiczył trochę z pistoletami na bolce z żyłkami, obawiam się, że nie opanował tej sztuki do perfekcji. Pamięta Wasza Wysokość podstawowe strategie?

Skinąłem głową. Broń, którą wybrałem, strzelała bolcami mogącymi przebić niemal wszystko: ciało, kości, kamień, biotechowy budulec. Wspomniane pociski ciągnęły za sobą cienkie żyłki, połączone z pistoletem dopóty, dopóki nie odciął ich strzelający. Pojedynek z użyciem takich pistoletów odbywał się na miniaturowej górze o wysokości dwustu metrów, wzniesionej w komnacie pojedynków. Góra, ze swoimi czterema miniwierzchołkami i wieloma szparami oraz szczelinami, stanowiła niełatwe pole walki, na którym, żeby trafić przeciwnika, trzeba było się wspinać, przemieszczać i ruszać możliwie jak najwięcej. Każdy pistolet zawierał dziesięć bolców i biotechowe filiery, które wytwarzały pięćset metrów żyłki.

Mieliśmy zacząć na szczycie jednego z miniwierzchołków góry, poza polem rażenia broni przeciwnika. Wygrać miał ten, kto lepiej poradzi sobie

na górzystym terenie i odda celny strzał, który obezwładni albo zabije rywala.

Jeśli Morojal mówiła prawdę, mogłem nigdy więcej nie spotkać Atalin, gdyby udało mi się pozbawić ją życia. Nie mogłem przestać o tym myśleć, kiedy szedłem obok Haddada. To zmieniało cały charakter zbliżającego się pojedynku.

Czy mogłem zabić własną siostrę? Mój gniew w stosunku do niej osłabł i musiałem przyznać, że nie była gorsza od pozostałych Książąt. Być może drzemał w niej taki sam potencjał, żeby stać się kimś lepszym, jak we mnie. Może tak jak ja marzyła potajemnie o wyswobodzeniu się z książęcej skorupy, o ucieczce od ograniczeń Imperium.

Przystanąłem nagle, żeby się nad tym zastanowić, a Haddad natychmiast obszedł mnie dookoła, spodziewając się jakiegoś zagrożenia, które mogłem dostrzec.

– Nic się nie stało, Haddadzie – uspokoiłem go. – Po prostu nad czymś rozmyślam.

Przyszło mi do głowy, że kiedy wreszcie wróciłem do swojego ulepszanego ciała i znów stałem się Księciem Imperium, okazało się, że wcale tego nie chciałem.

W Siedlisku byłem szczęśliwy, jako kupiec Kem.

Z pewnością nie pragnąłem zostać Imperatorem i dołączyć do Imperialnego Umysłu, bez względu na to, czy miałbym go kontrolować, czy też nie. Wiedziałem, że nawet pokusa, by jako Imperator czynić dobro, była fałszywa. Model funkcjonowania Imperium był zbyt głęboko zakorzeniony. Wątpiłem więc, że potrafiłbym spierać się z setkami umysłów byłych Imperatorów w Umyśle o wprowadzenie istotnych zmian.

Z tymi racjonalnymi myślami, które wydawały się rzeczywiście moje, mierzył się natarczywy, zaprogramowany chór wyrażający pragnienia rodzące się w innej części mojego mózgu. Utrzymywał, że wstąpienie na

tron Imperatora to spełnienie moich marzeń i że muszę dokonać tego możliwie jak najszybciej.

Ukróciłem te myśli i próbowałem ustalić, co do cholery począć. Alternatywą dla zajęcia tronu Imperatora była bez wątpienia śmierć albo coś jeszcze gorszego, a ja nie chciałem ani umrzeć, ani przekonać się na własnej skórze, czym może być to coś „gorszego”.

Musiało istnieć inne rozwiązanie, tylko pozostawało dla mnie nieuchwytnie.

Niechętnie skoncentrowałem się na nadchodzącym pojedynku.

Przynajmniej zyskałem pewność, że mimo całej wcześniejszej złości, która ogarnęła mnie na wieść, że Atalin ma zostać odznaczona za wymordowanie rodzin moich karalczańskich przyjaciół, postaram się ze wszystkich sił jej nie zabić. To jeszcze bardziej komplikowało pojedynek, ale chciałem spróbować i być osobą, za którą uważała mnie Rejni i którą chciałem się stać. Chociaż Atalin zasługiwała na śmierć za to, co zrobiła, nadal była moją siostrą.

Nie ja powinienem wykonać na niej egzekucję.

Oczywiście ona mogła zabić mnie...

– Pamięta Wasza Wysokość podstawowe strategie? – zapytał Haddad ponownie, kiedy zeszliśmy z wyżłobionej ścieżki i ruszyliśmy dziedzińcem w kierunku charakterystycznego imperialnego sześcianu, znaczącego wejście do podziemnych pomieszczeń, które według informacji na mapie tworzyły komnatę pojedynków.

– Pamiętam – odparłem. – Nie marnować bolców. Używać krótkich żyłek. Pozwolić górze zrobić swoje.

– Odradzam bardziej skomplikowane ewolucje – kontynuował Haddad. – Proszę postawić na prostotę, Wasza Wysokość. Żadnych dekapitacji w locie i tym podobnych.

– Dobrze – zgodziłem się. Wątpiłem, żeby udało mi się wykonać dekapitację w locie. W tym celu musiałbym owinąć żyłkę wokół szyi przeciwnika i mocno ją ściskając, zeskoczyć z góry.

Uczniowie Haddada wyłaniali się z żywopłotu i podnosili z trawnika, kiedy zmierzaliśmy do wejścia, kiedy więc wchodziłem do budynku, miałem wokół siebie całą świtę. Zeszliśmy do pomieszczenia recepcyjnego, dokładnie sprawdziliśmy prowadzący do niego szyb. Właśnie tam, w holu udekorowanym ogromnymi zdjęciami gór z wielu różnych światów, czekali mistrzyni skrytobójców Atalin i kilkunastu jej uczniów. Moja przeciwniczka jeszcze nie dotarła na miejsce.

– Obejrzeliliśmy górę, Księżę Kemri, i akceptujemy teren – oświadczyła Vivaldra. – Księżniczka Atalin prosi o śnieg i lód, jeśli Wasza Wysokość nie ma nic przeciwko temu.

Machnąłem ręką od niechcenia.

– Niech będzie śnieg i lód – powiedziałem. – I może nawet zamieć.

Haddad spojrział na mnie. Chociaż jego twarz jak zwykle nie wyrażała żadnych emocji, wyczułem reprimendę, albo może rozczarowanie. Miałem jednak powód, żeby domagać się zamieci. Jeśli po rozpoczęciu pojedynku jedno z nas przypadkowo spadnie z góry bez interwencji tego drugiego i zrani się albo nie będzie w stanie kontynuować, pojedynek zakończy się remisem. Mnie takie rozwiązanie odpowiadało. Chociaż wolałbym, żeby to Atalin spadła.

– Księżniczka Atalin zgadza się na zamieć – odparła Vivaldra.

– Za przyzwoleniem Waszej Wysokości sprawdzę teraz górę – oświadczył Haddad, a ja skinąłem głową. Przywołał swoich uczniów. Czterech z nich ruszyło za nim, a sześciu przysunęło się do mnie. Kiedy mój mistrz skrytobójców przeszedł przez zdobione drzwi naprzeciwko mnie, dostrzegłem fragment góry i płatki śniegu, które zgodnie z moim życzeniem zaczęły już wirować, zwiastując zamieć.

Haddad wrócił pięć minut później. Dokładnie w tej samej chwili pojawiła się Atalin w towarzystwie sześciu kolejnych uczniów Vivaldry.

– Teren jest zadowalający – poinformował Haddad. – Chociaż muszę zwrócić uwagę, że zamieć osiągnęła ledwie dziewięćdziesiąt pięć i sześć dziesiątych procent standardu określonego w Code Duello Księcia Eutraxa, regulaminie obowiązującym w Imperialnym Jądrze.

– Jestem pewien, że to wystarczy – odparłem. – Księżniczko Atalin?

– Mało mnie to obchodzi – skwitowała Atalin. Nie patrząc na mnie, wyciągnęła ręce do Vivaldry, żeby ta mogła zdjąć jej płaszcz. Poszedłem w jej ślady i pozwoliłem Haddadowi ściągnąć moje okrycie. Potem Księżniczka oddała kilka sztuk osobistej broni swoim nowicjuszom, a ja wziąłem z niej przykład.

W koszulach, bryczesach i butach galowych stanęliśmy naprzeciwko siebie.

– Zeznaję przed Imperialnym Umysłem, że nie wnoszę żadnej broni na teren pojedynku – oświadczyła Atalin zarówno na głos, jak i w myślach.

Powtórzyłem jej słowa.

Kapłanka Wymiaru Surowego Arbitra wyłoniła się zza mniejszych drzwi, ukrytych obok komnaty pojedynków. Była ubrana w odświętne szaty, a jej głowę zdobił niedorzecznie wysoki, wiklinowy kapelusz, który przypominał kosz odwrócony do góry dnem. Niosła dwa pistolety na bolce. Wręczyła je Haddadowi i Vivaldrze, którzy przetestowali oba, zanim zwrócili je kapłance. Wtedy kobieta podeszła do Atalin i do mnie, ukłoniła się i przekazała nam broń.

– Wybieraj pierwszy – powiedziała Atalin.

– Zaczekam na swoją kolej – odparłem, zdecydowany zachować się nie mniej uprzejmie.

Atalin delikatnie wzruszyła ramionami, zanim wzięła jeden z pistoletów do ręki. Sprawdziła go niepokojąco szybkimi ruchami.

Dźwignąłem swoją sztukę, spojrzałem na wskaźnik poziomu naładowania, biotechnowy zbiornik, przełącznik bezpieczeństwa i uchwyty. Nic nie wzbudziło moich podejrzeń. Broń wyglądała dokładnie tak samo jak ta, z którą dawniej ćwiczyłem.

– Jako wyzwany, powinieneś zacząć na północno-zachodnim wierzchołku, Księżę Kemri – zwróciła się do mnie kapłanka. – A Księżniczka Atalin na południowo-wschodnim. Jesteście gotowi?

– Tak – odparliśmy unisono bezbarwnymi głosami, które brzmiały bardzo podobnie, niemal identycznie. Spojrzałem na Atalin, ale ona unikała mojego wzroku, wolno lustrując sufit.

– Na waszych wierzchołkach aktywowane zostały schody, Wasze Wysokości – dodała kapłanka. – Znikną, kiedy zajmiecie pozycje. Imperialny Umysł ogłosi początek pojedynku. Zaczynajcie.

Rozsunęły się skrzydła masywnych, zdobionych drzwi. Nakładka wskazywała, że powinienem udać się na lewo, a Atalin na prawo. W odległości dziesięciu metrów od siebie, równym krokiem weszliśmy w burzę śnieżną u podnóża miniaturowej góry o stromych wierzchołkach.

Przez zasłonę śniegu ujrzałem pierwszy stopień. Rzuciłem się pędem w tamtą stronę i wskoczyłem na niego. Wiedziałem, że ten, kto pierwszy dotrze na szczyt, zyska cenny czas na sprawdzenie góry i opracowanie strategii przed rozpoczęciem pojedynku. Zamierzałem zdobyć tę przewagę.

Pokonując po cztery stopnie naraz, piąłem się coraz wyżej. Płatki śniegu wirowały wokół mnie. W trakcie biegu musiałem dostosować swoją skórę, temperaturę ciała i wzrok do panujących warunków atmosferycznych. Po pokonaniu około trzydziestu stopni zaryzykowałem kilkusekundową przerwę, żeby pozbyć się butów. Nie miały odpowiednich podeszew, które sprawdziłyby się na śniegu albo nagiej skale. Znacznie lepiej mogłem poradzić sobie z chłodem i drobnymi otarciami oraz skaleczeniami niż

z upadkiem. Zwłaszcza że upadek przed rozpoczęciem pojedynku nie poskutkowałby remisem, tylko odroczeniem.

Na bosy wspinałem się szybciej, ponieważ miałem znacznie lepszą przyczepność. Mimo to kiedy dotarłem na szczyt i spojrzałem przed siebie, ujrzałem Atalin, która pojawiła się na miejscu dokładnie w tym samym momencie.

Schody zniknęły, a w mojej głowie rozległ się głos Imperialnego Umysłu.

„Rozpocząć pojedynek na mój znak. Trzy, dwa, jeden, start «pieczęć Imperialnego Umysłu»”.

Natychmiast wystrzeliłem pierwszy bolec w kierunku północno-wschodniego szczytu, który znajdował się najbliżej. Wypuściłem piętnaście metrów żyłki, ale nie odciąłem jej i poszybowałem w powietrzu, pokonując rozłam między szczytami. Wylądowałem na nierównej półce, dostrzeżonej w ułamku sekundy, który miałem na ocenę terenu. Odciąwszy pierwszą żyłkę, przeskoczyłem na wąską wychodnię wschodniego wierzchołka i ponownie wystrzeliłem, tym razem posyłając bolec wysoko w kierunku południowo-wschodniego szczytu, znajdującego się nieco niżej. Kiedy żyłka rozwinęła się na długość piętnastu metrów, odciąłem ją, chwyciłem jej koniec i pociągnąłem w bok i w dół. Jeśli Atalin nie zmieniła pozycji, mogłem ją w ten sposób podciąć.

Bolec trafił w skałę tuż nad moją głową. Dzięki temu zrozumiałem, że moja rywalka jednak się ruszyła. Rzuciłem się w dół, oddając strzał. Próbowałem nie tylko ją trafić, ale także ocalić się przed upadkiem. W efekcie zawisłem na żyłce. Rozbijałem ją i czmychnąłem do płytkiej jaskini. Przez cały czas gorączkowo rozglądałem się dookoła.

Ciemna sylwetka zawisała nade mną. Strzeliłem dwa razy, posyłając pierwszy bolec tam, gdzie, jak sądziłem, skoczy Atalin, a zaraz potem kolejny, oba na krótkich żyłkach. Chociaż wbiły się w zbocze po

przeciwnej stronie, gwałtowne napięcie drugiej żyłki było sygnałem, że moja przeciwniczka została uwięziona między nimi. Puściwszy pistolet, chwyciłem mocno pierwszą z nich i ściągnąłem obie razem. Splotłem je kilkoma energicznymi ruchami.

Atalin zawirowwała w górze, pięć metrów ode mnie, z nogami oplecionymi żyłką. Ale kiedy się obracała, wycelowała we mnie. Czmychnąłem w bok, a boleć rozkruszył skałę za moimi plecami. Księżniczka się obróciła, a ja wykorzystałem ten moment, żeby przywiązać obie żyłki do wystrzelonego przez nią bolca, chwyciłem pistolet i wykonałem kolejny unik.

Zanim Atalin zdążyła strzelić po raz trzeci, sam wziąłem ją na cel i posłałem boleć prosto w jej prawe przedramię, gdzie utkwilo we wzmocnionej kości. Szarpnąwszy za żyłkę, unieruchomiłem rękę przeciwniczki przy boku, a razem z nią pistolet, ale ona przełożyła broń do lewej dłoni.

Trwało to jednak kilka cennych sekund, które pozwoliły mi oddać kolejny strzał. Tym razem boleć przeszył jej lewą rękę na wysokości nadgarstka. Pociągając mocniej, kolejny raz przywiązałem żyłki do tkwiącego w skale bolca, którym wcześniej Atalin do mnie mierzyła.

Ale mimo wszystko ona nie przestała się szamotać. Próbowwała wydostać pistolet, chociaż było to niemożliwe.

– Poddaj się! – zawołałem.

Atalin spojrzała na mnie. Jej twarz wyrażała wściekłość. Krew kapała z jej ran, chociaż nie było tego wiele, gdyż system wewnętrzny zatamował krwotok. Mimo to trochę śniegu zabarwiło się na różowo.

– Nie ma mowy! – warknęła. – Zabij mnie, jeśli potrafisz!

– Jesteś moją siostrą! – wrzasnąłem, próbując przekrzyczeć wycie zamieci. – Nie chcę cię zabijać. Zwłaszcza że...

Chciałem dodać „się nie odrodzisz”, ale słowa uwięzły mi w gardle. Najwyraźniej Morojał miała ograniczyć przepływ także tej informacji. Po prostu nie mogłem wyznaczyć tego Atalin.

– Co takiego? – zaskrzeczała Atalin. Spróbowała podskoczyć i przegryźć żyłki. Uznałem, że może się jej udać, więc dodałem szybko:

– Zostaniemy kandydatami Imperium! – Chciałem użyć argumentu, który sprawi, że zaczniesz mnie słuchać. – Ale nic z tego nie będzie, jeśli teraz umrzesz.

– Skąd wiesz? – zapytała Atalin. Nie przestała machać nogami i próbowała pochylić głowę. Ale jej głos nie brzmiał już tak wojowniczo.

– Od arcykapłanki Morojał z Wymiaru Wprawnej Ręki Imperatora – odparłem.

„To prawda «pieczęć Imperialnego Umysłu». Oboje zostaniecie kandydatami”.

Nie zadałem pytania Umysłowi, ale najwyraźniej zrobiła to Atalin.

Przestała wierzgać i spojrzała na mnie. Miała taką samą minę jak ja, kiedy intensywnie się nad czymś zastanawiałem.

– Dlaczego mi o tym mówisz? – zapytała. – Dlaczego mnie po prostu nie zabijesz? Miałbyś jednego kandydata mniej do pokonania.

– Bo j e s t e ś moją siostrą – odparłem. Naprawdę tak myślałem, a ona to chyba zrozumiała. Nawet jeśli nie potrafiła pojąć moich motywów.

Atalin wpatrywała się we mnie przez dłuższą chwilę, ale jej twarz niczego nie wyrażała. Nie miałem więc pojęcia, jakie myśli skrywało to znajome, a jednocześnie obce oblicze.

– Poddaję się – powiedziała głośno i to samo powtórzyła w myślach.

„Uznaję zwycięstwo Księcia Kemriego”.

„Pojedynek zakończony «pieczęć Imperialnego Umysłu». Wygrywa Książę Kemri. Przegrywa Księżniczka Atalin”.

Wiatr natychmiast przestał wyć, a śnieg sypać. Tuż obok mnie pojawiły się schody, po których mogłem zejść. Nie ruszyłem się jednak z miejsca.

– Pamiętasz naszych rodziców? – zapytałem.

Atalin się skrzywiła.

– Oczywiście, że nie. I nie jestem twoją siostrą. To niemożliwe.

– Ależ możliwe – odparłem. – Arcykapłanka Morojal też to potwierdziła, chociaż przypuszczam, że Imperialny Umysł tego nie zrobi. Powiedz mi... jak spędziłaś czas poza zasięgiem Umysłu?

Atalin odwróciła głowę.

– To wymóg dla wszystkich kandydatów – powiedziałem. – Więc wiem, że musiałaś to zrobić.

– Wygląda na to, że wiesz znacznie więcej, niż powinienesz – stwierdziła Atalin. Ponownie skierowała ku mnie twarz. – Głównie od arcykapłanki Morojal, jak zakładam. Spędziłam rok w Biurze Geodezji. Odcięta od Umysłu, tak daleko od Imperium, jak to tylko możliwe.

– Więc zapewne widziałaś normalne ludzkie rodziny na Peryferiach – skwitowałem. – Braci i siostry. Rodziców i dzieci.

Atalin zmrużyła oczy.

– Jestem twoim bratem, czy ci się to podoba, czy nie – kontynuowałem. – I ocaliłem cię właśnie z tego powodu. Może pewnego dnia mi się odwdzięczysz. Siostro.

Atalin nie przestawała mi się przyglądać. Patrzyła na mnie jak na holograficzny ekran przedstawiający informacje, których nie potrafiła zrozumieć.

Kapłani wspinali się już po schodach, gotowi udzielić pomocy medycznej. Byli tam Haddad i Vivaldra, a także ich liczni uczniowie.

Ruszyłem im na spotkanie. Atalin wisiała nade mną, milcząca i ponura, niczym pajęczycza schwymana we własne sieci.

Patrzyłem na to z bólem serca, ale jednocześnie przepełniało mnie szczęście.

Nareszcie opracowałem początek planu, który zamierzałem zrealizować.

Rozdział 24

Chociaż wkroczyłem na właściwą ścieżkę, nie wiedziałem, co czeka mnie po drodze ani jaki będzie jej koniec. Poza tym nie miałem czasu, żeby dopracować szczegóły swojego planu. Po pojedynku wróciłem do domu gościnnego, w którym zostałem ulokowany. Wuj Hormid opatrzył moje stopy, a potem musiałem znosić liczne półoficjalne wizyty Księżąt, którzy chcieli, żeby ten, którego właśnie odznaczono Imperialną Gwiazdą za Odwagę, dołączył do ich Domu. Wszystkim musiałem zaproponować coś do picia i zmusić się do wysłuchania, dlaczego „koniecznie” muszę przystąpić właśnie do nich.

Nie zaskoczyła mnie nieobecność przedstawicieli Domu Dzerrazisa. Po wyjściu dziesiątego Księcia, członka Domu Izwalla, opadłem na fotel przypominający tron i rozkazałem Haddadowi odprawić kolejnych interesantów. Za oknem zapadała noc, a ja potrzebowałem trochę czasu, żeby opracować plan, zanim imiona kandydatów Imperium zostaną podane do wiadomości publicznej.

Ale nie miałem nawet tyle czasu. Ledwie zdążyłem usiąść i przyjąć kieliszek wina od Haddada, a już otrzymałem priorytetowy komunikat od Imperialnego Umysłu.

„Jego Wysokość Imperator wybrał tysiąc kandydatów, którzy będą ubiegać się o tron. Wybrani Księżęta to...”

Próbowałem się wyciszyć, podczas gdy długa lista imion rozwijała się w mojej głowie, ale poderwałem się, kiedy usłyszałem swoje imię. Aż do tej chwili istniał cień szansy, że Morojal okłamała mnie dla własnych celów albo się pomyliła. A teraz odebrano mi tę nikłą nadzieję.

Upiłem łyk wina. Było schłodzone i smakowało wybornie. Musiało imitować jakiś szczep ze starej Ziemi, wytrawne i owocowe, zostawiało odrobinę cierpki posmak na języku.

Mimo to kiedy je przełknąłem, odkryłem, że nie mogę się ruszać. Na próżno próbowałem obrócić głowę. Straciłem nawet kontrolę nad oczami. Ale żaden z moich systemów ostrzegawczych nie informował o zagrożeniu. Wszystkie utrzymywały, że wypilem zwykłe wino.

Haddad pojawił się w zasięgu mojego wzroku i skinął głową. Potem pochylił się nade mną, odebrał mi broń i każdą sztukę umieścił ostrożnie w kieszeniach swojej szaty. Potem wsunął lekkie pantofle na moje niedawno opatrzone stopy i cofnął się.

„Haddadzie? Otrułeś mnie?”

– Żałuję, że tak się stało, Wasza Wysokość – przyznał Haddad.

„Ale jesteś moim mistrzem skrytobójców...”

– Jestem przede wszystkim kapłanem Imperatora, służę Wymiarowi Zacienionego Ostrza – oświadczył Haddad. – To pewien etap drogi kandydata, Wasza Wysokość. To nie trucizna, ale nanoinhibitor zestrojony z organizmem Waszej Wysokości. Efekty są krótkotrwałe. Wkrótce odzyska Wasza Wysokość mobilność, ale pozostanie osłabiony przez krótki czas, a usprawnienia i niektóre wewnętrzne systemy pozostaną wyłączone.

„Osłabiony?”

– Znane są przypadki, że niektórzy Książęta próbowali nieautoryzowanego usunięcia innych kandydatów jeszcze przed rozpoczęciem sprawdzianu – wyjaśnił Haddad. – Ta... pacyfikacja... gwarantuje, że wszyscy kandydaci przystąpią do testu inicjującego.

Spróbowałem poruszyć ręką, ale zdołałem jedynie delikatnie zgiąć dwa palce. Potem chrząknąłem i odkryłem, że mogę niezdarne manewrować językiem i jako tako mówić.

– Zastosowałbym się do zasad i bez tego – szepnąłem. – Zawsze sądziłem, że mogę ci ufać. Zawsze.

Haddad westchnął, spoglądając na mnie z góry.

– Jesteśmy tym, czym nas uczyniono – odparł. – Wasza Wysokość może liczyć na moją całkowitą lojalność w każdych okolicznościach prócz tych, kiedy rozkazy wydaje sam Umysł. A w zaistniałej sytuacji, mój Książę, nie mogę sprzeciwić się bardziej niż ty sam. Proszę spróbować wstać.

Dźwignąłem się na drżących nogach. Byłem tak słaby jak wtedy, kiedy obudziłem się w swoim nieulepszonym ciele. Upadłbym, gdyby Haddad nie chwycił mnie pod rękę. Przytrzymał mnie i pokierował w kierunku drzwi frontowych. Minęliśmy salę recepcyjną, w której jeszcze niedawno roiło się od moich kapłanów i uczniów Haddada. Teraz była pusta.

Na zewnątrz świecił księżyc, ogromny, zawieszony nisko nad horyzontem. Nie był to byle jaki księżyc, tylko blada tarcza, którą znałem z lekcji historii pobieranych dawno temu w świątyni szkoleniowej. Jasne, chłodne światło i wzór kraterów oraz wzniesień sugerowały, że to Księżyc starej Ziemi.

Haddad zauważył, że podziwiam ten niespodziewany widok, i ubiegł moje pytanie.

– To i s t o t n i e Księżyc Ziemi – powiedział cicho. – Sprowadził go tutaj pięćdziesiąty czwarty Imperator. Znajduje się na dziwacznej, sterowanej orbicie i jest oświetlany wyłącznie w noc testu kandydatów, raz na dwadzieścia lat.

Rozejrzałem się po ogrodzie. Z każdego domu gościnnego wylaniał się chwiejny, osłabiony Książę, prowadzony i wspierany przez swojego mistrza skrytobójców.

– Skłamałeś o Księżniczce Emzyl – wychrypiałem. – Zabrałeś ją tak samo, jak teraz zabierasz mnie.

– Tak, Wasza Wysokość – przyznał Haddad. – Zrobiłem to na polecenie Umysłu.

Potem nie rozmawialiśmy. Całą energię wykorzystywałem do unoszenia i przesuwania stóp. Bez Haddada na pewno upadłbym na trawę i wił się niczym robak, który dotarł do kresu swojego krótkiego życia.

Wszyscy powłóczący nogami Książęta byli prowadzeni w kierunku Księżycy. Jego światło wyznaczało srebrną trasę przez ogród, przyciągając nas do siebie, przez trawniki, dziedzińce, zbiegające się alejki i ścieżki.

Prawdopodobnie pokonaliśmy nie więcej niż kilometr, ale w moim odczuciu była to jedna z najdłuższych podróży, jakie kiedykolwiek odbyłem. Czułem się znużony, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Ponadto miałem żal do Haddada, ponieważ zawiódł moje zaufanie. Jakaś część mnie trwała w irracjonalnym przekonaniu, że to mój prawdziwy przyjaciel, a nawet członek rodziny, i że stanąłby po mojej stronie przeciwko Imperium.

Gdybym się nad tym dłużej zastanowił, zrozumiałbym, że uległem złudzeniu. Haddad był stworzeniem Imperium w równym stopniu jak wszyscy inni, jak każdy Książę. Nie mógł się wyzwolić z ograniczeń i uwarunkowań swojego powołania bardziej niż ja.

Dotarliśmy na szczyt niskiego wzniesienia. Chociaż ledwie mogłem ruszać głową, ujrzałem wiele Książąt po obu stronach. Niektórzy byli w gorszym stanie niż ja, a ich mistrzowie skrytobójców w zasadzie ich nieśli. Kolejny raz Haddad okazał się najlepszym skrytobójcą, ponieważ podał mi idealną dawkę i ani kropli więcej.

Wszyscy Książęta zostali ustawieni w jednym szeregu, ciągnącym się wzdłuż grzbietu wzniesienia. Spojrzałem w dół i zobaczyłem ciemne odmęty. Było to rozległe jezioro, którego drugiego brzegu nie mogłem dojrzeć, ponieważ moje oczy były tak samo osłabione jak mięśnie.

Blask księżycyca oświetlał jedynie najbliższy brzeg. Tworzyła go piaszczysta plaża, tak długa jak szereg Książąt. Ciągnęła się w obie strony na odcinku może dwóch tysięcy metrów. Przycumowano tam odpowiednią liczbę wąskich łodzi o ostrych dziobach, wystarczająco dużych, żeby pomieścić człowieka.

– Łodzie kandydatów – szepnął mi Haddad do ucha. Ponieważ pozostali mistrzowie tłumaczyli to samo swoim Książętom, powstał dziwny gwar przypominający szelest mnóstwa liści porwanych nagle przez lekką bryzę.

Tysiąc Książąt i tysiąc skrytobójców zeszło ze wzgórza. Każda para podeszła do łodzi znajdującej się dokładnie naprzeciwko niej. Nie było więc potrzeby mijać się ani przepychać. Wszystko zostało idealnie przygotowane.

„Witajcie na pierwszym etapie testu, Książęta «pieczęć Imperialnego Umysłu». Mistrzowie skrytobójców, ułóżcie Wasze Wysokości w łodziach kandydatów”.

Haddad musiał unieść moje stopy, żeby wsadzić mnie do łodzi, a potem pomógł mi się położyć. Kiedy nagle nibynóżki wystrzeliły w górę, żeby opleść moje nogi, pierś i rękę, zdałem sobie sprawę, że wcale nie znajduję się w łodzi. Był to jakiś biotechowy organizm, który teraz bardzo mocno mnie trzymał.

– Powodzenia, Wasza Wysokość – szepnął Haddad. Delikatnie oparł dłoń na mojej piersi, po czym cofnął ją wolno, kurcząc palce, jakby niechętnie rozstawał się z czymś, co dawniej cenił. Potem odsunął się i odszedł.

Przeźroczysta błona nakryła gondolę od góry, więząc mnie w środku, a w mojej głowie rozległ się głos Imperialnego Umysłu. Brzmiał inaczej niż dotychczas, był bardziej wyrazisty i wydawał się ogromnie znużony.

„Łodziami steruje się za pomocą psychotechnu «pieczęć Imperialnego Umysłu». Kiedy ruszą, będziecie musieli pokierować je przez główny nurt

do wodospadów znajdujących się przed wami, a potem przez podziemną rzekę. Ci, którym się uda, dotrą do drugiego etapu testu. Umysł nie będzie was obserwował, więc jeśli zginiecie, już się nie odrodzicie”.

To przecież sam Imperator, a nie zbiorowy głos Imperialnego Umysłu, pomyślałem. Najwyraźniej bardzo go interesowało, który Książę uwolni go od imperatorskich obowiązków i pozwoli mu stać się częścią gestaltu. Po zrezygnowanym tonie głosu poznałem, że Imperator nie może doczekać się tej chwili.

To tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że nie chcę zająć jego miejsca. Ale miałem ograniczone możliwości. Mogłem podjąć walkę albo zginąć. Gondola zawibrowała, gdy system napędowy zaczął budzić się do życia.

Chociaż nadal byłem fizycznie osłabiony, a moje mechtechowe systemy czy biotechowe gruczoły nie działały, psychotechowe zmysły wydawały się sprawniejsze. Sięgnąłem w głąb siebie, wychwytyjąc echo psychotechowego systemu. Ale nie udało mi się nawiązać połączenia z łodzią, chociaż dotarło do mnie kilka wściekłych komend przekazywanych telepatycznie przez Książęta nieopodal.

Zacząłem się intensywnie koncentrować. Ale kiedy kolejny raz spróbowałem nawiązać połączenie z łodzią, nadeszła odpowiedź, coś jakby echo, przywodzące mi na myśl szept biotechowego mózgu Korkera. Skupiłem się na tym, wywierając nacisk siłą mojego umysłu, i w końcu się połączyłem. Ta istota nie miała świadomości jak Korker ani nie była nawet w połowie tak rozwinięta jak on, ale po kilku minutach prób i eksperymentów zrozumiałem, jak stymulować różne części tego prostego mózgu, żeby regulować prędkość i ustawienie płetw, pełniących podwójną funkcję: napędu i systemu sterującego.

Niewiele z tego wynikło, ponieważ trzymały mnie nibynóżki, więc nie widziałem nic poza niebem, które było prawie całkiem czarne, jeśli nie

liczyć bladego, srebrnego światła księżyca, szybko niknącego za łodzią. Jak zatem miałem pokierować łodzią przez środkowy nurt do wodospadu?

Dotarło do mnie, że jestem bezsilny. Ale Morojał powiedziała przecież, że tylko pięciu spośród tysiąca kandydatów unoszących się teraz na jeziorze rzeczywiście brano pod uwagę. Na tak wczesnym etapie z pewnością nie zaryzykowałiby utraty jednego z nich, a zwłaszcza faworyta, którym podobno byłem.

Oczywiście nie dałbym głowy, że arcykapłanka mówiła prawdę.

Tak czy inaczej, musiałem odzyskać wzrok albo wykorzystać inne zmysły do sterowania łodzią, tak jak wtedy, kiedy zyskałem dostęp do sonaru stworzenia ratowniczego w zbiorniku Siedliska Karalczan.

Mogłem skorzystać z pomocy. Spojrzeć oczami kogoś innego.

„Haddadzie, jesteś tam?”

„Tak, Wasza Wysokość”.

„Zrobisz, co ci każę?”

„W granicach dopuszczalnych przez Imperialny Umysł, Wasza Wysokość”.

„Muszę użyć twoich oczu, żeby sterować łodzią”.

„Tak, Wasza Wysokość. Właśnie dlatego pozostaliśmy na brzegu. Proszę kontynuować”.

Nie wyjaśnił mi, jak to zrobić, ale instynkt mnie nie zawiódł. Zacisnąłem powieki i podążyłem ścieżką wyznaczoną przez nasze połączenie kilka mikrosekund wcześniej. Poczułem, jak wnikam w umysł mistrza, albo przynajmniej w jakiś jego zakamarek, a potem ciemność ustąpiła miejsca wyraźnej panoramie jeziora. Widziałem wszystko aż do drugiego brzegu dzięki biotechowemu oku Haddada. Miałem także do dyspozycji nakładkę z mapą, siatką kartograficzną i wskaźnikiem, dzięki któremu poznałem dokładną pozycję nie tylko swojej gondoli, ale także nurtu, przez który musiałem się przedostać.

Cel znajdował się dokładnie przede mną, co do pewnego stopnia potwierdzało, że Morojal mówiła prawdę. Zostałem ulokowany na bardzo dogodnej pozycji. Kilkuset innych Książąt, którzy znajdowali się daleko po mojej prawej i lewej stronie, nie miało szans dotrzeć do głównego nurtu, nawet jeśli odzyskają wzrok i zapanują nad systemem sterującym. Dzięki oczom Haddada widziałem jednak, że niewielu kandydatów rozpracowało system korzystania ze wzroku swoich skrytobójców, a nawet jeśli im się to udało, nie potrafili zapanować nad swoimi środkami transportu.

Nawet w tej rywalizacji Imperium próbowało dostosować sytuację do zachcianek Imperialnego Umysłu.

Nie miałem jednak czasu, żeby przejmować się innymi Książętami. Silne prądy kierowały moją łódź w stronę wodospadu, ale nie tam, gdzie znajdował się główny nurt. Musiałem więc zmusić mój środek transportu do wytężonej pracy. W efekcie głębiej zanurzył płetwy. Sunął ukośnie po jeziorze, ślizgając się w jedną bądź drugą stronę, podczas gdy różne prądy spychały go z kursu.

Przekonałem się, że w stanie osłabienia nawet sterowanie łodzią i patrzenie oczami Haddada może być wyczerpujące. Zmobilizowałem całą siłę woli, żeby wykonywać obie te czynności za pomocą psychotechnu. W pewnej chwili poczułem, że zaraz zemdleję. Ale wytrzymałem, a wskaźnik przedstawiający na mapie moją łódź znalazł się na właściwej pozycji. Szczęśliwie dotarłem na skraj wodospadu.

Potem wszystko spowiła ciemność, a ja straciłem łączność z Haddadem. Otworzyłem oczy, ale otaczał mnie mrok. Grzmot wody był ogłuszający, kiedy łódź nagle się obróciła, a ja uderzyłem w przezroczystą błonę, która była teraz twarda niczym pancierz. Łódź wirowała wściekle, a woda smagała mi nogi i twarz.

„Proszę wstrzymać oddech. Tym razem żegnamy się na zawsze, Wasza Wysokość. Bez względu na wszystko”.

Te były ostatnie słowa, jakie usłyszałem od Haddada. Chyba pod wieloma względami przypominał mi ojca, którego nigdy nie miałem, czy też może raczej jakiegoś mądrego wuja, który wziął mnie pod swoje skrzydła niczym głupawego bratanka. Na sam koniec wyczułem, że pomyślał coś bardzo podobnego, zasmucony tym, że obydwaj utknęliśmy w naszych imperialnych rolach. Współczuł zarówno sobie, jak i mnie.

Natychmiast skorzystałem z ostatniej rady Haddada i zrobiłem kilka głębokich wdechów, zanim woda całkowicie wypełniła łódź. Kiedy znalazłem się pod powierzchnią, kolejny raz zeskanowałem mózg gondoli. Chciałem sprowokować impuls nerwowy, który wyzwoli mnie z uścisku nibynózek. Chociaż wcześniej mi się to nie udało, tym razem osiągnąłem cel. Gdy tylko natarłem swoim psychotechnem na odpowiedni punkt, łódź się rozpadła, a nibynózki gwałtownie skurczyły, niczym pod wpływem kwasu.

Unosiłem się w głębokiej, mrocznej toni.

Zewsząd dochodziły mnie psychotechnowe wrzaski i pomstowanie tonących Książąt. Wtedy już dobrze wiedziałem, jaki los czekał większość z tysiąca kandydatów Imperium.

Bez pomocy mechtechowych systemów nawigacyjnych i czujników nie miałem pojęcia, gdzie jest powierzchnia. Ale zamiast płynąć w dowolnie wybranym kierunku, po prostu znieruchomiałem. Wiedziałem co nieco o wyporności. I chociaż miałem zbrojone kości i kilka innych dodatkowych drobiazgów na wyposażeniu, woda mnie unosiła, zwłaszcza że miałem płuca pełne powietrza.

Oczywiście nie byłem pewien, czy teoria sprawdzi się w praktyce, a po dwóch minutach – odmierzonych w wyniku wolnego odliczania, skoro nie mogłem liczyć na pomoc swojego wewnętrznego zegara – zacząłem się bać. Strach niemal zmienił się w panikę, ale zdołałem go ujarzmić, więc stopniowo ustąpił miejsca czemuś na kształt akceptacji.

Być może utonięcie nie byłoby mimo wszystko takie złe w porównaniu ze wstąpieniem na tron Imperatora. Gdybym wygrał całą tę rywalizację, trwale związałbym się z tym, czym od pewnego czasu gardziłem. Zasadniczo zostałem więźniem Imperialnego Umysłu. Dzierżenie władzy absolutnej w Imperium w żaden sposób nie zrekompensowałyby mi ograniczeń narzuconych na to, co uznawałem za swoją duszę – to archaiczne określenie, którego znaczenia wcześniej tak naprawdę nie rozumiałem.

Moje ciało nie przejęło się jednak filozoficznymi dywagacjami umysłu. Gdy tylko dostrzegłem smugę światła w górze, po prawej stronie, instynktownie wystrzeliłem w tamtym kierunku, dziko młóćąc wodę rękami i nogami i wykorzystując resztki energii. Światło jednak zdawało się ode mnie oddalać, coraz bardziej i bardziej, aż nagle moja głowa wynurzyła się nad powierzchnią. Kaszląc i plując, chciwie łykałem powietrze, rozglądając się jednocześnie za nowym, potwornym zagrożeniem, które bez wątpienia miało się zaraz pojawić.

Rozdział 25

Łagodne światło, które wskazało mi drogę, okazało się biotechową luminescencją wytwarzaną przez kilkumetrowej długości przedmiot, przytwierdzony do chropowatego sufitu wysoko w górze. Zorientowałem się, że dotarłem do jaskini, która mogła być naturalnym tworem albo została odpowiednio przygotowana. Zasadniczo przypominała kopułę o średnicy dwudziestu metrów i początkowo wyglądało na to, że jedyna droga powrotna prowadzi przez podziemną rzekę, której nie miałem ochoty znów przekraczać.

Nagle dostrzegłem jednak niedużą ciemną plamę z prawej strony, tuż nad taflą zbiornika, i podpłynąłem do niej. Właściwie nie wykonywałem nawet większych ruchów. Po prostu dałem się ponieść wodzie we właściwym kierunku. Na miejscu zorientowałem się, że był to wlot tunelu, pnącego się w górę pod dużym kątem. Przejście miało szerokość moich ramion i całkiem gładkie ściany. Wyglądało na to, że powinienem nim podążyć.

Oczywiście byłem nieufny, ale po kilkukrotnym zlustrowaniu całego terenu nie dostrzegłem żadnej innej drogi. Poza tym musiałem w końcu wyjść z tej zimnej wody. Ponieważ nanoinhibitor, który Haddad podał mi w winie, nadal działał, nie odzyskałem żadnej z bardziej zaawansowanych funkcji. Nie mogłem więc chwilowo regulować temperatury ciała, a skutki zanurzenia dokuczały mi coraz bardziej. Musiałem się wysuszyć i ogrzać. Albo znaleźć sposób, żeby odzyskać swoje usprawnienia.

Bardzo wolno podciągnąłem się do tunelu i zacząłem mozolną wspinaczkę, wijąc się niczym robak. Na początku było ciemno, ponieważ zablokowałem swoim ciałem dostęp światła z jaskini. Ale po mniej więcej

pięciu metrach pojawiły się dwa niewielkie źródła biotechnowego oświetlenia, a pięć metrów dalej dwa inne.

Przez długi czas posuwałem się w ślad za jasnymi punkcikami i po jakimś czasie chłód przestał mi dokuczać. Zmęczenie także zelżało. Chociaż moje usprawnienia wciąż nie działały, potrafiłem radzić sobie w takim stanie dzięki praktyce zdobytej na Karalczy podczas testu na weryfikatora. Podniesiony na duchu czołgałem się dalej, sprawdzając drogę przed sobą za pomocą psychotechnowych zmysłów i zachowując czujność na wypadek, gdyby pojawiły się ewentualne pułapki.

W końcu tunel zaczął się rozszerzać. Zwolniłem i szedłem jeszcze ostrożniej niż dotąd. W końcu dotarłem do osadzonych w skale drzwi. Był to stary mechtech, przymocowany widocznymi gołym okiem nitami. Obok dostrzegłem koło mechaniczne, służące do ich otwierania i zamykania. Przyklęknąłem i sprawdziłem je dokładnie. Przyłożyłem nawet ucho do stalowej powłoki i nasłuchiwałem, ale nie dotarły do mnie żadne niepokojące dźwięki. Co więcej, moje psychotechnowe zmysły nie odebrały żadnych sygnałów dochodzących ze środka.

Kiedy pokręciłem kołem, drzwi się uchyliły. Nie wydarzyło się nic strasznego, otworzyłem je więc trochę szerzej i zerknąłem przez szparę. Za nimi panowała całkowita ciemność, nic więc nie widziałem. Mimo to czułem na twarzy delikatny powiew wiatru. Spodziewałem się więc, że po drugiej stronie jest otwarta przestrzeń.

Zakręciłem kołem na tyle, żeby móc się przecisnąć między skrzydłami drzwi, i ostrożnie wyszedłem z tunelu. W jednej chwili wysoko w górze rozbłysło sztuczne słońce. Zmrużyłem powieki i zamrugąłem, kiedy światło skąpało wszystko wokół mnie. Wyszedłem na piaszczyste podłoże starożytnej okrągłej areny pośrodku ogromnego amfiteatru z białego kamienia.

Jeśli nie liczyć mojego oddechu i cichego szurania stóp na piasku, na arenie panowała cisza jak makiem zasiał. Publiczność nie wypełniała rzędów ławek ciągnących się wysoko nad moją głową. Właściwie byłem całkiem sam. Zauważyłem jednak wiele drzwi dookoła mnie w wewnętrznej ścianie, takich samych jak te, przez które się tutaj dostałem. Na moje oko było ich tysiąc, więc natychmiast zacząłem się rozglądać za bronią. Najwyraźniej to właśnie tutaj my, Książęta, którzy pokonaliśmy wodospad i podziemną rzekę, mieliśmy walczyć na śmierć i życie.

Cóż za cudowny, staromodny sposób na wyłonienie zwycięzcy.

Broń znajdowała się dokładnie na środku areny, mniej więcej dwieście metrów przede mną. Gdy tylko dostrzegłem błysk stali, rzuciłem się pędem w tamtym kierunku. Niemal w tym samym momencie otworzyły się drzwi na odległym krańcu areny i jakiś Książę wszedł na arenę chwiejnym krokiem. Potem po mojej prawej otworzyły się kolejne drzwi i stanął w nich kolejny kandydat. Obaj poruszali się wolno, ale natychmiast zauważyli mnie i to, do czego biegłem. Zareagowali natychmiast.

Po mojej lewej otworzyły się kolejne drzwi, chociaż nikt się zza nich nie wyłonił. Byłem w połowie drogi do sterty broni, bliżej celu niż pozostali. Próbowałem przyspieszyć, ale osłabienie nadal dawało mi się we znaki i kilka razy omal nie upadłem, kiedy moje drżące nogi straciły kontakt z piaszczystym podłożem. Poza tym bieg w takich warunkach okazał się wyczerpujący. Warstwa piachu była naprawdę gruba, całkiem jak na plaży.

Kątem oka dostrzegłem na trybunach areny migoczące kolorowe światło. Na moment odwróciłem głowę w tamtym kierunku i ujrzałem, że jednak ktoś tam był. Samotna postać, siedząca w łoży pośrodku widowni. Nie miałem czasu się jej przyjrzeć. Walcząc o każdy oddech, popędziłem do składu broni na środku placu.

Dzięki temu, że wystartowałem pierwszy, dotarłem na miejsce kilka sekund przed pozostałymi. W sam raz, żeby zauważyć trzy miecze, dwa

trójzęby i dwie sieci. Natychmiast chwyciłem trójzab i odwróciłem się w samą porę, żeby nadziać na niego Księcia nadbiegającego z lewej strony. Trzeba mu przyznać, że szybko biegał, ale ostatecznie prędkość okazała się dla niego zgubna, ponieważ wbiegł prosto na trójzab. Cofnąłem się gwałtownie, kiedy trzy ostre zęby wbiły się w jego pierś. Sądząc po jego osłupiałej minie, uznałem, że za bardzo przyzwyczał się do swoich ulepszeń, które pozwoliłyby mu zwolnić w ostatniej chwili.

Nie miałem czasu rozmyślać o tym, co właśnie zrobiłem. Rzuciwszy trójzab, podniosłem kolejny, a wraz z nim także sieć. Nigdy nie trenowałem z taką bronią, ale uznałem, że należy posługiwać się nią podobnie jak mieczem i biczem paralizującym.

Podbiegła do mnie Księżniczka, która jednak zwolniła w odpowiednim momencie. Była ode mnie wyższa i bez wątpienia silniejsza. Uśmiechała się szeroko, krążąc wokół mnie. Dostosowałem się do jej ruchów. Cisnąłem sieć do przodu, żeby ją wypróbować – moja przeciwniczka się uchyliła, ale potem gwałtownie wyprostowała i chwyciła ją, pociągając tak mocno, jak tylko mogła.

Ona także za bardzo przywykła do swoich usprawnień. Nie zdołała wyrwać mi sieci, a kiedy jeszcze ją trzymała, ja zrobiłem krok do przodu i cisnąłem w nią trójzab. Przebił Księżniczce gardło, więc upadła, a jej krew polała się na piasek.

Nawet kiedy umierała, nie puściła sieci. Zostawiłem ją i pobiegłem z powrotem do stojaka, żeby wziąć miecz. Dokładnie w tej samej chwili pojawiła się druga Księżniczka, której wcześniej nie zauważyłem.

Oboje wykonaliśmy krótkie dźgnięcia mieczami, ale niecelne. Zawiirowaliśmy i odskoczyliśmy w tył. Potknąłem się przy lądowaniu, a ona zaatakowała natychmiast, mierząc w moje udo. Odparowałem cios, odsunąłem się i zawahałem, mimo że odruchowo chciałem rozpocząć kontratak.

To była Atalin. Podobnie jak ja miała na sobie zabłocony mundur galowy, a jej twarz i ręce pokrywały drobne, krwawe otarcia. Pokaleczyła sobie także stopy. Pewnie opuściła budynek gościnny w obuwiu mniej wygodnym od moich kapci i pozbyła się ich w wodzie. Kolejny raz Haddad przygotował mnie lepiej, niż być może na to zasługiwałem.

– Więc znów się spotykamy, bracie – powiedziała, nacierając na mnie. Mierzyła prosto w moją głowę, ale ja zrobiłem unik i zamachnąłem się, celując w jej rękę. Okazała się jednak za szybka. Dysząc, cofnęliśmy się i zaczęliśmy krążyć. Koncentrowałem się głównie na Atalin, ale jednocześnie próbowałem się rozglądać po arenie. Morojal wspomniała o pięciu prawdziwych kandydatach, a ja byłem przekonany, że wszystkim nam udzielono pomocy w dotarciu do tej zapewne ostatecznej rundy. Dwaj kandydaci leżeli martwi na ziemi, ale gdzie podziewał się trzeci?

Atalin zauważyła, że się rozglądam.

– Morojal powiedziała ci, że jest pięciu kandydatów? – zapytała, skupiona wyłącznie na mnie. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, wykonała pchnięcie, a czubek jej miecza omal nie dosięgnął mojego brzucha, który wciągnąłem, robiąc przy okazji koci grzbiet i wspinając się na palce. Poniewczasie odparowałem cios.

– Tak – warknąłem. Odrobinę rozszerzyłem oczy, jakbym ujrzał coś za jej plecami. Miałem nadzieję, że w ten sposób ją rozproszę. Ale Atalin nie oderwała ode mnie wzroku.

– Zdjęłam piątą konkurentkę, kiedy mijala drzwi – oświadczyła Atalin. – Zostaliśmy tylko my dwoje, Kemri. A wkrótce już tylko jedno.

Ponownie zaatakowała. Uchyliłem się i odparowałem cios, ustępując jej.

– Więc... Morojal... rozmawiała także z tobą? – wydyszałem między kolejnymi dźgnięciami i cięciami Atalin, odparowując ciosy i robiąc uniki.

– Rozmawiałam z nią po naszym pojedynku – wyjaśniła Atalin. Nie wydawała się zasapana. – Uprzedziła mnie, że jesteś faworytem. Powinnam

pozwoić ci wygrać.

Zaatakowałem, zmuszając ją, żeby cofnęła się o kilka kroków. Dzięki temu mogłem nabrać powietrza głęboko w płuca.

– Mnie też to powiedziała – przyznałem. – Ale ja nie...

Przerwała mi w pół zdania i omal nie pozbawiła mnie przy tym głowy, kiedy zawirowała z mieczem w wyciągniętej ręce. Przykucnąłem, unikając ostrza, ale poczułem, że uginają się pode mną kolana, i poleciałem w tył. Natychmiast przeturlałem się z dala od Atalin, która zatrzymała się gwałtownie, jakby została złapana na łąso, i wbiła swój miecz w piasek, dokładnie w miejscu, z którego ulotniłem się sekundę wcześniej.

Kiedy go wyciągała, odwinąłem się i ugodziłem ją w rękę. Czubek ostrza rozciął jej przedramię, upuszczając krew. Nie był to jednak decydujący cios. Księżniczka cofnęła się, uniosła miecz i zasałutowała, kiedy czmychnąłem w tył i wstałem ostrożnie, testując kolana.

– Pierwszy punkt dla ciebie – powiedziała. – Ale to i tak niczego nie zmienia. Nie obchodzi mnie, czego chcą kapłani. J a zasiądem na tronie Imperatora, a ty...

Natarła na mnie w połowie zdania, ale byłem na to przygotowany. Wymieniliśmy ciosy, odparowałem pchnięcie z wypadem i zripostowałem. Oboje cofnęliśmy się kilka sekund później. Atalin miała kolejne draśnięcie, tym razem na ramieniu. Niestety, ja także się takiego dorobiłem, na żebrach po lewej stronie.

– I wcale nie jestem twoją siostrą – dodała Atalin swobodnym tonem, kiedy zwolniła ruchy i zmusiła mnie, żebym zaczął krążyć w lewo, obciążając słabe kolano. – Po prostu mnie do ciebie upodobniono.

– Jak to?

– Zostałam poddana nielegalnemu zabiegowi rzeźbienia ciała – wyznała. Próbowałem nie przywiązywać większej wagi do jej słów, chociaż miałem mętlik w głowie i próbowałem ustalić, czy mówiła prawdę, a jeśli tak, co to

oznaczało. Oczywiście taki był jej plan. Próbowwała mnie rozproszyć, żeby łatwiej było mnie zabić.

– Nie wiem dlaczego – kontynuowała, nie przestając krążyć. – Zostałam upodobniona do ciebie, zanim wstąpiłam do akademii. Zajęli się tym w Domu Dzerrazisa.

– Po co? – zapytałem takim tonem, jakby za bardzo mnie to nie obchodziło. W głębi serca czułem, że mnie okłamywała, a całą uwagę skupiałem na jej oczach i nadgarstku. One, w przeciwieństwie do jej słów, zdradzały prawdziwe zamiary Atalin.

– Kto wie? – odparła. – Być może już wtedy postrzegano cię jako słabego i sentymentalnego, Kemri. Książę nie może być miękkim. Nie ma dla takich miejsca w Im...

Natarła na mnie, trzymając rękę w pełnym wyproście. Spróbowałem się uchylić, ale zawiodło mnie kolano i jej ostrze przebiło moje wnętrzności, wychodząc z drugiej strony. Zamiast jednak polecieć w tył, pochyliłem się i wbiłem miecz w Atalin, tuż nad jej lewą pierś.

Atalin puściła broń i upadła na jedno kolano. Zachwiałem się, ale zdołałem ustać na nogach.

Wolno uniosła rękę i chwyciła ostrze mojego miecza, tylko na chwilę, jakby chciała je wyciągnąć. Była jednak zbyt słaba, a ostrze znajdowało się zbyt blisko jej serca. Nie mogła korzystać z ulepszeń, więc krew tryskała z rany, barwiąc piasek u jej stóp.

– Skłamałam o tym rzeźbieniu ciała – szepnęła Atalin. – Żegnaj, bracie.

Jej ręka opadła bezwładnie, a całe jej ciało wolno osunęło się na ziemię.

– Nie – rzuciłem nagłaco. Ignorując ból przeszywający moje wnętrzności, przysunąłem się do niej i przyklęknąłem. – Posłuchaj! Ja nie chcę być Imperatorem! Chcę, żebyś ty zajęła jego tron i pozwoliła mi odejść!

– Odejść? – zdziwiła się Atalin, uśmiechając się przelotnie, ledwie widocznie. Jej dawniej lśniące oczy zaczynały gasnąć, a jej usta zsiniały. – Dokąd?

– Chcę opuścić Imperium – wyjaśniłem. – Obiecuj, że przywrócisz mnie do życia w takiej postaci, jak sobie zażyczę!

– Książęca obietnica... – mruknęła Atalin. Chociaż patrzyła prosto na mnie, widziała coś zupełnie innego. – To tylko puste słowa.

– Obiecuj mi! – krzyknąłem. – Obiecuj mi to, siostrze!

Wyszeptała coś, co równie dobrze mogło być potwierdzeniem, jak i zaprzeczeniem.

Ale nie mogłem wymusić już na niej niczego więcej. Zostały jej minuty, a może nawet sekundy życia, co oznaczało, że miałem niewiele czasu na zrealizowanie swojego planu. Był bardzo ryzykowny i zakładał, że wbrew zapewnieniom Imperatora, Imperialny Umysł wszystko obserwuje. Z czasu spędzonego na Karalczy wiedziałem, że nie zawsze dało się wyczuć jego obecność. Byłem prawie pewien, że nie zaryzykuje utraty ostatniego kandydata w jakimś dziwnym wypadku.

Musiał wszystko nadzorować.

Chyba że było więcej kandydatów, niż twierdziła Morojal.

Zgromadziwszy resztki sił, zdołałem wstać. Ból był nieznośny i omal nie upadłem kolejny raz. Szlochając, ująłem w obie dłonie ostrze miecza tkwiącego w piersi Atalin, tuż pod rękojęcią, i przygotowałem się na kolejny ruch.

Szarpnąłem. Miecz wyszedł z jej ciała, a ja poczułem, jak zalewa mnie kolejna fala przejmującego bólu. Tym razem upadłem. Podpierając się na kolanach i łokciach, z trudem utrzymywałem ciało w górze. Ciemność przemknęła mi przed oczami, grożąc utratą przytomności, ale udało mi się ją przewyciężyć.

Tak daleko zaszedłem. Nie mogłem się teraz poddać.

Atalin nadal oddychała. Jej blada twarz znajdowała się na wyciągnięcie ręki od mojej. Miałem świadomość, że koniec jest blisko.

W loży na trybunach jaśniejąca postać wstała i zaczęła dryfować w powietrzu w naszą stronę. Wiedziałem, kto to. Imperator, albo być może jego holograficzny awatar, spływał z góry, żeby powitać swojego następcę.

Czyli mnie, skoro byłem ostatnim żywym kandydatem.

Wolno, znacznie wolniej, niżbym sobie tego życzył, odepchnąłem się na łokciach. Nadal klęcząc, odwróciłem miecz Atalin, wbiłem jego rękojeść głęboko w piach dokładnie przed sobą. Potem oparłem ostry czubek ostrza przy podstawie mostka i oparłem się na nim delikatnie.

Śmiertelna trójca. Ja, miecz i piach zabarwiony krwią.

Spojrzałem na Atalin. Jej pierś uniosła się, po czym opadła ostatni raz. Z jej ust wydobyło się ciche, zdławione rzężenie.

Kiedy umierała, oparłem się całym ciężarem o czubek miecza swojej siostry.

Rozdział 26

Tak wyglądała moja trzecia śmierć.

Inaczej niż poprzednio nie obudziłem się na wygodnym łóżku z uczuciem, że spałem przez długi czas. Zamiast tego, chwilę po tym, jak poczułem miecz przeszywający moje serce i opuszczającą mnie świadomość, ciałem przestrzeń z niewiarygodną prędkością, prosto w kierunku niebiesko-białej kuli nieokreślonego gazu, podczas gdy promienie wielokolorowego światła strzelały we wszystkich kierunkach wokół mnie.

Nagle znalazłem się w Imperialnym Umyśle albo to on wdarł się do mojej głowy. Nie komunikował się ze mną, był wszechobecny. Czułem niewiarygodny natłok myśli tysiąca czy nawet więcej byłych Imperatorów. Było ich tak wielu, że prawie straciłem rozeznanie i zapomniałem, kim jestem. Poza tym wyczuwałem jeszcze niepowstrzymany, niedający się ujarzmić strumień informacji przesyłanych przez miliony Książąt połączonych z Umysłem. Też na mnie napierał.

Udało mi się jednak odciąć od całego tego zgiełku. Odrzuciłem wszystkie połączenia i nie dałem się wciągnąć w wielkie mentalne bagno Imperium.

Nie zostanę Imperatorem, powiedziałem do siebie w duchu. Jestem Kem, a nie Kemri. Nie będę kierował Umysłem.

„Ale ja będę. Zostawcie go”.

Ta myśl była jak błyskawica przecinająca grzmącą burzę zbyt wielu informacji. I zadziałała natychmiast. Osaczające mnie tożsamości odsunęły się ode mnie, a gejzery danych zostały zablokowane.

Zostałem sam. Byłem bezcielesną inteligencją, wyzwoloną od bólu poranionego ciała. Czułem się oderwany od wszystkiego i lekki, niczym w ostatnim świadomym momencie przed odpłynięciem w długo wyczekiwany sen.

Trwało to jednak tylko chwilę. Nadrzędna myśl pojawiła się znowu, przesywając mnie niczym tamten miecz zatapiający się w moich trzewiach. I w jednej chwili znów zostałem połączony, ale umysły, które wyczuwałem wcześniej, były ukryte, a ich myśli nie napierały na mnie dzięki obecności tej jednej istoty, która do mnie przemawiała.

„Był ci pisany los Imperatora, Książę Kemri. Nie mnie”.

Poczułem ogromną ulgę, której nie mogłem ukryć przed tym dociekliwym umysłem, a której mimo wszystko nie wyraziłem.

Zdołałem umrzeć w tej samej chwili co Atalin i zachować odrębność od Umysłu. Z całą pewnością nie byłem Imperatorem.

„Bardzo się na tobie zawiedliśmy, Kemri. Powinieneś być pragnąć zostać Imperatorem bardziej niż czegokolwiek innego i rościć sobie do tego prawo”.

„Część mnie nadal tego chce. Ale ta znacznie mniejsza część. Większa pragnie się odrodzić w nieulepszonym ciele i udać się tam, gdzie zechce”.

„Na Karalczę?”

Nie udzieliłem odpowiedzi od razu, ale Imperatorka i tak ją знаła. Wiedziała wszystko o Książętach, kapłanach i każdej innej istocie połączonej z Umysłem – wystarczyło, że zadała sobie trud wychwycenia interesującej ją informacji.

„Tak”.

„Dlaczego mamy ci na to pozwolić? Żaden Książę nigdy otrzymał pozwolenia na opuszczenie Imperium w taki sposób”.

„Ponieważ mi to obiecałaś, siostrze”.

Nastało długie milczenie. Poczułem, że główny umysł się waha, a pozostałe inteligencje przysuwają się bliżej, niczym wilki osaczające ofiarę. Żaden z dawnych Imperatorów w Imperialnym Umyśle nie zamierzał mi pozwolić podążyć za głosem serca. Te istoty nawet nie dopuszczały do siebie myśli o istnieniu podobnych rzeczy ani nie uznawały żadnych rodzinnych więzi w świecie Książąt.

Pomyślałem, że zaryzykowałem i poniosłem klęskę, a wtedy błyskawica uderzyła ponownie, rozszczepiając zmasowane, anonimowe umysły tak wielu scalonych Imperatorów.

„Podjęłam decyzję. Zrobimy tak, jak ja rozkażę”.

Rozbłysło białe światło, pojedynczy obraz zapalił się w moim umyśle, a potem przestałem istnieć.

Kiedy się ocknąłem, drżącymi ustami nabrałem powietrza głęboko w płuca. Odrodziłem się pogrążony w mroku. Wiedziałem, że mam nieulepszone ciało, ponieważ żadne systemy nie przedstawiały mi raportów ani nie czułem w sobie nic prócz wolnego bicia serca. Puls mi przyspieszył pod wpływem gwałtownego strachu. Ale kiedy wyciągnąłem drżące ręce i poczułem smak słonej wody, ogarnęła mnie ulga. Domyślałem się, gdzie jestem, a moje podejrzenia potwierdził widok wąskiego pasma światła w oddali.

Wolno i niepewnie wyłoniłem się z wanny i poczołgałem w stronę światła. Pokonałem ledwie kilka metrów, kiedy drzwi się rozsunęły i znajoma sylwetka Elzweka wypełniła wejście.

– Nie wolno mi poznać twojej tożsamości – oświadczył, stojąc tyłem do mnie. – Nie odzywaj się, nie używaj swojego psychotechnu i załóż ten skafander.

Był to biotechowy skafander próżniowy powszechnie używany w Imperium. Elzweko rzucił go za siebie, stuknął w panel, żeby oświetlić pokój, po czym zamknął drzwi. Podpełzłem do skafandra, dotknąłem go

i zaczekałem, aż się na mnie nasunie. Osłona hełmu była zabarwiona od zewnątrz na srebrno i nie dało się tego zmienić.

Przez pewien czas leżałem ubrany w skafander, odzyskując siły. Kiedy wstałem, w mojej głowie rozległ się głos Imperialnego Umysłu.

„Przygotowano dla ciebie kapsułę. Elzweko cię do niej zaprowadzi. Powiedziano mu, że jesteś weryfikatorem wyruszającym w szczególnie tajną misję. Statek został bezpośrednio zaprogramowany przeze mnie tak, żeby dotrzeć na Karalczę, która pozostanie imperialnym protektoratem, przynajmniej przez kolejne dwadzieścia lat. Gdy opuścisz ostatnie imperialne przejście, sygnatura twojego psychotechnu zostanie oznaczona do natychmiastowego pojmania i zniszczenia, jeśli znajdziesz się w granicach Imperium. Nie wracaj, Kemri”.

„Nie zamierzam. Ale dziękuję ci, Atalin”.

Nie otrzymałem odpowiedzi.

Otworzyłem drzwi, za którymi czekał na mnie Elzweko. Nie odezwał się, ale tak jak dawniej, czyli w moim odczuciu całe wieki temu, przeprowadził mnie przez drzwi rzekomo prowadzące do napędu warp. Następnie minęliśmy kawalerzystów mechbio, co trochę mnie zestresowało, bo nadal węszyłem zdradę. W końcu dotarliśmy do magazynu, gdzie kolejny raz zostałem poproszony o wybranie wszystkiego, czego będę potrzebował podczas czekającej mnie misji. Rozważnie wybrałem sprzęty, które uznałem za przydatne dla siebie albo Karalczan. To mogła być moja ostatnia szansa, żeby dorwać jakiś przyzwoity tech.

W doku znajdowała się także Księżniczka, młoda kobieta w przestarzałym skafandrze próżniowym, podobnym do mojego starego pocziwego Ekkiego. Spiorunowała mnie wzrokiem, ale się nie odezwała. Dobrze, że miałem nieprzeźroczystą osłonę, ponieważ dobrze ją znałem. Niezbyt zaskoczył mnie widok Tyrto, chociaż ciekawiło mnie, jak to się

stało, że zrezygnowała z planów o pozostaniu w bezpiecznych murach akademii i przystąpiła do testu Biura Weryfikacji.

Zorientowałem się, że miałem wziąć kapsułę, odwlekając tym samym jej test. Był tam jeszcze jeden statek szykowany przez drony mechbio, które na pewno nie skończą przed upływem wielu godzin. Ogarnął mnie smutek, że nie mogę z nią porozmawiać, ale wiedziałem, że gdybym to zrobił, wydałbym wyrok śmierci na nas oboje.

Imperium nigdy by nie przyznało, że Księżę mógł pragnąć innego życia. Ani tym bardziej znaleźć do niego drogę.

Dwa tygodnie później moja kapsuła dotarła do systemu Karalczy. Tym razem nie otrzymałem raportu o niedawnej walce, ale kilka statków patrolowało teren w pobliżu przejścia. Niektóre z nich rozpoznałem natychmiast jako część floty KSP, jeszcze zanim kapsuła skończyła analizować skan. Było tam jednak więcej okrętów, znacznie lepszych. W ciągu kilku minut zostałem przez nie wezwany, podobnie jak przez KSP.

Była to oczywiście flota Konfederacji, chociaż przybyła sześć miesięcy za późno. Nie odpowiedziałem jednak na ich pospieszne pytania. Chciałem rozmawiać z tylko jednym statkiem, a konkretnie z tylko jednym członkiem jego załogi.

– Wzywam Rozpalacza KSP, Rozpalacza KSP. Mówi Kem Gryfon. Macie Rejni Gryfon na pokładzie?

Odpowiedź padła po niezwykle długiej minucie. Głos brzmiał znajomo i wprowadził mnie w wielkie uniesienie.

– Kemie Gryfonie, mówi Rejni Gryfon, z pokładu Rozpalacza KSP. Jaka jest twoja wiadomość?

Głos Rejni brzmiał chłodno i spokojnie. Ja z pewnością nie byłem tak opanowany. Zorientowałem się nawet, że wstrzymuję oddech. Wypuściłem powietrze, zanim się odezwałem.

– Proszę o zgodę na przejęcie.

– Brakuje ci powietrza?

Uśmiechnąłem się.

– Nie. Wszystkie systemy działają sprawnie. Ale chciałbym zostać przejęty możliwie jak najszybciej.

– Zrozumiałam, Kemie Gryfonie. Czekaj na przejęcie. I... –
Wychwyciłem drżenie w jej głosie. – Witaj w domu.

Epilog

Oto historia moich trzech śmierci. O kolejnej nikomu nie opowiem, ponieważ nigdy więcej się nie odrodzę. Nie żałuję jednak, że zrezygnowałem z bardzo długiego żywota Księcia, Imperium i wszystkiego, co z nim związane. Nie tęsknię za władzą pozwalającą decydować o życiu i śmierci zwykłych ludzi ani za trzema techami, jednocześnie ulepszającymi i zubażającymi moje człowieczeństwo.

Zyskałem znacznie więcej, niż straciłem, chociaż nie w kategoriach uznawanych przez Imperium.

Rejni i ja nie przestaliśmy się kochać, chociaż odkryłem, że nie jest to stan dany raz na zawsze. Zrozumiałem, że miłość bardzo przypomina zmieniający się nieustannie problem taktyczny, który wymaga ciągłej pracy, chociaż nigdy nie opisałbym tego w ten sposób swojej ukochanej.

Naprawdę zajmuję się teraz handlem, chociaż stacjonarnie, i jestem rezerwistą KSP w stopniu komandora, w związku z czym jeden miesiąc w roku poświęcam na służbę wojskową. Na szczęście w minionej dekadzie tylko dwa razy musiałem naprawdę walczyć, najpierw z nową flotą piratów, a potem ze szwadronem zwiadowczym Umarlaków. Ostatnie starcie było ciężkie, ponieważ Umarlacy nigdy się nie poddają, a kiedy już nie mogą walczyć, dokonują samozniszczenia, często unicestwiając przy okazji przeciwnika. Ale dzięki Konfederacji, a w niewielkim stopniu także dzięki swojej wiedzy i staremu imperialnemu techowi Księcia Ksaodzeka, który odkryliśmy w pierścieniach gazowego giganta, KSP się rozwinęło. Mądrością i siłą nie ustępuje innym zmilitaryzowanym jednostkom z Peryferii.

Rejni i ja mamy teraz dziecko. Małą dziewczynkę, która skończyła już pięć lat. Każdego dnia dziękuję, że nie zostanie odebrana swoim rodzicom, żeby zostać Księżniczką.

Mówi o sobie Attie i tak nazywają ją pozostali. To powszechny skrót od imienia Hattie, ponieważ w jej aktach widnieje: Hattie Anza Gryfon. Tylko Rejni i ja wiemy, że została tak nazwana na cześć Atalin. Imię mojej siostry okryło się złą sławą w Karalczy, więc nigdy nie moglibyśmy nadać go dziecku, chociaż uważam, że wiele zawdzięczamy mojej siostrze.

Wkrótce po powrocie na Karalczę opowiedziałem Rejni całą prawdę o sobie. Wyznałem, że byłem Księciem i należałem do Imperium, które ponosiło odpowiedzialność za śmierć wielu ludzi. Ale ona powiedziała, że to straciło znaczenie w wyniku decyzji, którą podjąłem samodzielnie.

Rejni powiedziała potem: „Imperium uczyniło z ciebie Księcia Kemriego. Ale ty zamieniłeś się w człowieka”.

Czasami wspominam te słowa i zastanawiam się, co się dzieje w Imperium, chociaż rzadko. Najczęściej rozmyślam o tym, jak Atalin radzi sobie na tronie Imperatora i czy zdołała wprowadzić jakiegokolwiek zmiany albo czy kiedykolwiek miała taki zamiar.

Kiedy zaczynam w to wątpić, przypominam sobie pewien obraz, skrawek wspomnień, który mi przesłała, zanim zostałem wyrzucony z Imperialnego Umysłu.

Przedstawia dwie niewyraźne twarze widziane oczami dziecka. Są uśmiechnięte, a z ich oczu wyziera miłość. Kiedy na nie patrzę, wydają mi się znajome i obce zarazem, przypominają moją własną twarz, a jednocześnie się od niej różnią.

Ciekawi mnie, jak Atalin zdołała zachować wspomnienie o naszych rodzicach i jak je wydobyła mimo wszystkich starań kapłanów, którzy chcieli, żebyśmy zapomnieli o życiu, które wiedliśmy przed selekcją. Być może doszło do tego w czasach, kiedy jeszcze służyła w Biurze Geodezji

i przemierzała kosmos statkiem zwiadowczym, sama wśród obcych gwiazd, za towarzystwo mając jedynie własne myśli.

Bez względu na to, jak bardzo się starałem, nigdy nie udało mi się znaleźć takiego wspomnienia w swojej głowie. Miałem tylko ten drobny wycinek od mojej siostry, która ostatecznie okazała się znacznie bardziej ludzka, niż przypuszczałem.

Być może potencjał człowieczeństwa tkwi w każdym Księciu.

Mogę tylko mieć taką nadzieję.

[1](#) Po angielsku *rain* [rein] znaczy deszcz (przyp. tłum.).

[2](#) William Shakespeare, *Hamlet*, przeł. Maciej Słomczyński (przyp. tłum.).